

# Sisman Robyn

## Weekend w Paryżu

*Dwudziestojednoletnia Molly Clearwater od dawna żyła w przekonaniu, że już nigdy nie spotka jej nic interesującego.*

*Któregoś piątku wyszła z pracy wściekła i załamana, bo szef nawymyślał jej od głupich sekretarek. Kierowana impulsem, wsiadła do pociągu i pojechała do Paryża, do bajecznego świata bulwarów, smakowitych potraw, zwariowanego ruchu ulicznego i przystojnych Francuzów. Zaledwie kilka godzin później mknęła na skuterze brzegiem Sekwany, a był to dopiero początek atrakcji!*

*Dwudniowa eskapada przyniosła dziewczynie potężną dawkę emocji, prawdziwą namiętność i nowe spojrzenie na samą siebie. W niedzielę wieczorem Molly wracała do domu jako zupełnie inna osoba.*

### *Rozdział pierwszy*

Osiemdziesiąt metrów pod Trafalgar Square zadudnił pociąg mknący na południe, pod Tamizę. Jak w każdy piątek, w godzinach szczytu, pękał w szwach. Początek października był zaskakująco ciepły, więc tym bardziej dawał się we znaki charakterystyczny zapach tłumu - lekko spleśniała mieszanka zwietrzałych perfum i potu. Zgrzytliwe popiskiwanie kół przeplatało się z szumem rozmów oraz rytmicznym ćwierkaniem walkmanów i discmanów, zupełnie jakby w metrze zamieszkał chór świerszczy.

Molly Clearwater stała pośrodku wagonu, wciśnięta między męskie ramię obsypane łupieżem a ogromny plecak. Udało jej się zająć doskonałe miejsce przy metalowym słupku, mogła więc się go przytrzymać i jechała całkiem komfortowo. Między nogami postawiła walizkę pamiętającą lepsze czasy. W drugiej ręce ścisnęła broszurowe wydanie jakiejś powieści, ale nie czytała.

Głupia sekretarka.

Tak ją nazwał Malcolm. Nie mogła zapomnieć tych podłych słów. Uniosła wyżej brodę, odrzuciła do tyłu fale jasnych włosów jak pływak wynurzający się na powierzchnię wody. Nie była sekretarką. A poza tym, jak może być głupi ktoś, kto skończył literaturę angielską? I napisał pracę dyplomową na temat „Powieść gotycka - od Ann Radcliffe do Daphne du Maurier”? Przed oczami miała Malcolma w garniturze, dzięki któremu chciał wyglądać jak dyrektor z prawdziwego zdarzenia; Malcolma, kretyńsko zadowolonego z życia, bo jeździ sportową bryką, czyta „Men's Health”, inwestuje na giełdzie, gada przez komórkę i smaruje włosy żelem. Aż poczerwieniała ze złości. Niby taki wielki menedżer, a nie wie, jak się pisze „zaopatrzenie”!

*Robyn Sisman*

A co było pół roku temu? Kiedy znalazła tę pracę, zdawało jej się, że złapała Pana Boga za nogi! Wreszcie na swoim, w wielkim mieście, nareszcie się wyrwie spod opiekuńczych skrzydeł mamusi. Koniec z niewolniczą harową za psie pieniądze w warzywniaku w Minster Episcopi, najnudniejszym miasteczku pod słońcem! Wymarzona odmiana losu! Razem z Abigail, najlepszą przyjaciółką z parafii, poszły oblać sukces w Stajni, najmodniejszej knajpce na deptaku, i tak się ubzdryngoliły Bryzą Bacardi, że w powrotnej drodze mało nie spadła z roweru. Abigail, która teraz pracowała jako wizażystka i była świetna w swoim fachu, roztaczała przed Molly czarowną wizję przyszłości: szykowne ciuchy, ekstrawaganckie fryzury, restauracje Notting Hill, bary Soho, szalowi mężczyźni, dla których randka nie jest jednoznaczna z wypadem do McDonalda i obmacywaniem w samochodzie. Będzie brała udział w imprezach promocyjnych, dostanie własny odjazdowy gabinet i wyjeździ się służbowo po świecie.

Taaa, jasne.

Szykowała się na specjalistkę do spraw marketingu. W ogłoszeniu podkreślano, że kandydat na to stanowisko musi być osobą kreatywną, z inicjatywą, wyższym wykształceniem oraz lekkim piórem. Słowem, na przyzwoitym poziomie - jak powiedział sam Malcolm Figg w czasie pierwszego spotkania.

A Molly zbytnio nie obchodziło, że zatrudnia się w zwykłej spółce farmaceutycznej, a nie w jakimś bardziej elitarnym przedsiębiorstwie. Liczyło się, że zdobyła prawdziwą pracę. W Londynie. Zaczynała nowe życie. Mogła iść na całość.

Z początku rzeczywiście przeżywała fantastyczną przygodę. Nowe zajęcia, darmowe długopisy i kolorowe spinacze, cały stos pachnących drukarnią wizytówek z jej własnym nazwiskiem... Zdecydowana odnieść oszałamiający sukces w pierwszej poważnej pracy, w podskokach wykonywała każde polecenie Malcolma, choćby najbardziej niezrozumiałe. Zrywała się od biurka, równie pełna dobrych chęci za każdym razem, gdy dobiegał ją ryk: „Ej, ty, jak ci tam!”, i biegła do barku po cappuccino, okłamywała dzwoniących, że pana Figga nie ma, chociaż był, zapewniała, że jest, chociaż go nie było, przepisywała całe strony koszmarnego bełkotu - i to z rękopisu, a nawet... spiekła raka na samo wspomnienie... zorganizowała przegląd jego ukochanego „wózka”, o potężnej atrapie, z pluszową kostką zwisającą ze wstecznego lusterka i naklejką: „Nurkuj głębiej!”. Zadreczała wszystkich dookoła trudnymi pytaniami i wal-

## *Weekend w Paryżu*

4

czyła o dopuszczenie do grona biorącego udział w spotkaniach o dumnej nazwie „konferencje progresywne”, odbywających się raz w tygodniu za zamkniętymi drzwiami. W efekcie okazały się one nudnymi nasiadówkami, polegającymi głównie na niekończącym się wyliczaniu, kto czego nie zrobił.

Oczywiście zdarzały jej się wpadki. Na przykład tuż przed Wielkanocą stuknęła niewłaściwy przycisk na klawiaturze i rozesłała po całym biurze kopie listu elektronicznego z życzeniami od mamy. Na wszystkich monitorach wykwitły stokrotki, między którymi tańczył królik, śpiewający za Steviem Wonderem „I just called to say I love you”. No i chyba trochę przesadziła z odniesieniami literackimi w informacji dla prasy na temat trepazminy, chociaż, Bogiem a prawdą, nadal uważała wymyślane przez siebie hasło reklamujące lek na niestrawność za intrygująco świeże. Brzmiało ono: „Ośmielisz się zjeść brzoskwinię?”.

Najważniejsze jednak, że ciężko pracowała, z pełnym przekonaniem angażowała swój błyskotliwy intelekt w realizację trywialnych zadań, a nawet zrezygnowała z urlopu i całe lato przesiedziała przy biurku, podczas gdy inni wracali z wyjazdów wypoczynkowych, zadowoleni z siebie i opaleni, machając grubymi plikami wakacyjnych zdjęć. W końcu zasłużyła na nagrodę. Tak jak przewidywała.

Jakiś miesiąc temu Malcolm wezwał ją do swojego przeszklonego gabinetu. Odwrócił się od monitora z wygaszaczem w Simpso-nów, zlustrował ją wzrokiem z zastanowieniem, wzorem prawdziwego macho ruszył kilka razy szczęką, przesuając odświeżającą oddech gumę do żucia, i w końcu wycedził:

- Ty znasz francuski.

Molly utkwiała w nim osłupiałe spojrzenie. Równie dobrze mógłby jej zlecić naprawę gaźnika.

- Chyba że nałgałaś - dorzucił, ciskając na blat jakiś dokument, który po sekundzie rozpoznała jako własne, mocno podkolorowane CV

- Ach! Francuski! - Udało jej się przywołać na twarz szeroki uśmiech. - *Oui. Bien sur\**.

- Mamy prezentację w Paryżu. W czasie bardzo ważnej konferencji. Teraz, w pierwszy weekend października.

Zawsze biorę ze sobą którąś z dziewczyn, żeby się zajęła całym tym zapinaniem na ostatni guzik. Oczywiście nie będzie za to dodatkowej forsy, sam

\* **Tak, oczywiście.**

*Robyn Sisman*

wyjazd to premia. Pamiętaj, zrób się wystrzałow, żebyś rozłożyła na łopatki tych napuszonych doktorków. Jak dobrze pójdzie, zyskamy całkiem przyzwoite zlecenia.

Kiedy wreszcie do niej dotarło, że on - Malcolm - zamierza ją

- Molly - zabrać do Paryża - stolicy Francji - miała ochotę rzucić się na kolana i ucałować jego złoty sygnet. Pierwsza podróż służbowa! Wszystkie koszty pokrywa firma! Apartament z łazienką. Puszyste ręczniki. Minibar. Może taki dinks na pilota, którzy rozsuwa zasłony i nie musisz się ruszać z łóża godnego Kleopatry. Paryż! W życiu nie była w Paryżu! Chociaż marzyła o tym od dawna, od czasu gdy pierwszy raz przeczytała powieść Nancy Mitford. Miała wtedy jakieś czternaście lat. Niestety, wycieczka do Paryża byłaby prawdziwym luksusem, a jak dotąd luksusy pozostawały dobrem nieznanym w życiu Molly.

Odkąd sięgała pamięcią, zawsze pieniądze - a raczej ich brak

- stanowiły nie lada kłopot. Połowę ubrań miała z supermarketów, szkolny mundurak zawsze pochodził z ciucholandu. Jako jedyna nosiła drugie śniadanie - koniecznie zdrową żywność - w wiklinowym koszyku, a nie w plastikowym pojemniku ozdobionym naklejkami postaci z filmów Disneya.

- To wyrzucanie pieniędzy - tłumaczyła mama.

Podróże odbywały się rowerem lub najwyżej autobusem. Wakacje oznaczały wyjazd na kemping albo wynajęcie domku letniego poza sezonem. Molly była prawdopodobnie jedyną Angielką, która w wieku dwudziestu jeden lat nie zawędrowała dalej niż na Isle of Wight. A teraz miała się znaleźć w najpiękniejszym mieście na świecie. Doniosłość tego wydarzenia napełniała ją dumą. Oto Malcolm Figg wybrał właśnie ją - wobec czego pracowała jeszcze ciężiej: gromadziła dane, segregowała paskudne slajdy przedstawiające zmienioną chorobowo tkankę i wgrywała je na dysk. Odkąd bliska wyprawa do Paryża zajaśniała przed nią niczym pochodnia w smolistych ciemnościach, Molly łatwiej znosiła obcesowe zachowanie szefa, zalew jego sprzecznych poleceń oraz idiotycznych błędów. Z dnia na dzień lśniła coraz bardziej promiennym blaskiem.

- Nie wiem, jak ty wytrzymujesz z tym kretynem - oświadczyła któregoś dnia Fatima z działu artystycznego, przewracając oczami.

Ach, całkiem łatwo. Im głośniej krzyczał Malcolm, z tym większym entuzjazmem Molly nuciła pod nosem: „Kocham Paryż wiosną, kocham Paryż jesienią...”. Kupiła przewodniki, przypominała sobie francuski, wydała pieniądze, których i tak ledwo jej wystar-

## *Weekend w Paryżu*

13

czało, na nowy, wystrzałowy kostium, a potem odświeżała i prasowała wszystko, co mogło być postrzegane jako garderoba kobiety biznesu. Wypełniła formularz z prośbą o wyrobienie paszportu i osiem razy zrobiła sobie zdjęcia w automacie, zanim osiągnęła wynik odpowiadający jej nowej pozycji.

A dzisiaj nadszedł wreszcie ten długo wyczekiwany dzień. Zjawiła się w biurze po prysznicu, z polakierowanymi paznokciami, ogolonymi nogami, świeżo umytą głową, wyregulowanymi brwiami i starannie spakowana. Na biurku zastała stertę folderów na prezentację, gotowych do ułożenia w kartonie, plan spotkań, nudną reklamówkę hotelu oraz płytę kompaktową zawierającą pomoce wizualne - przedmiot cenny i kruchy. Dla większego bezpieczeństwa włożyła ją do swojej walizki, pomiędzy górę i spodnie pidżamy z przeceny. O siedemnastej trzydzieści podjedzie taksówka, która zawiezie ich na lotnisko. A wieczorem... wieczorem Molly będzie w Paryżu!

- Uwaga na stopień - odezwał się bezosobowy głos w megafonach.

Wysiadający przepchnęli się w stronę drzwi, a chwilę później nowy tłum falą wlał się do wagonu. Po raz kolejny uderzyło Molly, do jakiego stopnia londyńczycy potrafili się wzajemnie ignorować, nawet w tłoku, przyciśnięci jeden do drugiego. W rodzinnym miasteczku ledwie wyszła na ulicę, już ktoś trąbił głośno na powitanie lub zatrzymywał ją, by objaśnić ze szczegółami, jak to się stało, że właśnie jego róża zdobyła pierwsze miejsce na ostatniej wystawie kwiatów. Często marzyła jej się błogosławiona anonimowość, ale to, co poznała tutaj, ta wybiórcza ślepotą, było szokujące.

Molly pamiętała doskonale, jak pierwszy raz natknęła się na żebrzącą uciekinierkę z jakiegoś obcego kraju. Pełno było takich w każdym wielkim mieście. Ta miała na jednym ręku niemowlę, w drugim trzymała tekturkę z wypisanymi niezdarnie słowami: „Jestem z Albanii. Mój mąż został zabity. Dzieci głodują. Proszę o pomoc. Dziękuję”. Szła w milczeniu od jednego niewidzącego pasażera do drugiego. Molly nie umiała pozostać obojętna. Lekko myślą wrzuciła do kieszeni żebraczki całą zawartość portfela, błagając kobietę, by zabrała dziecko do domu. Spojrzenia ludzi wokoło, wyniosłe i pełne wzgardy, powiedziały jej wyraźnie, że postąpiła jak ostatnia prowincjuszka. Teraz już, oczywiście, potrafiła się zachować. Nigdy nie dawała żebrakowi więcej niż funta i to tylko kobietom z dziećmi, mężczyznom z sympatycznymi psami oraz ulicznym

*Robyn Sisman*

grajkom, dzięki którym jej nogi same zaczynały podrygiwać w takt muzyki.

Tak czy inaczej, nadal mroził ją ten całkowity brak kontaktu. Jak zdobyć przyjaciół, jeśli wszyscy dookoła odwracają wzrok? Ot, choćby teraz, na pewno by jej nie zaszkodził czyjś ciepły uśmiech.

Sprawy przybrały fatalny obrót w porze lunchu. Malcolm wyszedł do pubu w towarzystwie najnowszej przyjaciółki, tym razem pracownicy księgowości, a Molly tak zarzucił robotą, że nie miała czasu nawet zjeść kanapki. Jedyną spokojniejszą chwilę udało jej się znaleźć, gdy pomknęła do damskiej toalety. Zafundowała sobie moment kontemplacji nad porzuconym przez kogoś miesięcznikiem „Glamour”. Zaczęła rozwiązywać test zatytułowany: „Czy jesteś nowoczesną dziewczyną? Sprawdź to na dziesięć sposobów”. Właśnie się zastanawiała, czy dużo straci, odpowiadając „nie” na pytanie: „czy poszłabyś z chłopakiem do łóżka na pierwszej randce?”, gdy raptem opanowało ją niemiłe wrażenie, że ktoś ją obgaduje. Chyba usłyszała swoje imię. Owszem. Rozpoznała po głosie Scyllę i Charybdis, dwie stare plotkary z recepcji. Przemknęło jej przez głowę, żeby krzyknąć: „Heeej! Jestem tutaj!”, albo może głośno odchrząknąć, ale jakoś nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, za to podciągnęła pod siebie stopy, żeby ich nie było widać pod drzwiami, i wstrzymała oddech, jednocześnie nadstawiając uszu, by żadne słowo nie utonęło w szumie wody lecącej z kranów.

Z płonąca twarzą, objawszy się mocno rękami, wysłuchiwała wszystkiego, do ostatniego słowa. Następnie odczekała, aż drzwi wejściowe otworzą się z sykiem i zamkną z młaśnięciem, a terkotanie papużek nierozłączek ucichnie w oddali, potem zaś drżącymi dłońmi otworzyła kabinę. Jak automat podeszła do rzędu umywalek, odłożyła na bok magazyn, odkręciła kran i umyła ręce. Pochyliła się i zmoczyła twarz: ochlapała wodą najpierw policzki, później oczy i czoło, jak gdyby mogła w ten sposób oczyścić umysł i pamięć. No tak. Czyli Malcolm zamierzał ją w ten weekend przelecieć. I trąbił o tym po całym biurze. Najwyraźniej z poprzednimi „dziewczynami”, które zabierał w delegację za granicę, zawsze mu się udawało, więc i tym razem był pewien swego.

Ścisnęła palcami skronie. Harowała jak wół, dumna ze swojego profesjonalizmu, ze wszystkich sił starała się szanować Malcolma jako szefa, chociaż był ostatnim dupkiem, a on widział w niej tylko panienkę do wyrwania!

Wytarła twarz papierowym ręcznikiem, niechcący rozmazała makijaż, który rano robiła z takim piety-

## *Weekend w Paryżu*

8

zmem. W lustrze ujrzała okrągłe różowe policzki, niebieskie oczy i regularne, czyste łuki brwi, odziedziczonych po jakiejś bliżej niezidentyfikowanej antenatce. Skąd Malcolm wziął przekonanie, że Molly jest łatwą dziewczyną? Odruchowo położyła dłoń na dekolcie. Miała spore piersi, to prawda, ale trudno jej było zarzucić, że wystawiała je na pokaz. Na wszelki wypadek zapięła jeszcze jeden guzik.

Zrobiła to jednak z przykrością. Malcolm to drań. I w dodatku był stary! Jak nic miał trzydziestkę na karku. Zresztą, nigdy nie mogłaby się zakochać w mężczyźnie niepociągającym jej intelektualnie. Jaki będzie weekend, który upłynie jej na bronieniu się przed szefem? Może powinna iść do działu personalnego i porozmawiać o molestowaniu seksualnym? No tak, ale wtedy wyjazd do Paryża przejdzie jej koło nosa.

Wyprostowała ramiona. Inteligentna kobieta, znająca się na rzeczy, z pewnością da sobie radę sama. Nie jest przecież pruderyjna. Molly odzyskała wiarę w siebie i nadzieję. Zdecydowanym ruchem chwyciła magazyn. Nie, nie jest szczególnie nowoczesną dziewczyną i nie prześpi się z Malcolmem na pierwszej randce z tego prostego powodu, że do żadnej randki nie dojdzie. Wszechwładny szef może sobie wyobrazać, co tylko zechce, natomiast ona, Molly Clear-water, wybierała się nie na randkę, ale do Paryża. Koniec, kropka.

I tak, kiedy Malcolm nieco później tego popołudnia wezwał ją władczy gestem do swojego biura i chuchając piwem, oznajmił, że ma dwa bilety do kabaretu Crazy Horse na następny wieczór, Molly odpowiedziała grzecznie, lecz stanowczo. Z przewodników dowiedziała się, że Crazy Horse to paryski klub nocny, gdzie tańczą piękne nagie dziewczęta. Autor opracowania zaznaczył, że jest to przedstawienie z klasą. Tak czy inaczej, Molly podejrzewała, że na tańcach się nie kończyło, a każdy głupi potrafiłby się domyślić, do czego ma prowadzić takie zaproszenie.

- Bardzo panu dziękuję - zwróciła się do Malcolma - ale wydaje mi się, że mamy całkowicie różne pojęcie o atrakcjach kulturalnych.

- I co też ty nie powiesz...! - Obserwował ją dłuższą chwilę, następnie obrócił się wraz z fotelem, chwycił jakieś papiery i z głuchym łupnięciem cisnął je na blat. Był to jeden z folderów przygotowanych przez Molly na konferencję. Najwyraźniej zabrał go z jej biurka. - Część trzecia jest do niczego - oznajmił głosem bez wyrazu. - I czwarta też.

- Jak to? - Przerazona, że mogła popełnić jakiś karygodny błąd, zapomniała o bożym świecie. Chwyciła folder, przekartkowała go



*Robyn Sisman*

pośpiesznie i z prawdziwą ulgą stwierdziła, że wszystko jest w najlepszym porządku. - Proszę sprawdzić - wskazywała kolejne strony - wszystko ułożone tak, jak pan sobie życzył. Sprawdzał pan całość nie dalej jak wczoraj. Nawet nie mrugnął, nawet nie spróbował choćby rzucić okiem.

- A dzisiaj - oświadczył, przeciągając słowa - ma być zupełnie inaczej. Odwrotnie.

- Nie ma już czasu na zmiany! Wszystko poukładałam, przejrzyście i sensownie, kartki są zszyte...! Zresztą... to bez sensu! Część trzecia musi być pierwsza, ponieważ...

- Podważasz moje kompetencje?

- Ja... - Molly czuła, jak wzbierają w niej gniew i złość. „Kocham Paryż wiosną...”. - Na pewno dostrzega pan...

- Dostrzegam zupełnie wyraźnie, że jedna z moich pracownic się ze mną kłóci. I wcale mi się to nie podoba.

„Kocham Paryż jesienią...”.

- Nie miałam takich intencji, chciałam jedynie wyjaśnić...

- Ja tu jestem szefem, Molly. I będzie, jak mówię. Uwierz mi, nie mam czasu na sprzeczki z głupią sekretarką.

- Nie jestem głupia!

„Kocham Paryż zimą, gdy pada...”.

- Jesteś głupia, kompletnie zielona i na dodatek niedotykalska.

- Nie jestem niedotykalska! „Kocham Paryż latem...”.

- I pojedziesz do Paryża wyłącznie pod warunkiem, że będziesz robiła, co ci każę. Dotarło?

„...gdy jest skwar”.

Folder w dłoniach Molly zamknął się z głośnym kłaśnięciem. Sama dobrze nie wiedząc, co robi, odmaszerowała z powrotem do swojego biurka i opadła na krzesło. W głowie jej się kręciło, w uszach dudniła krew. Jak to? Po to kończyła studia, żeby jakiś palant traktował ją jak służącą? Jak niewolnicę?! Czy rzeczywiście tylko na tyle ją stać? Na okupiony ciężką harówką stołek specjalistki do spraw marketingu w jakiejś podrzędnej firmie zbijającej szmal na ludzkim cierpieniu? Oddech jej się rwał. Drżącą dłonią ujęła komputerową mysz i skierowała kursor na odpowiednią pozycję. Palce Molly zatańczyły na klawiaturze.

- Proszę się odsunąć od drzwi.

Znowu ten sam rytm - tłum płynący najpierw za drzwiami, a potem do środka wagonu. Pociąg stał na peronie stacji Embankment. Mol-

## *Weekend w Paryżu*

10

ly zdała sobie sprawę, że mierzy wściekłym spojrzeniem diamentowy romboidalny wzór na czyimś krawacie. Speszyla się i spuściła wzrok, a biedny właściciel pechowej części garderoby po raz kolejny nerwowo sprawdził, czy na krawacie nie ma jakichś fatalnych plam.

Po raz ostatni spojrzała na Malcolma, kiedy podniosła oczy, skończywszy pisanie. Szef przyglądał jej się przez szklaną ścianę. Ręce założył na piersiach, usta wykrzywił mu triumfujący grymas. Był przekonany, że Molly przepisuje jego głupi raport. Mylił się. Właściwe słowa buchały z siłą lawy rozgrzanej do czerwoności. Każde zdanie, każdy zwrot, a nawet przecinek, odcisnęły się wprost na jej korze mózgowej i nieomylnie wyskakiwały we właściwych miejscach na ekranie.

*Szanowny panie Figg.*

*Choć świadoma jestem zaszczytu, jaki stanowi praca w spółce Phipps Lauzer Bergman, przyszedł czas, bym zajęła stanowisko, na którym moje zdolności zostaną w pełni docenione i wykorzystane. Przyjęłam pracę w tej firmie, wychodząc z błędnego założenia, iż to zajęcie będzie współpracowało z moimi kwalifikacjami. Pan mi otworzył oczy, za co niniejszym dziękuję. Jednocześnie przepraszam za marnowanie pańskiego czasu, za zbędne sugestie mające wpłynąć na zwiększenie efektywności pracy działu oraz poprawy jego wizerunku, zwłaszcza w zakresie wykorzystania języka ojczystego. Z mojej strony czas poświęcony na pracę w tej firmie nie był całkowicie stracony, ponieważ zebrałam wiele materiału na powieść.*

*Niniejszym składam wymówienie, rezygnując tym samym ze stanowiska specjalistki do spraw marketingu. Jednocześnie, zgodnie z umową o pracę, odbieram zaległy urlop wypoczynkowy, począwszy od chwili obecnej. Co za tym idzie, nie będę mogła wziąć udziału w konferencji mającej się odbyć w Paryżu, jak to było zaplanowane, lecz nie wątpię, iż doskonale poradzi pan sobie bez pomocy kogoś, kogo nazywa pan „głupią sekretarką”.*

*Z poważaniem mgr Molly Clearwater*

Rewelacyjnie. Trzeba to przyznać bez fałszywej skromności. Nawet do takiego betonu jak Malcolm Figg powinno dotrzeć, że popenił gruby błąd. Nie ma czego żałować. Stanowczo. Oczekala, aż szef na chwilę wyjdzie ze swojej szklanej klatki, zebrała własne

*Robyn Sisman*

drobiazgi, kliknęła „wyślij” i zdecydowanym krokiem opuściła firmę niczym bohaterka powieści. W filmie zabrzmiałaby w tym momencie jakaś dziarska muzyczka, a personel wiwatowałby na jej cześć, ustawiony w szpaler. Tyle tylko, że to nie był film, ale proza życia. Uświadomiwszy sobie powagę sytuacji, Molly lekko zmartwiła. Została bez pracy, a Malcolm raczej nie da jej pochlebnych referencji. Bez stałej pensji nie zdoła się utrzymać w Londynie. I wróci do punktu wyjścia. To niesprawiedliwe! Dlaczego miała być karana za cudze ułomności?! W dodatku poniosła spektakularną porażkę. Ona - która dotąd jechała na najwyższych ocenach i wiedziała z całą pewnością, iż będzie w jakiejś dziedzinie wyjątkowa, jeśli tylko tę dziedzinę odkryje. Potoczyła wzrokiem po obcych twarzach pasażerów. Wszyscy ci ludzie mają pracę. Wiedzą, dokąd zmierzają, są otoczeni przyjaciółmi, mają dziewczyny, chłopaków, żony i kochanków. Czy w całym Londynie jest ktoś taki jak ona? Czy jest ktoś taki na świecie? Wzrok Molly padł na reklamy na ścianach wagonu. Przytłaczająca większość kusila, by na koniec sezonu wyjechać: na Majorkę, do Barcelony, Amsterdamu czy Wenecji. Wszystkie uwodziły pięknymi zdjęciami: piaszczyste plaże, katedry, para pochylona ku sobie w gondoli. Pięknie, jeszcze tylko tego jej było trzeba. No właśnie. A najgorsze w tym wszystkim, że nie pojedzie do Paryża. Zaciśnęła powieki, by powstrzymać piekące łzy. Wszyscy widzieli Paryż. Każdy tam był chociaż raz. Tylko ona nie. Dlaczego? Już wiedziała, jak tam jest, już się domyślała, widziała siebie oczyma wyobraźni. Wieża Eiffla, stateczki na Sekwanie, wiekowe kwaciarki, starszankowie grający na akordeonach na paryskim chodniku... Kochankowie całujący się na mostach. Restauracje z lustrami w stylu art nouveau, kelnerzy w długich białych fartuchach. Wszystkie kobiety są tam smukłe jak topole, a imiona mają piękne: Chantal albo Severine, tak samo dźwięczne jak ich głosy, przypominające srebrne dzwoneczki. Każda z nich oczywiście niesie na rękę przystrojonego kokardami pudła. Mężczyźni nazywają się Jean-cośtam i zmysłowo wysuwają dolną wargę, puszczając w powietrze dym z gauloisów. Wszyscy mieszkańcy Paryża palą, piją, kłóca się i kochają z pasją i klasą. Sztukę i literaturę traktują z powagą. Wiedzą, że warto żyć.

Ja też, pomyślała Molly.

Przez długie tygodnie powtarzała francuski, gimnastykowała ^wargi, ćwicząc właściwą wymowę. *Arrondissement* - a-r-dis-m. *Tu-ileries* - Tiu-le-ri. Pompidou - P-pi-du. Wszystko na nic. Znowu łzy

## *Weekend w Paryżu*

12

zapięły ją pod powiekami i coś stanęło w gardle. Całe życie, poza latami studiów, spędziła w dziurze zabitej dechami, głównie w towarzystwie mamy oraz suki imieniem Alleluja. Chór kościelny, wszędzie kwiaty: na pergolach, w szklarniach, na parapetach... Kwiaty rządziły w mieście od Wielkanocy po sierpniowe Święto Bankowe, dając niewielki dochód, z którego trzeba było wyżyć.

Jej życie zawsze odmierzały wiszące kosze kwiatów...

Oczywiście kochała to wszystko całym sercem, lecz z drugiej strony bardzo chciała coś zmienić. Miała stanowczo dosyć ciężkiej pracy, dobrego wychowania, pomagania mamie, okazywania wdzięczności i bycia osobą odpowiedzialną, za jaką uważało ją całe otoczenie. Zupełnie jakby mogła być inna, skoro miała do wyboru pomagać w domu lub okazać się ostatnią niewdzięcznicą, skoro musiała zdawać egzaminy, choć zdecydowanie wolałaby skoczyć na imprezę, ale przecież wisiała nad nią przerażająca konieczność spłaty pożyczki studenckiej, a w zasięgu wzroku nie było tatusia, który by lekką rączką uregulował długi córki. Dokładnie rzecz biorąc, w zasięgu wzroku nie było żadnego tatusia.

Nikt nawet nie podejrzewał, że w rzeczywistości Molly wcale taka nie jest. Bo tak naprawdę miała duszę włóczykija, awanturnika i obieżyświata, była spontaniczna i kapryśna, pełna pasji. Palila się, by dokonać czegoś wyjątkowego.

- Następna stacja: Waterloo - ogłosił anonimowy kobiecy głos.

To ci dopiero egzotyczne doznanie! Molly zerknęła na zegarek. Za dwadzieścia pięć szósta. Powinna być w drodze na lotnisko. Spakowana walizka stała koło nóg, a w niej: paszport, nowe ciuchy kupione specjalnie na wyjazd, przewodniki, które знаła prawie na pamięć, plastikowa koperta z niewielkim zapasem euro...

Niestety, nic z tego. Zamiast jechać na lotnisko, wraca do Grubej Sal, do wspólnego ciasnego mieszkania w południowej londyńskiej dzielnicy Wandsworth. Żałowała gorzko tych hymnów pochwalnych i tańców radości z powodu nadchodzącego weekendu w Paryżu. Sal była tak rozrywkową dziewczyną, że niekiedy Molly czuła się przy niej nudna i bezbarwna - jak jej przeciwieństwo dla zachowania równowagi, nieco jednak przesadzonej. Ciężko będzie spojrzeć współlokatorce w oczy... z drugiej strony, pytanie, czy tamta będzie w ogóle pamiętała, że Molly miała wyjechać. Ponieważ Sal, która w rzeczywistości wcale nie była gruba, jedynie krągła, i tylko wciskała się zwykle w ubrania za małe, a na dodatek przyciągające wzrok, ta Sal była najbardziej luzacką i beztroską osobą, jaką Molly

*Robyn Sisman*

spotkała. A znalazła ją przez ogłoszenie w „Evening Standard” i polubiła od razu, od pierwszej rozmowy, całkowicie pewna, że z tą spokojną, leniwą dziewczyną nie będzie żadnych kłótni o podział obowiązków i wyrzucanie śmieci. Teoretycznie Sal pracowała w bibliotece publicznej (Hura! Bratnia dusza! Miłośniczka literatury!, ucieszyła się Molly), ale praktycznie większość wolnego czasu spędzała rozciągnięta na łóżku, pośród błyszczących kolorowych magazynów, buteleczek z lakierem do paznokci, nadgryzionych czekoladek oraz jaskrawej bielizny, planując przez telefon swoje życie towarzyskie. Molly natomiast skubała przed telewizorem przyniesione z supermarketu sushi, a do łóżka brała kolejną książkę. Prawdopodobnie tak samo będzie i dzisiaj.

Pochyliła głowę i opuściła ramiona. Żadnych bulwarów ozdobionych równymi rzędami drzew, żadnych kafejek, Dzielnicy Łacińskiej, żadnego *Bonsoir, mademoiselle*. Nie był jej pisany dreszcz przygody, nic z tego.

Pociąg zwolnił. Molly zamknęła książkę, aby ją włożyć do bocznej kieszeni walizki. Jeszcze zerknęła na okładkę. Ziarnisty portrecik zasępionej dziewczyny, niewiele młodszej niż ona. I tytuł: „Bon-jour, tristesse”. „Witaj, smutku”\* - rzeczywiście odpowiedni.

Znowu ten sam peron, stare plakaty, zwykła przepychanka do wyjścia, przesiadka i jazda... nie, wcale nie na Pola Elizejskie, ale do Earlsfield. Molly poprawiła pasek torebki na ramieniu, chwyciła rączkę walizki i niechętnie ruszyła w stronę tunelu. Gdy dochodziła do bramki, zapiszczała komórka. Pewnie ktoś zadzwonił, kiedy jechała głęboko pod ziemią, poza zasięgiem sieci, a teraz oddzwaniała sekretarka. Molly wyciągnęła telefon z torebki, włączyła przycisk i z mieszanymi uczuciami odsłuchiwała wiadomość. Trochę się rozczuliła, a trochę zirytowała.

„Witaj, słoneczko, to ja. Podejrzewam, że jesteś już na lotnisku i kazali ci wyłączyć telefon, żeby się jakiś samolot nie rozbił czy coś w tym rodzaju. Zresztą, nieważne. Zadzwoniłam tylko, żeby ci powiedzieć, że bardzo cię kocham i życzę ci przemiłego wyjazdu. Nie chodź tam gdzieś sama nocą, dobrze, kochanie? I pamiętaj, włóż na siebie coś cieplejszego, jeśli będzie chłodno. Październik bywa zdradliwy. Ach, dobrze już, dobrze, ani słowa! Całuję cię najserdeczniej. Zadzwoni, jak będziesz mogła, i powiedz, jak sobie dajesz radę. Alle

\* **Kultowa powieść Françoise Sagan.**

## *Weekend w Paryżu*

14

luja przesyła ci buziaki. Trzymaj się, kochanie! Aha, mówi twoja mama. Pa, pa!"

Molly westchnęła zrezygnowana i skasowała wiadomość. Nie potrafiła zadzwonić do mamy w tej chwili, jeszcze za wcześnie na te wszystkie pytania, słuszne oburzenie, wyrazy współczucia, ciepłe zapewnienia, że trafi się następna okazja wyjazdu, niepokój, że Molly straciła pracę. Świat pod kloszem jest piękny, przytulny i bezpieczny, ale łatwo się tam udusić. Na litość boską, przecież jest dorosła! Najwyższy czas dojrzeć do tego miana. Większość bohaterek literackich w jej wieku miała już za sobą bogate doświadczenia życiowe, miłosne, a niektóre nawet zdążyły wcześniej umrzeć - i to nie dlatego, że zapomniały włożyć coś ciepłego w chłodny wieczór.

Wrzuciła komórkę z powrotem do torebki, wsunęła bilet do automatu przy barierce i ruszyła w stronę schodów. Na górze odruchowo skręciła w prawo, do głównego holu. Oglądając się przez ramię, sprawdziła na tablicy informacyjnej, z którego peronu odchodzi następny pociąg do stacji Earlsfield. Przez tę jedną chwilę nie patrzyła, dokąd idzie - i tyle wystarczyło, żeby na kogoś wpadła. W ułamku sekundy odebrała kilka różnych impulsów: stuknięcie walizek, fala dobrej wody kolońskiej, wdzięczny gest przeprosin i męski głos mówiący: *Desole, mademoiselle\**.

- Nie, nie, nic nie szkodzi, to moja wina.

Przeszła jeszcze z dziesięć kroków, zanim spłynęło na nią olśnienie. Przecież ten facet mówił po francusku. Niósł walizkę. Co oznacza, że właśnie przyjechał z Francji. Z Paryża!

Stała w miejscu jak wmurowana. Po chwili obróciła się i spojrzała do tyłu. Normalnie, wchodząc na dworzec, skręcała w prawo. Tak jak i dzisiaj. Natomiast po lewej stronie znajdował się szczególny znak: logo składające się z trzech równoległych, łagodnie zakrzywionych linii. Na końcu najwyższej widniała pojedyncza gwiazdka, pod nimi jedno słowo: „Eurostar”. Molly widziała ludzi stłoczonych w gładkiej szklanej windzie, którą zjeżdżało się do holu z kasami: dwie dziewczyny uginające się pod ciężarem plecaków, jakiegoś biznesmena z laptopem, parę w średnim wieku z kosztownym bagażem. Winda powoli zniknęła z pola widzenia, a Molly stała jak słup soli pośrodku ludzkiego mrowia, olśniona cudowną myślą.

**\* Przepraszam, bardzo mi przykro.**

*Robyn Sisman*

Serce waliło jej jak młotem, oddech się rwał, fala gorąca sięgnęła policzków.

Miała przy sobie paszport. Miała też kartę kredytową oraz trochę euro. Nikt się jej nie spodziewał przed niedzielą wieczór.

Wolność. Cały weekend szalonej przygody. Jeśli tylko się odważy podjąć decyzję.

Zaraz, chwileczkę, przecież nikogo tam nie zna! Nie wie, gdzie się zatrzymać. A jeśli się zgubi?

Wyprostowała się dumnie. O, nie, nic z tego, żadnych obaw. Przecież nie będzie do końca życia robiła wyłącznie tego, czego spodziewają się po niej inni! Czas na samodzielność! Ma swój rozum i potrafi z niego korzystać. Nie jest „głupią sekretarką”, o nie!

A skoro chciała być podobna do bohaterki powieści, najwyższy czas zacząć się odpowiednio zachowywać!

Mocniej ścisnęła rączkę walizki i ruszyła do windy. Ułożyła sobie proste zdanie, które powtarzała cicho, z coraz większym przekonaniem, więc gdy stanęła przed kasą, rzuciła swobodnie i z całkowitą pewnością:

- Proszę bilet na najbliższy pociąg do Paryża.

## *Rozdział drugi*

Nawet pachniało tutaj inaczej. Zwróciła na to uwagę od razu, kiedy tylko znalazła się na peronie Gare du Nord. To już nie był ten gryzący zaduch londyńskiego dworca, ale coś ostrzejszego, bardziej pikantnego i aromatycznego, obcy zapach, troszkę przerażający, a jednocześnie fantastyczny.

Zegar wskazywał za pięć jedenastą. Oczywiście, przecież we Francji czas jest przesunięty o godzinę do przodu. Miły głos zapowiedział przez megafony przyjazd pociągu: najpierw po angielsku, potem po francusku. Na koniec dorzucił: *Merci pour uotre fidelite*, a wtedy Molly uśmiechnęła się rozanielona. Cudowne słowa! O ileż bardziej ujmujące niż zwykle „Dziękujemy państwu za wybranie linii Southwest Trains”. Francja w ogóle była inna. A ona, Molly, skoro już tu dotarła, także będzie inną osobą.

Z walizką w ręku rozejrzała się dookoła. W górze połyskiwała imponująca konstrukcja ze stali i szkła, nad nią rozciągało się nocne niebo. Pociąg, który przywiózł tu Molly, odpoczywał leniwie przy idealnie czystym peronie, ciągnącym się łukiem chyba w nieskończoność. Ogromny dworzec emanował nieco przebrzmiałą imperialną wyniosłością. Tuż obok niej dwóch maszynistów w rozpiętych mundurach trajkotało o czymś z rozbawieniem. Obaj palili papierosy. I oni także wyglądali zupełnie inaczej niż angielscy kolejarze. Ciemnowłosi, ciemnoocy, swobodni. Pasażerowie ruszyli w długą drogę do hali dworca, więc Molly poszła za nimi, nie chcąc zostać na peronie sama. Podróż z Anglii do Francji okazała się zdumiewająco łatwa. W zalesionym hrabstwie Kent zapadał zmierzch, gdy pociąg mięk-



*Robyn Sisman*

ko zanurzył się w tunel, a pół godziny później, bez żadnych szczególnych fanfar i wiwatów, wychynał nocą na francuskim brzegu. Molly, z nosem przyciśniętym do szyby i dłońmi skulonymi przy skroniach, osłaniając oczy przed światłem, chłonęła płaski krajobraz bezkresnych pól, przez które niczym gigantyczne czarne roboty maszerowały słupy wysokiego napięcia. Od czasu do czasu pojawiały się cętki odległych świateł, gdy mijali jakieś miasteczko. Francuskie miasteczko.

Takie, w którym mieszkali Francuzi, uświadomiła sobie podekscytowana Molly, jadający *ragout* i koninę (biedne konie!),

W pewnej chwili dostrzegła oświetloną reflektorem iglicę kościelnej wieży. Budynek otoczony był drzewami o białych pniach. Westchnęła melancholijnie, przypominając sobie wiersz Wilfreda Owena, w którym poeta pisał o żołnierzach walczących w tej części Francji podczas pierwszej wojny światowej. Z poezji wojennej też miała najwyższą ocenę.

Najbardziej niepokoiła ją kwestia noclegu. Wyszła z założenia, iż znajdzie tu jakąś sympatyczną urzędniczkę mówiącą po angielsku, która jej poleci bezpieczne i niedrogie lokum, toteż gdy tylko dotarła do głównego budynku, rozejrzała się za informacją turystyczną. Przecież na dużym dworcu międzynarodowym powinno się znajdować coś takiego.

Owszem, znajdowało się, jak najbardziej, tyle że od dwóch godzin zamknięte. Na drzwiach wisiała tabliczka z pięknym napisem *Fermé*. Molly wolno przeszła na środek hali, postawiła walizkę i zaczęła się zastanawiać, co dalej. Inni pasażerowie znikali w zastraszającym tempie. Niektórzy witali się z przyjaciółmi lub rodziną, swobodnie wyrzucając z siebie dźwięczne francuskie słowa, i zaraz wtapiali się w noc. Inni taszczyli bagaż w stronę taksówek i autobusów. Najwyraźniej wszyscy wiedzieli, dokąd iść. Raptem dworzec wydał się Molly mroczny i przytłaczający swoim ogromem, a ona sama stała się osobką małą, niepozorną i zagubioną. Jeszcze chwila i zostanie w tym wielkim gmaszysku prawie sama, tylko w towarzystwie pijaczków i jakichś dziwadł podpierających słupy. Od razu przyszła jej na myśl Linda z „Pogoni za miłością” Nancy Mitford, która właśnie na tym dworcu, cała we łzach i bez grosza przy duszy, została uratowana przez boskiego francuskiego księcia. „Widzę bez najmniejszych wątpliwości, iż jesteś kobietą zasługującą na wszelkie starania”, powiedział wzruszony arystokrata. Molly uwielbiała to zdanie. Teraz jednak nie było tu żadnego księcia, przynajmniej na pierwszy rzut

## Weekend w Paryżu

18

oka, natomiast wątpliwej moralności trio tlenionych blondynek, skąpo ubranych, za to mocno umalowanych, przyglądało się jej z rosnącym zainteresowaniem. Jasny gwint! Podniosła walizkę i stanowczym ruchem obciągnęła żakiet biurowego kostiumu. Czas się zbierać, bo jeszcze ją wezmą za konkurencję.

Uciekła na zewnątrz i tu, na widok świateł Paryża, mimo całego niepokoju, natychmiast poczuła czystą, niczym niezmaconą radość. Stała na skraju bruku, przypominającego drobne fale na jeziorze. Opony przejeżdżających samochodów wydawały niesamowity turkoczaco-dudniący dźwięk... przepiękny! Wzdłuż chodnika ciągnął się rząd wysokich kutych latarni, oświetlających fasadę dworca, kolumny, łuki oraz klasyczne rzeźby, postacie w togach i wielkie kamienne litery ułożone w słowo „NORD”. W powietrzu dryfowała słodka woń tytoniu i frytek. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się rząd barwnych napisów: Cafe, Brasserie, Tabac. Gdzieniegdzie wciąż można było wejść, jeszcze nie zamknięto żaluzji. Molly z daleka wyczuwała ożywiony ruch i wszechobecną pogodę ducha. Krew w jej żyłach zaczęła krążyć szybciej, wypełniło ją oczekiwanie niecodziennych zdarzeń tak rozkoszne, że aż bolesne. Przedziwne wrażenie, jakby nostalgia, tylko na odwrót, jak gdyby tęskniło się za emocjonalnym pogłosem czegoś, co jeszcze się nie zaczęło. Ale z całą pewnością czeka tuż za rogiem.

- Taxi? Taxi?

Molly zawirowała na pięcie - stał za nią niewysoki mężczyzna, na oko sądząc, Arab. W służalczym uśmiechu odsłonił imponujący komplet żółtych zębów.

- Taxi? - powtórzył. Jedną dłonią wskazywał jakiś nie do końca określony kierunek w mroku, drugą kościstą ręką już sięgał po walizkę.

- *Non!* - Molly pierwsza chwyciła bagaż, odsunęła się o krok.

- Em... *Merci beaucoup*\*. - Zadarła wysoko brodę i wróciła do budynku stacji, dokładając wszelkich starań, by wyglądać jak ktoś, kto nie potrzebuje taksówki, choć nie dlatego, że go na nią nie ma. Owszem, docenia starania i dobre chęci, ma jednak inne, znacznie ciekawsze plany. Pytanie tylko jakie.

Dworzec ział pustką jeszcze bardziej niż przed chwilą. Z trzech blondynek zostały dwie. Ktoś podśpiewywał cicho, topiąc nuty w oparach alkoholu. Molly szła zwawym krokiem, starając się opa-

\* Dziękuję bardzo.

*Robyn Sisman*

nować panikę. W pociągu znalazła na mapie okolicę, gdzie skupiały się niedrogie hoteliki wymienione w przewodniku, zaledwie kilka przystanków metra od Gare du Nord, ale denerwowała się, że musi szukać noclegu sama i to nocą. A jeśli w hotelach nie będzie miejsca? Tak czy inaczej, teraz już nie miała wyboru. Rzuciła w bok nieco spłoszone spojrzenie, zerknęła w drugą stronę. Boże, gdzie to metro...?

I nagle, jak za sprawą cudu, tuż przed nią, nad schodami prowadzącymi pod ziemię, objawił się charakterystyczny biało-niebieski znak. Ruszyła uradowana, w biegu stukając obcasami o stopnie. Wszystko będzie dobrze. Wsiądzie do właściwego pociągu. Miała przecież swój rozum, może nie? I właśnie nadszedł czas, by z niego skorzystać. Szybko się okazało, że paryski system kolei podziemnych jest równie przejrzysty i nieskomplikowany jak londyński. Wystarczyło zdecydować, jaka linia metra jest właściwa, ustalić, w którą należy jechać stronę, wrzucić drobne do automatu, który ze stukotem wypluł resztę oraz bilet - maleństwo wielkości jednej czwartej londyńskiego - i włożyć go do innego automatu, by odblokować karuzelę w przejściu. Potem należało przemieścić się jeszcze niżej dość irytującymi tunelami odpowiadającymi na każdy dźwięk dalekim echem. Molly doszła do wniosku, że jest na tej samej głębokości, co w Londynie.

Aby pozostać w zgodzie z prawdą, trzeba przyznać, iż pierwszym widokiem, który się przed nią odsłonił, gdy wyszła na peron, był jakiś, co tu dużo mówić, obszcymurek. Zbrojna w londyńskie doświadczenie, dzielnie odwróciła wzrok i kawałek dalej ulokowała się obok jakichś normalnie wyglądających ludzi, na przedziwnym plastikowym siedzisku obłożonym płytkami ceramicznymi.

Przyjrzała się billboardom wiszącym po drugiej stronie torów. Natychmiast uderzył ją pewien istotny szczegół: niezależnie od tego, czy tablice reklamowały proszek do prania, odżywkę do włosów czy ciuchy, pierwszym elementem rzucającym się w oczy była obfitość nagiego kobiecego ciała. I nie traktowano go jako akcentu prowokacyjnego, lecz stanowiło całkowicie naturalny element. Bardzo francuskie podejście do sprawy. Molly poczuła się prawdziwie oswobodzona. Przeniknął ją dreszcz rozkoszy.

*Je suis dans Paris\**. Hm... *en Paris? a Paris?* E, wszystko jedno!

\* **Jestem w Paryżu.**

## *Weekend w Paryżu*

20

Pociąg zjawił się nadszpiewanie szybko - i cicho - mknąc na gumowych kołach. Był czysty i sprawiał wrażenie bezpiecznego. Błyszczał lśniąca bielą oraz miętową zielenią. Molly utknęła na chwilę przy drzwiach, bo nie wiedziała, co zrobić z dziwną klamką ale na szczęście ktoś jej pomógł. Przepelniona wdzięcznością, weszła do wagonu i usiadła. Rozejrzała się wokół z nieskrywaną ciekawością. Tylko na końcach siedzenia ustawiono tak jak w londyńskim metrze - oparciami do ścian. Wszystkie pozostałe skierowane były do przodu lub do tyłu. I bardzo dobrze, bo dzięki temu nie rzucała się w oczy, kiedy z zainteresowaniem obserwowała innych pasażerów. Większość stanowiły grupki młodych ludzi, wyraźnie przyjaźnie nastawionych, o karnacjach we wszystkich odcieniach bieli, brązu i czerni. Tak samo jak w Londynie. Całkowicie uspokojona rozłożyła mapę i zaczęła przyglądać się drodze od stacji metra do ulicy, do której chciała dotrzeć.

Plac Republiki, wielki i ponury, błyskał ostrym światłem sygnalizacji drogowej i reflektorami pędzących samochodów. Na środku wznosiła się dumnie jakaś kamienna postać, a szerokie proste ulice bieging promieniście we wszystkie strony świata. Pieszycy było niewielu, ot kilka snujących się cieni. Molly zadrzała. Czyżby popełniła straszliwą omyłkę? Może jutrzejsza prasa doniesie: „Znaleziono ciało młodej Angielki”? Ruszyła wokół placu, zerkając na tabliczki z nazwami ulic. O, jest, rue du Faubourg du Tempie. Co to właściwie znaczyło faubourg"? Zeszła z krawężnika, ale nim zrobiła dwa kroki na przejściu dla pieszych, oślepiły ją reflektory i ogłuszył klakson. Koła o włos minęły jej stopy. Pisnęła ze strachu, odskakując do tyłu Skąd się wziął ten samochód?! Następny! Znowu nie wiadomo skąd! Pasażer krzyczał coś pod jej adresem, stukając się palcem w skroń. No tak! Oczywiście. Ruch prawostronny. Wychodząc na jezdnię, spojrziała nie w tę stronę. Trzeba bardziej uważać. W przeciwnym razie prasa doniesie: „Tragiczny wypadek drogowy. Angielskie miasteczko Minster Episcopi pogrążone w żałobie”.

Walizka zaczęła jej ciążyć, jakby mieściła się w mej kompletnej Encyklopedia Britannica. Molly co kilka minut zmieniała rękę, machając bolącą dłonią. W pewnej chwili minęła ją hałaśliwa grupka wyrostków.

- *Sprechen sie Deutsch?* - wrzasnął któryś. Molly przyśpieszyła kroku. W końcu dotarła do przeciwległego chodnika i znalazła się na długiej, nijakiej ulicy, oświetlonej tylko niezbyt pięknymi hotelowymi neonami.

*Robyn Sisman*

„Nie sądź hotelu po frontonie”, radził przewodnik i, szczerze mówiąc, było jej już dość obojętne, gdzie wyląduje, pod warunkiem żeby mogła paść wreszcie na jakieś łóżko i przestać się martwić. Brud i nędza nie zniechęciły George'a Orwella, prawda?

Pierwszy hotel był zamknięty. Dzwonek ściągnął wreszcie do drzwi jakiegoś staruszka w rozkładanych bamboszach. Od niego usłyszała pierwsze prawdziwie francuskie, skierowane do niej słowo. „*Complet*” oznaczało komplet. Brak miejsc. Staruszkowi było ogromnie przykro, ale nie potrafił jej pomóc. Elegancko życzył Molly dobrej nocy, a następnie stanowczym gestem zamknął jej drzwi przed nosem.

W drugim i trzecim hotelu - to samo. Czwarty był otwarty, więc Molly poczuła nieśmiałą nadzieję, zwłaszcza gdy ujrzała śpiącego na parapecie rudego kocura. Śmiesznie wyglądał z pyszczkiem ozdobionym koronkową firanką. Skoro właściciel hotelu miał kota, musiał być miłym człowiekiem. Zaczerpnęła głęboko powietrza i przez nieduży hol podeszła do wysokiej lady recepcji.

Za kontuarem siedział łysy mężczyzna, oglądając telewizję. Musiała powtórzyć pytanie dwa razy, zanim ją usłyszał. Pocmokał chwilę niezdecydowany i wreszcie oświadczył, że musi spytać żonę. Zniknął za drzwiami z tabliczką „*Prive*” i wkrótce pojawił się na nowo, tym razem z kobietą około sześćdziesiątki. Pulchna gospodyni szła, klapiąc sandałami, ubrana była w workowatą sukienkę w kwiecisty wzór, która nie do końca zakrywała poznaczone żyłakami nogi nad pończochami uciskowymi. Rozmowa między tymi dwojgiem potoczyła się w takim tempie, że Molly nic nie rozumiała. Domyślała się jedynie z tonu głosu, że na każde zdanie męża kobieta odpowiadała jakby pogardliwie, choć z drugiej strony ten ton zdawał się wypływać bardziej z nawyku niż ze złośliwości. A może tak właśnie brzmi prawdziwy język francuski? W końcu gospodyni zwróciła się do Molly. Owszem, był jeden wolny pokój, na samej górze. Ze wspólną *la salle de bain*\* i *la toilette*\*\* . Cena wynosi pięćdziesiąt euro za noc, płatne z góry, śniadanie niewliczone. I co *mademoiselle* na to?

Mademoiselle uśmiechnęła się z niekłamaną ulgą. Nie, nie trzeba jej pokazywać pokoju, już się zdecydowała. Bierze. Wówczas rozpoczęła się ceremonia sprawdzania paszportu, wypełniania formu-

\* Łazienką. \*\* Toaletą.

## *Weekend w Paryżu*

22

larza meldunkowego, płacenia i wypisywania rachunku, uśmiechów i kiwania głowami, a wszystko to odbywało się z godną podziwu precyzją i galanterią, wsparte tyłoma *merci, mademoiselle\* oraz je vous en prie\*\**, że Molly chwilami już czuła się tym przytłoczona. W końcu jednak dostała do ręki upragniony klucz, pobrzękujący o przyczepioną do niego metalową płytkę z numerem pokoju, i wolno ruszyła w górę najstarszą na świecie, najmniejszą i najbardziej kruchą windą, jaką w życiu jechała.

Na samej górze, otworzywszy składaną w harmonijkę kratę, stanęła na końcu długiego korytarza z mnóstwem drzwi. Czuć tu było pleśnią. Pomaszerowała przed siebie, sprawdzając po drodze numery pokoi. Pod stopami skrzypiały jej deski pokryte wykładziną, cienką i brązową jak karton. Poza tym panowała cisza. Pewnie wszyscy już spali. Znalazła swój pokój, otworzyła drzwi i włączyła światło. Całkiem niezłe. Duże, podwójne łóżko z błyszczącą kwiecistą narzutą, szafa i półka z taniego drewna pociągniętego bezbarwnym lakierem, szafka nocna z żółtą plastikową popielniczką, reklamówką pernodu. Postawiła walizkę tam, gdzie stała, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Cudownie! Miała widok na ulicę, po przeciwnej stronie ciągnął się rząd stromych dachów oznaczonych oknami najróżniejszych kształtów: łukowatymi, trójkątnymi, owalnymi jak jajka. Przekręciła klamkę, otworzyła okno na oścież i wychyliła się jak najdalej. Dobiegło ją dudnienie odległej muzyki, a po chwili usłyszała warkot motoru pędzącego ulicą. Powietrze pachniało słodyczą. Na niebie błyszczały gwiazdy.

Była w Paryżu. Naprawdę. Dotarła tu sama. Westchnęła zadowolona i odwróciła się od okna. Zsunęła pantofle i opadła na łóżko. Na suficie wilgoć wyrysowała kontynenty fantazyjnego świata w kolorze sepia. Nareszcie Molly mogła odpocząć po przydługim spacerze z duszą na ramieniu. Ale też jednocześnie była dziwnie ożywiona. Gdyby tylko zebrała się na odwagę, wyszła-by dokądś i coś zrobiła. Tylko dokąd? I po co? I z kim? Wyobraziła sobie, że siedzi w jednej z tych obwieszonych lustrami kafejek. Przed nią stoi filiżanka kawy... nie, nie, raczej coś bardziej wyrafinowanego, może jakiś koktajl. Tak, niech będzie koktajl. Na przykład martini, ale takie prawdziwe, a nie gotowy drink z butelki.

**\* Dziękuję pani.**

**\*\* Proszę bardzo.**

*Robyn Sisman*

- Wytrawne - powiedziałyby barmanowi z chłodną pewnością siebie. - Z oliwką.

*Un olive czy une olive?* Jasny gwint... Dobra, mniejsza o oliwkę. Tak więc oto siedzi pogrążona w lekturze. Och, nie czyta przewodnika po Paryżu. Koniecznie coś uznawanego i cenionego na całym świecie... niech będzie „Wojna i pokój”. Na zadrukowane stronicie pada cień.

- Ach, Tołstoj. Jak to miło spotkać kobietę równie piękną, jak inteligentną.

Zaskoczona podniesie oczy i napotka spojrzenie najprzystojniejszego Francuza na świecie. Pogrążą się w interesującej polemice, do późna w nocy będą dyskutować o literaturze i życiu, patrzeć sobie w oczy nad kawiarnianym stolikiem, obojętni na trywialne rozmowy otaczającego ich *beau monde*, aż nadejdzie czas, by wsiąść do jego sportowego kabrioletu i popędzić bulwarami. Wiatr będzie jej rozwiewał włosy...

Zerwała się na równe nogi. Co za bzdury! Powachlowała rozpalone policzki, odpędzając nierealne marzenia.

Przeniosła walizkę na łóżko, opanowanym ruchem rozpięła suwak. Owszem, Paryż może rzeczywiście jest najromantyczniejszym miastem na świecie, ale to jeszcze nie oznacza, że koniecznie trzeba się zakochać, by móc się nim cieszyć. O nie, to byłoby zbyt płaskie. Istniały przecież romantyczne przygody umysłu, na przykład zainspirowane pięknem tego miasta i... no... jego historią.

Wyjęła kosmetyczkę i pidżamę. Jutro nadejdzie czas Luwru i katedry Notre Dame, wieży Eiffla i kościoła Sacre Coeur. I bardzo dobrze, że będzie zwiedzała te zabytki sama. Nie wszyscy znają się na kulturze. Są tacy, co jeżdżą za granicę, żeby się upijać egzotycznymi drinkami i nurzać w rozpuście. Więc stanowczo lepiej nie mieć towarzystwa, niż znaleźć niewłaściwe.

A poza tym - miała towarzystwo. Powiesiła w szafie tyle ubrań, ile się zmieściło na trzech wieszakach, resztę rzuciła na półkę, aż w walizce zostały tylko buty i Bertie. Wyciągnęła go za ogonek, przyglądziła wyświechtane borsucze futerko. Szklane oczka błysnęły odrobinę zuchwale. Stary dobry Bertie. Byli razem, odkąd skończyła trzy lata.

Pewnego świątecznego wieczoru spojrzał na nią ciekawie z bożonarodzeniowej skarpety. W miejscu, gdzie zdarzyła mu się niemiła przygoda z klejem błyskawicznym, została łysa pręga, a ucho klapnęło, bo zostało przeżute przez Alleluję, za jej szczenięcych czasów, ale i tak Bertie był najlepszy do wszystkiego. Molly

*Weekend w Paryżu*

31

szlochała w jego miękkie futerko, uczyła go akrobatycznych sztuczek, robiła na nim doświadczenia, zabierała go na wakacje i na noc do przyjaciółki, razem byli w college'u, choć tam niekiedy chowała go w szufladzie. Zastępował jej rodzeństwo, którego nie miała. Znał wszystkie jej tajemnice.

Ucałowała wytarty nosek i ułożyła maskotkę na poduszce.

Czas do łóżka. Niebieska bawełniana pidżama już gotowa. Okropnie angielska: porządna, jak dla uczennicy, nudna.

Lekki wietrzyk poruszył zasłoną; Molly usłyszała stukanie wysokich obcasów i piskliwy chichot.

- *Mais arrêtes, toi!*\*

Francuzki pewnie śpią w jedwabnych fatałaszkiach albo nago... Położyła dłonie na piersiach, pełnych, miękkich i ciepłych. Łup! Łup!

Serce podeszło jej do gardła. Ktoś walił w drzwi.

\* **No przestań!**



### *Rozdział trzeci*

***Kto*** to taki?

- Ej, to ja! - zawołał żeński głos po angielsku.

Nie знаła tego głosu. Wyrzała ostrożnie. Za drzwiami stała wysoka dziewczyna w dżinsowym żakiecie. Wyraźnie zdziwiona.

- Co ty tu robisz?

- Mieszkam. A ty?

- Gdzie Janinę?

- Jaka Janinę?

- Nie ma jej?

- Może pomyliłaś pokoje?

- Wyprowadziła się?

- Na to wygląda, bo ja się wprowadziłam.

- No dobrze, to gdzie ona jest? Gdzie jej bambetle? - Tamta pchnęła drzwi i zajrzała do środka.

Biła od niej taka energia i pewność siebie, że Molly automatycznie ustąpiła. Miała tylko nadzieję, że to nie jest żadna podpucha. Na wszelki wypadek jedną rękę cały czas trzymała na klamce. Dziewczyna wmaszerowała dziarskim krokiem, stanęła na środku pokoju i wsparła ręce na biodrach, wystających z niebezpiecznie płytkich dżinsowych biodrówek. Srebrne kolczyki w uszach oraz króciutko przycięte włosy, tak czarne, że z pewnością farbowane, nadawały jej urwisowaty wygląd. Omiotła jednym spojrzeniem skromny dobytek Molly i przestąpiła z nogi na nogę.

- Jasna cholera! - syknęła.

- Co się stało?

- Mogę zajrzeć do szafy?

## *Weekend w Paryżu*

33

- Do sza...

Dziewczyna nie czekała na odpowiedź. Już oglądała zawartość szafy.

Molly stanęła jej za plecami.

- Czego szukasz?

Brunetka mruknęła coś i zajrzała pod zapasową pościel.

Mózg Molly pracował na przyspieszonych obrotach. Czyżby słowo „bambetle” oznaczało tutaj narkotyki? Może w tym pokoju przechowywano coś nielegalnego? Zostanie aresztowana... będzie przesłuchiwana... po francusku...!

Wyląduje w więzieniu, w towarzystwie lesbijek i szalonych kobiet o rozbieganych oczach. Nikt jej nie odnajdzie...

- Czego szukasz? - spytała ponownie. Dziewczyna ukłękła i zajrzała pod łóżko.

O Boże, a jeśli Janinę była właśnie tam... w postaci trupa? Molly wyobraziła sobie, jak siedzi na ławie oskarżonych, oko w oko z nieprzejechanymi francuskimi sędziami.

- *Mais je suis innocentel\** i już nigdy w życiu nie zobaczy Allelui! A mama umrze z rozpacz.

Po kilku sekundach długich jak wieczność dziewczyna urwis wstała i brzęcząc bransoletkami, otrzepała dłonie. Była wyraźnie zde gustowana.

- Normalnie ciężko uwierzyć.

- W co?! - Molly już czuła na szyi muśnięcie ostrza gilotyny.

- Dała nogę z moimi rolkami!

- Łyżwo... rolkami? - upewniła się Molly słabo.

- No właśnie. Najgorsze, że one tak naprawdę to nie są moje. W zasadzie tak jakby pożyczyłam je z pracy. Teraz będę musiała wybulić kupę szmalu za nowe. A z sianem krótko.

I to wszystko? Tylko tyle? Molly czuła, jak zaczyna w niej narastać chichot. Co za ulga! Teraz, kiedy przestała się bać i zaczęła myśleć, stało się jasne, że brunetka to nie żadna wariatka ani oszustka, tylko zwykła dziewczyna, może z pięć lat starsza od niej, o bezpośrednim sposobie bycia i z dziwacznym akcentem.

- Bardzo mi przykro - odezwała się, mając na myśli w równym stopniu zaginione rolki, jak i własne upiorne przewidywania. - Daj spokój, mała, przecież to nie twoja wina. Niech mi tylko

**\* Jestem niewinna!**

*Robyn Sisman*

ktoś wytłumaczy, jak ona mogła to zrobić?! Miałyśmy dzisiaj iść na imprezę. Kochana Janinę, nie ma co! Szlag by ją... No tak, pochodzi z Sydney - dodała ponuro, jakby to wszystko wyjaśniało. - A ty skąd jesteś?

- Spod Melbourne, oczywiście.

Molly tylko pokiwała głową. O ile dobrze pamiętała mapę Australii, oba miasta znajdowały się mniej więcej w odległości centymetra, lecz jeśli chodzi o kwestie obyczajowe, najwyraźniej dzieliła je przepaść.

Australijka westchnęła ciężko.

- Jestem strasznie łatwowierna. - Przewróciła oczami i wykrzywiła się komicznie. - Możesz mi spokojnie nawrzucać od frajerek.

- Frajerka z ciebie - zgodnie oświadczyła Molly z szerokim uśmiechem.

Brunetka roześmiała się głośno.

- Serdeczne dzięki! Mam na imię Alicia. - W jej ustach imię brzmiało „Ej-li-szja”, ciężkie i gęste jak camembert spływający z talerza. - Mieszkałam tu dwa tygodnie, jak tylko przyjechałam. Teraz mam metę na łodzi. Paryż jest super, co nie? - Właściwie... nie wiem. Dopiero co przyjechałam. Jestem tu pierwszy raz.

- Żartujesz!

- Szczerze mówiąc, nigdy dotąd nie byłam poza Anglią.

Alicia ze śmiechu przewróciła się na łóżko. Gdy na nie padła, Bertie wywinął salto na poduszce, a potem stoczył się w dółek na materacu, tuż za plecami gościa. Zawstydzona Molly przygryzła wargi. Miała ogromną nadzieję, że Australijka go nie zauważy. Raptem zdała sobie sprawę, jak ogromna przepaść dzieli tę silną dziewczynę, która przebyła pół świata i umiała jeździć na rolkach, oraz ją - szarą myszkę w biurowym mundurku, z pluszakiem do towarzystwa. - Rzuciłam dzisiaj pracę - oznajmiła pewnym siebie tonem

- i pomyślałam: a co tam, skoczę sobie na weekend do Paryża.

- No i bardzo dobrze! - odrzekła Alicja. - Niech żyje wolność! To moja dewiza. Jadę, gdzie chcę, robię, co mi się podoba, jestem taka, jak mam ochotę.

- Jasne! - zgodziła się Molly ochoczo. - Dlatego tu jestem. Chcę trochę spróbować życia. Zaszaleć.

- No i co zaplanowałaś?

- Jutro zamierzam wybrać się do Luwru...

## *Weekend w Paryżu*

28

Alicja prychnęła niecierpliwie.

- Ja cię pytam o dzisiaj. Teraz.

- W nocy? - Molly trochę spuściła z tonu. Bezwolnie zwróciła wzrok na żalną kompozycję utworzoną przez pidżamę oraz kosmetyczkę w nogach łóżka. Alicia podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

- E no coś ty! Wyglupiasz się? - Dłuższą chwilę przyglądała się Molly z namysłem, jakby oceniając jej przydatność do wykonania bliżej niesprecyzowanego zadania. Wreszcie uderzyła dłońmi o uda i zerwała się z łóżka. - Idziemy - zarządziła. - Ale... jak to?

- Skoro Janinę mnie wystawiła, zabieram ciebie.

- Dokąd mnie zabierzesz?

- Wskakuj w jakieś buty.

- Ale...

- Łap żakiet. . Serce Molly wywinęło kozła z radości. Wychodzą! Idą w Paryż!

Dokąd pójda? Co się zdarzy? Co to właściwie za dziewczyna?

Tak czy inaczej, stopy jakoś same znalazły się w butach, żakiet ześlizgnął się z wieszaka i wpadł w dłonie Molly.

Australijka już stała w drzwiach, z ręką na klamce. - Dużo masz grosiwa?

- Trochę. - Molly roześmiała się uszczęśliwiona. - Ale... Alicia gwałtownie obróciła się do niej, uniosła w górę wskazujący palec. - Żadnych „ale”! - Spojrzała na Molly z mocą. - To twoja pierwsza noc w Paryżu, zgadza się?

- Tak. - Przyjechałaś tylko na weekend, zgadza się? - Tak.

- Chcesz się wbić w pidżamkę i iść do łóżeczka?

- Nie'

- No to szafa gra. - Pokazała w uśmiechu zęby po ósemki.

-Jazda!

I po chwili wyszły w rozgwieżdżoną noc, ruszyły między cichymi domami o zamkniętych okiennicach, wzdłuż samochodów zaparkowanych zderzak w zderzak pod kutymi w żelazie balkonami. Powietrze było ciepłe i łagodne jak latem. Molly wychwytywała waniliowo słodkie smugi dymu tytoniowego, kwaśną woń moczu, ciężki zapach tłuszczu z baru naleśnikowego. Gdzie tylko spojrzała,

widziała drzewa, zatłoczone kafejki pod parasolami i markizami rozsiewające blask kolorowych świateł. I zewsząd dobiegał gwar słów wypowiedzianych po francusku.

Szły do mieszkania jakiejś dziewczyny imieniem Zabi. Alicia pracowała na część etatu w jej butik, sprzedając oryginalne ciuchy - mieszaninę stylu retro oraz autorskich projektów właścicielki. Zarabiała na życie na wiele sposobów: wyprowadzała psy, opiekowała się dziećmi, była kelnerką w barze, a także uczyła jazdy na rolkach - chwyciła się najróżniejszych zajęć, by utrzymać się w Paryżu, jej zdaniem najfajniejszym mieście w Europie.

- Dużo podróżowałaś? - spytała Molly z ukłuciem zazdrości.

- Nooo! Holandia, Belgia, Luksemburg, Niemcy, cała wschodnia Europa, Włochy, wyspy greckie, Gelibolu, na tym kontynencie byłam właściwie wszędzie.

- O rany! - Molly aż pokręciła głową. Ileż cudów musiała się na-ogłądać Alicia! Kaplica Sykstyńska, Rijksmuseum, Praga, Wenecja Akropol...! - Co widziałaś w Luksemburgu?

- Nie pamiętam! Wybrałam się tam z jakąś kretyńską wycieczką autokarową, dopiero co trafiłam wtedy do Europy. Pamiętam tylko że w schronisku pogryzły mnie pluskwy i głównie się drapałam.

- A Gelibolu? Gdzie to właściwie jest?

- No coś ty, Molly, przecież to kawał historii! Nie kto inny, tylko wy, Brytyjczycy, posłaliście tam na śmierć tysiące australijskich żołnierzy. W czasie pierwszej wojny światowej. Gibsona pamiętasz?

- Nie jest aż taki stary!

- No coś ty, przecież on tam nie walczył, tylko grał w filmie o tej kampanii.

- A, racja. - Najwyraźniej jej szare komórki także zrobiły sobie we Francji wolne.

E tam, wszystko jedno. Dzięki Alicii miasto przestało ją onieśmielać, a każdy nieznany widok budził rozkoszny dreszcz. Głowę miała lekką, myśli swobodne, mogła tak iść do końca życia. Skręciły na szeroki bulwar, po którym beztrąsko mknęły auta. Tit tit! Brrrum! Brrrum! A obok chodnika drzewa maszerowały niczym wojsko na paradzie. Każdy pień otulony był kutym płótkiem o fantazyjnym wzorze. Uliczne lampy bujały się między liśćmi jak białe balony. Na niewielkim skwerku rozkwitała srebrna fontanna. Hałaśliwe kawiarenki wychodziły na trotuary. Molly dostrzegła jeden z niezliczonych, tak charakterystycznych dla Paryża słupów, które wdzierają się prawie na każde zdjęcie: podobny do wieżyczki mina-

## Weekend w Paryżu

30

retu, teraz, nocą miał kolor sosnowego lasu, zdobiły go lwie łby, a zwieńczony był kopułą w kształcie cebuli. Jedyną rolą tego akcentu architektonicznego wydawało się eksponowanie plakatów. „Le Figaro”, „Paris-Match”, Comedie Francaise. Roześmiała się głośno.

- Co jest? - zaciekała się Alicia.

-Cieszę się, że tu jestem. Czuję się trochę jak Miranda z „Burzy”. – Kto?

- „O, nowy, wspaniały świat, w którym żyją tacy ludzie! - wyrecytowała Molly drżącym głosem. - Tę samą frazę wykorzystał Aldous Huxley jako tytuł swojej powieści, ale oczywiście zastosował ją ironicznie.

Alicia zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem.

- A ty co, z gatunku moli książkowych?

- Nie, nie. - Molly nie lubiła się przechwalać. - Szekspira każdy

zna... . .

- W Tullamarine, o ile mi wiadomo, raczej nie - odparła nowa znajoma i dorzuciła lekkim tonem: - Niespecjalnie mnie interesuje cała ta literatura i inne komplikacje kulturowe.

Molly, choć oczy miała jak spodki, nie powiedziała nic. Tullamarine. Pewnie tam Alicia przyszła na świat. To na pewno jakieś cudowne miejsce, takie romantyczne brzmienie... Wyobraziła sobie niewielkie, lekko przykurzone miasteczko, drewnianą konstrukcję podtrzymującą zbiornik wodny, na tle błękitnego nieba bez jednej chmurki ujrzała sylwetkę psa o sierści żółtej jak słoma. Pewnie nawet nie mieli biblioteki! Poprosi Alicię, żeby jej opowiedziała o swoim rodzinnym miasteczku. Ale nie teraz. Teraz jest za dużo do oglądania.

Skręciły z bulwaru, zagubiły się w labiryncie bocznych uliczek z mnóstwem barów i przytulnych restauracyjek, z których kipiała muzyka latynoska.

Kto jeszcze będzie u Zabi? Czy wyłącznie ludzie nieziemsko inteligentni i wyrafinowani? Czyjej szóstkowy, ale szkolny francuski wystarczy, by włączyć się w prawdziwą rozmowę? *Bonsoir. Je m'ap-pelle Molly. Je suis officier de marketing*\*\*.

A jeśli będą wciągali kokainę? Albo dyskutowali o Balzaku? Albo jedno i drugie?

Rzuciła

\* William Szekspir, „Burza”, akt V, scena I, przeł. Stanisław Barańczak, wyd. Znak, Kraków 1999.

\*\* Dobry wieczór. Nazywam się Molly. Jestem specjalistką do spraw marketingu.

*Robyn Sisman*

ukradkowe spojrzenie na dziewczynę, która szła dumnie, z podniesioną wysoko głową, stawiając długie kroki niczym królowa wojowniczego plemienia. Molly wyprostowała się, próbując naśladować beztronską pewność siebie Australijki.

- Uważaj na psie niespodzianki - ostrzegła ją Alicia i w ostatniej chwili pociągnęła za łokieć.

Uliczki zwężyły się i pociemniały, tłum zniknął. Molly kątem oka wychwytywała a to jakieś na wpół ukryte schody, a to kamienne, łukowato sklepione przejście, ozdobione jak słodkie pieczywo. Echo ich kroków biegło między ścianami zarośniętymi dzikim winem, przywodząc na myśl czasy rewolucji francuskiej i szpiegów, którzy na pewno gdzieś tutaj przemykali się chyłkiem. Gdyby nie to, że od czasu do czasu dostrzegała jakiś zaparkowany samochód albo rzadki błysk elektrycznego światła, równie dobrze mogłaby być Lady Clearwater, pomagającą Stowarzyszeniu Szkarłatnego Pimpernela przemycać arystokratów do Anglii albo obywatelką Clearwater, z trójkolorową kokardą i z nożem w zębach, szykującą się do szturm na Bastylię.

- No, jesteśmy na miejscu. - Alicia zatrzymała się w cieniu łukowatego sklepienia. Na końcu dość długiego przejścia Molly dostrzegła romantycznie zaniedbane podwórze. Na bruku stały rowery, bokiem przemknął kot. Światło z odsłoniętego okna sączyło się przez liście drzewa, pod którym dwóch Murzynów siedziało na rozchwierutanych kuchennych stołkach i paliło papierosy. - Wypijemy drinka, sprawdzimy, kto tam dziś jest - zarządziła nowa znajoma. - A potem się zobaczy. Albo zostaniemy, albo gdzieś się przeniesiemy. Polubisz Zabi. Kompletna wariatka. W murze porośniętym dzikim winem znalazły wąskie drzwi. Za nimi wznosiły się strome schody. Molly chłodziła dłoń o żelazną poręcz, z rozkoszą wdychając zapach wilgotnego tynku, napawała się przygłuszonym szumem wody w rurach. Po chwili usłyszała dźwięki pościelowego jazzu i gwar głosów, przerywany od czasu do czasu wybuchem śmiechu. Na najwyższym piętrze stanęły przed drzwiami pokrytymi gęsto graffiti.

- To jej wersja księgi gości - wyjaśniła Alicia, stukając głośno. - Ja jestem tutaj. - Wskazała jeden z niższych drewnianych kwadratów, gdzie jej imię lśniło cytrynowozielonym neonem z pomarańczowymi gwiazdkami w miejscu kropek. - Zabi twierdzi, że to sztuka interaktywna i któregoś dnia ta kompozycja będzie warta ciężkie pieniądze.

Molly zastanawiała się akurat, jak bardzo zwariowana jest ta wariatka Zabi, gdy ktoś otworzył z rozmachem drzwi i w progu stanęła przepiękna dziewczyna. Spod białej koronkowej spódnicy prześwitywały czarne kabaretki. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, włosy gładkie i błyszczące, obcięte na chłopaka i postawione w sztywny grzebień. Na skrzydełku nosa błyszczał malutki kolczyk i w ogóle wyglądała jak niesforna wróżka.

- Alicia! - zawołała. - *Salut\** - Najpierw wyrzuciła ręce wysoko w górę, potem przyciągnęła Australijkę do siebie i ucałowała z dubeltówki w oba policzki. - Kogo przyprowadziłaś? - Obrzuciła Molly przenikliwym spojrzeniem. Choć było ono pozbawione jakiegokolwiek wrogości, niczym laser zarejestrowało każdy milimetr jej ciała i stroju. Oceniała przybyłą z wprawą doświadczonego fachowca. Zanim Molly zdążyła wydusić z siebie choćby drżące *bonsoir*, Zabi mocno uściśniła jej dłoń i wprowadziła obie do środka.

Alicia pokrótce opowiedziała historię zaginionych rolek potwornie zgrzytliwym, ale jednocześnie imponująco płynnym francuskim, najeżonym fatalnie wymawianymi galijskimi samogłoskami. Pomagając sobie gestykulacją, barwnie opisała zniknięcie rolek, razem z tą *mechante\*\** Janinę. Zabi była wstrząśnięta takim *horreur*. A Molly stała między mmi i rozglądała się wokół z ciekawością. W niewielkim pokoju było tłoczno. Gdziekolwiek spojrzała, ktoś palił papierosa. Każdy z obecnych wyrzucał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego w języku niemającym nic wspólnego z tym, którego uczyła się w szkole. Na gzymsie kominka stała wypchana sowa, z sufitu zwisał metalowy skorpion. Jedną ścianę, prawie całą, zajmował ogromny plakat reklamujący koncert Johnny'ego Hallydaya... w roku 2000. Czyżby Johnny jednak nie umarł w sześćdziesiątym trzecim?

Zabi głośno poprosiła kogoś o drinki. Zanim się pojawiły, wokół przybyłych skupiła się już spora grupka, słuchająca dramatycznej historii łyżworolek. Kolejne osoby ścisnęły dłoń Molly: najpierw dwie podrygujące dziewczyny o melodyjnych głosach, później Murzyn, tak elegancki i przystojny, że bezwiednie się na niego zagapiła, jakaś Hiszpanka imieniem Kiki, projektantka butów, dla których podobno warto było umrzeć, a w końcu starszy mężczyzna, którego Zabi przedstawiła jako swojego guru, ubrany od stóp do głów na biało i promieniejący wewnętrznym blaskiem.

\* **Cześć!**

\*\* **Niegodziwa, podia.**



*Robyn Sisman*

- Uwielbiam blondynki - wyznał Molly, gładząc jej włosy.

- Piwo czy wino? - zapytał ktoś nad jej uchem.

Od Francuza z końskim ogonem wzięła kieliszek czerwonego wina. Przedstawił jej się jako Didier, sprzedawca genetycznie zmodyfikowanych warzyw.

- To interesujące - odrzekła grzecznie.

I tak zaczęła się rozmowa: pochodziła z Anglii, prawda? Didier potrafił to ocenić po akcencie. Miał nadzieję, że jej biedny kraj wyjdzie nareszcie z tego strasznego kryzysu. Czy nadal jest tak źle?

- Nie aż tak - odparła Molly z rezerwą, nie mając pojęcia, o czym mowa. Pociągnęła łyk wina.

Bo Didier, ze swojej strony, całkowicie nie potrafił sobie wyobrazić życia w kraju pełnym głupich krów.

- Co ty powiesz! - najeżyła się Molly.

Całe szczęście, że Francja podjęła odpowiednie kroki, by nie wpuścić ani jednej angielskiej głupiej krowy.

- Ja jednak tu przyjechałam - oznajmiła Molly - i nie jestem głupia.

- Nie wyzywaj się na człowieku - zabrzmiał tuż obok głos Alicii. - Przecież jemu chodzi o chorobę wściekłych krów, *vache folie*. Molly zasłoniła usta dłonią, tłumiąc śmiech. Na szczęście jej rozmówca uznał tę odpowiedź za typowy przejaw słynnego angielskiego poczucia humoru i także zaczął się śmiać. Poczowała przyływ adrenaliny: okazała się dowcipna - po francusku! Wyszczrzyła do Didiera zęby w szerokim uśmiechu (zwariowane imię, zwariowany facet!) i uniosła kieliszek do ust. O, pusty.

Alicia pociągnęła ją w stronę stołu zastawionego butelkami.

- Chodź, poznasz Gilberta. On też właśnie wyleciał z roboty. Komputerowiec. Francuzi trochę późno się wzięli do Internetu, więc odpadli w przedbiegach.

Minęły guru, wypróbującego jakąś technikę na jednej z podrygujących dziewcząt o melodyjnym głosie, która przestała podrygiwać i bez ruchu leżała na sofie, wśród pomiętych *faux*\* futer. Mężczyzna obiema dłońmi uciskał jej żołądek. - Oddychaj, oddychaj - powtarzał, a ona piszcziała i lamentowała. Gilbert (Zil-ber) okazał się niezmiernie przystojnym chłopakiem

w markowych czarnych dżinsach, palącym zawzięcie papierosa.

\* **Sztucznych.**

## Weekend w Paryżu

41

- Jestem ofiarą nowoczesnej ekonomii - oznajmił z tragicznym wyrazem twarzy. - Przez dwa lata jak ostatni kretyń siedziałem i klikałem. Pracowałem po dziewięćdziesiąt godzin na tydzień. Na obiad jadłem *baguette*\* przy biurku, wyobrażasz sobie?! A teraz *pouf*. - strząsnął popiół. - Mogę tylko mieć nadzieję na robotę w jakimś ministerstwie, w towarzystwie dinozaurów... Będę musiał kupić garnitur...!

- Fatalnie - przyznała Molly, podziwiając jego urodę. - Masz, napij się.

- Wiesz, równa z ciebie dziewczyna.

Czy to alkohol zaćmił jej zmysły, czy naprawdę usłyszała muzykę? To chyba była „Marsylianka”... Gilbert wyjął z kieszeni koszuli telefon komórkowy i przycisnął aparat do ucha.

- *Cherie*\*\* - zaciągnął zmysłowo - gdzie jesteś? Aha.

Molly odwróciła się i przesunęła wzrokiem po zadymionym wnętrzu. Wszystko tu było zupełnie inne niż w Minster Episcopi, a nawet w Earlsfield. Podróże rzeczywiście kształcą.

Zabi poprosiła ją o autograf w srebrze i fiolecie. Jakiś mężczyzna w okularach, pomyliwszy ją z Alicią, zrobił jej krótki wykład na temat fizjologii kangura. Francuzi mówili do niej po francusku, a Molly odpowiadała w tym samym języku. Kompletnie nikogo nie interesowało, że jest *officier de marketing*. Nie było rozważań na temat Balzaka, ale zorientowała się, iż wciągnęła ją namiętna dyskusja pomiędzy jedną z podrygujących dziewcząt a genetycznie nastawionym Didierem.

- *Non!* - sprzeciwiała się dziewczyna stanowczo. - Tylko ludzie mają prawo do osła.

- *Mais ecoutes*\*\*\*, Sylvie, przecież Bóg stworzył wszelkie stworzenie, prawda? No to dlaczego jakiś owad... albo nawet pomidor, nie może mieć własnego osła? Molly, a co ty o tym sądzisz?

Wtedy nagle Molly doznała olśnienia. Nie rozmawiali o osłach (*dnes*), tylko o duszach (*ames*)\ Była poruszona doniosłością sporu. Francuzi to rzeczywiście wyjątkowo mądry naród. Doszła do wniosku, że Francja może się stać jej intelektualną przystanią.

Alicia przywołała ją gestem. Stała z Zabi. Molly utorowała sobie drogę przez tłum i po chwili znów poczuła na sobie uważne spojrzenie czarnych oczu.

\* **Bagietkę.** \*\* **Kochanie.** \*\*\* **Daj spokój.**

*Robyn Sisman*

- Zabi chce iść do klubu - powiedziała Australijka. - Gra nowy DJ, naprawdę niezły.

- Super! - ucieszyła się Molly.

- Tylko jest jeden problem.

Jak się po chwili okazało, problemem była ona sama, Molly.-A w zasadzie - jej ubranie. Ten akurat klub słynął z wyjątkowo nieprzyjemnych selekcjonerów - *les physios* - którzy z sadystyczną radością uniemożliwiali wejście każdemu, kto nie spełniał ich trudnych do przewidzenia kryteriów „fajności”.

- *Salauuds\** - Zabi pokręciła głową zdegustowana.

Dalej okazało się, że Molly jest bardzo ładna i jak to ładnemu - we wszystkim jej ładnie, ale...

Opuściła wzrok na swój poliestrowy biurowy kostium i uśmiech znikł z jej twarzy. Podniecenie i duma ulotniły się jak powietrze z przekłutego balonu. Zawsze to samo. To inni mieli świetne ubrania, doskonałą pracę, chodzili do modnych klubów. Wszyscy, tylko nie ona, nie Molly Clearwater. Raz jeszcze poczuła się jak widz w teatrze życia: na scenie rozgrywał się fascynujący spektakl, barwny i rozświetlony, a ona czekała w ciemnościach na swoją rolę, nie wiedząc, czy kiedykolwiek przyjdzie jej kolej.

- ...ale nie bój żaby, Zabi cię podrasuje - oznajmiła Alicia. Molly zwróciła niepewne spojrzenie na gospodynię, która akurat

poprawiała spódnice. Podrasuje? Jak? Gdzie? I właściwie: dlaczego? Nie zdążyła jednak na dobre zacząć się zastanawiać, bo Alicia gdzieś ją już za sobą ciągnęła.

- Jak zobaczysz sypialnię Zabi, to ci oczy wyjdą na wierzch! Otworzyły się drzwi, rozbłysło światło i Molly zapało dech w piersiach. Łóżko miało wymiary małego pokoju, pod ścianą stało lustro w złotej ramie, obok pysznił się manekin krawiecki z narzuconym dziwacznym, trochę śmiesznym płaszczem z patchworku. A na podłużnych wieszakach tkwiły dziesiątki, jeśli nie setki ramiączek z ubraniami. Było na nich wszystko: czarna skóra i biały jedwab, ciemnoniebieski aksamit, bordowe koronki i postarzony denim. Obok - buty z klamerkami, paskami i ćwiekami, cekiny, futra, kapelusze. Niemożliwe, żeby to wszystko należało do Zabi. Najwyraźniej sypialnia pełniła także funkcję sklepowego magazynu.

-*Mors*. - Gospodyni lekko popchnęła Molly przed lustro. - Co ty na to...?

\* **Dranie.**

## Weekend w Paryżu

36

Molly na to pomyślała, że: niemożliwe, by miały zamiar jej pożyczyć takie odlotowe ciuchy tylko po to, by ją zabrać do klubu, że prędzej umrze, niż się rozbierze przed tą zabójczo szykowną Zabi, i że niezależnie od tego, jak bardzo będą się obie starały, efekt okaże się mizerny. Nie mogła się pozbyć przyprowadzającego o zawrót głowy uczucia, jakby stała na samym brzegu przepaści i zastanawiała się, czy wystarczy jej odwagi, by skoczyć.

- Ta będzie super. - Alicia, która już od jakiegoś czasu myszkowała między wieszakami, wyciągnęła czerwoną lejącą sukienkę.

- Nie, nie. - Zabi stanowczym gestem odsunęła chybiony pomysł. Oczy miała zmrużone, na twarzy wyraz skupienia. Zsunęła nieruchomej modelce żakiet z ramion, odgarnęła do tyłu włosy.

- A to? - Australijka podetknęła pod brodę Molly wieszak z sukienką o wzorze naśladowującym zebkę.

Molly osłupiała. Sukienka miała wszystkiego może pół metra długości, a zamiast przodu - wielką dziurę.

- Ja tego nie włożę! - zaprotestowała słabo.

Zanim skończyła zdanie, Zabi rozpięła jej suwak. Spódnica opadła na podłogę. Molly pozostało już tylko wyjść z plamy tkaniny. Zabi zerknęła na metkę, złożyła spódnice oszczędnym, wyćwiczonym ruchem i zostawiła na łóżku.

- I koszula - poleciła.

Molly znów posłuchała, nawet nie wiedząc kiedy. Z lustra spojrzała na nią znajoma postać w staniku z supermarketu i figach obciskających brzuch.

Zapadła martwa cisza.

- Alicia, zobacz... - odezwała się w końcu Francuzka, tonem naukowca obserwującego ciekawy okaz pod mikroskopem. - Piersi bardzo ładne, *non?* A nogi...? - Zamachała drobną dłonią. - Może coś da się zrobić.

Obchodziły ją i oglądały, jakby oceniały sztukę bydła. Było to uczucie trochę denerwujące, ale też niezwykle poruszające. Do tej pory kontakt Molly ze światem mody był dość ograniczony, a wybieranie ubrań ograniczało się zwykle do komentarza znudzonej ekspedientki: „Bardzo dobrze pani w tym wygląda”, co najczęściej okazywało się niezgodne z prawdą. Tutaj od razu wiedziała, że ma do czynienia z profesjonalistką. Co więcej, przebieg akcji komentowany był w obcym języku. Francuski charakteryzował się kojącą anonimowością. Ot, po prostu: piersi, nogi, pośladki - jak gdyby niczyje, jakby wymieniane części ciała nie miały nic wspólnego

*Robyn Sisman*

z Molly. Na dodatek większość poleceń była wydawana w formie bezosobowej: *il faut... on doit...*\*, więc miała wrażenie, że to nie ona przymierza kolejne ubrania, ale że ubrania muszą zostać przymierzone.

Sukienka w biało-czarne paski nie była taka zła i Molly już sądziła, że wybór został dokonany - do chwili gdy Zabi odrzuciła fatalaszek jednym stanowczym ruchem. Następnie odpadła mała czarna (na pewno nie czarny - oznajmiła autorytatywnie), zaraz potem prążkowana migotliwa bluzka z kremowego szyfonu (*une catastrophe*). Ciuszek za ciuszkiem Molly coraz bardziej rozsmakowywała się w tej uwodzicielskiej niepowtarzalnej chwili.

Nagle Zabi klasnęła w dłonie.

- Złoto! - oznajmiła stanowczo. - Do takich włosów, przy takiej skórze... rozumiesz? Alicio, prędko, podaj tamtą złotą mini, pamiętasz? I sandałki z krokodyla! O, tak, to będzie jak trzeba. Jestem genialna! *Vite, vite*\*\*\

Już w następnej chwili Molly stanęła na wysokich obcasach, przytrzymywanych na stopie jedynie wąskimi paseczkami skrzyżowanymi w kostce. Następnie wsunęła na biodra minispódniczkę z mięciuteńkiej, połyskującej złotem skóry. Zapięła suwak. Idealnie.

- Oj! Alarm bieliźniany! - Alicia wskazała rowek na biodrze Molly, gdzie odciskała się gumka od majtek. - Będziesz musiała zostać w samych rajstopach.

- Co???

- Prędeej, bo się spóźnimy.

Molly zajęła się koniecznymi usprawnieniami, a Zabi w tym czasie szukała czegoś na wieszakach, mrużąc pod nosem. Wreszcie podeszła, trzymając w ręku wystrzałowy jedwabny top, mieniący się złotym brązem. Przyłożyła go do oszołomionej modelki.

- Dzisiaj czynię cuda. Oczywiście stanik trzeba zdjąć. Całkiem bez bielizny? Przecież nie pójdzie tak między ludzi! A może i pójdzie. Gładki jedwab spłynął po jej nagiej skórze, podkreślając wszelkie walory.

- Widzisz? - ucieszyła się Zabi.

Zanim jednak Molly zdążyła się porządnie sobie przyjrzeć, gospodyni pociągnęła ją na krzesło i zaświeciła lampą prosto w twarz.

- Trochę więcej dramatyzmu w oczach - szepnęła, muskając

\* **Trzeba, należy.** \*\* **Szybko!**

## *Weekend w Paryżu*

45

pedzelkiem powieki. - i coś przy szyi. - Z szuflady wyciągnęła aksamitną wstążeczkę. Związała nią włosy Molly. - Zamknij oczy - nakazała. Rozległ się syk, rozszedł się zapach lakieru do włosów i na twarz Molly spadły drobniutkie kropelki. Całości dopełnił zakiet z marszczonego aksamitu w kolorze palonej kawy. - Świetnie

- uznała Zabi, zadowolona i uśmiechnięta. - Doskonale.

Molly wstała, chwiejąc się na wysokich obcasach.

- O ho ho! - zawołała Alicia. - Faceci będą padać jak muchy!

- Wyszła zza wieszaków, gdzie szukała dodatków. Przybyło jej fioletowe pasmo we włosach, a na biodrach nabijany ćwiekami pas.

- Molly, wyglądasz sensacyjnie.

- Naprawdę? - Wsunęła ręce w rękawy zakietu z jedwabną podszewką i odwróciła się do lustra.

Zabi zajęła się sobą: powlokła wargi ciemną purpurą, wypuściła w powietrze obłoczek perfum i pozwoliła mu opaść na zwróconą ku górze twarz i ramiona. Wreszcie wsunęła się w dopasowaną marynarkę w stylu wojskowym, z miedzianymi guzikami.

Dziewczyna z lustra obrzuciła Molly powłóczystym spojrzeniem. Miała długie, smukłe nogi i śliczne piersi. Jej włosy i skóra lśniły złotym pyłem. Kim jest ta zapierająca dech syrena, ta złota bogini, ta pewna siebie, nieziemsko zgrabna, pociągająca, błyskotliwa istota?

Odpowiedź szła z serca do głowy, oszłamiająca jak francuski szampan. -To ja!

### *Rozdział czwarty*

Piechotę do klubu było za daleko, zwłaszcza na wysokich obcasach, a metro już nie jeździło. W końcu Didier zgodził się zawieźć dziewczęta rozklekotanym vanem, którym dostarczał warzywa. Molly i Zabi ścisnęły się na przednim siedzeniu, Alicia wielkodusznie usiadła z tyłu, na skrzynce zmutowanych grzybów. Didier chwalił się, że sprzedawał je w dwunastu gatunkach.

Dwanaście! Molly z trudem wymieniłaby może pięć. Od ich piżmowej woni kręciło jej się w głowie. Trochę też może od wina i rozmazanych świateł, migających za oknem budynków, kolumn i pomników, fontann i drzew, a także od cudownej świadomości, że w środku nocy pędzi przez obce miasto, z prawie obcymi ludźmi, do niewiadomego celu, mając na sobie cudze ubranie. I bez bielizny. Sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

Z drugiej strony, na myślenie nie było czasu. Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na zielone. Sekundę później Didier przycisnął pedał gazu i nagle znaleźli się na moście, nad atramentową czernią roziskrzoną odbitym światłem.

- Sekwana! - pisnęła Molly.

- *Ouais*\* - zgodził się obojętnie.

Przez przybrudzone okno Molly obserwowała Paryż barwny niczym egzotyczny kobierzec. Daleko przed nimi widać było drugi most, o subtelnych łukach ozdobionych bliźniaczymi rzędami lamp, przypominającymi świeczki na wielkim torcie urodzinowym. Skoro to Sekwana, za kilka chwil znajdą się na lewym brzegu! Serce

\* **Taaa..**

wywinęło jej w piersi potężnego kozła. To właśnie tam Hemingway przesiadywał, pisząc w kawiarenkach, ponieważ nie stać go było na ogrzanie pokoju. To tam po raz pierwszy odważono się wydać „Ulissesa”, tam mieszkała Gertruda Stein, tam zmarł Oscar Wilde. Na malowniczych uliczkach roiło się od kafejek, romantycznych mieszkań na poddaszach i undergroundowych klubów jazzowych. Tak w każdym razie widziała to oczami wyobraźni. Niestety, kiedy po drugiej stronie rzeki wjechali na autostradę, zobaczyła jedynie potężną bryłę dworca kolejowego i las wieżowców.

Jakiś czas później van skręcił w ciemną boczną aleję prowadzącą prosto w stronę wody. Gdy podskakiwali na bruku, Molly musiała mocno przytrzymać się siedzenia. Na rzece kołysały się łodzie, na brzegu w nocnej czerni poruszały się cienie złowieszczych ludzkich postaci. Zmroziła ją straszna myśl. Może tutaj nie ma żadnego klubu? Może Zabi i Alicia należą do międzynarodowego gangu i wszystko, co się wydarzyło tego wieczoru, było zmyślnym spiskiem, mającym na celu porwanie naiwnej Angielki, wywiezienie jej Sekwaną do... no, tam, dokąd płynęła ta rzeka, i sprzedanie jej jakiemuś niewyobrażalnie zdeprawowanemu szejkowi?

Zerknęła z ukosa na Zabi, która podśpiewywała coś, polerując paznokcie o rękaw marynarki. To też mógł być blef.

Raptem samochód zatrzymał się z piskiem hamulców, lecz chociaż silnik ucichł, Molly czuła ciche dudnienie.

Najwyraźniej ze strachu serce biło jej tak mocno... W uszach złowrogo brzmiała przestroga mamy: „zawsze mów komuś, dokąd idziesz, i sprawdź, o której masz powrotny autobus”. Ukradkiem sięgnęła do klamki i dyskretnie zaczęła uwalniać stopy z sandałków na wysokim obcasie. Bez walki się nie podda.

Rozległ się metaliczny zgrzyt. Molly aż podskoczyła.

To Didier zaciągnął ręczny hamulec. Odwrócił się do niej, ale jego twarz skrzywał cień. Zabi przerwała polerowanie paznokci i nachyliła się do przyjaciela, jakby miała zamiar wyszeptać mu do ucha jakieś tajne instrukcje.

Molly gwałtownie pchnęła ramieniem drzwi, aż odskoczyły z hukiem. Mało brakowało, a byłaby runęła jak długa.

Zabi krzyknęła. Molly, podrygując w jakimś małym susie, tylko cudem zdołała utrzymać równowagę i nawet nie gruchnęła na kolana. Na wpół przytomna słuchała niespokojnych pytań Zabi i Didiera. Co się stało? Czy nie zrobiła sobie nic złego? Ten kretyński samochód! Nadaje się tylko na złom!



Wyprostowała się powoli, zaczerpnęła świeżego powietrza, które rozjaśniło jej myśli. Stanowczo nikt nie zamierzał jej porwać. Didier nawet nie wysiadł z samochodu. Za parę godzin musiał być w pracy, zamierzał się trochę przespać. A Zabi nie szeptała mu do ucha niczego złowieszczonego. To było krótkie „*merci*”<sup>\*</sup> i pocałunek na do widzenia.

Wtopione w czerń nocy złowróżbne postacie okazały się liczącymi pieniądze klubowiczami albo parami szukającymi odrobiny intymności. Dudnienie, które tak zaniepokoiło Molly, nie było biciem jej oszalałego serca, ale stukaniem Alicii, która domagała się, by ją wypuścić z grzybowej pułapki. I wcale nie był to jakiś zachwaszczony brzeg z zapuszczonym dokiem, lecz piękna, szeroka esplanada, oddzielona od Sekwany rzędem drzew. Z jednej strony wysoka ściana chroniła aleję przed hałasem autostrady, z drugiej urocze łódki ozdobione sznurkami drobnych kolorowych lampek kołysały się na falach przypominających czarne szkło.

Cel ich podróży znajdował się właśnie na łodzi - na jednej z wielu, zmienionych w restauracje i kluby - a każda miała własny, niepowtarzalny charakter. Chwiejąc się na zdradzieckich obcasach, pod ramię z Alicią i Zabi, Molly ruszyła w kierunku jazzu okraszonego disco, przeplatane go rockiem i rapem, dochodzącego ze starej łodzi pomalowanej na kolor wyjątkowo zjadliwej czerwieni. Przeszklony mostek jarzył się jak pochodnia.

Z całą pewnością był to najwspanialszy klub na świecie. Przed trapelem kłębił się tłum niedoszłych gości, niektórzy usiłowali ściągnąć na siebie uwagę *physios*, wymachując banknotami. Pilnujący wejścia selekcjonerzy, w pełnym brzmieniu *physionomistes*, choć byli to potężnie zbudowani bramkarze, mieli za zadanie odczytywać charakter ludzi z twarzy. Co u niej zobaczą? Raptem Molly gorąco zapragnęła dostać się tam, gdzie dudniła muzyka, a z przejścia wylewały się barwne światła. Pragnęła uczestniczyć w zabawie, dać się wciągnąć w wir ekscytujących przeżyć, pozbyć się wszystkiego, przez co czuła się nieważna i nic niewarta.

Zabi precyzyjnie się na początek kolejki i uniósłszy wysoko brodę, zerknęła na osiłka w czarnym garniturze, prawdziwego Goliata. Była równocześnie kokieteryjna i władcza. Wyrzuciła z siebie wartki strumień słów, a na koniec gestem wezwała swoje towarzyszki przed oblicze wszechwładnego bramkarza. Molly, zapominając o danej

so-

**\* Dziękuję.**

## *Weekend w Paryżu*

42

bie obietnicy, że będzie się zachowywała z rezerwą, rozpromieniła się najpiękniejszym, szczerym uśmiechem.

- *Je suis australienne*\* - oznajmiła Alicia z całkowitym spokojem, jakby to załatwiało sprawę.

I może załatwiło, bo po długiej chwili badawczego oglądania całej trójki goryl ruchem głowy udzielił im pozwolenia na wejście do klubu. Zwycięstwo!

Molly postawiła drżący krok na drewnianym trapie. Deski wibrowały od muzyki. Chłodny podmuch unoszący się znad wody połaskotał ją w uda, wyeksponowane jak nigdy. Skromnie obciągnęła spódnicę i już zaraz znalazła się na łodzi. Za Alicią i Zabi przeszła wąskim lukiem i zejściówką, czując lekkie kołysanie. Nagle zalała ją fala głośnej muzyki. W środku powietrze było aż gęste, przesycone zapachem alkoholu, perfum i potu.

Tuż przed nimi szła interesująca para: smagły mężczyzna prowadził za rękę delikatną dziewczynę ubraną na czarno. Wiódł ją na górę jak Orfeusz wyprowadzający Eurydykę z Hadesu. Na najwyższym stopniu obrócił się, przyciągnął ją do siebie i zamknął w namiętym uścisku. Dosłownie tuż przed oczami Molly połączyli się w żarliwym pocałunku. Żadnego chichotu czy zbędnego obłapiania. Tylko pocałunek tak gorący, że aż ciarki ją przeszły po plecach. Zabi przyglądała się kochankom spokojnie, z szacunkiem i bez zniecierpliwienia, choć zablokowali przejście. Więc miłość rzeczywiście jest aż tak ważna?

Para się rozdzieliła. Bez pośpiechu, zapatrzeni w siebie, minęli Molly i przytuleni wyszli na świeże powietrze.

Mimowolnie odprowadziła ich wzrokiem.

- Chodź, idziemy! - zawołała Alicia przez ramię, dźwięcząc obcasami na metalowych stopniach.

Zabi już zniknęła w tłumie, więc Molly zeszła z obłoków, chwyciła się relingu i pośpieszyła w mrok za koleżankami. Na pierwszy rzut oka uznała, że nie ma gdzie wejść. Po prostu w ogóle nie było tu miejsca. Nie dałoby się szpilki wetknąć. Dźwięki syntezatorów niemal uderzały w twarz. Podłoga drżała. Jakiś szeroko uśmiechnięty mężczyzna wykrzyczał jej prosto w ucho coś, czego nie zrozumiała. Uśmiechnęła się do niego przelotnie i zrobiła krok w tłum, przyciskając do siebie torebkę. Przewodniki ostrzegały przed kieszonkowcami.

\* **Jestem Australijką.**

*Robyn Sisman*

Przeraziła się nagle, że zgubiła obie nowe znajome. Jak tu wrócić do hotelu?! Co to w ogóle był za hotel...?

W tej właśnie chwili ktoś złapał ją za ramię i wyciągnął ze ścisku; stanęła przy końcu połyskliwego baru.

- Musimy zamówić butelkę! - wykrzyczała jej Zabi do ucha. - Jak będą myśleli, że chcemy tu dużo wydać, znajdą nam stolik.

- Ja zapłacę - rzuciła Molly nierozważnie, szukając karty kredytowej.

W zdumiewająco krótkim czasie wszystkie trzy znalazły się przy niewielkim okrągłym stoliczku, wtłoczonym razem z kilkoma podobnymi między bar a parkiet. Kelner w dżinsach i czarnym t-shircie ustawił na blacie trzy kieliszki, a następnie z szacunkiem zaprezentował Molly... butelkę prawdziwego szampana. Lekko zaskoczona, pokiwała głową, próbując wypchnąć z wyobraźni stan swojego konta bankowego po zapłaceniu rachunku. Obrany ze sreberka korek wyskoczył z butelki, a przystojniak nalał do kieliszka Molly dosłownie kilka kropli trunku. Spojrzała na obsługującego ze zdumieniem. I po co on tak stoi i trzyma tę butelkę, skoro Zabi i Alicia mają w kieliszkach Saharę? Zwariowani ci Francuzi!

Kelner minimalnie uniósł brew, Molly spuściła wzrok na własny kieliszek.

O rany! No tak! Rzeczywiście!

Aż jej zimny pot wystąpił na czoło. Przecież powinna spróbować alkoholu i podjąć decyzję. Chwyciła kieliszek, łyknęła rozpuszczone bąbelki i jeszcze zdążyła gwałtownie kiwnąć głową, zanim się za-krztusiła. Alicia walnęła ją w plecy.

- Dzięki - wychrypiała Molly, ocierając oczy i udając, że z zainteresowaniem obserwuje tancerzy.

Na drugim końcu łodzi dostrzegła górną połowę słynnego DJ-a, który prawdopodobnie znajdował się na jakimś podwyższeniu. Ubrany był w kwiecistą koszulę, na uszach miał słuchawki. Kiwał głową rytmicznie w przód i w tył jak idiota, uciekinier z domu wariatów. Muzyka natomiast była rzeczywiście świetna. I ludzie też. Nikt się nie rozbierał, nikt nie wymiotował na podłogę. Kobiety były szczupłe jak modelki, zrobione na błysk, ubrane szalowo i uzbrojone w miny mówiące: „nie zadzieraj ze mną”. Mężczyźni - w większości o smagłej karnacji i wyrazistym spojrzeniu - mieli ruchliwe brwi oraz wydatne nosy. Tak, Francuzi rzeczywiście są specjalną rasą, nie tylko innym narodem. W porównaniu z nimi Anglicy robili wrażenie bladych, nieciekawych i jakichś takich... ciapowatych.

## *Weekend w Paryżu*

44

I żaden Anglik nie miał w sobie tej cudownej beztroski, która jej się coraz bardziej podobała. Beztroska nie była dobrym słowem... czym by tu oddać przeciwieństwo... hm... No proszę, Anglicy nie mieli nawet odpowiedniego słowa na określenie tego stanu.

Oj! Jakiś mężczyzna przyłapał ją, jak się na niego gapiła. Oszacował ją fachowym spojrzeniem od stóp do głów i nagroził powolnym, niedwuznacznym uśmiechem. No, no!

Uciekła wzrokiem i schłodziła rumieniec jeszcze jednym łykiem szampana. Licho wie, może wziął ją za panienkę o niecieężkim prowadzeniu... Nagle zaczęła kiepsko się czuć w tych pożyczonych ciuchach. I choć było jej gorąco i duszno, postanowiła za nic w świecie nie zdejmować żakietu. No bo co będzie, jeśli ktoś zauważy, co ma na sobie? Albo raczej... czego nie ma?

- No dobra, dziewczyny. - Alicii zabłyśły oczy. - Ustalmy: kogo chcemy zaciągnąć do domu i zjeść na śniadanie.

- Ja właściwie nie po to tu przyszłam... - sprzeciwiła się Molly słabo, skromnie zsuwając nogi.

- Dzieciaku! Do roboty! Pokażemy im, co potrafimy.

- Idziemy tańczyć - poparła ją Zabi.

Licho wie kiedy, Molly została wyłuskana z żakietu i wyciągnięta na parkiet. Nagle znalazła się w tłumie wirujących czarnych sukienek i białych koszul, poruszających się rytmicznie ramion, szybujących w powietrzu włosów, na wpół oślepiona migającym światłem, odbijającym się od połyskliwych ciał, od olśniewająco białych zębów.

- Dawaj! - zawyła Alicia, wyrzucając w powietrze zaciśnięte pięści.

Szczerze mówiąc, Molly wolałaby, żeby tamta nie była taka... taka australijska. I żeby Zabi nie kręciła tak spódnicą. I żeby ona sama nie była taka wysoka, taka blond i taka... krągła. Jej piersi widziane z góry wydawały się potwornie wyeksponowane, a spódnica ledwo zakrywała pośladki. Czowała się, jakby miała na sobie abażur.

I co ci Francuzi sobie wyobrażają? Kto im pozwolił tak się na nią gapić? Zaraz im pokaże!

Tymczasem jej słynne pogardliwe spojrzenie tutaj najwyraźniej nie działało. Francuzi, zamiast odwracać głowy jak angielscy chłopcy, nadal jej się przyglądali. Nie były to spojrzenia niegrzeczne ani lubieżne, ale otwarcie, ze znanstwem szacujące, co dla Molly stanowiło całkowitą nowość. Choćby tamten przystojniak, tańczący z dziewczyną. Za każdym razem gdy Molly na niego spojrzała...

*Robyn Sisman*

chyba udało jej się nie zrobić tego więcej niż pięć... najwyżej sześć razy... i właściwie to zaledwie na niego zerkała, a nie patrzyła - unosił brwi i z uznaniem kiwał głową, zupełnie jakby dawał jej wysoką lokatę w rankingu. Co za bezczelność! Nie był w końcu aż tak przystojny! Odrzuciła włosy, odwróciła się do niego plecami i włączyła do swojego tańca kilka dodatkowych węzowych ruchów, by pokazać, że nie potrzebuje uznania żadnego mężczyzny. Tak czy inaczej, zyskała błogą pewność siebie. Bo przecież ta niesamowita istota, którą zobaczyła w lustrze w sypialni Zabi - to była właśnie ona. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak łatwo oszołomić faceta za pomocą szalonych ciuchów. Zazwyczaj stanowczo odrzucała takie żalosne metody. Mimo wszystko... te płytkie zagrania działały! I jak przyjemnie mieć na sobie tak niewiele fatalasz-ków, czuć ich gładki dotyk na nagiej skórze, poddać się muzyce... Wszystko wokół pulsowało tym samym szaleńczym rytmem głębokich basów: butelki na barze, kolczyki Alicii, brzegi spódniczki Molly, błyskające złotem na udach. Takie właśnie powinno być życie: kolory, muzyka, energia, mocne wrażenia, wolność!

Oj! Niewiele brakowało, a byłaby straciła równowagę po efektywnym zderzeniu z Alicią. Australijka wpadła w trans: poruszała biodrami w niesamowitym tempie, piętami wybijając rytm na podłodze. Patrząc na nią, trudno było uwierzyć, iż zjawiała się w Europie, korzystając z drogi tak prozaicznej jak podróż powietrzna. Należało raczej przypuszczać, iż wulkaniczna siła charakteru przepchnęła ją wprost przez wrzący rdzeń Ziemi i efektywnym wybuchem wypluła w Paryżu. Twarz Alicii błyszczała od potu i promieniała czystą pierwotną radością. W odruchu sympatii Molly odpowiedziała jej uśmiechem. Ratunku! Następne pchnięcie bioder!

Co do DJ-a, Zabi miała rację: był rewelacyjny. Za każdym razem, kiedy Molly zyskiwała absolutną pewność, że musi usiąść, bo w przeciwnym razie wyzienie ducha na parkiecie, puszczał następny kawałek, kolejny utwór jeszcze lepszy od poprzedniego - i wszyscy tańczyli. W którymś momencie pojawiła się biała zjawa - poznany wcześniej guru. Potańczył kilka chwil, ale szybko wyprowadził Zabi do swojego stolika. Pewnie był za stary, żeby się dłużej męczyć, biedaczysko. Dwóch chłopaków pozujących na playboyów, którzy odstawiali cyrk od dłuższego czasu, skierowało się do Molly i Alicii. Jeden z nich nosił kowbojski kapelusz, drugi ubrany był w idiotyczną koszulę z kolorowymi diodami.

## *Weekend w Paryżu*

46

- Jesteśmy zwariowani! - pokrzykiwali, podskakując. - Moja droga, ja cię kocham!!!

Molly tak strasznie zaczęła się śmiać, że aż musiała pójść do stolika, aby poprawić swój stan szampanem. Gdy wróciła na parkiet, chłopaków już nie było.

Jakiś czas tańczyła z Alicią. Dziesięć minut? Czterdzieści? Głowę miała lekką, czuła się zgrabna i zręczna, potrafiła wszystko. Była złotą iskrą energii. Wreszcie muzyka nieco zwolniła tempo i wszyscy tańczący wiwatowali na cześć DJ-a. Molly, absolutnie szczęśliwa, podryfowała na swoje miejsce przy stoliku.

Ledwo usiadła, gdy na blacie, tuż przed jej nosem, wyśladował poskładany kawałek papieru. Rozwinęła go i przeczytała po francusku: „Jesteś przepiękna. Zadzwoń do mnie. Claude”. Po czym następował rząd cyfr. Potoczyła wzrokiem dookoła i pochwyciła spojrzenie mężczyzny, który próbował z nią flirtować na parkiecie. Właśnie wychodził z klubu - obejmując ramieniem swoją dziewczynę! To diabeł wcielony! Bez słowa podała kartkę Alicii.

- O rany, Molly, mnie się to nigdy nie zdarzyło! - wykrzyknęła Australijka, ale w jej głosie nie było cienia zazdrości.

- Mogę sobie wziąć tego w kowbojskim kapeluszu? Jest nieźle napalony!

- Możesz, jasne. - Molly beztrudno machnęła ręką. - Mnie i tak za gorąco, żebym się w ogóle ruszyła.

Chętnie by się też czegoś napiła, o ile cokolwiek zostało. Sięgnęła po wiaderko z lodem i odkryła w nim prawie pełną butelkę. Dziwne. Ale miłe. „Szampan nie idzie mi do głowy”, zanuciła pod nosem uszczęśliwiona, napełniając kieliszek po brzegi. Proszę bardzo, wspaniale, nie uroniła ani kropli. Jest fantastyczna! I godna pożądania. Zmiała liścik i rzuciła go przez ramię. Zdrajcy, bigamiści i trójki - odpadają.

Trochę jej się kręciło w głowie. Postanowiła wyjść na pokład, aby odrobinę się przewietrzyć.

Po drodze dwóch mężczyzn zaprosiło ją do tańca.

- *Non, merci!*\* - Jak łatwo przychodziły te słowa, jakie były swobodne po francusku.

Chwiejnym krokiem pokonała zejściówkę, cały czas podśpiewując pod nosem „Jestem piękna, tra la la, och, jaka piękna...”.

Świeże powietrze ochłodziło jej skronie niczym balsam. Minęło kilka chwil, zanim przywykła do innego otoczenia.

Wreszcie pode-

\* **Nie, dziękuję!**

*Robyn Sisman*

szła do burty, oparła się o reling i przesunęła wzrokiem po światłach miasta na prawym brzegu. Paryż. Cudownie! A ona - w samym środku tego miasta pełnego tajemnic, okraszonego blaskiem gwiazd błyskających z dalekiego czarnego nieba i lśniących na jej skórze, w noc ciepłą jak w Londynie sierpniowa.

Stłumiony szum rzeki obudził w niej wspomnienia. Oto przyjęcie z okazji jej dziesiątych urodzin, z jakiegoś powodu odłożone aż do wakacji. Wyprawiono je w ulubionym zakątku Molly, nad rzeką. Z ogromnej wierzby płaczącej zwisała gruba lina. Można było odbić się od błotnistego brzegu i huścić tak daleko, tak wysoko nad brązowymi falami, jak tylko starczyło odwagi. Pamiętała skurcz w żołądku, rozkoszne przerażenie w chwili gdy puszczała linę i wpadała w chłodną głębię aż na dno, aż tam, gdzie między palcami stóp przeciskał się muł. Inne dzieci urządzały przyjęcia na placach zabaw, nad basenami, gdzie pływało się i skakało z trampoliny, a następnie jadło gumowatą pizzę, popijaną colą, albo w ratuszu, gdzie na dyskotecę uczyło się konkretnych kroków do określonego tańca lub „Piosenki Barbie”. Molly wcale nie była pewna, czy zabawa na brzegu rzeki, galaretka i wegetariańskie hamburgery zapiekane przez mamę nad ogniskiem wydadzą się fajne koleżankom ze szkoły. Przyjęcie okazało się hitem sezonu. Ostatni raz wtedy czuła tak czystą, niczym niezmaconą, pierwotną radość.

Ruszyła spacerkiem, przesuwając dłońią po relingu. Jedyne minus nocnej wyprawy do klubu polegał na tym, że nie było nic widać. Gdzie szukać, na przykład, wieży Eiffla? Skoro widniała na każdym zdjęciu, to na pewno można ją dostrzec z dowolnego miejsca w Paryżu.

Zatrzymując się co kilka kroków, przeszła na dziób łodzi. Rozglądała się uważnie na boki, wyciągając szyję, ale na próżno. Nawet nie wiedziała, z której strony powinna się znajdować słynna budowla.

Nagle dostrzegła w półmroku jakiś ruch. Przyplłynęła do niej smuzka papierosowego dymu. Potem odezwał się głos: - *Vous cherchez quelque chose?\**

Choć go nie widziała, wiedziała, że się uśmiechał. I od razu przeczuła, że stanie się coś niesamowitego. Opierał się o reling zaledwie kilka metrów dalej. Miał dwadzieścia parę lat, był szczupły i nieziemsko przystojny. Ciemne, odgarnięte do tyłu włosy, żywe, inteligentne oczy. Czekał na odpowiedź.

**\* Czy pani czegoś szuka?**

## Weekend w Paryżu

48

- Nie. To znaczy: tak. - Cały francuski momentalnie wyparował jej z głowy. - Szukałam wieży Eiffla.

- *Mais alors\** stąd jej nie widać. - Jaka cudowna nuta lekceważenia zabrzmiała w jego głosie. - Jest po drugiej stronie góry Sainte Genevieve. - Gdy wskazał kierunek, Molly skupiła się na jego profilu, wyrysowanym na tle ciemności przez światło z wieżyczki na mostku. Piękne czoło, prosty nos, wczorajszy zarost na policzkach, chłopięco urokliwe, gęste rzęsy. - Nie wiedziałam. Dopiero co przyjechałam. Zdjął z języka kawałek tytoniu.

- Turystka?

Molly uniosła dumnie brodę.

- Jestem tutaj - oznajmiła, starannie dobierając francuskie słowa - by... podziwiać warte uwagi zabytki historii oraz kultury.

- *Ah, ouil* - Zaciągnął się papierosem i zmrużył oczy. - A wartych uwagi mężczyzn?

Molly przeszedł dreszcz. Niezłe ziółko!

- Także. Jeżeli tylko takich spotkam. - Była pod wrażeniem własnej śmiałości. Ale w końcu, czemu nie? Przecież jest piękna. Dostała to na piśmie! Mogła sobie pozwolić na drobne zuchwalstwo.

- Jesteś Angielką? - Pytająco uniośł brew.

- Nie, Turczynką.

Chyba jej przez moment uwierzył, ale szybko rozszyfrował kpiący uśmiezek. Oboje wybuchnęli śmiechem. Miał równe, białe zęby. Kiedy się uśmiechał, zewnętrzne kąciaki oczu unosiły się kusząco.

- Turczynki, *quand meme*, nie mają takich pięknych blond włosów. - Jakiś czas przyglądał jej się w milczeniu, potem wyjął z ust niedopałek i zgrabnym pstryknięciem posłał go do wody. Wyprostował się i odsunął od relingu. - *On danse?* Znowu to samo, znowu ta forma bezosobowa. Trudno powiedzieć, że ją zaprosił do tańca. A ona nie wyraziła jasno zgody. Ot, po prostu, stało się.

Nie zaprowadził jej na parkiet, tylko wziął ją za rękę i zaczęli tańczyć tam, gdzie stali, na pokładzie. Dźwięki muzyki dobiegały do nich wyciszone i taki też był ich taniec - rodzaj wolnego jive'a. Widywała pary tańczące w ten sposób, ale nigdy nie miała odwagi spróbować.

- Nie umiem tego - odezwała się przeproszającym tonem.

\* **Przecież.**



*Robyn Sisman*

- To łatwe. - Przyciągnął ją do siebie i zaraz odsunął. Obrócił, puścił jej dłonie, by znowu po nie sięgnąć. Jakby w milczeniu w coś grali. W jakąś powolną, namiętą, żarliwą grę. Molly jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ruchy partnera. Zaczęła wyczuwać rytm. Kilka chwil później z całkowitą swobodą krążyła wokół Francuza, przesuwała się za jego plecami, wirowała w obrotach prowadzących ją w jego ramiona.

Tańcząc, rozmawiali. Przyjechała do Paryża na weekend. Sama? Tak, choć oczywiście ma tutaj przyjaciół. Pracuje w Londynie, ma szalenie interesujące zajęcie. Bardzo odpowiedzialne, związane z podróżami za granicę - i tak dalej. A on?

On urodził się w Paryżu i mieszkał tu całe życie, choć rodzice mieli oczywiście dom na wsi, nic specjalnego, ot, *gentilhommerie*\* nad Loarą. Do zeszłego roku studiował na wydziale sztuki na uniwersytecie, ale musiał przerwać. Kłopoty finansowe.

- *Quel dommage*\*\* - szepnęła Molly i szybko wspomniała, że ona także studiowała na uniwersytecie. Nie chciała być wzięta za dziewczynę o ptasim mózdzku, która myśli tylko o włóczeniu się po klubach.

On ciągle patrzył jej w oczy, a ona przyglądała się jego ustom, ruchliwym brwiom i z chwili na chwilę narastało w niej podniecenie.

Melodia się skończyła, stanęli naprzeciwko siebie.

- Mam na imię Fabrice - powiedział.

- A ja Molly.

- *Bonsoir*\*\*\*, Molly. - Wyciągnął do niej rękę i potrząsnął jej dłonią w żartobliwej parodii formalnego przywitania.

Uśmiechnęła się. Ale... zaraz, chwileczkę, czy on się z nią przypadkiem nie żegna? O, nie. Nic z tego. Jeszcze nie.

- Opowiedz mi o Paryżu - poprosiła śpiesznie. - Dokąd powinnam pójść? Co obejrzeć?

- Masz na myśli „warte uwagi zabytki historii oraz kultury”?

- Tak! Nie śmieć się ze mnie. Chociaż jestem w klubie, nie oznacza, że nie mam szarych komórek. - Odruchowo położyła dłoń na piersiach, zasłaniając je nieco. - Jestem tu pierwszy raz w życiu. Chciałabym... - umilkła, bo nie potrafiła wyrazić słowami ogromu swoich pragnień i oczekiwań.

\* **Willa, w zasadzie nawet dworek.** \*\* **Jaka szkoda.** \*\*\* **Dobry wieczór.**

57

- Naprawdę jesteś w Paryżu pierwszy raz? - spytał zdumiony Fabrice.

Molly tylko pokiwała głową.

- *Mors, viens\**. - Szybko chwycił ją za rękę i pociągnął energicznie w stronę zejściówki.

- Dokąd?

- Na wycieczkę. - W oczach miał psotne iskierki, cofał się tanecznym krokiem, prowadząc Molly przez pokład.

- Czekaj! - roześmiała się uszczęśliwiona. - Dokąd się wybieramy?

- Zwiedzać Paryż!

- Teraz?

- A dlaczego by nie?

- Jest środek nocy, wszystko będzie zamknięte. Fabrice stanął i spoważniał.

- *Enfin*, Molly, nie można zamknąć miasta. Ono żyje tak samo jak ty i ja. - Jego ciepły oddech łaskotał ją w policzek.

- Paryż tylko nocą odsłania swoje tajemnice. Jak kobieta.

Molly zakręciło się w głowie.

Fabrice zabrzączał kluczykami. A więc miał samochód. Przecież to czyste szaleństwo ruszać w całkiem nieznanym mieście z zupełnie obcym mężczyzną!

Oczy miał jak gorąca czekolada. Dotyk jego palców budził rozkoszne dreszcze. A na dodatek studiował na wydziale sztuki.

- Tylko wezmę żakiet.

\* **No to chodź.**

### *Rozdział piąty*

Wiatr gwizdał jej w uszach i unosił spódnicę, włosy łaskotały w usta, w dłoniach ścisnęła fałdy jego skórzanej kurtki, a piersi rozsadzało jej szczęście.

Fabrice nie miał samochodu, tylko motor. A w zasadzie skuter - z szerokimi osłonami nóg ciągnącymi się aż do kierownicy i z bagażnikiem pod kanapą. Właśnie stamtąd wyciągnął dodatkowy kask. Sam wyglądał w kasku wprost cudownie, jak gladiator.

- Trzymaj się! - krzyknął przez ramię, ruszając promenadą. Molly niepewnie przesunęła rękę do przodu, obejmując go nieco

ściślej w pasie. Wiatr szarpał jej spódnicę, gładził po udach. Fabrice poprawił jej rękę, aż złapała siebie samą za dłoń - na jego brzuchu. Oczywiście musiała do niego się przytulić, zwłaszcza gdy dodał gazu.

Zamiast skręcić w aleję, którą tu dotarli vanem, Fabrice pojechał w stronę rzeki. Pędzili kamiennym nadbrzeżem, niebezpiecznie blisko smolistej wody. Powierzchnię marszczyły złowieszcze fale, odurzająco pachniało ryzyko.

Najpierw trafili na most, potem do tunelu. Echo poniosło dźwięk klaksonu, silnik zadudnił jak grzmot, żółty promień światła błyskał na masywnych kamiennych podporach oznaczonych zielonymi liniami przypiływu.

- Juhu! - krzyknęła Molly, a jej głos wielokrotnie odbił się od zimnych omszałych ścian.

Tuż za tunelem Fabrice zatrzymał skuter z piskiem opon.

- Bałaś się?

- Nie! Było cudownie!

*Weekend w Paryżu*

59

- *Gentillepetite anglaise\** - mruknął pod nosem i pogładził ją po udzie takim samym gestem, jakim uspokajałby konia.

Dodał gazu i ruszył alejką wijącą się to w dół, to w górę, wśród świeżo skoszonej trawy. Mijali postrzępione metalowe rzeźby, wyglądające, jakby je jakiś olbrzym powydzierał z arkusza blachy. Czy to jakiś park? Muzeum na świeżym powietrzu? Nie miała czasu się nad tym zastanowić, bo zjechali na trawę i popędzili na złamanie karku w stronę rzeki. Po chwili wpadli w następny tunel. Na drugim końcu Fabrice zatrzymał skuter. Rozstawił szeroko nogi, by go utrzymać prosto, i wskazał przed siebie.

- *Et voila, mademoiselle touriste\*\**.

Molly otarła z oczu łzy wyciśnięte przez wiatr i wyjrzała przez ramię Francuza.

- Och... - Więcej powiedzieć nie mogła.

Dokładnie przed nimi, za ciemną wodą, osadzona w złotej mgłę reflektorów wznosiła się katedra Notre Dame. Molly od razu ją rozpoznała, choć nie wiedziała dotąd, że kościół stoi na wyspie. Był ogromny, a jednocześnie ulotny i kruchy, zupełnie jakby się unosił na falach. Skośne przypory niczym wzdęte na wietrze żagle, wieżyca strzelająca w niebo na podobieństwo smukłego masztu... tak mógłby wyglądać statek wyśniony przez Coleridge'a w opiumowym transie. - Niezłe, co? - Fabrice uśmiechnął się szeroko. W tej chwili wyglądał dużo młodziej niż jako tajemniczy nieznajomy na łodzi.

Jest bardzo miły, zauważyła Molly, a do tego jeszcze nieziemsko przystojny.

- Wspaniały widok - powiedziała głośno.

Fabrice ryknął silnikiem i znów ruszyli: najpierw kawałek chybotliwą rampą, a potem trasą szybkiego ruchu, prowadzącą wzdłuż rzeki.

A teraz dokąd?, zastanawiała się Molly.

Gdzieś odezwały się kuranty: wpół do... hm... co to za godzina? Godzina piątku? Godzina Paryża? Godzina prawdziwego życia? Czy to rzeczywiście nadal ta sama noc, gdy wysiadła z pociągu na Gare duNord? . .

I czy to naprawdę ona, pracownica biurowa bez zatrudnienia, która nigdy dotąd nie była za granicą? Czy to ona gnała przez

**\* Grzeczna mała Angielka. \*\* Proszę bardzo, panno turystko.**

*Robyn Sisman*

Paryż, przytulona do nieziemsko przystojnego Francuza? Tak! Nie była żadną szarą gęsią z prowincji. Nie była głupią sekretarką. Była wyzwoloną kobietą, szalejącą w Paryżu! *Une femme sauvage*. Właśnie tak!

Zjechali z trasy szybkiego ruchu i pognali ostro pod górę, oddalając się od rzeki. Mijali zamknięte sklepy, wysokie domy drzemiące obok siebie, przemknęli obok ciemnej bryły kościoła i tajemniczego wysokiego muru, który przywiódł Molly na myśl tamten ogród, gdzie Kozeta i Mariusz z „Nędzników” ślubowali sobie miłość. Przeplakała nad tym dziełem jedne potwornie deszczowe ferie. Wąskie kręte uliczki prowadziły wyżej i wyżej, coraz ciemniejsze i bardziej wyludnione. Molly wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby gdzieś pod ścianami ujrzała przemykającego mnicha w długim habicie. Raptem znaleźli się na placu, gdzie skąpało ich nieziemskie światło, zdawałoby się rzucane przez latający talerz, ale w rzeczywistości bijące z wielkiej złotej budowli o kopule przywodzącej na myśl londyńską katedrę Świętego Pawła. Ciszę mąciło jedynie pyrkotanie silnika. Zatrzymali się przed głównym wejściem. Molly zadarła głowę, z zachwytem obserwując fasadę zdobioną kolumnami. Wysoko nad drzwiami widniał jakiś napis, zdaje się, pochwała „*grands hommes*”\* Francji.

- A co z wielkimi kobietami?

- Są takie? - Fabrice uśmiechnął się szelmowsko.

- Oczywiście. - Molly dokonała szybkiego remanentu wśród szarych komórek. - Simone de Beauvoir... Marie Curie... eee...

- Wszystko jedno. Nie po to cię tu przywiozłem. Obejrzyj się. Molly wykonała polecenie. Droga prowadziła w dół, prosto

i równo, jak cięcie nożem, do jakiejś bramy w dole. Nad horyzontem wznosił się smukły kształt, spowity w filigranowe światła, znajomy jak najlepszy przyjaciel.

- Wieża Eiffla! - krzyknęła Molly. - Jaka piękna! Och, Fabrice, dziękuję! - Impulsywnie ścisnęła go w pasie, niezdarnie wyrażając wdzięczność.

Odwrócił się i obdarzył ją tak zabójczym uśmiechem, że mało nie spadła ze skutera. Twarz miał bardzo blisko...

Przez moment była całkowicie pewna, że zaraz ją pocałuje.

- Zmęczona? - spytał. - Nie!

\* **Wielcy mężczyźni.**

## Weekend w Paryżu

54

- No to jedziemy!

Niezbyt szybko poprowadził skuter w dół. Wieża Eiffła malała i malała, aż w końcu zniknęła za horyzontem. Teraz na pewno pojedą w jakieś wyjątkowe miejsce. I bardzo dobrze. Molly zaczynała rozumieć Francuzów. Wiedziała, że zwiedzanie miasta nie musi się skończyć niczym, czego by sobie nie życzyła. Paryżanie dawali miłości czas i podobała jej się ta wyrafinowana koncepcja. Będą się całować w odpowiednim momencie.

Poza tym - w kaskach byłoby trudno.

Niezależnie od tego, dokąd jechali, było to daleko. Skręcili do rzeki inną drogą, przejechali na prawy brzeg jakimś mostem, którego nie rozpoznała, i znaleźli się w dzielnicy pełnej szerokich ulic, przecinanych gęsto placami wielkości przynajmniej Trafalgar Square. Budynki wyglądały na zadowolone z siebie, świadome własnej ważności, dumne i napuszone do nieprawdopodobnych rozmiarów, uszlachetnione wymuskanyymi frontonami oraz flagami. Przywodziły na myśl czasy wiktoriańskiej świetności, cylindrów i fraków. Jakby zerkały butnie jeden na drugi, przez *pince-nez*. A przecież jednocześnie była pewna wyniosła godność w tych złoconych kopułach i kolumnach o skreślonych trzonach, czuło się jakąś frywolność w elementach metalowych i w gęstych gałęziach drzew. Nawet pomniki przedstawiające szlachetnych mężczyzn - oraz ich szlachetne rumaki - przepęłniały Molly zachwytem. *Liberie, egalite, fraternite\** Zwłaszcza *fraternite*. Ulica za ulicą piękny Paryż otwierał serce przed oczarowaną nim Angielką.

Mijali stacje metra o pięknie sklepionych wejściach i egzotycznych nazwach, intrygujące arkady ze sklepami, teatry reklamujące repertuar na plakatach wystawionych na ulicę, mroczne antykwariaty, oferujące bogato złocone fotele i naturalnej wielkości posągi murzyńskich niewolników. Promenada stopniowo się zwężała. Raz przejechali w poprzek większy bulwar, zasnuty mgiełką spalin i zalany krzykliwym światłem neonów. A potem ruszyli przez labirynt coraz węższych uliczek, stale pnących się w górę.

Wreszcie stanęli. Fabrice wyłączył silnik, wyjął kluczyk ze stacyjki. Zapadła absolutna cisza. Znajdowali się na skwerze o nierównych bokach, otoczonym pomalowanymi na biało domami. Na środku rosło drzewo. W świetle stylowej latarni, żywcem wyjętej z „Opowieści z Narnii”, liście błyszcząły złotem. Coś było takiego

\* **Wolność, równość, braterstwo.**

*Robyn Sisman*

w ciszy, w spokoju, w uroku tego miejsca, że Molly miała wrażenie, jakby przeniosła się w krainę baśni.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, schodząc ze skutera. Zdjęła kask i potrząsnęła włosami.

- To Montmartre.

Fabrice włożył oba kaski do bagażnika i zabezpieczył skuter grubym łańcuchem. Był jeszcze przystojniejszy, niż jej się przedtem wydawało. Patrzyła na jego zręczne ruchy, na grę mięśni pod skórą, na smukłe piękne palce, nie mogąc opanować westchnienia.

- Jakoś nie widzę turystów - odezwała się szybko, żeby je zatuszować.

- Bo jest noc. Zresztą, turyści oglądają głównie bazylikę Sacre Coeur. - Machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. - Tutaj jest prawdziwy Montmartre, tutaj ludzie mieszkają, pracują, wychowują dzieci i piją *coupe rouge*\* z przyjaciółmi. Ta dzielnica jest jak oddzielne miasteczko. Chodź, sama zobaczysz.

Prowadząc ją w stronę schodów, wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Swobodnie wetknął jednego między rozchylone wargi, przekrzywił głowę i pstryknął zapalniczką. Płomyk ozłocił mu policzki i opuszczone rzęsy.

Wydmuchując dym, Fabrice lekko wydał usta. Molly miała niejasne wrażenie, że nie lubi palaczy, ale jakoś akurat nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego.

Przechadzali się wolno alejkami, pokonywali strome schody, wędrowali przez plamy światła i głęboki cień drzew, obok porośniętych bluszczem willi i tarasowych ogrodów. Minęli nawet niewielką winnicę, gdzie wytwarzano straszego cienkusza. Tak w każdym razie mówił Fabrice. Powietrze było świeże i rześkie, więc z pewnością znajdowali się wysoko ponad zadymionym miastem. Od czasu do czasu dobiegał do nich szmer wody z jakiejś fontanny albo ukrytego strumyczka. Poza tym dzielnica trwała w takiej ciszy, że równie dobrze mogliby się okazać jedyne żywe istoty na świecie.

Fabrice wyjaśnił, dlaczego Montmartre jest nazywany wzgórzem męczenników, wspomniał coś o Napoleonie i pokazał dom jakiejś francuskiej gwiazdy filmowej, o której Molly w życiu nie słyszała. Był naprawdę inteligentny. Musiała się zdrowo wysilić, żeby znaleźć jakąś nietuzinkową odpowiedź. Bo patrzeć chciała w zasadzie tylko na niego. A wiedzieć chciała tylko, czyją lubi.

\* **Kieliszek czerwonego (wina).**

## Weekend w Paryżu

56

- Oczywiście mieszkali tu wszyscy sławni malarze - wykrztusiła w końcu. - Picasso i inni... - Rany, kubiści? Czy surrealiści? Fatalnie byłoby popełnić taki błąd.

Fabrice przewrócił oczami i zaśmiał się cicho.

- Ech, Molly, ty i ta twoja miłość do sztuki... Cudowna jesteś.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się z drżeniem, pragnąc z całego serca, żeby to była prawda.

Ujął ją za ramiona, obrócił twarzą w stronę rzędu budynków wystylizowanych na wiejskie chaty i machnął w kierunku jednego z nich papierosem. Zniżył głos, a jego oddech połaskotał Molly w ucho.

- Akurat w tym domu Cliche i Maladroit\* zapoczątkowali trend nazwany potem głupolizmem. Warto zwrócić uwagę na napis starannie wykaligrafowany nad wejściem: „przekąski”.

- Daj spokój! - zaśmiała się Molly. Obrócił ją twarzą w inną stronę.

- A tutaj mieści się studio znanego artysty, pana Pieczarki. W późniejszym okresie połączył się z Idiotami i w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym razem przygotowali szokującą wystawę „Pokaz Fasolki Szparagowej”.

Molly, nieprzytomna ze śmiechu, odurzona dotykiem Fabrice'a, dała się zamknąć w ciepłym uścisku jego ramienia. Razem szli ulicą, stawiając dumne kroki. Zatrzymali się przed różowym kwadratowym domkiem z zamkniętymi okiennicami.

- *E voila*\*\*\ - oznajmił z dramatycznym napięciem w głosie. - Oto słynny bar, gdzie pan Tost zwykł przychodzić ze swoją kochanką, *chanteuse*\*\*\* Muscadet, zanim go porzuciła dla Roquefor-ta. Wszyscy oni już nie żyją - *helas*\*\*\*\*\ - zostali pochowani na Cmentarzu Zupy Rybnej.

- Przestań! - wychrypiała Molly, z trudem łapiąc oddech.

Teraz już Fabrice także parskał... mało tego, właściwie rechotał.

Nagle zaskrzypiała otwierana okiennica i na ulicę wylał się strumień wykrzykników pełnych oburzenia. Jakaś kobieta w nocnej koszuli wychyliła się z okna na piętrze, wrzeszcząc jak opętana. Molly niewiele rozumiała z padających słów, ale doskonale pojęła sens. Bo czy porządna kobieta nie może odpocząć spokojnie we własnym łóżku w środku nocy? Co się dzisiaj dzieje z tymi młodymi?

**\* Stereotyp i Tępota. \*\* Proszę bardzo! \*\*\* Śpiewaczką. \*\*\*\* Niestety!**



*Robyn Sisman*

Fabrice mruknął coś nadąsany. W końcu nie robili nic złego, po prostu spacerowali, to przecież nie zbrodnia.

- Zwariowani kochasie! - odparła kobieta. Jeśli nie wyniosą się natychmiast, wzywa policję. I zatrzęsnęła okno. Molly i Fabrice spojrzeli po sobie i zachichotali, jednak z poczuciem winy. Wziął ją za rękę i poprowadził uliczką w górę, skradając się na palcach i gestem nakazując milczenie. Dopiero kiedy stracili z oczu feralny dom, ruszyli normalnym krokiem. Wkrótce dotarli do niewielkiego skweru na skrzyżowaniu. Choć był nie większy od przeciętnego salonu, pomieścił doskonale rozplanowane trzy drzewa, kutą w żelazie ławkę i rzeźbę przedstawiającą jakąś parę w miłosnym uścisku.

- Możemy usiąść na chwilę? - spytała Molly. - Nogi mnie boją.

- Jasne. - Poprowadził ją po kamiennych stopniach i posadził. Gdy tylko zdjęła sandałki (jednak trochę za małe), sięgnął po jej stopy. - Biedactwo. Daj, pomasuję. - Położył je sobie na kolanach i zaczął delikatnie rozcierać.

Z początku Molly czuła się skępowana. Miała ogromną nadzieję, że jej nogi nie wydzielają zbyt intensywnego *odeur*. Ale ten stan nie trwał długo. Po chwili całe jej ciało ogarnęło cudowne odprężenie. Nigdy dotąd nikt nie dotykał jej stóp w taki sposób. Nie wiedziała, że stanowią one tak erogenne strefy. A może jest zboczona? Złota spódnica, brak bielizny... Francuski masaż stóp... Może miała jakieś geny, których do tej pory nie odkryła?

Oparła się wygodnie i z lubością obserwowała, jak Fabrice uciska przepięknymi dłońmi jej kostki. Musiała szybko wziąć się w garść, żeby nie zacząć szlochać z rozkoszy.

- Kto to? - spytała, wskazując rzeźbę.

- Nie wiem. - Fabrice wzruszył ramionami i obdarzył Molly chytrym uśmieszkiem. - Może jacyś zwariowani kochasie?

Uciekła spojrzeniem, ale gdy tylko spuścił wzrok, znów się na niego zagapiła. Nie mogła nic na to poradzić. Jak zahipnotyzowana musiała się przypatrywać dołeczкови w kąciку jego ust i włosom spadającym na czoło.

- Lepiej? - spytał Fabrice.

- Co? A, tak. Tak. Dziękuję. - Niezupełnie przytomna, opuściła nogi na ziemię i zaczęła zapinać paski sandałów.

- To dobrze. Chcę ci jeszcze coś pokazać.

Kolejne uliczki poprowadziły ich w górę. Tutaj było więcej sklepów, oczywiście zamkniętych. Zresztą to były tylko kramy z gadżetami dla turystów,

## *Weekend w Paryżu*

65

Jak dobrze nie być turystką i mieć do własnej dyspozycji przewodnika Francuza, paryżanina, który oprowadza cię po mieście. Cóż, w zasadzie Fabrice nie był taki znowu jej własny, ale mu się podobała, bez dwóch zdań. Doskonale pamiętała spojrzenie, jakim ją obdarzył, kiedy powiedział „zwariowani kochasie”. Z pewnością nastąpi jakiś ciąg dalszy. Już sobie wyobrażała, co może stać się jutro i pojutrze, i w następne weekendy... Nawet zaczęła rozważać, jakie wrażenie Fabrice zrobi na Grubej Sal, kiedy przyjedzie do Londynu.

Zatopiona w myślach nie zwracała uwagi, dokąd idzie.

- Widzisz? - spytał Fabrice.

Znajdowali się na skraju wielkiej kamiennej platformy. Tuż za nią zaczynał się stromy stok. Pod nimi, we wszystkie strony, daleko jak okiem sięgnąć, błyszczały światła Paryża. Rzeka pełzła między nimi, podobna do tłustego czarnego węża. Kopuły i wieże, iglice i dzwonnice, kamienice i drapacze chmur i... wieża Eiffla. Fantastyczny widok.

- Tylko się nie oglądaj - przestrzegł Fabrice.

Rzecz jasna, obejrzała się natychmiast. Zaledwie kilkaset metrów od nich bazylika Sacre Coeur błyszczała niczym gigantyczny tort weselny.

- Jak jakiś wrzód - oznajmił Fabrice, wypychając dolną wargę. - Bękart w świecie architektury. Bez dwóch zdań.

Molly poważnie skinęła głową. Chociaż jej zdaniem bazylika była piękna, zupełnie jak Tadź Mahal.

Odwrócili się znowu, by podziwiać panoramę. Gdzieś daleko po lewej stronie na horyzoncie zapaliła się czerwona łuna. Może jakaś fabryka, a może pożar?

- Co tam jest? - spytała Molly, wskazując palcem jaśniejące miejsce. - Mam nadzieję, że nie pożar?

- Spokojnie, maleńka, to jest słońce.

- Co takiego?! - Przesunęła wzrokiem po paryskim niebie ze wschodu na zachód od poróżowiałej szarości po rozgwieżdżoną czerń - i z powrotem. Fabrice miał rację. Wstawał nowy dzień.

- Będzie bardzo ładnie - dodał. - Masz szczęście.

Molly uśmiechnęła się leciutko. Oczywiście. Ma szczęście i pogoda będzie cudowna. Poznała fantastycznego Francuza. - Mój pierwszy dzień w Paryżu - szepnęła z rozmarzeniem. - Co robimy?

Fabrice spojrział na nią pytająco.

*Robyn Sisman*

- Jeśli nie jesteś zajęty, jeśli chcesz...

Popatrzył jej prosto w oczy tym swoim rozmarzonym i lekko zamglonym spojrzeniem.

- Możemy robić, co tylko zechcesz - obiecała. - Naprawdę wszystko. - Spiekła raka.

- Molly... - westchnął Fabrice. Jak on cudownie wymawiał jej imię! Me-li. - Wiesz, mam niezły pomysł. Zaraz, napiszę ci... - Znalazł długopis, ale nie miał papieru, więc oddał fragment niebiesko--białej paczki papierosów, napisał coś na odwrocie i wetknął kartonik do kieszeni zakietu Molly. - A teraz odwiozę cię do domu - oznajmił. - Gdzie mieszkasz? W hotelu? W hostelu?

Molly potrafiłaby wyrecytować nazwę i adres hoteliku nawet przez sen, a wszystko przez ten straszliwy moment w klubie, kiedy była przekonana, że zgubiła Alicię i Zabi. Fabrice uznał, że mu tamtędy po drodze. W niedługim czasie wrócili do skutera, Molly wsiadła, a kiedy Fabrice dumnie ryknął silnikiem, uśmiechnęła się czule.

- Wolisz jechać szybko czy wolno? - krzyknął przez ramię.

- Szybko! - Była to jedyna właściwa odpowiedź.

Ruszyli w stronę Sacre Coeur, podskakując na kocich łbach i nabierając prędkości. Światło lampy bladło, w miarę jak rozjaśniało się niebo. Na szczycie wzgórza Fabrice zatrzymał skuter. Ustawił go przodem do długiego ciągu stromych kamiennych schodów.

- Nie! - wyrwało się Molly. - Tak!

Skuter zanurkował pod kątem czterdziestu pięciu stopni i popędzili w dół z prędkością zapierającą dech w piersiach. Molly zacisnęła powieki i kurczowo chwyciła się Fabrice'a. Ułamek sekundy jechali poziomo i znowu mknęli ostro w dół, ten rytm powtórzył się kilkakrotnie. Ktoś coś zawołał - spojrzała przez ramię i dostrzegła jakiegoś niebotycznie zdumionego mężczyznę z koszykiem ostryg w ręku. Na widok jego miny zachciało jej się śmiać. W końcu znaleźli się na szerokim prostym bulwarze i włączyli w niemrawy jeszcze ruch uliczny. Nowy dzień dopiero się budził, ale już wyraźnie powlókł niebo perłową szarością. Zaczynała się zwykła krzątanina. Molly przytuliła się policzkiem do pleców Fabrice'a i zamknęła oczy. Cały świat skurczył się do ciepła jego ciała, zamkniętego w jej ramionach, do gładkich ruchów mięśni pod palcami, pomruku silnika, trąbienia klaksonów, przytłumionego zgiełku.

## *Weekend w Paryżu*

60

Gdy następnym razem otworzyła oczy, świat zaczynał już odzyskiwać kolory. Zatrzymali się przy światłach na placu Republiki. Właśnie tutaj wyszła z metra jakieś osiem godzin wcześniej. Już nie wydawał jej się wielki, ponury ani przerażający. Stała na nim nieduża karuzela... Jak mogła ją przeoczyć? Kelner w białym fartuchu i czarnej kamizelce ustawiał przed kawiarenką wiklinowe krzesła. Każde wycierał miękką szmatką i po kolei, metodycznie zanosił na właściwe miejsce. Akurat dostrzegł znajomego.

- *Salut\**, Bernard! - zawołał.

- Witaj, Martin, *salut!* - Podali sobie ręce.

Fabrice skręcał w węższe, spokojniejsze uliczki. Minęli dwie dopiero co otwarte budki z prasą. Jakiś starszy mężczyzna w kapciach kupował właśnie poranną gazetę. Przy chodniku parkowały szare furgonetki z otwartymi bagażnikami, sprzedawano z nich winogrona, kruchą sałatę i pomidory w kilku kolorach, pakowane w folie goździki oraz lilie, czarne błyszczące homary, wędrujące niemrawo po suchym lodzie. Ulicą jechała zielona, wielka ciężarówka, spryskując chodniki silnym strumieniem wody. Schematyczny rysunek na jej boku przedstawiał postać trzymającą w triumfalnie uniesionej dłoni niewielką torebkę. Pod nią wypisano hasło: „Kocham swoje miasto. Sprzątam po swoim psie!”. Właśnie w tej chwili Molly rozpoznała wąską, spokojną uliczkę, przy której stał jej hotel. Kot siedział na progu, robiąc poranną toaletę.

- To tutaj - powiedziała Fabrice'owi prosto do ucha. Gdy stanęli, nie potrafiła sama zejść ze skutera. Najchętniej zostałyby tak po wieki wieków. - Nic z tego - mruknęła. - Nie idę. Ewentualnie poproszę poduszkę. - Objęła go mocniej i wtuliła twarz w kurtkę.

- *Arretes, toi!\*\** - roześmiał się głośno. Chwycił ją za łokieć i pomógł stanąć na nogi. Zakołysała się lekko, ledwo łapiąc równowagę. - Biedna Molly. - Ustawił skuter na podnóżku, zsiadł. Zdjął jej kask i starannie poprawił włosy. - Wiesz, jesteś naprawdę śliczna.

- E, tam - szepnęła.

- Masz piękne włosy. I taki angielski nosek. - Leciutko przesunął po nim opuszką palca.

- Łaskoczesz mnie.

- I piękny uśmiech. - Kłykciami musnął jej usta.

\* **Cześć!** \*\* **Spokojnie!**

61

*Robyn Sisman*

Rozklejała się. Opadły jej powieki.

Przycisnął ją do siebie mocno, pocałował żarliwie i gorąco, aż musiała odchylić głowę do tyłu i bezwiednie wygięła się w łuk, poddana namiętności. Czowała nacisk twardych ud, umięśnionego torsu napierającego na jej piersi.

Oszołomił ją zapach mężczyzny, jego skóry, jego pożądania. Połączyli oddechy, smakując siebie nawzajem, ich serca biły jednym rytmem.

Kiedyś jednak musiał nastąpić koniec. Fabrice odsunął się i dopilnował, by Molly stanęła o własnych siłach.

- Do jutra - powiedział.

Pokiwała głową nieprzytomnie, ale zaraz go poprawiła.

- Do dzisiaj.

- Idź już - uśmiechnął się Fabrice. - Do łóżeczka. *Fait dodo*\*. Stała na krawężniku i patrzyła, jak zawracał. Kurtka wzdęła się

na wietrze. Ale miał pięknie zgięte nogi i ręce! A jak cudnie trzymał kierownicę! Akurat kiedy skręcił za róg, pierwszy promień słońca ozłocił świeżo wymytą ulicę, zmieniając kropelki wody w brylanty. Wysoko na drzewie rozspiewał się jakiś ptak. W powietrzu zagościła rozkoszna woń świeżego chleba. Zupełnie jakby świat rodził się na nowo.

\* **Lulu.**

### *Rozdział szósty*

Malcolm Figg siedział przy idiotycznym złożonym stoliku, który w jego hotelowym pokoju pełnił funkcję biurka, i niecierpliwie stukał ołówkiem w lśniący blat, czekając, aż ktoś zechce podnieść słuchawkę. Chociaż na wyciągnięcie ręki stał telefon stacjonarny, wolał korzystać ze swojej komórki: szybko, tanio, żadnego pierniczenia się z jakimiś instrukcjami w obcym języku, no i przede wszystkim - dyskrecja gwarantowana. Nie takie numery z Malcolmem Figgiem.

Może i nie takie. Ale kiedy sobie przypominał, jak któregoś razu przez całą prezentację przyciągał uwagę obecnych fragmentem bokserek wyglądających z rozporka, odruchowo sprawdził, czy wszystko w porządku. Tak, wszystko jest jak trzeba. Każdy szczegół na swoim miejscu i pod kontrolą. Ćwiczenie czyni mistrza. Najważniejsze są detale. Właśnie dzięki nim doszedł do tego, czym dzisiaj mógł się poszczycić. I żadna mądralińska, nawet z dziesięcioma dyplomami, nie będzie się na niego wypinała!

Odbierze wreszcie ten telefon czy nie?!

Wczoraj, dopiero późno w nocy, sprawdzając materiały konferencyjne przygotowane przez Molly, zanim jeszcze odstawiła ten swój kretyński numer z porzuceniem pracy, odkrył, że brakuje dysku z wykresami. W efekcie nie mógł zasnąć i ze strachu pocił się jak ruda mysz. Przecież w niedzielę, w samo południe, miał stanąć przed czterystoma medykami i przedstawić im nowy lek na wrzody firmy Phipps Lauzer Bergman, a następnie zaprezentować opinie szanowanych ekspertów naukowych. Po raz pierwszy w dotychczasowej karierze pozwolono mu na odegranie tak znaczącej roli

*Robyn Sisman*

i miała ona z pewnością stać się ważkim argumentem na jego drodze kariery. Zgodnie z radami zawartymi w artykule „Jak osiągnąć sukces” z „Men's Health”, specjalnie na tę okazję kupił nowy garnitur, odwiedził fryzjera i manikiurzystkę. Wypróbował każdy z osobna akcent audiowizualny, od fanfar towarzyszących logo PLB, po krótkie ujęcia z laboratorium, które musiały być skoordynowane z gładzeniem mózgowców w białych fartuchach i zilustrowane odpowiednimi obrazami wirusów, fragmentów tkanek, skanami organów i innymi takimi. To była najlepsza prezentacja, jaką ktokolwiek miał zaszczyt dotąd oglądać - ale wyłącznie z dyskiem. Bez niego Malcolm równie dobrze mógł się poddać od razu. Wredne krówestwo! Wydzwaniał do niej dziesiątki razy. Albo wyłączyła komórkę, albo przerzuciła rozmowy na sekretarkę. Zostawił już trzy wiadomości. Wyjechała gdzieś? A może jeszcze spała, chociaż minęło południe? No dobrze, jeszcze nie. Według czasu angielskiego -jedenasta trzydzieści. Nad ranem, wierząc się niespokojnie w pościeli, doznał olśnienia. Jak tylko wybije jakaś przyzwoita godzina, zadzwoni do młodszego wspólnika w Londynie i zmusi go, by poszedł do biura i odszukał domowy numer telefonu Molly. Gdzieś musi być, choćby na podaniu o pracę, które zapewne leżało w którejś z szaf. A ponieważ w Londynie było godzinę wcześniej niż w Paryżu, czekał w nieskończoność. Zanim dostał numer tej kre-tynki, minęła jedenasta. Z każdą następną minutą mocniej zaciskała mu się pętla na szyi. No! Nareszcie! W słuchawce rozległo się szerokie ziewnięcie i jakiś nieprzytomny pomruk. Obudził ją. Doskonale. - Co jest? - usłyszał schrypnięty głos.

- Molly, niech cię szlag! To ty?

- Sal. Śpię.

Na linii zapadła głucha cisza. Jasna cholera! Walnął w przycisk powtórnego wybierania. Jeżeli musiał obudzić współlokatorkę Molly, żeby dotrzeć do tej kretynki, trudno. Ciekawe, swoją drogą, może Molly jest lesbijką? To by wiele wyjaśniało.

- Nooo?

- Chciałbym mówić z Molly. Mam do niej ważną sprawę.

- Nie ma. Paryż.

Nie do wiary! Znowu się rozłączyła!

Malcolm rzucił telefon na stół - ale nie za mocno. Nie chciał uszkodzić nowej obudowy, którą kupił z katalogu wysyłkowego. Model „dyrektorski”, w odcieniu orzecha, kosztowny, wart jednak swo-

## *Weekend w Paryżu*

64

jej ceny. Szanuj samego siebie, a inni będą cię szanowali. Wcisnął ponownie guzik z zieloną słuchawką. Czas na zmianę strategii. Patrząc w zawieszzone nad stołem lustro, wygładził krawat i przybrał wyraz twarzy wyuczony podczas kursu „Relacje z klientem. Techniki zaawansowane”, w którym ostatnio brał udział. Uśmiech równa się sukcesowi. Przygotował się do roztoczenia nieodpartego czaru.

- Nooo?

- Saaal? Mówi Malcolm. Miło mi cię słyszeć.

- Co za Malcolm? Zboczeniec jakiś?

- Świetny żart. Jestem szefem Molly. Nazywam się Malcolm Figg. Przez dwa „g”. O ile mi wiadomo, nie miałem przyjemności pani poznać, ale tak czy inaczej, muszę się jak najszybciej skontaktować z Molly.

- Mówiłam, że jej nie ma. - W tle rozległy się zgrzytliwe jęki sprężyn, a potem ciężkie westchnienie. - No, koniec, rozbudziłam się na dobre. - Ogromnie mi przykro. Czy mógłbym się dowiedzieć, kiedy spodziewa się pani powrotu Molly? - Nie wiem, powaga. Emm... jaki dzisiaj dzień? Malcolm rozpaczliwym gestem zakrył oczy.

- Sobota.

- Przecież ona w soboty nie pracuje.

- Nie. To znaczy, tak, rzeczywiście. W zasadzie powinna, gdyby... - Malcolm zacisnął zęby. Znowu to samo. Tak właśnie działały na niego kobiety. Robiły mu wodę z mózgu, wchodziły na głowę, a język stawał mu kołkiem. Zastosował głębokie oddychanie przeponowe. Spokój wzbudza zaufanie.

- Zaraz! - ożywiła się nagle Sal. - A czy ty przypadkiem nie jesteś tym Malcolmem, którego poznałam w Szeherzadzie dwa miesiące temu?

-Nie.

- Może to było w Viva Tango. -Nie!

- Masz podobny głos. -Ale to nie ja.

- Bo widzisz, on poszedł po Vodka Red Bali i zginął. A szkoda, bo w sumie mi się podobał. Trochę wulgarny, fantastycznie przystojny brunet...

-Posłuchaj, dam ci swój numer... - „Przejmij inicjatywę”. - Przekaż Molly, żeby koniecznie do mnie jak najszybciej zadzwoniła.



*Robyn Sisman*

- Moment... już wiem. Ona pojechała na weekend do Paryża.

- Nie pojechała do Paryża!

- Spokojnie... mam kaca, o co tyle krzyku...?

- Rzecz właśnie w tym, że ja jestem w Paryżu, a ona nie. A mnie potrzebne coś, co ona ma. Co więcej, jeśli nie dostanę tego dzisiaj, będę zmuszony wysunąć oskarżenie o przywłaszczenie dobra spółki.

- Co, przepraszam? - Nie mówiąc o niedotrzymaniu warunków umowy o pracę.

- Wiesz co, słodziutki, nie mam sinobladego pojęcia, o czym ty bredzisz.

Malcolm zazgrzytał zębami. Niestety, odpuścił sobie sesję dotyczącą kontroli nad uczuciami negatywnymi na rzecz fantastycznej partyjki golfa. - Innymi słowy, sprawą może się zająć policja.

- Policja?! - Przez jeden cudowny moment Malcolm sądził, że zyskał niepodzielną uwagę rozmówczynie. - Bez żartów. Molly nie z tych, co łamią prawo. - Powiedziałem, że ingerencja policji jest możliwa. Jeśli Molly się ze mną skontaktuje, nie będzie tak źle. - Aha. Powtórz, jak się nazywasz.

- Malcolm Figg. Przez dwa „g”. Z PLB Farmaceutyki.

- Farma... co? Coś z rolnictwem?

- Rany boskie! Dobra, dajmy spokój firmie. Powtórz jej tylko, że ma zadzwonić do Malcolma. Będzie wiedziała, do kogo. Podyktuję ci numer. Masz coś do pisania?

- Słonko, jestem w łóżku. Jeżeli podyktujesz mi numer wolno i wyraźnie, spróbuję zapamiętać.

Malcolm zrobił do lustra minę Hannibala Lectera.

- Ooo! - ucieszyła się Sal. - Mam szminkę. „Pomarańczowy karnawał”. Napiszę na „Vogue”.

Zanim Malcolm skończył rozmowę, włosy stały mu dęba, a pot ściekał po plecach strumieniami. Próbował się uspokoić, grając na komórce w węża, ale nerwy miał w strzępach do tego stopnia, że doszedł zaledwie do trzystu punktów. Przewinął menu, sprawdził swój najlepszy wynik. Sześćset pięćdziesiąt siedem, zdaje się? Owszem. Świetnie. Doskonale.

Sprytny z niego chłopak, bez dwóch zdań. Któregoś dnia ludzie się na nim poznają. Kiedyś zdobędzie własne miejsce parkingowe i będzie na nim stawiał smukłą gablotę ze skórzanymi siedzeniami oraz japońskim zestawem stereo, który widział w markecie z elek-

troniką. Kupi apartament z widokiem na rzekę, w łazience zainstaluje taki prysznic, co to rozpyła wodę we wszystkich kierunkach, w sypialni ustawi łóżko wielkie jak słoń, dorzuci przyzwoite kino domowe i będzie oglądał kanał sportowy. Albo jeszcze lepiej: zafunduje sobie willę z basenem w jakimś rajskim zakątku, będzie popijał kolorowe drinki z palemką, jeździł po okolicy kabrioletem - albo może jakimś bajeranckim wozem terenowym - i podrywał chętne blondynki opalone na czekoladkę. We własnej firmie będzie rządził wszystkim i wszystkimi jako pan i władca i już nigdy w życiu nie kiwnie palcem, żeby się podlizywać grubym rybom z korporacji. Zapomni o pouczeniach tych ciężkich idiotów z kupą znaczących literek przed nazwiskiem i nie pozwoli żadnej oślicy sekretarce o krowich oczach robić się w cztery litery!

O tak. Molly Clearwater to pomyłka na całej linii. Z papierów wyglądała na osobę bystrą, chociaż może trochę za dużo uczoną. Siedziała po godzinach, to fakt. Trzeba jej oddać sprawiedliwość. Ale nie docierały do niej najważniejsze rzeczy z biurowego życia. Na przykład: odbierała dla niego wiadomości, pięknie mu je przekazywała, razem z godziną połączenia, numerem dzwoniącego i wszystkimi tymi kompletnie zbędnymi detalami, a jednocześnie najwyraźniej całkiem nie kumała czaczy i nigdy nie reagowała jak trzeba, kiedy dawał jej do zrozumienia. W ogóle najpierw zachowywała się, jakby nie umiała do trzech zliczyć, a potem przesadzała w drugą stronę i wyglądało na to, że potrafiłaby wszystko zrobić lepiej niż on, gdyby tylko miała okazję. Do szału go doprowadzały jej uszczypliwe poprawki. Kogo obchodzi, czy alternatywa to jedna możliwość, dwie czy piętnaście? Robota jest po to, żeby się trochę rozerwać, odwalić swoje i piąć się coraz wyżej.

Wybrał ją wyłącznie ze względu na wygląd. Przecież bez sensu byłoby zatrudniać jakąś raszplę. Mężczyzna musi być otoczony atrakcyjnymi kobietami. Przynajmniej tyle jest sobie winien. Normalnie nie zdecydowałby się na tę niewinną owieczkę o wielkich błękitnych oczach i urodzie w typie angielskiej róży, ale w Molly było coś szczególnego, jakaś dojrzałość, która go zafascynowała. Po prostu ogień w kostce lodu. Planował, że któregoś dnia będzie go błagała o więcej. Na przykład w Paryżu, gdzie po paru drinkach przy jego doświadczeniu nie miałyby najmniejszych szans.

Najmniejszych, powtórzył sobie w duchu, wymazując z pamięci fakt, że czasami patrzyła na niego, jakby był skrzyżowaniem świra z kretynem.

*Robyn Sisman*

Chryste! Co z tymi włosami?! Przecież nie mógł w takim stanie wrócić na konferencję.

Chwytał żel, rozsmarował na włosach i zaczesał je gładko. Tylko nad czołem zostawił sterczący kosmyk. Seksownie. Podobał się Molly, bez dwóch zdań. Bo inaczej po co by przy nim skakała? Biegała po jego ulubioną kawę, zostawała długo po godzinach... Na pewno też nie przegapiła sygnałów, które jej wysyłał: komplementy na temat jej ubrań, zwłaszcza tych zapinanych na guziki, pozwolenie na wprowadzenie do garażu jego wozu - na pewno była pod wrażeniem turbodoładowania, no i w końcu ta wycieczka do Paryża, z perspektywą najwspanialszej nocy jej życia - w kabarecie Crazy Horse - w jego towarzystwie oraz z nim samym na deser.

Co z tym babami? Wystarczy niewielki błąd, naprawdę drobiaż-dżek, tak mały, że trudno się domyślić, co właściwie poszło nie tak - a one dają nogę. Molly Clearwater zostawiła go z ręką w nocniku. Pewnie to było napięcie przedmiesiączkowe. Wszystkie te papiery walające się teraz po podłodze miały się znaleźć u niej w pokoju. A ona powinna je cierpliwie segregować.

Malcolm potoczył lekko nieprzytomnym wzrokiem po broszurach, raportach i folderach ozdobionych nagłówkiem „Trzynasty międzynarodowy kongres gastroenterologów”, upchniętych w pudełkach z pustymi paskami na tytuły, po długopisach i parasolkach z logo PLB. Co za cyrk!

W hotelu roilo się od doktorków z całego świata, głównie konsultantów i ludzi opiniotwórczych, było też trochę młodych Turków i oczywiście parę grubych ryb z Phipps Lauzer Bergman oraz innych spółek farmaceutycznych sponsorujących konferencję. Lekarze udawali, że przyjechali tu dyskutować o nowych wynalazkach i głośno czytać swoje wypociny na temat jelita cienkiego pomiędzy sześciodaniowymi posiłkami oraz suto zakrapianymi kolacyjkami. Spółki farmaceutyczne fundujące tę komedię wiedziały swoje: tworzyły sobie w ten sposób szansę na „przekonanie” doktorków, by przepisywali pacjentom te, a nie inne leki, oferując im fundusze na programy badawcze oraz miłą świadomość wsparcia w razie procesów o błąd w sztuce - a każda z tych ofert mogła być warta miliony. Złota zasada spółek farmakologicznych kazała przedstawiać swoją firmę w możliwie najkorzystniejszym świetle. A Malcolm bez tego dysku z danymi wyjdzie na kompletnego dyletanta. Łącznie ze swoją firmą. Szefowie nie będą uszczęśliwieni.

## *Weekend w Paryżu*

68

Jak tylko dopadnie Molly, udusi ją gołymi rękami. A przynajmniej dopilnuje, żeby już nigdy nie dostała roboty w tej branży. Nie mógł się doczekać, kiedy jej wystawi referencje.

Na razie jednak nie miał pojęcia, co powinien zrobić w kwestii damskiego towarzystwa. Nie było czasu na ściąganie innej dziewczyny z biura. A dwa koszmarnie drogie bilety do Crazy Horse czekały na niego w kabarecie, co oznaczało, że jakaś szczęściara będzie miała bardzo miły wieczór. Wystarczyło ją znaleźć. Trzeba będzie zamienić słówko z *concierge*\*, wsunąć mu jakiś banknot do kieszeni, z przymrużeniem oka zapytać o dziewczynki. Da się załatwić. Wystarczy trochę tego... sawłarfer, jak to mawiają Francuzi.

Spojrzał na zegarek. Czas ruszać do sali. Przełączył telefon na wibracje, wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Na chwilę przystanął przed lustrem, poprawił identyfikator i pozwolił sobie na tygrysie warknięcie. Dobrze wyglądasz, Malc, zapewnił siebie i poszedł na konferencję.

**\* Z portierem.**

### *Rozdział siódmy*

O, nie, tylko nie to! Żadnego budzenia. Co za sadysta zapalił światło?!

Molly z jękiem odwróciła się na drugi bok i ukryła twarz w poduszce. Dziwna ta poduszka, obca jakaś, twarda chyba? Jakby wypchana piaskiem. I łóżko też nie takie, zamiast kołdry - prześcieradło i włochaty koc.

Otworzyła oczy, krzywiąc się z powodu światła.

Ach, nie, to nie lampa, to słoneczny blask, który utorował sobie drogę przez cienkie zasłony i rozjaśnił pokój złotawą mgiełką.

Zaraz, to nie jest jej pokój... Jakiś inny... Pokój hotelowy.

Molly otworzyła szeroko oczy, a jej serce fiknęło radosnego kozła.

Paryż!

Fabrice!!!

Wyskoczyła z łóżka całkiem goła, podbiegła do uchylonego okna i jednym ruchem otworzyła je na oścież. Owinęła się zasłonką i wyjrzała. Nowy dzień już dobrze zadomowił się na świecie. Skórę gładziło ciepłe powietrze, niebo było jak z obrazka, idealnie błękitne, pocętkowane niewinnymi białymi obłoczkami. Balsamiczne słońce tańczyło na jasnych ścianach i okiennicach domów naprzeciwko, zmieniając szyby w kryształ i przekształcając w czarodziejskie przedstawienie każdą domową scenkę rozgrywającą się na jednym czy drugim balkoniku: tu kobieta trzepała dywanik powieszony na żelaznej balustradzie, tam jakiś staruszek z czułością przyszczypywał purpurowe geranium, ówdzie biały terier biegał tam i z powrotem, obszczekując coś, co dostrzegł na ulicy.

Molly wychyliła się i powiodła wzrokiem po błyszczących dachach zaparkowanych samochodów: na jednym z nich, w plamie słońca rozłożył się znajomy kot. Przed *brasserie*\* plotkowały zawzięcie trzy dziewczyny z okularami zsuniętymi na włosy, siedzące przy metalowym stoliku.

Molly nie potrafiła rozróżnić słów, ale z rozkoszą chłoneła ich radosny świergot. Ubrana na czarno starsza pani z siwymi włosami zwiniętymi nisko w kok szła wolno, dostojnie, stale w wąskim pasku cienia; dzierżyła torbę na zakupy kipiącą zieleniną. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanego chodnika i świeżej kawy, wzbogacony nutką imbiru z pobliskiej knajpki sprzedającej dania na wynos. *Specialites chinoises - thailandaises*\*\*.

Molly wciągnęła głęboko w płuca te rozkoszne wonie i obróciła twarz do słońca. Gdzieś tam, za tymi dachami, za mozaiką kominów jest Fabrice. Szczęście o mało jej nie rozsadziło.

Była zakochana! Gorąco, namiętnie, beznadziejnie. Świat nie znał drugiego takiego jak Fabrice, tak przystojnego, romantycznego, inteligentnego, tak... francuskiego!

Och, tylko czy on czuł to samo? Kto wie, może właśnie w tej chwili wychylał się z jakiegoś obrośniętego dzikim winem okna na poddaszu i z tęsknotą wymawiał jej imię? Cofnęła się do środka. Przed oczami tańczyły jej słoneczne plamy. Podobno mężczyźni są inni. Tak? A niby skąd to wiadomo? Jak to jest być naprawdę kochaną przez prawdziwego mężczyznę?

Powiedział, że jest piękna.

Podeszła do lustra przymocowanego na drzwiach szafy i przyjrzała się swojemu odbiciu: biel powleczonej różowością, splątane jasne włosy, nieco ciemniejszy trójkąt łączący uda. Przesunęła dłońmi po biodrach, talii, jedwabistych piersiach. Brodawki stwardniały pod palcami, po ciele zaczęła się rozlewać fala gorąca wywołana wspomnieniem zapachu jego skóry, wyrazu ciemnych oczu, żarliwego pocałunku.

Zaraz, chwileczkę, bez przesady! Gdzie te ręce? Co to za myśli?

Chwyciła szlafrok i postanowiła wziąć zimny prysznic. Oczywiście, że nie była zakochana! Po jednej nocy?! Nawet niewiele rozmawiali. Śmieszne!

\* **Dosl. piwiarnia, ale też kawiarenka, nawet restauracyjka.** \*\* **Specjalność: kuchnia chińska i tajlandzka.**

*Robyn Sisman*

Z kluczem zaciśniętym w dłoni, z kosmetyczką w drugiej i ręcznikiem wetkniętym pod ramię ruszyła dumnym krokiem w stronę łazienki.

Hm... A Romeo i Julia? Zakochali się od pierwszego wejrzenia.

I niedługo później popełnili samobójstwo.

Wszystko jedno. Ona wiedziała jedynie, że czuła się tak wspaniale po raz pierwszy w życiu. Nie zaznała czegoś podobnego przy Gavinie Thorpie, który często powtarzał "Jestem genialny", wyjął jej z życiorysu połowę czasu w college'u i zatruł resztę.

Zamknęła za sobą drzwi łazienki. Kto potrafił ocenić, czym jest miłość i jak szybko może się narodzić? Jak to słusznie ujął Szekspir, „Mów mi, gdzie skłonność się chowa? Serce rodzi ją czy głowa?”\*. Tralala... i tak dalej. Owszem, знаła Fabrice'a zaledwie kilka godzin - i co z tego? Z Gavinem przegadała całe godziny i jeszcze dłużej go słuchała, a w końcu okazało się, że to jednak nie była miłość. Z całą pewnością.

Ostrożnie poruszyła gałkę oznaczoną literą „C”. Dobrze. „C”, jak ciepła. Po kilku chwilach dość bolesnych eksperymentów stanęła w poplamionej na żółto wannie, trzymając prysznic nad głową. Kapryśna woda nadal prychała, zmieniając temperaturę, ale już dało się pod nią wytrzymać. Myśli Molly podryfowały w stronę rozłożystego, wietrznego kampusu na wzgórzu, ku salom seminaryjnym pachnącym strachem egzaminowanych.

Zobaczyła samą siebie, gorliwą uczennicę, odrobinę zbyt pulchną, wciśniętą w nowe dzinsy firmy Gap, ozdobione na dole nogawek stokrotkami. Ależ była wtedy naiwna!

Nie pamiętała już dokładnie jak ani dlaczego, ale mniej więcej w wieku lat jedenastu postanowiła, że skończy uniwersytet. I to jakąś poważaną uczelnię, a nie którąś z tych szkół ochrzczonych mianem wyższych, dających absolwentom prawo do tytułu technologa żywienia lub specjalisty do spraw turystyki. Marzył jej się inny świat, nie lokalne plotki o filmie telewizyjnym z minionego wieczora. Chciała dyskutować o książkach i nowych ideach, nie martwić się, czy ma buty sportowe od odpowiedniego producenta. Wiele wysiłku kosztowało ją osiągnięcie najlepszych wyników na egzaminach, nieomal drugie tyle - utorowanie sobie drogi poprzez różne kursy, składanie formularzy, wniosków i podań. Nauczyciele ze

\* **William Szekspir, „Kupiec wenecki”, akt III, scena II, przeł. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979.**

## *Weekend w Paryżu*

72

szkoły średniej, choć niby dodawali odwagi, w zasadzie nie udzielali Molly konkretnej pomocy i nie potrafili jej poprowadzić. Podobnie jak mama, która przerwała naukę na uczelni artystycznej i zawsze twierdziła, że studia nic jej nie dały. Kolejnym problemem były, rzecz jasna, pieniądze, ale i z tym jakoś sobie poradziła: wzięła pożyczkę studencką, dorabiała we wszystkie weekendy, pracowała w ferie i w ten sposób przetrwała pierwszy rok, przestrzegając bardzo oszczędnego budżetu. Nie śmiała nawet marzyć o Oxbridge, więc trzy inne oferty, wśród których znalazła się jedna z północnego uniwersytetu, słynącego z doskonałego poziomu wydziału anglistyki, były dla niej równoznaczne z szerokim uśmiechem fortuny. Znalazła się w siódmym niebie i oczekiwała rajskiego życia intelektualnego.

Chciała się uczyć, kształcić, rozwijać, wdawać w interesujące dysputy, uczestniczyć w burzach mózgów, w umysłowych wzlotach. I dlatego doznała prawdziwego wstrząsu, gdy odkryła, iż większość studentów myśli głównie o tym, czego się napić i z kim pomigdać. W wielkim mieście, daleko od domu, oszołomiona wielkością kampusu i świadoma ryzyka porażki, Molly z początku skupiła się wyłącznie na nauce. Poza wąską grupką przyjaciół, głównie dziewcząt, w których towarzystwie czuła się na tyle swobodnie, by pozostać sobą, wolała nie rzucać się w oczy. I tak to trwało, aż spotkała Gavina.

Na początku drugiego roku studiów, w pewien wiosenny poranek doskonałej urody, siedziała na schodach biblioteki. Trochę się wygrzewała w słońcu, trochę czytała „Rok 1984”, lekturę na zajęcia z literatury i polityki.

- Wspaniała rzecz, prawda? - Usłyszała za sobą. - Absolutnie bezlitosne obnażenie stalinizmu.

Molly obróciła się gwałtownie i ujrzała mężczyznę w okularach, kucającego dwa stopnie wyżej. Obok niego stała wypchana teczka, która już niejedno przeszła.

Aha, pewnie wykładowca. Na studenta za stary.

- Mnie się kojarzy raczej z rządem Blaira - odparła. - Slogany, nowe kierownictwo, kłamliwe słowa... A Winston Smith to prawdziwy wizjoner.

- Rzeczywiście! Racja! - Niecierpliwym gestem odgarnął jasne loki z czoła o szlachetnych proporcjach. - Co za błyskotliwa uwaga! Chociaż kontekst historyczny narzuca oczywiście swój własny krytyczny osąd.



- Jak najbardziej. - Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, ale tak ją polechtało słowo „błyskotliwa”, że nie miała zamiaru pytać.

Prawie godzinę przegadali o Orwellu i dyktaturze, obozach śmierci i wpływie telewizji na społeczeństwo. Była to najwspanialsza rozmowa w życiu Molly. Nowy znajomy ani razu nie spojrzął na jej biust. Ponadto okazało się, iż jest absolwentem Cambridge i pisze pracę doktorską na temat Davida Herberta Lawrence'a. Gdy spytał, czy Molly zechce mu w najbliższy weekend towarzyszyć na premierze nowej sztuki, ponieważ gorąco pragnąłby poznać jej opinię na temat wystawienia - zgodziła się bez najmniejszych oporów.

Po spotkaniu w teatrze była randka na wystawie sztuki, następnie koncert muzyki barokowej, czyli stylu dominującego na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, jak stało w encyklopedii. Potem kolacja w jego mieszkaniu, gdzie z wielką ceremonią gospodarz podał *daube prouenęale* - czyli w zasadzie gulasz.

Gavin nie był przystojny w potocznym znaczeniu tego słowa. Złośliwi mogliby dodać, że w zasadzie także w żadnym innym. Tymczasem Molly imponowało, iż jest traktowana poważnie przez starszego od niej mężczyznę. Dyskutował z nią o thatcheryzmie, sytuacji na Środkowym Wschodzie, puszczał jej niemieckie opery oraz awangardowy jazz i podniesieniem palca zwracał uwagę na wyjątkowe fragmenty. Opowiadał jej o swoich podróżach do Nowego Meksyku i na południe Europy, „śladami Lawrence'a", jak sama nazwała te wyprawy. Dokądkolwiek jechał, zawsze miał przy sobie krugerranda, zaszytego w podszewce kurtki, na wypadek nagłej za- paści ekonomicznej miejscowej gospodarki. Molly była zauroczona.

Jego praca nosiła roboczy tytuł „Waż i pióro - kwestia hermafrodytyzmu w dziełach D.H. Lawrence'a". I choć jeszcze nie była skończona... w zasadzie nawet niespecjalnie rozpoczęta, ze względu na szerokie i fascynujące możliwości badawcze, Molly szybko zgodziła się z niezłomnym przekonaniem Gavina, iż do jej ukończenia brakuje zaledwie przełożenia myśli na słowa, a wówczas to prekursorskie dzieło wstrząśnie międzynarodowym środowiskiem akademickim. Okazała się godną towarzyszką w bardziej przyziemnych aspektach sztuki wyższej, więc długie godziny spędzali na analizowaniu różnych masek psychoseksualnych mężczyzn i kobiet, co w końcu, jak należało się spodziewać, doprowadziło do badań praktycznych, które zostały przeprowadzone na podwójnym łóżku Gavina, w burgundowej pościeli.

## *Weekend w Paryżu*

74

Pod koniec drugiego roku należało uznać ich za parę. Molly podtrzymywała fikcję i ze względu na mamę udawała, iż nadal mieszka z koleżankami. W towarzystwie Gavina czuła się cudownie dorosła. Robiła zakupy, coraz częściej przyrządzała kolację, przy stole rozmawiali o poważnych sprawach, a potem każde z nich siadało do pracy przy swoim biurku. Czasami, jeśli nie był zbyt zajęty, czytał jej eseje, a robił to z należytą koncentracją i uniesionym ołówkiem. Molly w tym czasie ze zdenerwowania obgryzała paznokcie. Oczywiście chadzali niekiedy na przyjęcia, ale ich związek bazował na znacznie głębszych podstawach. Był połączeniem umysłów.

Wycisnęła na głowę trochę szamponu i energicznie wmasowała go we włosy. Chętnie by wymazała z pamięci obraz siebie samej, jak kroczyła przez kampus niczym Joanna d'Arc między niedowiarkami, odwracając wzrok od plakatów reklamujących dyskoteki i zapraszających na wieczorki piwne. Odnalazła swoją drogę życia, wiodącą na wyżyny intelektualnych rozkoszy, a nie przyszło jej do głowy, że miłość może być nieco radośniejsza.

Ale wystarczył jeden weekend, gdy przyjechała w odwiedziny Abi, jeden straszliwy posiłek *a trois*\* - by zakiełkowało ziarno zwątpienia.

- Ten twój facet to kompletne zero! - Przyjaciółka nigdy nie przebierała w słowach. - Nudny, stary i w dodatku egoista. Zaslugujesz na kogoś tysiąc razy lepszego. Molly, słowo honoru, on z ciebie zrobi średniowieczne pópychadło! I jeszcze do tego D.H. Lawrence! Co za koszmar!

Dyskusja zakończyła się potężną kłótnią, Abi wróciła do domu wcześniej, niż planowała, Molly została, wstrząśnięta, zmieszana i ostatecznie wściekła, bo uświadomiła sobie, że w jakimś stopniu zaprosiła Abi, przyjaciółkę z prowincji, by zrobić na niej wrażenie, podzielić się wyrafinowanym studenckim życiem. Abi studiowała wtedy „kwalifikowane usługi kosmetyczne” w college'u w rodzinnych stronach.

Tymczasem czar prysł. Niemal w tej samej chwili, gdy usłyszała słowa „nudziarz” i „Gavin” w jednym zdaniu, zaczęła wracać do normalnego stanu. Najpierw uświadomiła sobie, iż nienawidzi niemieckiej opery. I kogo obchodziło, czy imię Gavin było etymologicznie powiązane z Gawainem i sławą zielonego rycerza? Ile można

\* **We troje.**

*Robyn Sisman*

pisac pracę naukową? Co jest romantycznego w tym, że kobieta odwała za mężczyznę całą czarną robotę akademicką, nie mówiąc już o praniu?

Tydzień później było już po znajomości. A wkrótce potem zobaczyła Gavina ze śliczną studentką pierwszego roku - zawstydzoną, uśmiechniętą i wniebowziętą. Bez najmniejszych wątpliwości rozpoznała w niej siebie. Wreszcie się obudziła, włączyła w studenckie życie towarzyskie, próbowała się choć trochę zabawić. Był to jednak ostatni rok nauki, czas egzaminów. Zdecydowana ocalić chociaż część swoich iluzji, wzięła się energicznie do pracy i dzięki niezłomnej sile woli zdobyła pierwsze miejsce.

Jeśli natomiast chodzi o kontakty z płcią przeciwną, znajdowała się raczej na drugim końcu skali. Przegrana. Zawiedziona.

Zakręciła kran, wycisnęła włosy i wyszła z wanny na różowy szmaciany dywanik. Jak mogła popełnić tak ogromną, tak poniżającą, bezsensowną pomyłkę? Psychoanalityk z pewnością miałby coś do powiedzenia na temat poszukiwania substytutu ojca - choć przecież Gavin był od niej starszy zaledwie dziewięć lat - co z kolei dowodziło, że doktorzy dusz sami nie są w najlepszym stanie. A ona była całkowicie szczęśliwa, mając tylko mamę.

Zresztą wszystko to dotyczyło dawnej Molly. Molly Angielki. Owinęła głowę ręcznikiem, zawiązując go w turban. Tutaj natomiast była nowa Molly. Kokieteryjna, francuska Molly. Włożyła szlafrok. Molly kusicielka. Odśloniła jedno ramię, wyobrażając sobie, jak Fabrice muska ustami jej nagą skórę... Zmarszczyła brwi, zakryła ramię, zebrała swoje rzeczy i otworzyła drzwi. Przytrzymując grubą tkaninę pod samą brodą, niczym średniowieczna stara panna, wytknęła głowę za framugę i sprawdziła, czy aby na korytarzu nie widać jakichś zboczeńców albo podglądaczy. Skoro nie odkryła jednych ani drugich, pognąła z powrotem do siebie, zostawiając na podłodze wilgotne ślady bosych stóp.

Usiadła na łóżku i zajęła się wcieraniem balsamu w świeżo ogolone nogi. Jej wzrok padł na jakiś dziwny przedmiot, który ledwie sobie przypomiwała: kawałek złotej skóry, artystycznie udrapowany w pobliżu drzwi. Niedaleko odkryła przewrócony sandałek na niebotycznym, smukłym obcasie.

Zamarła w bezruchu. Zaraz, zaraz, jak to było... Impreza u Żabi... przebieranki... klub... Kiedy wróciła na dół po żakiet, zanim odjechała z Fabrice'em, miała jeszcze tyle przytomności umysłu, by powiedzieć dziewczynom, co zamierza. Odnalazła na parkiecie

*Weekend w Paryżu*

76

Alicję - w kowbojskim kapeluszu! - i obiecała, że następnego dnia odda rzeczy Zabi. Umówiły się... w jakiejś kafejce, w samo południe. Czyli pewnie już niedługo.

Pośpiesznie rozsmarowała na brzuchu resztkę kremu, zrzuciła szlafrok i rozpoczęła przedziwny zygzakowaty taniec, usiłując jednocześnie uczesać się, coś na siebie włożyć i znaleźć zegarek. Akurat udało jej się wsunąć majtki na jedną nogę, kiedy odkryła zegarek w popielniczce. Podskakując na jednej nodze, z grzebieniem w zębach, chłostana po plecach mokrymi włosami, chwyciła go, odwróciła we właściwą stronę - i o mało nie zemdląła z przerażenia. Już była pięć minut spóźniona.

## Rozdział ósmy

**Dwadzieścia** minut później pchnęła ciężkie drzwi lokalu, w którym umówiła się z Alicią. Włosy miała wilgotne, policzki czerwone, pod pachą ścisnęła torbę dla Zabi, a w rękach - wielką mapę Paryża, która za nic w **świecie** nie dawała się złożyć. Wpadła do środka i stanęła jak wryta. Otoczyły ją rozkoszne wonie i przyjemny gwar kawiarenki pełnej weekendowych gości. Szkło dźwięczące o metal. Stukanie tac. Skwierczenie smażonych potraw, brzęk łyżeczek mieszających kawę, a ponad wszystkim - rozmowy. Słowa podkreślane szerokimi gestami, wypowiedane przez palących i niepalących, odjazdowo poubieranych ludzi wszelkich ras. A wszyscy oni mówili po francusku. Molly oniemiała. Stanęła przy barze, rozglądając się po ciemnym wnętrzu, zastawionym gęsto stolikami oraz przepierzeniami z brązowej skóry. Podłoga z surowych desek, cynowe żyrandole, lustra poznaczone mglistymi plamkami - wszystko wskazywało na to, że kiedyś spotykali się tu ludzie pracy. Teraz natomiast stylowa klientela oraz kelnerki w dzinsie, płynące seksownie od stolika do stolika z koktajlami i *le brunch*\* na tacach - wszystko to razem tworzyło niepowtarzalny nastrój bohemy.

- *Excusez-moi, mademoiselle*\*\* . - Zwinny jak tancerz barman wyminął ją, nieprawdopodobnie balansując tacą zastawioną butelkami i szklankami. Zeszła mu z drogi, jeszcze raz przyjrzała się stolikom, mając nadzieję, że Alicja nie znudziła się czekaniem i nie wyszła. Knajpka robiła sympatyczne wrażenie, a na dodatek widok

\* **Większe drugie śniadanie.** \*\* **Przepraszam panią.**

## Weekend w Paryżu

85

pełnych talerzy, na których piętrzyły się *frites*, przybrane zieloną pietruszką małże i hamburgery puszczające różowy sok, przypomniał Molly, że umiera z głodu.

- Ej! Molly! Tutaj!

Przy stoliku pod oknem ktoś wymachiwał ramionami, zupełnie jakby naprowadzał lądujący samolot. Alicia, oczywiście. Dla odmiany dziś jako nieco bardziej męski odpowiednik Audrey Hepburn. Ubrana w czarną koszulkę polo, z kreskami na górnych powiekach przeciągniętymi aż na skronie. W knajpce na chwilę przycichło, większość głów odwróciła się najpierw w stronę krzyczącej, a potem do Molly, która mimowolnie spuściła wzrok.

- Bardzo cię przepraszam - wydyszała, wślizgując się między blat stołu a oparcie krzesła naprzeciw Australijki.

Torbę z ubraniami upchnęła przy nogach. -Hej, hej! Dotarłaś jednak! - Alicia błysnęła najszerszym uśmiechem. - Nie liczyłam na to specjalnie, myślałam, że będziesz jeszcze w łóżku. - Znacząco uniosła brwi.

- Skądże, nic podobnego - odparła Molly cokolwiek sztywno.

- Zaspałam i tyle. . .

- Taaak? - Tamta roześmiała się gardłowo, nie pozostawiając wątpliwości, że sen był akurat najmniej prawdopodobny spośród wszystkich możliwych zajęć minionej nocy.

Molly się naburmuszyła. Coś podobnego! Owszem, przyjęła zaproszenie na zwiedzanie Paryża nocą, ale to przecież nie znaczy, że jest łatwą dziewczyną, w każdym razie nie na pierwszej randce... chociaż w zasadzie taki pomysł był z grubsza... no ale właściwie to ona wcale o tym nie myślała. Prawie wcale. Taaak...

- Co podać? - Obok stolika pojawiła się smukła brunetka z notesem i długopisem.

Molly, podekscytowana i lekko nieobecna, wzięła w rękę menu. Cokolwiek nieprzytomnym wzrokiem przesunęła po rzędach obcych słów i znaczków euro.

- *Ja...jene...jen'aipas...*

- Jak jesteś głodna, to zamów *brunch* - przerwała jej Alicia.

- Mówię ci, rewelacja. - Pomogła jej skompletować poszczególne składniki zestawu: kawa, herbata czy szampan, bagietka, sałatka czy jajka sadzone, soki owocowe w tylu apetycznych smakach, że nie wiadomo, na co się zdecydować, a od każdej nazwy ciekła ślinka. Wreszcie podyktowała kelnerce, co wybrały, i zakończyła wdzięcznym „miersiii”.

*Robyn Sisman*

Gdy tylko brunetka zabrała oba jadłospisy i zniknęła, Australijka oparła łokcie na blacie i wychyliła się do przodu.

- No i? - spytała.

- Co: no i? - nastroszyła się Molly.

- Jak to: co? W nocy, jak było! Hej, wróć na ziemię! Poszłaś z nami do klubu, pamiętasz? I zarwałaś jakiegoś faceta. Molly nie spodobało się tak bezpośrednie ujęcie tematu. Czy pan Darcy z „Rozważnej i romantycznej” został „zarwany”? No nie, Australijczycy stanowczo nie mają pojęcia o subtelności.

- Zakładam, że jest nieziemsko przystojny - naciskała Alicia.

Molly wbiła wzrok w biało-czerwoną kratkę na podkładce śniadaniowej, próbując ukryć zdradziecki uśmiech, który czałł się w kącikach ust. - Jest bardzo... miły. Inteligentny. Student wydziału sztuk pięknych. Jeździliśmy po Paryżu skuterem. To było naprawdę... - szukała przez chwilę właściwego słowa - interesujące - dokończyła niezgrabnie.

- W to wierzę! - Tamta zaśmiała się głośno i puściła oko - Motor robi swoje! Te podniecające drgania...! Pięć minut i majtki mokre! No, z tym że oczywiście trzeba je mieć, nie tak jak ty...

- Ciiicho! - Molly spiekła raka i spłoszonym wzrokiem ogarnęła sąsiednie stoliki, z nadzieją, że nikt w pobliżu nie zna angielskiego.

- No co, przecież nie miałaś. Mnie nie oszukasz. Mam je przy sobie, tutaj, w torbie. Wyciągnąć i pokazać?

- Alicio! - zaprotestowała Molly dramatycznym szeptem.

- No to przestań się nadymać i mów! Dziewczyno, nie bądź egoistką, podziel się wrażeniami. Przecież to musiało być coś niesamowitego! Chyba że ty zawsze rzucasz przyjaciół w środku imprezy i znikasz z jakimś obcym facetem?

- Nie! A poza tym Fabrice wcale nie jest obcy!

- Ooo! Fabrice!

- *Et voila\**.

Szczeniściem akurat pojawiła się kelnerka z kawą, gorącym mleczkiem w srebrnych dzbankach, talerzem miniaturowych muf-finek oraz dwoma wysokimi szklanicami soku z pianką. Dla Molly - malinowy. Z rozkoszą pociągnęła długi łyk.

- No to jak, zaliczyłaś go?

\* **Proszę bardzo.**

## *Weekend w Paryżu*

80

Molly zakrztusiła się i walcząc o oddech, rozkaszła w papierową serwetkę. Czula, że jest czerwona jak rak. Z oczu popłynęły jej łzy. Wszyscy na nią patrzyli.

Alicia obeszła stół, huknęła ją w plecy i podała szklanekę wody.

- Nienawidzę cię - syknęła Molly przez zaciśnięte zęby. Australijka wcale się nie przejęła. Wróciła na miejsce i usiadła, uśmiechnięta, najwyraźniej zadowolona z siebie.

- Nieprawda. Za to palisz się, żeby mi o nim opowiedzieć. Miała rację. Dlatego Molly dała wreszcie ujście rozsadzającej ją radości.

- Och, Alicio... - westchnęła. - To była najpiękniejsza noc w moim życiu. Oglądaliśmy wschód słońca pod bazyliką Sacre Coeur, pokazał mi wieżę Eiffla... I masował mi stopy... - To jak, zali...

- Nie! - Molly ze złością uderzyła dłonią w stół. - Jeszcze nie.

I dokładnie w tej samej chwili zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. Zasłoniła usta dłonią i utkwiała w Alicii przerażony wzrok.

Tamta prychnęła, potem zachichotała, wreszcie wybuchnęła głośnym śmiechem, zaczęła rechotać, pokładać się na stoliku, celując palcem w Molly, która w końcu też ryknęła histerycznie. I tak obie, praktycznie złożone wpół, ściskając się za brzuchy, rżały nieprzytomnie, kołysząc się na krzesłach i tupiąc w podłogę. Kiedy Alicia znowu wskazała Molly palcem i wykrztusiła „Fabriiice”, ta mało się nie posusiała i wszystko zaczęło się od początku.

- *Mais quand meme\** - mruknął ktoś zde gustowany.

W końcu dziewczęta otarły łzy po raz ostatni i spojrzały na siebie przyjaźnie.

- No dobrze - odezwała się Australijka. - Czy mogę w takim razie przyjąć, że przynajmniej daliście sobie buzi?

Molly kiwnęła głową i raz jeszcze głęboko westchnęła. - Z języczkiem?

- Na litość boską!

- Umówiliście się na następny raz?

- Mamy się spotkać dziś po południu. O wpół do czwartej. - Nagle stwierdziła, że nie jest tego wcale taka pewna. Czy rzeczywiście umówili się na tę godzinę?

- O, to świetnie! Jak cię zobaczyłam z takim maślanym spojrzeniem, od razu wiedziałam, że coś się kroi.

\* **Ile można..**



*Robyn Sisman*

Dziś po południu. Serce zamarło jej w piersiach. A co będzie, jeśli mu się jednak nie spodoba? Jeśli nie będzie wiedziała, co powiedzieć? Albo jeśli Fabrice w ogóle nie przyjdzie?

Przyglądała się, jak kelnerka zabiera muffinki, a na ich miejsce stawia talerz z cudowną kompozycją jajek na twardo oflankowa-nych *saucisses*\* oraz paskami chrupiącego bekonu. A co się stanie, jeśli się na nią rzuci, zedrze z niej ubranie i...

- Pewnie ci bardzo przykro, że nie zwiedzisz Luwru, co?

- Mmm? - Molly automatycznie odgryzła kawałek kielbaski.

- Wiesz, to takie miejsce, gdzie wisi mnóstwo obrazów - wyjaśniła Australijka z niewinną minką. - „Jutro zamierzam wybrać się do Luwru”...

- Daj spokój! - zachichotała Molly. - A tak w ogóle to zaprosił mnie... Fabrice mnie zaprosił - wymawiając na głos jego imię, spłonęła rumieńcem - do jakiegoś muzeum. - Poszperała w torebce, wyciągnęła z niej cenny strzępek kartonowego pudełka i podała go Alicii. - Wiesz może, jak tam trafić?

- Jasna cholera! - wrzasnęła ta wściekle. Skoczyła na równe nogi. Stół się zatrząsł, sztucce poleciały na podłogę. A ona, kompletnie zapominając o Molly, pognęła do drzwi i wypadła na ulicę.

\* **Kielbaskami.**

### *Rozdział dziewiąty*

Molly patrzyła za nią kompletnie osłupiała. Co takiego zrobiła? Co powiedziała? Może Alicia źle się poczuła? Zaczęła wstawać, chciała jej szukać, ale przypomniała sobie, że nie zapłaciły rachunku. Kelnerka będzie przekonana... Usiadła ponownie. Nie wiedziała, co właściwie powinna zrobić, więc podniosła sztućce i ułożyła je na stole. Była zdenerwowana i nieszczęśliwa. Nie miała pojęcia, jak rozumieć dziwaczne zachowanie Australijki. I nagle zmartwiła z przerażenia. Alicia zabrała ze sobą cenny skrawek paczki papierosów! A Molly nie pamiętała, co było na nim napisane. Jeśli go nie odzyska, nie będzie wiedziała, dokąd iść. Wyobraziła sobie, jak Fabrice na nią czeka, spoglądając na zegarek, jak z jego twarzy powoli znika radość i nadzieja. Pomyśli sobie, że nie chciała przyjść, że jej na nim nie zależy. Nie mogła się z nim w żaden sposób skontaktować! Okropność! Już nigdy więcej go nie spotka.

Niewiele brakowało, a zaczęłyby głośno szlochać. Na wszelki wypadek upiła solidny łyk kawy.

Wtedy przyszła jej do głowy znacznie bardziej ponura myś. Z brękiem odstawiła filiżankę na spodeczek. Alicia wypadła z knajpki dokładnie w momencie, gdy Molly podała jej kartonik. Dlaczego? Ponieważ rozpoznała pismo Fabrice'a! W chwili oślepiającego przeblysku jasnowidzenia Molly wszystko zrozumiała. Ci dwoje byli kiedyś kochankami... może także są teraz? Nie, me, na pewno nie. Fabrice nie jest taki perfidny, żeby podrywać dziewczynę, w tym wypadku akurat ją, jeśli był związany z inną. Dobrze. Wobec tego kiedyś, dawniej, byli kochankami. Bardzo prawdopo-

*Robyn Sisman*

dobne. Oboje mieszkali w Paryżu, oboje lubili imprezować w klubach. Alicia chyba jest od niego trochę starsza, ale co z tego? Tak czy inaczej, dla niego już wszystko skończone, ale jej na nim ciągle zależy. I nie zdawała sobie sprawy, że Fabrice Molly to jej Fabrice, dopóki nie zobaczyła jego pisma. A wtedy jej świat się zawalił. Biedna Alicia! Opadła z powrotem na krzesło, porażona tragiczną ironią koszmarnego scenariusza. Tak to właśnie w życiu bywa: jeden drobny szczegół potrafi zniszczyć wielkie uczucie. Zupełnie jak w tym świetnym fragmencie „Złotego pucharu”, kiedy żona uświadamia sobie, że jej mąż i najlepsza przyjaciółka...

- Wybacz - zaczął za jej ramieniem znajomy głos z australijskim akcentem. - Wredne babsko. Co za bezczelność! Nie dość, że przyjeżdża tutaj, to jeszcze na moich rolkach! Kochana Janinę! Tym razem była szybsza, ale ja ją jeszcze dopadnę...! - Alicia usiadła. Z pewnością była wkurzona, ale poza tym wyglądała w zasadzie normalnie. - Na czym to stanęliśmy? A, już wiem, ten adres. Wyciągnęła drogocenny strzępek kartonika z kieszeni spodni. - Śmiesznie piszą ci Francuzi - rzuciła od niechcienia. - Strasznie dużo zawijasów. - Uśmiechnęła się uspokajająco. - Nie ma sprawy, powiem ci, jak tam trafić.

Molly popatrzyła na jej przyjazną twarz, zobaczyła jasne oczy o szczerym spojrzeniu, kolczyki w stylu wudu - i poczuła się zawstydzona. Wariatka po prostu. Ależ z niej samolub i kretyńka!

- A ja myślałam... - zająknęła się niepewnie. - Dzisiaj w nocy...

- Jesteś monotematyczna. A przy okazji: kondom to po francusku *presewatif*.

-Daj spokój, mówię poważnie. To była najwspanialsza noc w moim życiu, nie tylko dzięki niemu, ale w ogóle: impreza u Zabi, te szalowe ciuchy, wyprawa do klubu... Było cudownie. A przecież wszystko zawdzięczam tobie, bo mnie ze sobą zabrałaś.

Australijka wykrzywiła się niemiłosiernie.

- Dlatego chciałabym ci zaproponować - ciągnęła Molly - że dołożę ci się do nowych rolek... oczywiście, jeśli to kwestia pieniędzy... żebyś więcej nie zostawiała mnie samej w restauracji.

- Kochana jesteś, ale nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy. - Alicia ścisnęła ją za rękę. - Mam lepszy pomysł. Możesz się zapisać na poranny kurs w niedzielę. Oni to tu nazywają *balade*.

- Nie umiem jeździć na rolkach! - Molly ze zgrozą wyobraziła sobie, jak niezbornie wymachuje rękami i przebiera nogami na ja

## Weekend w Paryżu

84

kimś paryskim *trottoir*\*, niczym bezradny żuczek przewrócony na grzbiet. Poza tym, może akurat być zajęta z Fabrice'em, na przykład w podobnej pozycji? Życie było szalenie skomplikowane.

- Początkujący są mile widziani. A ja dostaję procent od każdego nowego kursanta, którego sama ściagnę. - Alicja wyszczerzyła zęby w uśmiechu pełnym nadziei.

Molly była rozdarta między własnymi pragnieniami - chciała spędzić każdą minutę z Fabrice'em - a lojalnością wobec nowej przyjaciółki. Sumienie mówiło swoje, głośno i wyraźnie.

- Jesteśmy umówione - rzuciła lekko, choć serce jej krwawiło.

- Przyjdę. . .

- Super! To teraz w końcu mi opowiedz o swoim wielkim podrywie... - Alicia urwała raptownie i przekrzywiła głowę. - Komórka ci dzwoni?

- Niemożliwe. Włączyłam przekierowanie, bo me chcę płacie za roaming. - Ale już sięgnęła po torebkę. - Ach, słuchaj, mogę ci dać rzeczy dla Zabi? I poproszę moje ubrania, wolę mieć pewność, że me zaczniesz wymachiwać moimi majtkami. - Zamieniły się plastikowymi reklamówkami, a potem Molly wróciła do poszukiwań telefonu.

Mogłaby przysiąc, że wyłączyła go w pociągu, ale teraz i ona słyszała brzęczenie. - Mam! - obwieściła triumfalnie. - O, akurat przestał dzwonić... Jest wiadomość tekstowa. Dziwne, dlaczego doszła?

- Wcale nie dziwne. SMS-ów nie przekierowują, bo kosztują tyle samo niezależnie od tego, w którym miejscu świata wylądujesz. Dlatego zawsze wysyłam SMS-y do znajomych w Australii. - Pochyliła się nad stołem. - No, od kogo?

- Od Sal, mojej współlokatorki. - Molly przygarbiła się nad telefonem i lekko osłupiała, usiłowała rozszyfrować sens znaczków na ekranie. Alicja na pewno miała rację, ale to dziwne, siedzieć w knajpce w słonecznym Paryżu, bujając myślami wokół Fabrice'a, i raptem zostać ściągniętą na ziemię, to znaczy do spraw z londyńskiego życia. - Tu jest numer policji! - wykrzyknęła. - I jakieś rzymskie liczby... , ,

- Pokaż. - Alicia chwyciła Molly za nadgarstek i odwróciła telefon ekranikiem w swoją stronę. Razem obejrzały wiadomość.

MLCLM :-\! dzwon już bo 997!kapewu?ty OK?kamfora!Sal.

- Chwileczkę... - Molly zmarszczyła brwi w skupieniu. - M to tysiąc, L pięćdziesiąt, to chyba będzie...

\* **Chodnik.**

*Robyn Sisman*

- Coś ty, to wcale nie są rzymskie cyfry! Znasz jakiegoś Malcolma?

Molly wydłużyła się twarz.

- Mój były szef ma tak na imię. O rany! - Aż podskoczyła, kiedy jej mózg wreszcie zszedł z jałowego biegu. - Jezu Chryste, Malcolm!

- Przeczytała wiadomość po raz trzeci. Sal pisze, że Malcolm jest bardzo zły, no jasne, emotikon, i mam się z nim jak najszybciej skontaktować, bo inaczej wezwie policję! Tylko dlaczego?

- No, no, Molly! Wykręciłaś jakiś numer? - spytała Alicia. - Dałaś nogę z kasą?

- Skąd! Ja tylko złożyłam wymówienie. - Molly opisała swoje nijakie, pozbawione słońca miejsce w biurze, sterty koszmarnych raportów i oświadczeń dla prasy, próżnego Malcolma, jego podchody... Teraz wydało jej się nieprawdopodobne, że w ogóle podjęła taką pracę, a już całkiem niemożliwe, że tyle czasu w niej wytrzymała.

- No to już nie twój problem, zgadza się? - podsumowała radośnie Alicia. - O, jest deser, fantastycznie!

Doczekały się wreszcie ostatniej atrakcji wspaniałego posiłku: dwóch chrupiących gofrów artystycznie ułożonych na talerzu, ozdobionych dokładnie pośrodku truskawką i kleksem bitej śmietany.

Molly automatycznie sięgnęła po widelec, ale zamiast jeść, wpatrywała się w smakołyk pustym wzrokiem.

Zaniepokoiła ją wiadomość od Sal. Na pewno nie popełniła zbrodni, składając wymówienie. Może powinna była najpierw zawiadomić dział kadr? Albo Malcolm wściekł się z powodu jej listu. Nie zawarła w nim żadnych oszczerstw... chyba. Napisała, że szef nie zna ojczystego języka. To akurat szczerą prawdą.

- Nic nie rozumiem - westchnęła, dziobiąc widelcem truskawkę.

- Dlaczego miałby wzywać policję?

- Ja nie wiem. - Alicia zamasyżuje sobie syropu klonowego z dzbanuszką. - Zadzwoń do niego i spytaj.

- Nie mogę!

- Dlaczego?

- On jest okropny! Pojęcia nie masz, koszmarny. Ciągłe wrzeszczy!

- Wszyscy faceci wrzeszczą. Mam pięciu braci, to wiem. Wystarczy wrzeszczeć głośniej.

Molly zdecydowanie pokręciła głową. Na samą myśl o rozmowie z byłym szefem robiło jej się niedobrze. A na dodatek przypomniała sobie, że ma w domu dwa długopisy, reklamówki z logo firmy.

*Weekend w Paryżu*

93

I chyba jeszcze gumkę. Oczyma wyobraźni już widziała, jak następnego wieczoru wysiada z pociągu na stacji Waterloo, a tam równym krokiem podchodzi do niej umundurowany policjant, kładzie jej wielką dłoń na ramieniu... „Pani wybaczy, możemy zajrzeć do bagażu?”.

- Co ja takiego zrobiłam?!

Alicja podniosła na nią wzrok, z brzękiem odłożyła widelec i westchnęła zrezygnowana.

- Jak chcesz, to ja do niego zadzwonię.

Molly patrzyła na nią zdumiona. Co za odwaga! -Daj ten telefon. Będę udawała twoją sekretarkę albo coś w tym stylu.

- Ale ja nie mam sekretarki.

- No to będę twoim prawnikiem. Albo specem od public relations. Co za różnica?

Molly położyła dłoń na sercu gestem wyrażającym głęboką wdzięczność i pochyliła głowę.

- Alicjo, jesteś wcieleniem odwagi. Zadzwoni, będę ci dozgonnie wdzięczna. Tylko nie z mojego telefonu - dorzuciła szybko. - Malcolm zna numer. Jak mu się wyświetli na ekranie, wszystkiego się domyśli.

- Zadzwonimy z automatu, dam ci posłuchać - zdecydowała Alicja. - O ile pamiętam, jest przy tylnym wyjściu. A teraz jedź i opowiadaj mi o tym całym Malcolmie.

Nie minęło pięć minut, gdy Molly z sercem w gardle podążała za przyjaciółką, która zgrabnie przemykała się między stołami. Nagle na drodze stanęła im kelnerka: przedtem wiotka niczym brzoza, teraz twarda jak stal. Uniosła brwi w niemym pytaniu.

- *Nous retourner dans un minute. Telephone\** - rzuciła lekko

Alicja. . ,

Automat okazał się eleganckim przedstawicielem przedmiotów użytkowych, w kolorze stalowym. Miał wyświetlacz cyfrowy i stał pod przezroczystą kopułą, gwarantującą odpowiednią akustykę. Wepchnęły się pod nią obie. Alicja wsunęła w otwór kartę telefoniczną. *Patientez SVP\*\** zamigotało na ekranie. Molly zaczęła obgryzać paznokiec ze zdenerwowania. A jeśli Malcolm potraktuje Alicję tak ohydnie, że Australijka się załamie i zdradzi mu miejsce

**\* My wróćcie za chwilę. Telefon. \*\* Proszę czekać.**

*Robyn Sisman*

jej pobytu? Przecież on się może tu zjawić! A ona wtedy nie pójdzie na spotkanie z Fabrice'em!

- Hej! Pobudka! - Alicia szturchnęła ją łokciem. Na ekraniku pojawił się napis: „*Vumerotez*”\*. .

Molly podyktowała ciąg cyfr z książki telefonicznej komórki, Alicia wstukiwała je kolejno, a potem odsunęła słuchawkę od ucha tak, żeby obie dobrze słyszały. Minął jakiś czas. Molly zaczęła gorzko żałować, że nie poszła najpierw do toalety. Rany, przydałoby się.

- Tu Figg, o co chodzi?

To on! Głos miał niski, lekko ochryply, zawsze takim tonem załatwiał interesy. W tle rozbrzmiewał gwar rozmów. Pewnie był na jakiejś konferencji.

Alicia przysunęła sobie bliżej dolną część słuchawki.

- Witam pana, panie Figg. Nazywam się O'Connell, dzwonię w imieniu pani Clearwater. - Z uśmiechem puściła do Molly oko. - Molly Clearwater?! - Wyrzucił z siebie te dwa słowa z taką furją, że Molly zdrętwiała z przerażenia. - Gdzie ona jest, do jasnej cholery!

- Proszę pana, w takim tonie długo nie porozmawiamy...

- A kim ty jesteś, do diabła ciężkiego?! Alicia uniosła brew.

- No cóż, skoro już zaczynamy od podstaw, to kim pan jesteś, do ciężkiej cholery, że grozisz pani Clearwater policją? Molly podziwiała jej kamienny spokój. Nawet Malcolm wydawał się pod wrażeniem. Po krótkiej pauzie odezwał się zupełnie innym tonem.

- Jestem jej szefem - rzucił, jakby z nutką szacunku.

- Byłem szefem, o ile mi wiadomo - sprostowała przyjaciółka, wcale niezbita z tropu. - Pani Clearwater rozważa wniesienie oskarżenia o molestowanie seksualne. Zamierza się też ubiegać o okrągłą sumę odszkodowania.

Molly otworzyła usta ze zdumienia.

- Gówno prawda! - warknął Malcolm. - To ja będę tę krowę pozywał do sądu! O kradzież!

- Tak? A co ta krowa niby ukradła?

- Już ona doskonale wie!

Alicia spojrzała na Molly pytająco, ale ona tylko bezradnie rozłożyła ręce.

**\* Proszę wybrać numer.**

*Weekend w Paryżu*

88

- Czy zechciałby pan wyrażać się konkretniej?

Na kilka chwil zapadła cisza. Potem dobiegł przytłumiony głos Malcolma, jakby rozmówca odwrócił głowę, a słowa były grzeczne i uniżone.

- Nie, Jerry, oczywiście, nie ma sprawy. Z przyjemnością. Do zobaczenia. - Malcolm odetchnął głęboko. A potem rzucił w słuchawkę: - Muszę przejść... do innego pomieszczenia.

Gwar ucichł w oddali, słychać było skrzypienie zawiasów, stukanie butów na ceramicznych płytkach. Jeszcze moment i głos Figga powrócił, równie agresywny jak wcześniej, wzbogacony dziwnym echem.

- Słuchaj no, kobieto. Nie zdajesz sobie sprawy, z kim masz do czynienia. Reprezentuję jedną z wiodących brytyjskich spółek farmaceutycznych... - Takiś pan ważny? - zagrychała Alicia. - Niesamowite...

- Rzeczywiście, ponoszę niemałą odpowiedzialność za sektor strategiczny w kontekście marketingu dotyczącego ekonomii globalnej, plus niebagatelnych rozmiarów...

Przerwał i usłyszały łatwo rozpoznawalny szum spuszczonej wody. Popatrzyły na siebie, tłumiąc chichot.

- Niebagatelnych rozmiarów...? - podsunęła Alicia.

- Budżet. I właśnie dlatego - ciągnął coraz szybciej - potrzebne mi te wykresy. Zgromadziła się tutaj śmietanka międzynarodowych sław medycyny, szef siedzi mi na karku, a ja nie mam tego dysku!

Przy ostatnim słowie Molly jęknęła głucho. Przyjaciółka zatkała jej usta otwartą dłonią, ale za późno.

- Co to było? - rzucił zelektryzowany Malcolm. - To Molly! - domyślił się. - Ona tam jest! Molly, odezwij się w tej chwili, bo jak nie, to... Alicia opuściła słuchawkę i zasłoniła mikrofon.

- Wiesz, o czym on mówi? - szepnęła.

Molly pokiwała głową. Przecież schowała dysk między ubrania, spakowała go do własnej walizki.

- Mam w hotelu - odszepnęła. - Zapomniałam.

Alicia przewróciła oczami i podniosła słuchawkę do ucha.

- ...nigdy nie dostanie roboty w branży! - wrzeszczał Figg.

- Niech pan mnie przez chwilę posłucha - przerwała mu. - Istnieje możliwość, że zdobędę ten dysk.

- Ha! - zatriumfował Malcolm. - Wreszcie do czegoś dochodzimy. Słuchaj, rybko. Masz mi go przesłać do Paryża, superprioritytem, kurierem i to na własny koszt.



*Robyn Sisman*

- Tak się składa, drogi panie, że płyta jest już w Paryżu.

- Wolne żarty. - Najwyraźniej tym razem jego mózg wyrabiał nadgodziny, bo zaraz usłyszały: - To znaczy, że Molly też jest tutaj?

Molly jak szalona zaprzeczała gwałtownymi gestami.

- Obawiam się, iż nie jestem upoważniona do udzielenia panu informacji na temat jej miejsca pobytu. Ale jeśli będzie pan ze mną rozmawiał grzecznie, mogę spowodować, że dysk znajdzie się u pana w hotelu w ciągu godziny.

Zapadła cisza pełna zdumienia.

- O żeż ty k...! - rzucił Malcolm z podziwem.

- To tak u pana wygląda grzeczna rozmowa? - Głos Alicii ociekał słodyczą.

- Jak mam z tobą rozmawiać, żabko?

- Możesz się do mnie zwracać „Alicio”... drogi Malcolmie. - Australijka rzuciła Molly figlarne spojrzenie.

- Oho ho! Alicia... No cóż, droga Alicio, na pewno jesteś wspaniałą kobietą...

Molly chwyciła się za gardło i wywaliła język, jakby zamierzała wymiotować. Niechże Alicia już odłoży tę słuchawkę. - Tak sądzisz? - Australijka prowokująco przeciągała słowa. Molly ledwo wierzyła własnym oczom i uszom. Przyjaciółka najwyraźniej świetnie się bawiła!

- O tak - zapewnił Malcolm, zadowolony z siebie. - Poznaję to po głosie. A ja się znam na kobietach.

- Co za zbieg okoliczności. Ja się znam na mężczyznach. I oboje jesteśmy w Paryżu.

- *Oh la la!* - Wyraźnie się ożywił.

Obrzydliwość! Molly chciała ich rozłączyć, lecz Alicia szturchnęła ją w żebra, tym razem nie na żarty, i przycisnęła słuchawkę do ucha tak blisko, że głos Malcolm'a słyszeć było tylko jako niewyraźny pomruk. Pociągnęła za przewód, ale tamta przytrzymała go mocniej. - Dzisiaj wieczorem? - spytała, wolną ręką przegarniając włosy. - Nie, nie mam żadnych konkretnych planów. A dlaczego pytasz?

Coraz gorzej! Molly chciała nacisnąć dzwignienkę i przerwać rozmowę, ale dostała po palcach. Wyszła spod klosza. Nadal jednak słyszała Alicię.

- W którym hotelu mieszkasz, Malcolmie? Molly ostentacyjnie odchrząknęła.

- A owszem, na przedstawienie - bardzo chętnie.

## *Weekend w Paryżu*

90

Rozpaczliwie pociągnęła Alicię za brzeg swetra.

- Może jestem blondynką, a może nie - kontynuowała Australijka. - Będziesz musiał przekonać się na własne oczy. Dostyc tego. Wystarczy! Molly podskoczyła raz na jednej, raz na drugiej nodze, przeciągnęła palcem w poprzek szyi, podrapała się pod pachami jak małpa, rozpląszczyła wargi na plastikowej kopule i zrobiła zeza. Natomiast przyjaciółka zwyczajnie odwróciła się do niej plecami, nie przerywając rozmowy.

W końcu jednak odłożyła słuchawkę, wyciągnęła kartę i ruszyła do stolika. Molly zastąpiła jej drogę.

- Alicio, nie możesz się nim umawiać! To straszny bufon! Łysieje i nosi sygnet!

Tamta pokazała w uśmiechu wszystkie zęby.

- Wydaje się zabawny. I wiesz co, mój tata też nosi sygnet.

- Wiesz, dokąd on chce ciebie zabrać? To ja miałam iść na to przedstawienie. To jest... - zniżyła głos i rozejrzała się wokół ostrożnie - kabaret Crazy Horse!

- No i co z tego?

- Ty chyba nie wiesz, co mówisz! Przecież tam artystki tańczą nago, z piórami i węzami... To seks show!

- Poważnie? No to ujdzie w tłoku.

- I jeszcze z Malcolmem! Będzie ci się narzucał, będziesz słyszała dwuznaczne uwagi...

- Daję sobie radę z seksistami. Jestem Australijką. Molly przyjrzała jej się spod oka.

- No dobrze. Przynajmniej weź z sobą komórkę. Zadzwoń do mnie, jak ci się sprawy wymkną spod kontroli.

- Kochana jesteś. - Alicja poklepała ją po głowie. - Chodź. - Wskazała drzwi damskiej toalety. - Zajrzemy tutaj, bo mi pęcherz pęknie.

Molly, zrezygnowana, powlokła się za przyjaciółką. Rano zastanawiała się, czy kiedykolwiek w życiu zrozumie mężczyzn. Teraz okazało się, że kobiet także nie rozumie. Coraz lepiej.

Miała jeszcze jedną ważną kwestię do przemyślenia. Wyszła z kabinki, stanęła przed lustrem, zsunęła z ramion kardigan i przyjrzała się sobie w wyciętej czerwonej sukience. Kupiła ją już dość dawno, za namową Abi, która uparła się, że ten borówkowy odcień czerwieni jest dla niej stworzony. Dotąd nie miała odwagi włożyć seksownego ciuszka. Dekolt był pewnie zbyt głęboki, dół krótki - na pewno za kusy. Całość przylegała do ciała... Och, te gofry! Może już je widać? Co Fabrice sobie o niej pomyśli?

*Robyn Sisman*

Usłyszała zgrzyt zasuwki i z kabinki wyszła Alicia. Ruszyła w stronę umywalk, lecz w połowie drogi stanęła jak wmurowana.

- Niezła kiecka!

- Naprawdę? - wychrypiała Molly z wciągniętym brzuchem.

- Ale buty - takie sobie. - Odkręciła kran. - A ten kardigan nadaje się tylko na śmietnik. Nie masz jakiegoś dopasowanego żakietu?

Molly robiła w myślach przegląd swojej garderoby, gdy Alicia spojrzała na zegarek.

- Słuchaj, hotel Malcolma jest po drugiej stronie Sekwany, więc jeżeli masz mu oddać dysk i zdążyć na randkę z Fabrice'em, to lepiej się ruszaj.

- Ja?! - zdumiała się Molly. - Ja nie idę.

- No a kto? Obiecałam Malcolmowi, że dostanie płytę w ciągu godziny, sama słyszałaś. A jestem z tych, co dotrzymują słowa. Śmiało, kochana, bo go będziesz miała na sumieniu.

- Myślałam, że to ty...

- Nie ma mowy. Muszę wracać do Zabi, siedzę dziś w sklepie. Tak się składa, że niektórzy w tym mieście czasem pracują. - Alicio, ja nie mogę tam pójść. Tam się roi od moich znajomych. Na pewno ktoś mnie zobaczy. Nie przeżyję tego. A jeśli wpadnę na Malcolma? - To co? Przecież to tylko facet. Tak samo jak Fabrice. Molly aż się zachłysnęła, słysząc taką herezję. - A poza tym - ciągnęła przyjaciółka - to przecież żadna filozofia. Zostawisz płytę w recepcji i znikniesz. - Nie dam rady - upierała się Molly. - To nie do zrobienia. Na pewno ktoś mnie rozpozna. Alicia bez słowa myła ręce. Molly obserwowała, jak po kolei czyści paznokcie, a potem palcami wskazującymi przygląda wąskie łuki brwi. Miała nadzieję, że przyjaciółka coś powie. Ale w milczeniu podeszła do suszarki, więc w lustrze zostało tylko odbicie naburmuszonej Molly. Puściła ciepłą wodę, by zagłuszyć przykre echo własnych słów. Zachowała się jak dziecko. Tylko że naprawdę bała się wyprawy do szynkownego hotelu pełnego ludzi, którzy ją przerażali. Alicia tego nie rozumie. Jest starsza, odważniejsza i... i pochodzi z Australii. W dodatku ma pięciu wrzeszczących braci. Dlaczego nie chce jej pomóc?

Nagle Molly się zawstydzila. Przecież tamta i tak już zrobiła dla niej bardzo dużo. Była miła, sympatyczna, zabawna. Tylko dzięki

*Weekend w Paryżu*

99

niej Molly poznała Fabrice'a. Poza tym Alicia umówiła się z Malcolmem na randkę - Bóg jeden wie, po jakie Ucho, ale tak czy inaczej spotkanie na pewno przebiegnie w znacznie miłszej atmosferze, jeśli Malcolm nie będzie czekał na swój głupi dysk.

Podeszła do suszarki i wsunęła dłonie w strumień ciepłego powietrza.

- Masz rację - uznała. - Pójdę sama. Na pewno jakoś sobie poradzę.

- Jasne. - Tamta ucisnęła ją krótko. - I niczym się nie przejmuj. Właśnie doznałam olśnienia.

### *Rozdział dziesiąty*

W sklepowych witrynach - same cuda. W jednej cienkie strumyki brylantów i fale pereł zalewające ciemny aksamit, w następnej damskie manekiny dumnie eksponujące przezrystą bieliznę we wszystkich odcieniach owocowej tęczy - od limonki po maliny, w kolejnej trufle, dalej kawior, mozaiki z młodych warzyw w galarecie, pączki róż i dale o brązowych liściach, jeszcze błyszczące od rosy, oraz czekolada w najróżniejszych kształtach, zdobiona skórką cytrynową i kandyzowanymi fiołkami. Molly mijała długie do ziemi kaszmirowe płaszcze, skórzane torebki delikatne niczym jedwab, wyeksponowane we wnętrzach o marmurowych ścianach z wielkimi lustrami, gdzie czekały wdzięcznie upozowane przepiękne sprzedawczynie. Nad każdym wejściem widniało nazwisko kolejnego projektanta lub dyktatora mody, o którym dotąd mogła jedynie poczytać w „Vogue”, kiedy czekała na podcięcie włosów u Snipz, najmodniejszej fryzjerki w Minster Episcopi. W Paryżu świadczyły one o jakości towaru, szczerze ozdobione chorągiewkami, albo wręcz przeciwnie - skromnie ujęte w drewniane ramki. To było terytorium turystek z Japonii i Ameryki, spoglądających na symbole kart kredytowych umieszczone przy drzwiach. Do pięt nie dorastały paryżankom uczesany, zadbanym, umalowanym, wymanikiu-rowanym i zachowującym się jak udzielne księżne. To, co Molly robiła teraz, powszechnie znane jako lizanie cukierka przez szybę, po francusku nosiło nazwę *leche-vitrine*. Ale też przyznać trzeba, że równie często jak na cuda za szkłem patrzyła na własne zdumiewające odbicie. Peruka w stylu Kleopatry była pomysłem Alicii. Pożyczyły ją z butiku Zabi. Okulary kupiły niedaleko

restauracyjki od jakiegoś arabskiego handlarza, który miał dosłownie wszystko. Były wielkie, prawie jak maska Zorro, miały szkła czarne jak noc i oprawki ze sztucznego tworzywa imitującego szylkret. Alicia uparła się też, by Molly włożyła czarne sznurowane buty sięgające połowy łydki, a do kompletu - fantastyczny żakiet z denimu, który wyglądał, jakby został namoczony w morskiej wodzie, wysuszony na Saharze, a w końcu lekko osmalony. Z czerwoną sukienką tworzył rewelacyjną całość.

Nagle usłyszała coś, co wydało jej się szyderczym prychnięciem. Odwróciła się gwałtownie, ale ten dźwięk wydał nie człowiek, lecz piesek, którego łebek wystawał z torebki starszej pani.

- *Mais qu'est-ce que tu as, mon petit bijou\**? - zagruchała staruszka i czule pogładziła nosek swojego ulubieńca palcem wskazującym, zakończonym szkarłatnym paznokciem.

Molly poszła dalej, unikając spojrzeń przechodniów. Mimo przebrania czuła się tak wystawiona na widok publiczny, jakby była naga. W dodatku cała głowa ją swędziała. Och, niech już się to wszystko skończy.

Luksusowe witryny ustąpiły miejsca nieco mniej wystawnym sklepom oferującym głównie wyposażenie kuchni. W wielu oknach wystawowych widniały napisy: „Pra: *choc\*\*!*”. Przy którymś wejściu Molly zatrzymała się, podniosła okulary i spojrzała na mapę. Jeszcze jedna przecznica prosto, potem w prawo i będzie na miejscu.

Hotelu nie dało się przeoczyć. Był to jeden z tych monstrualnych potworności wybudowanych na przełomie wieków. Dawniej gościł bogatych podróżnych przyjeżdżających na pobliski dworzec kolejowy. Potem został zdegradowany do roli lokum dla *hoi pol-loi\*\*\**, urządzano w nim konferencje i umieszczano wycieczki. Zeszecono go barem Maria Antonina i rządkiem butików z tandetnymi upominkami. Mimo wszystko budynek zachował wspomnienie dawnej świetności: ostały się stopnie wyłożone czerwonym dywanem, ornament na portalu, portierzy w liberiach wzywający taksówki. Molly odchrząknęła niepewnie. Po raz setny sprawdziła, czy dysk jest w torebce, chociaż sama włożyła go do koperty z napisem: „Dla pana M. Figga (Phipps Lauzer Bergman)”. Wystarczy teraz wejść, zostawić ją w recepcji - i wyjść.

**\* Co się dzieje, skarbenku? \*\* Szokujące ceny! \*\*\* (gr.) Tłuszcza, pospólstwo.**

*Robyn Sisman*

Ostatni raz niespokojnie rzuciła okiem na dziwaczną istotę, która dotrzymywała jej kroku, odbita w ogromnych hotelowych szybach, uniosła głowę i kołysząc biodrami, wstąpiła na czerwony dywan. Nie patrząc na boki, ruszyła schodami do drzwi wejściowych.

O rany! Hol ogromny jak sala balowa, wysoki przynajmniej na trzy piętra. Wszędzie marmury, złoto i kryształowe kandelabry. Szerokie schody prowadziły efektownym łukiem na podest otoczony balustradą. Przy stanowiskach oznaczonych „Informacja”, „Kantor” i „Pokoje” kłębiły się tłumy. Od czasu do czasu rozlegało się dźwięczne „ding!” ogłaszające przybycie windy. Bagażowi popychali wózki z najróżniejszymi walizkami, pod palmami w doniczkach szczebiotały kobiety noszące praktyczne obuwie i jedwabne apaszki. Wielka tablica zapraszała na: „Międzynarodowy kongres gastroenterologów”.

Tylko gdzie ta recepcja? Molly przeszła kilka kroków, straciła odwagę i skrzyła w lewo. Zatrzymała się przy jakiejś witrynie i z niemałym artyzmem wcieliła się w rolę osoby podziwiającej kolekcję eleganckich apaszek, w rzeczywistości dokonując rozpoznania otoczenia. Nie dostrzegła nikogo znajomego. Bardzo dobrze. No i w końcu znalazła długą mahoniową ladę zdobioną pękatymi szklanymi lampami, wygiętą w zgrabny łuk, z wydzielonymi odrębnymi stanowiskami obsługi, gdzie mężczyźni w czarnych garniturach robili wszystko, by sprostać niewyczerpanemu strumieniowi pytań i żądań. Zaczaiła się przy recepcjoniście na końcu, ukryta przemyślnie za wazonem z liliami do momentu, aż nadeszła jej kolej.

- *Oui?* - spytał z zawodową uprzejmością bladej mężczyzna o przylizanych włosach.

Molly pochyliła się ku niemu i przyciszonym głosem wyjaśniła zawiałości swojej misji. Mówiła po francusku, ale jej akcent od razu naprowadził starego wygę na właściwy tor.

- Ależ oczywiście, proszę pani - odparł po angielsku. - Przypilnuję doreczenia przesyłki.

Z prawdziwą ulgą sięgnęła do torebki po feralną kopertę. Akurat wyciągała rękę, by podać dysk recepcjoniście, gdy jego wzrok przesunął się gdzieś w przestrzeń za jej ramieniem, a twarz zajaśniała uśmiechem.

- Ach! Ale oto i *monsieur* Feeg we własnej osobie!

Molly zanurkowała pod kwiatami i wystrzeliła w przeciwną stronę. Biegła pochylona, na ugiętych nogach, wciąż ściskając kopertę w rękę. Głowa kręciła jej się w lewo i w prawo jak na łoży-

## Weekend w Paryżu

103

skach. Dokąd uciekać? Gdzie się schować? Co robić? Nagle w polu widzenia pojawił się jakiś mężczyzna odwrócony tyłem: dość wysoki, w szarej marynarce. Szedł do drzwi. Dogoniła go i wsunęła mu rękę pod ramię.  
- *Au clair de la lune, mon ami Pierrot!*\* - wydyszała takim tonem, jakby witała dawno niewidzianego przyjaciela.

Mężczyzna przystanął, kompletnie zaskoczony. Był w średnim wieku i całkiem zwyczajny: miał na sobie przeciętną koszulę, jakiś standardowy sweter, a do niego bezsensownie przyczepiony identyfikator. Uwolnił się z uścisku Molly, wzięła go więc pod łokieć i pchnęła do przodu.

- *Ma chandelle est morte. Je n'ai plus de feul*\*\* - Roześmiała się głośno.

Razem wyszli z holu przez jakieś drzwi, za którymi ciągnął się długi korytarz wyłożony miękką wykładziną. Jeśli Malcolm szedł za nimi, Molly nadal była w niebezpieczeństwie. A jednocześnie jej mimowolny wybawiciel, dotąd zaskoczony, zaczynał się wyraźnie irytować. W każdej chwili mógł ją zdradzić. Na lewo dostrzegła jakieś przejście, a dalej, za progiem, niskie stoliki, przygaszone światła, czerwony plusz.

- *Le bain* - krzyknęła z entuzjazmem i stanowczo wprowadziła swego towarzysza do środka.

Tam nieznajomy uwolnił się z uścisku, kilkoma energicznymi klepnięciami sprawdził obecność portfela w kieszeni na piersi i spojrzał na Molly w równym stopniu podejrzliwie, co ze zdumieniem. Barman przerwał polerowanie kieliszków - najwyraźniej wyczuł początek dramatu. Molly przestąpiła niepewnie z nogi na nogę. Z jednej strony chciała się schować, z drugiej pragnęła się wytłumaczyć, z trzeciej była wściekła, że wzięto ją za złodziejkę, z czwartej - przerażona, iż tak niewiele brakowało, by ją publicznie oskarżono o działanie na szkodę firmy.

- *S'il vous platt, monsieur, excusez-moi. Je regrette... mmm... beaucoup...*\*\*\*

Barman gładkim ślizgiem znalazł się tuż obok. Czy szanowny pan ma jakiś kłopot, w którym można by mu pomóc? Lepkim spojrzeniem ocenił gołe nogi Molly i jej fetyszystyczne buty. A jej

**\* W blasku księżycy, mój przyjacielu Pierrotcie! \*\* Świeca zgasła. Nie mam już ognia! \*\*\* Proszę mi wybaczyć. Bardzo mi przykro...**



*Robyn Sisman*

natychmiast przypomniała się scena z „Pretty woman” - ta, w której hotelowy detektyw na pierwszy rzut oka rozpoznał w Julii Roberts prostytutkę.

Nieznajomy zmierzył Molly uważnym spojrzeniem i wreszcie lekko wzruszył ramionami, jakby mówił, że pomoc jest zbędna. Gestem zaprosił ją, by usiadła. W tej przesadnej grzeczności czaiła się bardzo kłopotliwa nutka ironii. Z uczuciem, jakby była eskortowana na dywanik do dyrektora szkoły, Molly poprowadziła swojego mimowolnego wybawcę w najdalszy, najciemniejszy kąt baru. Mężczyzna usiadł naprzeciwko i założył ręce na piersi.

- Słucham - oznajmił spokojnie. - O co tu chodzi?

Molly drgnęła zaskoczona. Anglik! Po raz pierwszy przyjrzała mu się uważniej. Niebieskie oczy, lekko podkrążone, ale o żywym, inteligentnym spojrzeniu, włosy ciemne, z pierwszymi nitkami siwizny, cera blada, jak zwykle u człowieka, który większość czasu spędza w czterech ścianach, usta zdradzające skłonność do uśmiechu. Całość w jakimś sensie wyrafinowana, choć trudno określić dlaczego. Na pewno nie był to człowiek próżny, sądząc po ubraniu. Ach, identyfikator. Przez te ciemne okulary nie mogła go przeczytać, zresztą chyba i tak był do góry nogami. Tak czy inaczej, najwyraźniej upolowała członka konferencji, może nawet pracownika PLB. Lepiej zachować najwyższą ostrożność.

- Jak rozumiem, jest pani Angielką - naciskał - i najchętniej porozumiewa się pani za pomocą francuskich kołysanek.

- Nie, nie. Angielką? Skądże! Jestem... Australijką. - Molly zmyślnie przekształciła samogłoski w dźwięki nosowe.

- Naprawdę? Świetnie pani mówi po francusku. Sądziłem, że Australijczycy uczą się raczej japońskiego.

- Moja rodzina pochodzi z Francji, to znaczy z Francji - improwizowała konsekwentnie.

- Aha. To tłumaczy atramentową czerń włosów.

Podniosła rękę, aby poprawić włosy, ale zamiast nich napotkała coś, co w dotyku przypominało sierść charta afgańskiego. Ach, no tak. Peruka. Przyglądała ją niedbale i natychmiast tego pożałowała, bo coś się wyraźnie przemieściło.

- I co pani myśli o Paryżu? - spytał jej towarzysz.

- Ujdzie w tłoku. Lekko uniósł brwi.

- Zgadza się z panią. Zapadła cisza.

*Weekend w Paryżu*

105

- Jestem panu winna przeprosiny - odezwała się Molly - za to porwanie. Na pewno wziął mnie pan za wariatkę... szaloną kangurzycę. - Roześmiała się gromkim śmiechem Alicii. - Widzi pan, unikam tutaj pewnego człowieka... a właśnie go zobaczyłam. Dlatego musiałam zniknąć, szybko i skutecznie. Wiem, że zachowałam się głupio i niegrzecznie, ale... Przyglądał jej się, może nie całkiem niedowierzająco, ale meufme.

- A kogo to pani tak unika jak ognia? - Mężczyzny.

- Swojego chłopaka?

- Skądże!

- Łączą was stosunki raczej... oficjalne?

- Nie! - Domyśla się czegoś? - To po prostu mężczyzna - i już.

- Hm...! - Wiem, co pan sobie o mnie myśli - wyrzuciła z siebie. - Wziął mnie pan za panienkę lekkich obyczajów, taką co to wślizguje się do hotelu i...

- Napije się pani czegoś? - przerwał.

Molly zorientowała się, że przy ich stoliku jak spod ziemi wyrósł barman, gotów przyjąć zamówienie.

- Nie, dziękuję - odparła lodowatym tonem.

- Nalegam. W końcu to pani mnie tu przyciągnęła.

- Wobec tego, dobrze. Jest napój jabłkowy z kartonu? - spytała barmana.

Ten, słysząc podobne barbarzyństwo, tylko lekko przymknął oczy.

- No to niech będzie sok ze świeżych pomarańczy. - Gdy tylko się oddalił poza zasięg głosu, Molly podjęła gorączkowym szeptem: - Przysięgam panu, nie obchodzi mnie pana portfel, nie naciagam pana na drinka ani... ani na nic innego. Na pewno wziął mnie pan za zbiegłą kryminalistkę, ale zapewniam pana: ja po prostu usiłuję dostarczyć pewną przesyłkę. - Jak to? - No właśnie. Muszę coś dać temu człowiekowi.

- Temu, którego pani unika?

- Tak! Nie. - Molly westchnęła zrezygnowana. - Chcę, żeby dostał pewną rzecz, ale nie mogę mu jej oddać osobiście.

Proszę, zaraz panu pokażę, jeśli pan mi nie wierzy. - Wyjęła z torebki kopertę, teatralnym gestem upuściła ją na stół.

I od razu odwróciła na drugą stronę, żeby ukryć nazwisko Malcolma.

- A więc jest pani kurierem?

*Robyn Sisman*

-Tak jakby.

- Nie jest pani przypadkiem szpiegiem?

Aha. Teraz z niej kpił. Odwróciła głowę i zapatrzyła się w przestrzeń, nie racząc odpowiedzieć.

-Ale ekstra! - rozpromieniła się nagle. - Coś takiego! - Oto przyniesiono jej sok z pomarańczy, ozdobiony plasterkiem owocu, wisienką, słomką, którą można było wyginać na wszystkie strony' i koktajlową parasolką. Z pewną rezerwą zauważyła, iż jej towarzysz zamówił szkocką, chociaż dopiero co minęło południe. Może był alkoholiczkiem.

Jakiś czas popijali drinki w milczeniu. Molly była zachwycona, choć za każdym razem, gdy pochylała głowę, okulary zsuwały jej się po nosie w wyjątkowo irytujący sposób i stale musiała je poprawiać palcem.

- Mam nadzieję, że nie będzie mi pani miała za złe - odezwał się nieznajomy - jeśli spytam, czy ma pani chore oczy?

- Nie, a skąd to pytanie?

- Wobec tego przypuszczam, że może pani zdjąć okulary. Nie ma tutaj oślepiającego światła.

Po chwili zastanowienia posłuchała rady. Natychmiast zrobiło jej się chłodniej, wygodniej, normalniej. Otoczenie zyskało kolory, łącznie z wykładziną w lilie i lustrami trzymanymi przez cherubiny. Rozejrzała się wokół ostrożnie, przepatrzyła wszystkie stoliki, a następnie zerknęła za siebie, czy nikt nie stoi w drzwiach.

- Jeżeli wejdzie tu człowiek, którego pani unika, proszę podrapać się po lewym uchu, a ja zorganizuję dywersję - zaoferował się nieznajomy.

Minę miał śmiertelnie poważną, ale w jego oczach błyskały wesołe iskierki, więc i Molly odruchowo odpowiedziała lekkim uśmiechem. Nie był taki zły. Przyjrzała mu się uważniej. Jego bladeść i pewna niedbałość stroju stanowiły znajomy akcent w otoczeniu wymuskanych, smagłych cudzoziemców. Miło posłuchać człowieka mówiącego językiem poprawnym, a jednocześnie bez zbędnego zadęcia. Mogła trafić gorzej.

Raptem przypomniała sobie o upływie czasu, gwałtownym ruchem odsunęła rękaw żakietu i spojrzała na zegarek.

Czterdzieści minut do spotkania z Fabrice'em. Niedługo trzeba będzie się zbierać. Tylko co z tą nieszczęsną płytą?

Alicja obiecała ją Malcolmowi w ciągu godziny, niestety ta godzina minęła przed kwadransem. Pewnie dlatego Figg zjawił się w holu. Jeśli był naprawdę wściekły,

to pewnie nadal tam czekał. Molly zaczęła obgryzać paznokcie, ale zaraz sobie przypomniała, że nie jest sama.

- Przepraszam. Widzi pan... jestem umówiona... i stanowczo nie powinnam się spóźnić. - Lecz zamiast wyjść, zaczęła bębnić palcami po kopercie Malcolma. Trzeba szybko coś wymyślić. Tylko co?

Jej towarzysz patrzył w szklaneczkę ze szkocką. Nie wiedzieć czemu, Molly zwróciła uwagę na jego dłonie, duże i wzbudzające zaufanie, z czystymi okrągłymi paznokciami. I bez sygnetu.

- Ma pani kłopoty?

- Nie, nie. Po prostu muszę dostarczyć tę przesyłkę. - Szturchnęła ją jednym palcem, potem o milimetr przesunęła w stronę nieznanego. - A może pan by mnie wyręczył? Milczał jakiś czas.

- Co to jest? - zapytał wreszcie.

- Nie narkotyki, nie bomba domowej roboty ani nic groźnego. Zwykle nudne materiały na prezentację dla pewnej spółki farmaceutycznej. - Odwróciła kopertę i wskazała nazwisko Malcolma. - Proszę spojrzeć. Ten człowiek pracuje w dziale reklamy. Może pan to łatwo sprawdzić. On... zapomniał to wziąć, a ja obiecałam, że przyniosę. Oczywiście domyślił się, że nie usłyszał całej prawdy. Molly zaczynała mieć serdecznie dosyć łgania i kręcenia. Wziął kopertę w rękę, przysunął do ucha, potrząsnął nią lekko. Molly spojrzała na niego z nadzieją.

- Dobrze. - Zgodził się wreszcie. - Dostarczę tę przesyłkę. Nawet osobiście, jeśli to pani odpowiada. Chętnie poznam pana Figga.

- Och, dziękuję panu, bardzo dziękuję! - Molly złożyła dłonie jak do modlitwy, szczęśliwa, że Bóg odpowiedział na jej wołanie.

- O ile mi pani przyrzeknie, że nie są to plany rozmieszczenia australijskiego arsenału nuklearnego.

Minęła chwila, zanim biedaczka przypomniała sobie, iż teoretycznie jest Australijką. Zaczerwieniła się z lekka, lecz zaraz oboje się roześmiali. Nawet fajny ten Anglik, jak na takiego dinozaura.

- Czy mógłby pan mu nie zdradzić, że ja to panu dałam?

- Z łatwością. Przecież nawet nie wiem, kim pani jest.

- Rzeczywiście. - Zachowała się niegrzecznie, nawet się nie przedstawiła, ale trudno. Malcolm nie może się dowiedzieć, że ona także jest w Paryżu. Od razu zobaczyła oczami wyobraźni, jak były szef brutalnie przerywa jej romantyczną randkę z Fabrice'em i ciągnie Molly na konferencję, by robiła notatki albo przygotowywała firmowe

*Robyn Sisman*

stanowisko. - Nawet nie musi wiedzieć, że dała to panu kobieta - wysunęła nieśmiałą sugestię.

- Nie zdradzę mu tego, choćby na torturach.

Uśmiechnęła się. Co to za człowiek? Nie wyglądał na członka ekipy PLB. Tamci wszyscy puchli od przekonania o własnej ważności. - Pracuje pan w spółce farmaceutycznej? - spytała.

- Ależ skąd. Jestem tylko lekarzem. Uniżony sługa.

Zdumiewająca uwaga. W biurze wszyscy zawsze mówili o lekarzach jak o kapryśnych bóstwach, które należało nieomal nosić na rękach.

- To chyba powinien pan... być na konferencji? - Ruchem głowy wskazała jego identyfikator.

- Zdaje się, że tak. Unikam takich spotkań jak ognia, to straszna nuda.

Mimo koszmarnych doświadczeń w Phipps Lauzer Bergman, Molly poczuła ukłucie złości. Tyle pracy, tyle wysiłku włożonego w przygotowania do konferencji, całe to przepisywanie, dramatyczne perypetie związane z dyskiem, a dla niego to straszna nuda! - Dlaczego?

- Za dużo reklamy, za mało nauki.

- Wydawałoby się - zmarszczyła brwi w zamyśleniu - że lekarze powinni chętnie przyjmować wiedzę o nowych farmaceutykach. Roześmiał się, jakby usłyszał coś niesłychanie naiwnego.

- W rzeczywistości sprawa wygląda dokładnie odwrotnie. Lekarze przyczyniają się do sprzedaży konkretnych wyrobów. Gdybym miał dość rozumu, żeby kupić udziały w jakiejś firmie produkującej leki, byłbym milionerem. Brzmiało to przekonująco, chociaż arogancko. Nadal jednak poprzednia uwaga na temat konferencji tkwiła Molly cierniem w sercu. Dziewczyna pochyliła głowę i wyciągnęła przez słomkę ostatnie krople soku, wydobywając przy tym pomiędzy topniejących kostek lodu głośnie siorbnięcie: Podniosła głowę i spojrzała na swojego towarzysza wyzywająco. - Rozszyfrowałam pana - oznajmiła. - Wiem, po co pan tu przyjechał. Ma pan darmową wycieczkę do Paryża. - W nagrodę za taką zuchwałość spodziewała się przynajmniej uśmiechu.

Tymczasem mężczyzna tylko westchnął:

- Obawiam się, że ma pani rację.

Może był zmęczony. W gazetach ciągle pojawiały się artykuły o zbyt długich godzinach pracy lekarzy. Rzeczywiście, nawet miał zmarszczki na twarzy. Na pewno z przepracowania.

## *Weekend w Paryżu*

109

- Jak to jest być lekarzem? - zastanowiła się głośno.

- To frustrujący zawód. Wyczerpujący. Niekiedy interesujący. Bardzo rzadko - fascynujący. Więcej nie wiem na ten temat. - Dopił whisky. - Chyba już czas na panią.

- O rany, rzeczywiście! - Chwyciła torebkę.

- Wyjdę z panią na korytarz. - Wziął kopertę dla Malcolma i wstał. - Jeśli chce się pani dostać do metra, najlepiej będzie tylnym wyjściem.

- Tak, metro mi bardzo pasuje. Mam tylko pół godziny. - Już się niecierpliwiła. Nie do wiary, że tyle czasu była pianę z jakimś starszym doktorem. Głupia konferencja! Przecież Fabrice czekał! Mimo wszystko grzeczność nie zaszkodzi. Podeszła za lekarzem do baru i odczekała, aż zapłaci rachunek, słuchając, jak ma się wydostać z hotelu oraz którą linią metra powinna jechać.

- To tylko kilka stacji. Trafi pani na pewno. - Odprowadził ją do progu. - Tędy - wskazał długi korytarz. - Prosto, w lewo i już będzie pani przy wyjściu. Ja idę do holu.

Molly niecierpliwie pokiwała głową.

- Dziękuję, że pan się zgodził dostarczyć przesyłkę - powiedziała. - Ach i za sok też, oczywiście.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że mogłem panią poznać. - Wyciągnął do niej rękę. - Życzę miłej zabawy.

- Dziękuję. - Już się nie mogła doczekać spotkania z najprzystojniejszym Francuzem na świecie.

Najwyraźniej miała to wyraźnie wypisane na twarzy, bo nieznajomy, puszczać jej dłoń, dodał niespodziewanie:

- Oby spełnił pani oczekiwania.

Zagryzła wargi, żeby się głupio nie roześmiać. Odwracając się, pomachała mu na pożegnanie.

Za rogiem puściła się biegiem. Nie widząc nikogo w zasięgu wzroku, ściągnęła perukę, wcisnęła ją do torby i uszczęśliwiona potrząsnęła głową, aby rozrzucić włosy. Przepelniała ją radość. Fabrice!

Dywan tkany był w wielkie, równomiernie ułożone medaliony, portrety kolejnych Ludwików zwieńczone laurowymi wieńcami. Molly, pędząc długimi skokami, zostawiała je za sobą.

Następny zakręt. I wreszcie szerokie wyjście, obrotowe drzwi błyszczące wypolerowanym mosiądzem. Żadnego odźwiernego. Serce biło jej jak oszałałe. Pchnęła ciężkie mahoniowe skrzydło i wypadła na słońce.

### *Rozdział jedenasty*

Bardzo mi przykro, proszę pana. - Facet z recepcji rozłożył ręce i po raz kolejny w szalenie irytujący sposób wzruszył ramionami, zupełnie jak podrygująca żaba.

Zirytowany Malcolm obrócił sygnet na palcu. Już trzeci raz w ciągu ostatnich dziesięciu minut uciekał od swoich konferencyjnych obowiązków w sali wystawowej, by sprawdzić, czy wreszcie zjawiała się ta dziewczyna. Jerry, jego szef, zaczynał niepotrzebnie zwracać na niego uwagę.

- Kłopoty z żołądkiem, stary? Za dużo ślimaczków? Cha, cha, cha. Śmieszne jak nie wiadomo co. Oparł się o blat recepcji, robiąc groźną minę.

- Na pewno jej pan nie przegapił? Powinna dawno wrócić. Co się dzieje, gdzie ona zniknęła?

- Tak jak panu powiedziałem, zniknęła. *Comme ça. Pouf\**! Puf, no właśnie, powtórzył w duchu Malcolm, obserwując wydęte usta i miękkie nadgarstki Francuza. Wszyscy oni są jak z baletu. Nawet jeśli dziewczyna znów się pokaże, ten facet będzie zbyt zajęty kręceniem piruetów za ladą, żeby ją zobaczyć.

Przyszpilił recepcjonistę stalowym wzrokiem Clinta Eastwooda.

- Posłuchaj mnie pan. Zaczekam jeszcze pięć minut. - Kciukiem wskazał grupkę niskich sof i stolików do kawy za swoimi plecami. - Będę cię miał cały czas na oku, kolego. Jak tylko zobaczysz dziewczynę, mrugniesz do mnie, jasne? Zagadaj ją. I tym razem chcę mieć tę kopertę. *Comprendo?*

**\* Ot tak!**

*Weekend w Paryżu*

104

- *Oui, monsieur Feeg.*

Męskim ruchem kowboja wydobywającego rewolwery Malcolm obciągnął mankiety koszuli: najpierw lewy, potem prawy, wciąż wbijając oczy we Francuza, by mieć pewność, że do tamtego dotarło, co powiedział. Nie zadziera się z gościem noszącym dwudziestoczerkaratowe spinki od Gucciego. Z monogramem.

Okręcił się na pięcie i sztywnym krokiem odmaszerował w kierunku beżowej skórzanej sofy. Usiadł, pamiętając o rozpięciu marynarki. Nie powinna się pognieść.

Gdzie ta baba!? A co ważniejsze, gdzie płyta? Czas się kurczył. Przy jutrzejszej prezentacji będzie obecny Jerry, szef Jerry'ego i szef szefa Jerry'ego. Jeżeli on, Malcolm, da ciała, to na obiad zostanie podany *steak au Figg*.

Lewa noga zadrgała mu gwałtownie. Po chwili - prawa. Spojrzał w sufit, na recepcjonistę, podłubał w ucho i to, co wygrzebał, rzucił na dywan. Spojrzał na zegarek, którego wyświetlacz podawał wiele istotnych danych, między innymi: głębokość zanurzenia, aktualny czas w Tokio i Nowym Jorku, datę oraz dokładną godzinę, a także wskazania kompasu solarne. Ani jedna z informacji nie poprawiła mu humoru. Do recepcji nie zbliżyła się żadna dziewczyna.

Przez telefon wydawała się przekonująca. No i w końcu przyszła... ona albo inna cudzoziemka. Z jakąś kopertą. Zapytała konkretnie o niego. Wymieniła nazwisko „Figg”. Recepcjonista widział kopertę na własne oczy. Większa niż list, bardziej kwadratowa, ale niezbyt gruba. W sam raz na płytę kompaktową. Prawie miał ją w ręku, gdy dziewczyna zniknęła. Gdzie? Dlaczego? Już mu od tego wszystkiego zaczynało szumieć w uszach.

Wstał, odruchowo zapiął marynarkę, wygładził ją na brzuchu. Podeszedł do najdalszej palmy w doniczce i wbił w nią wyteżony wzrok. Jestem liściem, powiedział sobie stanowczo. Tak nakazywała jedna z technik walki ze stresem.

Jestem wielkim pięknym, błyszczącym liściem, spokojnie wiszącym w powietrzu.

Rozluźnił pięści.

- Figg-liść. Nie, nic z tego.

Ze złością wymierzył liściowi solidny prztyczek i wrócił do zestawu mebli wypoczynkowych. Usiadł i rozpiął marynarkę.

Recepcjonista powiedział, że miała czarne włosy, czerwoną sukienkę i sznurowane buty do połowy łydki. Młoda. Bardzo ładna.



*Robyn Sisman*

Wobec tego - na pewno nie Molly, choć podejrzewał, że przyjechała do Paryża. A ta druga, Alicia? „Może jestem blondynką, a może nie”. Zagadek jej się zachciało! Podpuszczała go? A może naprawdę wieczorkiem wybiorą się razem do kabaretu? Sznurowane buty do połowy łydki. Pewnie zna parę sztuczek. I bardzo dobrze. W sprawach łóżkowych był w szczytowej formie, zwłaszcza od kiedy zaczął łykać te kapsułki, reklamowane na czwartej stronie okładki w czasopiśmie dla mężczyzn. Nawet wziął udział w konkursie. Zdjęcia przedstawiające go „przed” i „po” nie były całkiem uczciwe, ale warto zaryzykować, żeby wygrać czerwone lamborghini diabło. Od zera do setki w trzy i sześć dziesiątych sekundy! Już sobie wyobrażał, jak z piskiem opon hamuje przed biurem, już widział przyciśnięte do szyb zdumione, pełne podziwu twarze kolegów, dziewczyny błagające go o...

- Dzień dobry, czy pan Malcolm Figg?

Stał nad nim jakiś wapniak. Wysoki. Obciął go spojrzeniem z góry. Ton nadęty, postawa sugerująca wyższość, płócienny garnitur, wyglądający, jakby nigdy nie widział żelazka.

- A kto pyta? - burknął Malcolm. Facet zasłaniał mu recepcję. A dziewczyna mogła wrócić w każdej chwili.

- Nazywam się Jonathan Griffin. Jestem lekarzem, ale to w tej chwili mniej ważne. Chciałbym...

Lekarz! Dopiero teraz Malcolm dostrzegł identyfikator. Wstał natychmiast, przywołując na twarz szeroki uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wprawnym ruchem zapiął marynarkę i równie zręcznie wytarł dyskretnie o nią spoconą dłoń. - Malcolm Figg, szef działu marketingu w Phipps Lauzer Bergman. Czym mogę służyć?

- Przypuszczam, że to raczej ja będę panu pomocny - odrzekł lekarz chłodno. - Czy możemy usiąść? - wskazał sofę.

- Oczywiście. Zapraszam. - Malcolm odczekał, aż doktor usiadł, dopiero wtedy podciągnął nogawki i przycupnął na brzegu sąsiedniej poduchy. - Czuję się w obowiązku uprzedzić, że mogę w każdej chwili zostać wezwany.

Spodziewam się ważnej przesyłki.

- Tej? - Lekarz, niczym czarodziej, wyciągnął znikąd kwadratową kopertę.

Malcolmowi momentalnie zaschło w ustach. Widział na papierze własne nazwisko.

- Skąd pan to ma? - Najchętniej wyrwałby facetowi przesyłkę z ręki.

Nieznajomy uśmiechnął się z wyższością.

- Obawiam się, że nie jestem upoważniony do udzielenia takiej informacji.
- Od dziewczyny? Brunetka w czerwonej sukience... Lekarz podał kopertę Malcolmowi.
- Zechce pan sprawdzić zawartość?

Jasne, cholera, że zechce. W końcu to jego własność, do niego adresowana przesyłka.

- Dzięki - mruknął, porwał kopertę i wcisnął palec pod zaklejony brzeg, nie zważając na manikiur. Nie od razu udało mu się roze-drzeć papier, ale w końcu potrząsnął opakowaniem i wysunął na dłoń gładki, najcenniejszy na świecie, połyskujący złotem krążek. No! Jeszcze sprawdził opis na awersie, ale już wiedział, że to jest to. Zalała go ciepła fala ulgi, wróciła pewność siebie. Figg jest najlepszy. Figg zawsze osiąga cel!

Lekarz przyglądał mu się uważnie.

- Wszystko w porządku? - spytał.

O co mu chodzi?, zastanowił się Malcolm. Dlaczego nie chce powiedzieć, co to za dziewczyna? Rzeczywiście jest tylko posłańcem czy może jednak coś wie?

Lekarz, nie lekarz, wszystko jedno, musiał poznać całą prawdę. Mógł ją z gościa brutalnie wydusić, ale nie, to nie w jego stylu. Na to był zbyt przezorny. O, tak. Niezależnie od tego, ile przeszedł przez tę całą Molly, ile musiał się podlizywać z powodu jednej płyty, umiał pokonać stres i rozegrać sprawę na zimno. Niepotrzebne mu żadne plotki. Wsunął dysk z powrotem do koperty i lekceważąco postukał nią w otwartą dłoń.

- Ech, te sekretarki... - prychnął z dezaprobatą. - Szlag człowieka trafia. Pamięć jak sito, tylko im ploty w głowie. I po godzinie pracy upominają się o awans. A jak już mogą się do czegoś przydać, dają nogę i zostawiają człowieka z ręką w nocniku.

- Rozumiem, że właśnie uzyskał pan papier toaletowy. - Lekarz ruchem głowy wskazał kopertę.
- Co? A, tak, no jasne. Smarkata zapomniała mi go dać i nawet nie ma cywilnej odwagi, żeby sama się zjawić.
- Ciekawe dlaczego.

Malcolm czujnie zerknął na doktorka, ale w jego twarzy nie dostrzegł nic prócz ciekawości. Rozsiadł się wygodniej.

- Układ stary jak świat - oświadczył z przekonaniem. - Mój szef

*Robyn Sisman*

to kawał skurczybyka, jego szef jest taki sam. I ja też, tak to jest w tej branży. - Zmrużył oczy, pokiwał głową z przekonaniem. - Układy w reklamie są takie same jak reguły w stadzie lwów - zacytował, przypominając sobie wykład dziwaka w czapce baseballowej, który opowiadał o tym na jednym z kursów. - Lew przewodnik jest najważniejszy, bo wywalczył sobie drogę na szczyt. Jest silny. Czasami wygląda, jakby po prostu spał, ale tak naprawdę to on myśli. Potrzebne mu są inne lwy... inne lwice, żeby dla niego polowały, żeby bez jednego mruknięcia spełniały wszystkie jego zachcianki. Żeby jego stado było najlepsze. Taki jest układ. Zupełnie jasny. I żadna lwica nie marudzi. „Czy naprawdę muszę dzisiaj upolować dwie gazy? W zasadzie zebra byłaby lepsza niż... niż...”. - Malcolmowi skończyła się wiedza na temat dzikich zwierząt.

- Guziec? - podsunął lekarz.

- Właśnie! Szybko pan łapie. Dlatego pan jest przewodnikiem stada. - Trochę kadzenia nigdy nie zaszkodzi.

- A co z tą sekretarką?

- No właśnie. Nie docierały do niej najprostsze reguły stada. Nie podobało jej się, kiedy najważniejszy lew na nią warknął. - Westchnął ciężko. - Molly po prostu nie ma instynktu zabójcy.

- Molly? - Doktorek pochylił się, wyraźnie zaniepokojony. - A jak brzmi jej nazwisko?

Malcolm otworzył usta, gdy rozległ się temat przewodni z „Indiany Jonesa”.

- To mój telefon. - Z prawdziwą dumą sięgnął do kieszeni na piersi. - Na pewno coś ważnego. Jedną sekundę. - Wstał, wcisnął klawisz i przyłożył komórkę do ucha. - Figg, słucham.

- Bogu dzięki, że się do pana dodzwoniłam! - zadzwieczał jakiś żeński głos. - Mówi Fran Clearwater. Bardzo się martwię o córkę, o Molly. Nie zadzwoniła do mnie z Paryża, chociaż obiecała, a w hotelu powiedziano mi, że w ogóle się nie zgłosiła! Do domu też nie przyjechała. Jej współlokatorka opowiada jakieś niestworzone historie... Nie do wiary. Malcolm zasłonił dłonią mikrofon i przewrócił oczami.

- Cholerna mamuśka do kompletu! - syknął.

Kołysząc się na piętach i ciskając wokół zirytowane spojrzenia, czekał niecierpliwie, aż rozmówczyni da mu dojść do głosu.

- Ostatni raz widziałem Molly wczoraj po południu - odezwał się w końcu lodowatym tonem. - I nic więcej nie potrafię pani po-

*Weekend w Paryżu*

115

wiedzieć. Nie była uprzejma dotrzymać mi towarzystwa w wyjeździe do Paryża, a co więcej, nie jest już moją pracownicą.

- Jak to? A co się stało? Co pan jej zrobił?

- Co ja jej...! - Malcolm o mało się nie zakrzusił. Dobre sobie! Teatralnym gestem palnął się w czoło i zsunął dłoń na oczy. Spomiędzy palców zerknął na doktora. Patrzy? Patrzy. - Mogę panią poinformować - podjął - że nie potrafiła sprostać wysokim wymaganiom dotyczącym standardów jakości pracy stawianym przez Phipps Lauzer Bergman w kwestii profesjonalizmu.

- Bzdura! - warknęła namolna kobieta. - W warzywniaku bardzo sobie chwalili jej pracę. Nikt tak jak ona nie potrafił wybrać dojrzałego melona. Coś mi się wydaje, że nie mówisz całej prawdy, młody człowieku.

Malcolmowi opadła szczęka. Coś podobnego!

- Kompletna wariatka - szepnął pod adresem lekarza. W skry-tości ducha rozkoszował się sytuacją, dającą mu możliwość odegrania przedstawienia przed uważną, jednoosobową publicznością. Dumnie stąpał po dywanie, który stał się dlań miniaturową sceną, unosił wymownie brwi, wzruszał ramionami, gestykulował.

- Proszę pana, nikt nie widział Molly od czasu, gdy wyszła do pracy. Do pańskiego biura.

- Czy byłaby pani uprzejma wyjaśnić mi, do czego pani zmierza?

- Proszę pana o pomoc! Molly dla pana pracowała, miała z panem jechać do Paryża. I nagle zniknęła! Czy pan nie ma żadnego poczucia odpowiedzialności?

- Jestem jej pracodawcą, nie ojcem - odparł Malcolm. - A dokładnie rzecz biorąc, byłym pracodawcą.

Niepodważalna logika tego stwierdzenia zamknęła kobiecie usta. Malcolm spojrział triumfująco na lekarza, pewien jego żywiołowej aprobaty. Ale ten w dalszym ciągu spokojnie mierzył go nieprzeniknionym spojrzeniem niebieskich oczu. Za to głos w telefonie wyraźnie nabrał dramatycznego tonu.

- ...coś bardzo złego. Znam swoją córkę na wylot. Na pewno by nie zniknęła z własnej woli. Nigdy by mi tego nie zrobiła! Typowa matka. Pojęcia nie ma, do czego jest zdolne jej własne dziecko. Molly na pewno była w Paryżu, bo przecież inaczej jakim cudem tak szybko dostałby od niej płytę? Nie mógł się powstrzymać od protekcyjnego uśmiechu. - Droga pani, co pani wie...

- Co ja wiem? - przerwała mu kobieta. - Ważne, że pan coś wie!

*Robyn Sisman*

-Ja wiem tylko, że pani córka jest pełnoletnia, więc jeśli nie ma ochoty zdradzać swojego miejsca pobytu, z pewnością tego nie zrobi.

- Mam rozumieć, że jednak jest w Paryżu?

- Tego nie powiedziałem. Nie powiedziałem też, że jej tu nie ma.

- Na litość boską, niechże mi pan pomoże! Przecież ja tu zaraz oszaleję!

- Bardzo mi przykro, ale to nie moja sprawa. A ponieważ nie mam pani już nic do powiedzenia, a mój czas jest kwestią prioryte...

- Ona gdzieś tam jest! I pan doskonale wie gdzie! Och, moja maleńka!

- Jestem zmuszony zakończyć tę rozmowę. Żegnam. Efektownym trzepnięciem kciuka zakończył połączenie.

Obrócił

się na pięcie, gotów sprawdzić, jakie wrażenie wywarła jego improwizacja. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania: lekarz wpatrywał się w Malcolma wychylony do przodu, z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. To dopiero piękny wyraz podziwu! Szef działu reklamy z trudem powstrzymał się od ukłonu. Mama zawsze mu powtarzała, że byłby świetny jako Kubuś Puchatek, że mógł zrobić karierę w Hollywood - gdyby marketing nie zaanektował go pierwszy. Ograniczył się do skromnego uśmiechu oraz lekkiego kiwnięcia swoim pięknym „orzechowym” telefonem, zanim wsunął go na powrót do kieszeni. Lew przewodnik mieszkający w jego duszy zaryczał gardłowo. Figg znowu był górą.

### *Rozdział dwunasty*

Zachowuj się normalnie, powiedziała sobie Molly. Przestań się idiotycznie uśmiechać.

Nic z tego. Słyszała jego imię w szepcie kół i westchnieniach hamulców, gdy pociąg pędził ciemnymi tunelami. Widziała jego twarz w przepastnej czerni okien, czuła jego palce na szyi za każdym razem, gdy owiewał ją podmuch od otwieranych drzwi. A teraz, gdy wyszła ze stacji na światło dzienne, na słońce, cienie klonowych liści na chodniku kiwały do niej zapraszająco, niczym przyjazne dłonie. Blask słońca otulał ciepłem włosy, powietrze było ciężkie od narkotycznej słodyczy popołudnia. Każdy oddech sprawiał rozkosz.

Skup się.

Znalazła wielką mapę najbliższej okolicy rozpiętą jak billboard na ogrodzeniu przed stacją. Wyjęła z torebki cenny skrawek kartonika i raz jeszcze sprawdziła adres, który Fabrice napisał zeszłej nocy: *Musee Rodin, rue Varenne, 7*. Podeszła do mapy bliżej i palcem wskazującym odszukała drogę od strzałki z napisem *Vous etes ici\** do właściwego miejsca. Z drżeniem serca zobaczyła, że to bardzo blisko. Odruchowo zerknęła przez ramię, jakby się spodziewała, że Fabrice jest tuż-tuż. Po chodniku dreptał jedynie samotny gołąb. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze pięć minut. Ruszyła pod szeleszczącym baldachimem drzew, dostosowując rytm kroków do pulsującego w sercu szczęścia. Jak to cudownie, jak romantycznie iść na randkę do muzeum. Od razu było widać, że Fabrice szanował

**\* Jesteś tutaj.**

*Robyn Sisman*

ją jako kobietę inteligentną, nie traktował jej jak pierwszą lepszą panienkę poderwaną w klubie.

Zaraz, ale kto to właściwie był Rodin?

Wysiliła pamięć, odgrzebując zapomniane fakty. Na pewno rzeźbiarz, może także malarz? Oczywiście Francuz. Żył, zdaje się, w dziewiętnastym wieku. Tak czy inaczej - już umarł. „Myśliciel” chyba jest jego? I ta mała, zadowolona z siebie baletnica. A może ją namalował Degas? O rany, trzeba było zajrzeć do przewodnika! Fabrice weźmie ją za trywialną, niewykształconą blondynkę! A przecież taka nie jest!

Zdjąć żakiet czy lepiej nie? W metrze było dość ciepło, przydałoby się ochłonać, ale z drugiej strony ta sukienka...

Może nie wypada paradować po muzeum z takim odważnym dekoltem?

- Zwariowałaś?! - zupełnie jakby usłyszała Alicję, naprawdę.

Poszła na kompromis. Zsunęła żakiet z ramion, dzięki czemu wyglądała seksownie, a jednocześnie mogła lekko ochłonać. Zanosila gorące modły, by nie rozczarować Fabrice'a zbyt mocno. W mroku zwykle wygląda się korzystniej...

O, i już ulica Varenne. Granatowa, emaliowana tabliczka, grube białe litery. Molly zeszywniała. Skręciła w lewo i stanęła przed dużym domem, do którego prowadził labirynt z krzewów. Przed kasą tkwił tłumek turystów w średnim wieku. To na pewno tu. I ani śladu Fabrice'a.

Tak czy inaczej, coś ją ścisnęło w gardle, nerwy miała napięte jak postronki. Odbierała otoczenie wyjątkowo ostro: przez podeszwy butów czuła ciepło chodnikowej kostki, widziała kierującego ruchem policjanta w czapce przypominającej rondel odwrócony do góry dnem, choć był bardzo daleko, wdychała słodki, ciężki zapach róż z jakiegoś ukrytego ogrodu. Dopiero kiedy zabołały ją kciuki, odkryła, że z całej siły zacisnęła dłonie.

Była na miejscu. A gdzie Fabrice? Przeszła obok kasy, przyjrzała się grupkom zwiedzających przy wejściu. Kupić bilet? A może dwa? Czy po prostu czekać? Minęło dokładnie wpół do czwartej, więc nie można powiedzieć, żeby Fabrice się spóźnił. Jeszcze nie.

I wtedy go zobaczyła. Wstał z kamiennej ławki, skąpanej w słońcu. Cudownie! Miał na sobie cienką bawełnianą bluzę, skórzaną kurtkę przerzucił przez ramię, oczu nie widziała, bo włożył ciemne okulary. Wyglądał w nich świetnie, trochę groźnie. Ale też, niestety, nie sposób się było domyślić, jakie wywarła na nim wrażenie. Spodobała mu się czy nie?

- *Salut*, Molly.

Nie była pewna, czy to on do niej podszedł, czy raczej ona do niego, ale jakoś tak się stało, że znaleźli się naprzeciwko siebie. Tuż przed oczami miała jego cudowny dołeczek w brodzie i pełną dolną wargę. Położył dłonie na ramionach Molly i cmoknął ją, najpierw w jeden policzek, potem w drugi, tak jak to robią Francuzi. Troszeczkę, rozkosznie, czuć go było... mężczyzną.

- *Salut*. - Udało jej się uśmiechnąć; odruchowo obciągnęła spódnicę.

Przez chwilę stali w ciszy, nieco zakłopotani. Gdzieś zniknęła poufalość z minionej nocy. Fabrice wyglądał inaczej. Zdawał się wyższy, miał szersze kości policzkowe, bardziej trójkątną twarz, dłuższe włosy. Szkoda, że nie było widać oczu.

- Wejdziemy?

Wskazał otwartą bramę, a wtedy Molly dostrzegła, że trzymał w ręku dwa bilety. Chciała mu podziękować, zaproponować, że zwróci pieniądze. Gorąco pragnęła wygłosić jakąś błyskotliwą uwagę, sprowadzić na jego usta uśmiech, odzyskać tamten nastrój poprzedniej nocy. Niestety, chwilowo opuściła ją wszelka znajomość języka francuskiego. Szła obok Fabrice'a w milczeniu, rozglądając się dookoła.

Przed nimi wznosił się piętrowy budynek o pięknych czystych proporcjach, ze smukłymi oknami, wyeksponowanym frontonem oraz dwoma wieżami. Zbudowano go z jasnego kamienia, który słońce malowało kolorem dojrzałych brzoskwiń. Piękny widok. Otwarte drzwi zapraszały do przestronnego holu, za nim, na tyłach domu, widać było kuszący ogród. Przed budynkiem rozpościła się zielony kobierzec miękkiej soczystej murawy, strzeżony tabliczką „*JPelouse interdite*”. Obrzeżony był krótko przyciętym żywopłotem, ozdobiony prostymi równoległymi klombami róż. Pewnie właśnie ich zapach czuła z daleka. Herbaciane! Mama pękłaby ze śmiechu.

Fabrice stanął.

- Uwielbiam to miejsce - oznajmił z taką mocą, że Molly natychmiast pomyślała to samo.

Och, gdyby Fabrice był wielkim artystą... mogliby razem żyć w takim domu, otoczeni pięknem i cudowną przestrzenią w sercu Paryża. Już go widziała, jak tworzy w swojej pracowni, a ona, na piętrze, pisze wiekopomne powieści. Często spacerują razem po ogrodzie, zwłaszcza u schyłku dnia, w ciepłym blasku zachodzącego słońca, rozmawiając o jej pracy. Niekiedy urządzają piknik pod sta-



*Robyn Sisman*

rym drzewem... Byłaby wspaniałą kucharką. Aż wreszcie noc ściągałaby ich do przestronnej sypialni, gdzie...

- Rodin był niesamowitym artystą - powiedział Fabrice, skręcając z głównej ścieżki i prowadząc Molly do grupy przystrzyżonych cisów, gdzie spacerowało kilkoro turystów. - Za każdym razem, kiedy tu zaglądam, odkrywam coś nowego, nawet w jego najbardziej znanych pracach.

Szła za nim powoli. Jak mogła się spodziewać, że Fabrice będzie na nią zwracał uwagę! Przecież ludzie chodzą do muzeów, żeby oglądać dzieła sztuki, a nie słodko gruchać i trzymać się za ręce. Zresztą, i tak nie miała nic interesującego do powiedzenia.

Jeden ze zwiedzających cofnął się i podniósł do oka aparat fotograficzny. Dopiero wtedy Molly zdała sobie sprawę, że patrzy wprost na wielką rzeźbę z brązu, ustawioną na wysokim postumencie.

- Myśliciel! - wyrwało jej się w ojczywym języku. - *Le Penseur*

- poprawiła się zaraz. Czy to było dobrze po francusku? I wtedy zobaczyła litery, wykute w postumencie, tak wielkie, że dostrzegłoby je nawet dziecko.

Fabrice nie zawracał sobie głowy potwierdzeniem. Obchodził rzeźbę, przyglądając się jej uważnie. Nawet zdjął okulary. Molly podążyła za nim, z szacunkiem zachowując dystans. Posąg przedstawiał siedzącego mężczyznę, pogrążonego w zamyśleniu. I bezwstydnie nagiego. Wzrok przyciągały doskonale oddane mięśnie przygarbionych pleców, swobodnie zwisające palce, fragment ciała między nogami. Żywy gest podparcia twarzy, wargi rozciągnięte o wierzch dłoni.

- Ciekawe, o czym myśli - usłyszała własny głos. Głupia, płytka uwaga. Chętnie by ją cofnęła.

Fabrice odpowiedział natychmiast.

- Rzeźba przedstawia Dantego, tworzącego poezję. Znasz Dantego?

- Jasne. - „Boska komedia”, Beatrycze i tak dalej.

- Ale jego postać jest symbolem. To mógłby być każdy człowiek... każda kobieta - dodał uprzejmie, choć bez przekonania

- każda osoba oddająca się tworzeniu.

Molly przytaknęła, spojrzała na rzeźbę świeżym okiem. Rzeczywiście, pomiędzy uduchowioną pozą i fizyczną mocą postaci istniało jakieś fascynujące napięcie. Interesujące. Ależ z niej ignorantka.

- Opowiedz mi o Rodinie - poprosiła szczerze. - Pokaż mi to, co sam widzisz. . .

Wydał usta i wypuścił głośno powietrze, jakby takie wyjaśnienia przekraczały jego... albo co gorsza jej możliwości. Była o krok od załamania. I właśnie wtedy ujrzała za ramieniem Fabrice'a coś fantastycznego.

- Patrz!

Słońce rzuciło cień „Myśliciela” na jeden z cisowych stożków, doskonały, obramowany soczystą zielenią. Kształt rzeźby został interesująco zdeformowany, a jednocześnie tak ostro odrysowany, że widać było każdy palec swobodnie zwisającej dłoni.

Fabrice w pierwszej chwili nie zrozumiał, co Molly mu pokazuje. Zaraz jednak się rozpromienił.

-*Ah, oui!*

Fantastyczne. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Świetne, i jaki to pouczający widok - trójwymiarowa rzeźba zredukowana do dwóch wymiarów.

- Masz niezłe oko - podsumował z lekkim uśmiechem.

- E, tam. - Ale wyraźnie odżyła w ciepłe jego uśmiechu, jak posąg, który zmienił się w człowieka. Po raz pierwszy tego dnia odczuła, że między nimi znów powstaje wątpliwość porozumienia.

Wolnym krokiem ruszyli w stronę domu rzeźbiarza. Fabrice opowiadał o Rodinie: o jego porażce związanej ze szkołą artystyczną, o tym, jak został zdobnikiem w fabryce porcelany, jak potem wykorzystał rzeźbiarskie dekoracje budynków Paryża. Jego prace ciągle spotykały się z krytyką, uchodziły za brzydkie, zbyt realistyczne, nawet pornograficzne, *bien sur*\*. Rodin uczył się między innymi anatomii, chciał zrozumieć budowę ludzkiego ciała. Plotka, że jedną ze swoich rzeźb zrobił, korzystając z odlewu wykonanego na żywym człowieku, wywołała *un grand scandale*\*\* . Nawet wówczas, gdy stał się już na tyle sławny, że mógł dyktować warunki, jego rzeźby i tak często oceniano jako nieudane czy mijające się z celem zamówienia. Niekiedy nawet pozostawały niedokończone. Dopiero pod koniec życia zdobył międzynarodowe uznanie, a po śmierci ogłoszono go geniuszem.

- Taki właśnie bywa los artysty - zakończył Fabrice.

\* **Oczywiście.** \*\* **Wielki skandal.**

*Robyn Sisman*

Mówił cały czas po francusku, w języku pełnym gardłowych spółgłosek, przeciąganych samogłosek i toczonego „r”, szybko, płynnie. Nie wszystkie słowa znała, ale rozumiała jego entuzjazm. Mówił o podziwianym mistrzu z żarem, gestami podkreślając emocje. Szukając następnej myśli, wypychał dolną wargę... *Mais, euh...*

Molly, choć zamierzała być przyzwoitą turystką i karnie odwiedzić Luwr, w zasadzie nie przepadała za muzeami. Odnosiła wrażenie, że nie jest wzrokowcem, a brak wiedzy często prowadził ją do banalnych i subiektywnych wniosków. W pozbawionych okien galeriach, ciągnących się kilometrami, zawsze zaczynała obawiać się klaustrofobii. Tym razem jednak postanowiła pokochać to jedno konkretne muzeum, ponieważ najwyraźniej kochał je Fabrice.

Okazało się to całkiem łatwe. Już same proporcje wewnątrz wprawiały wchodzącego w dobry nastrój. Przez otwarte na oścież okna dochodził śpiew ptaków, wlewała się zieleń z ogrodu. Muzeum było prawdziwym domem, z pięknymi parkietami i kominkami o interesujących gzymśach. Rzeźby rozstawiono w taki sposób, by do każdej dało się podejść blisko, obejrzeć ją ze wszystkich stron. I choć nie wolno było ich dotykać, natychmiast odczuwało się ich namacalność. Dopiero po jakimś czasie Molly się zorientowała, że była to zasługa samych prac. Przeważały akty. Tu nagi męski tors, marmurowa postać kobiety, skulonej na boku, uśpionej... Już tylko nagość, sama w sobie, była niewiarygodnie potężna, a jeszcze na dodatek z rzeźbionych i odlanych figur niczym para unosiła się namiętność, pasja. Nie były to tylko postacie, odwzorowanie ludzkiego ciała. Były to ludzkie istoty uchwycone w chwilach wyrażania emocji.

Z początku Molly czuła się odrobinę zakłopotana, stojąc tak obok wymarzonego Francuza i patrząc bez zmrużenia oka na erotyczne sceny. Nie sposób na zimno oglądać namiętność. I jeszcze na dodatek obok Fabrice'a! Kiedy powiedział jej, że nawet do rzeźb przedstawiających osoby ubrane Rodin często robił najpierw szkice aktów, by sprawdzić, jak wygląda ciało pod materiałem, by zyskać pewność, że właściwie przedstawi ułożenie tkaniny na ludzkich członkach, musiała spojrzeć na swojego towarzysza zupełnie inaczej: dostrzegła bliźniacze ślady łopatek rysujących się pod koszulką, opięte dżinsy, wyraźnie zaznaczone mięśnie ud.

Prowadził ją z pokoju do pokoju, dużo mówił, dużo gestykulował. W grupie rzeźb na oko całkowicie różnych wskazał jej postaci

## *Weekend w Paryżu*

123

w rzeczywistości identyczne, jedynie ustawione pod innymi kątami. Zwrócił jej uwagę na fakt, jak bardzo perspektywa, punkt widzenia wpływają na odbiór zupełnie różnych emocji. A potem słynne dłonie, skierowane palcami do góry, nieomal złożone, prawie się stykające. Czy zauważyła, że to nie para rąk, ale dwie prawe dłonie? *Comme ça?* Objął jej prawy nadgarstek i uniósł rękę, przyłożył do swojej. - Rodin uważał, że ciekawiej by było, gdyby palce stykały się w ten sposób - wyjaśnił poważnym tonem. - Ależ ty masz maleńkie dłonie! - Uśmiechnął się lekko. Przycisnął jej rękę płasko do swojej: czubek jego środkowego palca wystawał dobre trzy centymetry.

Molly zakręciło się w głowie, jakby zbyt długo jeździła na karuzeli szczęścia.

Od czasu do czasu Fabrice odchodził na bok, żeby się przyjrzeć bliżej jakiemuś detalowi, ale Molly nie czuła się już opuszczona ani zaniedbana. Rzeźby przemawiały do niej emocjami. W jednym z parterowych pomieszczeń natrafiła na dzieło zatytułowane „Pocałunek”, przedstawiające nagą parę. Widziała ją na zdjęciach wiele razy, ale nigdy w pełnej krasie, w trzech wymiarach, nie wiedziała, jakiej jest wielkości. Dopiero teraz zauważyła stopę kobiety wspartą na nodze mężczyzny, szczególnie tak dobitnie świadczący o zmysłowości, że sama poczuła dziwny dreszcz.

Do jednej rzeźby co jakiś czas wracała: do kobiety opadłej bez sił na ziemię. Przyciągał wzrok jej wygięty kręgosłup, długie włosy spływające falą z nagiego karku odsłaniały delikatny płatek ucha. Napis wyjaśniał, że to postać mitologiczna, Danaida, skazana po śmierci na wieczne wlewanie wody do beczki bez dna. Wyobraźnia dopowiedziała resztę, wzbudziła współczucie. Marmur był gładki i połyskliwy, ukazywał każdy, najmniejszy szczegół pięknego młodego ciała kobiety pogrążonej w rozpacz. Molly napłynęły łzy do oczu.

- Płaczesz? - Fabrice, który akurat do niej podszedł, spojrzał jej w twarz.

- Nie. - Odwróciła głowę. - No, trochę. Jest taka piękna... jakie to smutne... .

- Ach, Molly. - Otarł jej łzy i wziął za rękę. - Chodź. Wyjdziemy do ogrodu. .

Wstępując w ciepły blask, ruszyli ścieżką pomiędzy lipami. Przed nimi hasały jakieś dwie dziewczuszki o niemożliwie lśniących blond włosach. Dalej, w cętkowanym cieniu, Molly dostrzegła ka-

Robyn Sisman

wiarenkę otoczoną stolikami. Sądząc po szczęśliwych okrzykach dzieci, obiecano im lody. Patrząc teraz zupełnie innymi oczami, zwróciła uwagę na ich cudownie smukłe łydki oraz delikatne stawy skokowe. Czuła na dłoni ciepłą rękę swego towarzysza i zastanawiała się, jak Rodin oddałby kształt jej ciała i rysunek kości, by uchwycić wszystko, co jej serce szeptało do Fabrice'a.

- Czy ty też chcesz być rzeźbiarzem? - spytała. Pokręcił głową.

- Nie mam takich zdolności. Najbardziej lubię rysować i malować, zwłaszcza ludzkie ciało. Ale to niemożliwe. Znajomi mówią, że jestem wariat. Zero oryginalności.

Oczy Molly zapłonęły gniewem. Miała absolutną pewność, że Fabrice naprawdę ma talent. Musiał przerwać naukę...

- Ale nie dlatego rzuciłeś studia?

- Nie. Przez ojca. Nie chce płacić czesnego.

- Dlaczego?

Fabrice wzruszył ramionami.

- Zawałem parę egzaminów.

- To niesprawiedliwe! Rodinowi też nie zawsze się wiodło w szkole, sam mi to powiedziałeś, a okazał się geniuszem.

- To prawda. Ale na mojego ojca nie ma mocnych, żadne argumenty do niego nie trafiają. Jest nieugięty. Nie chce nawet dołożyć mi się do pracowni. Muszę wynajmować studio do spółki z innymi chłopakami. Nie dość, że paskudnie jak w chlewie, to jeszcze nie ma ogrzewania.

Molly westchnęła ze współczuciem, jednak nie mogła długo się martwić. Dotarli do końca lipowej alei, skręcili nad spory staw z jedną z najbardziej znanych rzeźb Rodina pośrodku i dwoma kolejnymi po bokach. Przy brzegu stały drewniane ławki, zwrócone w stronę domu. W pełnej harmonii ciał i umysłów siedli na jednej z nich i w ciszy podziwiali widok. Dom, cudownie symetryczny, wznosił się za szerokim pasem soczystej trawy. „*Pelouse interdite*”. Najwyższa część frontu przeglądała się w spokojnej wodzie. Chylące się ku zachodowi słońce złociło świat ciepłymi promieniami. Molly, nawet nie myśląc, co robi, zdjęła żakiet i oparła się wygodnie. Spod półprzymkniętych powiek obserwowała turystów obwieszonych aparatami, zasłuchanych w nagrane na taśmę komentarze przewodników. Zwir zgrzytał im pod nogami, gdy szli od rzeźby do rzeźby, zupełnie jakby byli jakimiś zdumiewającymi gigantycznymi owadami z wymierającego gatunku.

*Weekend w Paryżu*

125

- Ładna sukienka - zauważył Fabrice. - Świetny kolor dla ciebie. Uśmiechnęła się leniwie, a on po chwili przysunął się bliżej

i objął ją ramieniem. Opuszkami palców lekko pogładził jej nagie ramię.

- *Mors*, twoim zdaniem jestem geniuszem - odezwał się, jakby nawiązywał do świetnego dowcipu.

- Nigdy nic nie wiadomo. A może twój ojciec naprawdę nie może sobie pozwolić na takie wydatki?

Fabrice tylko prychnął. - Ma kupę szmalu.

*Bourre de fric*. Molly nie знаła tego wyrażenia, lecz nietrudno się było domyślić, co oznaczało, zwłaszcza poparte odpowiednim gestem.

- Sknera z niego. Myśli tylko o sobie. Pewnie twój ojciec nie jest taki.

Molly nie odpowiedziała.

- Twój ojciec też jest skąpy?

- Mój ojciec nie żyje. - Jak zawsze, gdy wypowiadała te słowa, na jej sercu zaciskała się stalowa obręcz. Wbiła wzrok w żwir. - *C'est vrai\*!* - Fabrice wychylił się i zajrzał jej w twarz. Wydawał się poruszony do głębi. - Biedna Molly!

- Objął ją także drugim ramieniem, przytulił, pocałował we włosy. - Moja mama też nie żyje. Umarła, kiedy miałem czternaście lat.

- Och, Fabrice, tak mi przykro. - Pogładziła go delikatnie po ramieniu.

- Nienawidzę pogrzebów! - wybuchnął. - Wszyscy na czarno. Jakiś ksiądz hipokryta, kadzidła... Nie lubię chodzić do kościoła, nie wchodzę nawet po to, żeby oglądać obrazy.

Molly było go bardzo żal, a jednocześnie czuła się winna, niewarta jego litości.

- Ja nie znałam ojca.

- Umarł, kiedy byłaś mała? Lekko kiwnęła głową.

- Okropne. - Fabrice się wstrząsnął.

Zapatrzył się na dom widoczny w oceanie zieleni. Z profilu wyglądał tak pociągająco, był taki przystojny, że Molly mimowolnie wyobraziła sobie, jak namiętnie przywiera wargami do jego ust. Zacisnęła pięści i wbiła paznokcie w dłonie. Spokojnie. Bez przesady.

\* **Naprawdę?**

*Robyn Sisman*

Takie niemoralne myśli! Wstyd! I to w najmniej stosownym momencie! Przecież jego matka nie żyje.

- Bardzo za nią tęsknisz? - spytała.

- Bardzo. Cierpię.

Poruszająca prostota. *Je souffre*. Język francuski jest tak bezpośredni.

- Ty także cierpisz. - Fabrice wziął ją za rękę. Zatopił w jej źrenicach melancholijne spojrzenie. - Ty i ja - oznajmił z mocą - jesteśmy bliźniętami w smutku.

*Jumeaux de la tristesse*. Jakże to poetycznie brzmiało! Jak przekonujący był obraz ich dwojga połączonych cierpieniem po stracie rodziców. Tyle tylko, że to nieprawda. Molly skłamała. Zawsze w takich wypadkach kłamała. Zapatrzyła się w dal, walcząc z bolesną konfrontacją uczuć. Nienawidziła swoich kłamstw, tym bardziej że Fabrice był tak szczery. Parzyły ją jego ciepłe dłonie, lodowaciała od mrocznego sekretu, z którym musiała dawać sobie radę samotnie. Pomyślała o obrazach Rodina, o jego szkicach ludzkiego ciała schwytanego w spazmy ekstazy lub agonii, w myślach znów ujrzała pierś poddaną pieści, usta wykrzywione bólem, umięśnione nogi, krągłe uda, zaciśnięte w rozpaczę pięści. Po francusku, we Francji, wszystko było tak bardzo nacechowane uczuciem, emocją...

- Nie ruszaj się! - rozkazał nagle Fabrice.

Na próżno. Molly automatycznie się do niego odwróciła.

- Miałaś się nie ruszać! - Ściągnął szerokie brwi, w oczach miał wyrzut. Był napięty, niespokojny, trochę przerażający.

- Co się stało?

- Wyglądałaś tak... To światło... - Wymachiwał rękami, rysując dłońmi w powietrzu przezroczyste kształty. - To było niesamowite. Przez chwilę miałem wrażenie, że potrafię cię przejrzeć na wylot, zajrzeć ci do duszy.

Dusza, nie osioł. *Ame*, nie *ane*. Oczy Molly zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Chodź! - Fabrice zerwał się na równe nogi, pociągnął ją za rękę. - Chcę cię namalować. Teraz.

Podniosła się niepewnie, zakołysała na wysokich obcasach. Fabrice chciał ją namalować! Tylko że ona przecież nie jest odpowiednio zbudowana... Czy będzie chciał, żeby się rozebrała?

- Ale jak... - wyjąkała. - Gdzie?

*Weekend w Paryżu*

127

- Idziemy do pracowni. To niedaleko. - Niecierpliwie pociągnął ją za rękę.

Zatrzymała go, usiłowała oprzytomnieć.

Podszedł blisko, przycisnął ją do siebie i pocałował. Mocno. Tak, że aż poczuła jego zęby. Tulił ją z całej siły. Gdy ponownie otworzyła oczy, kręciło jej się w głowie. Zielony horyzont kołysał się łagodnie. Fabrice oparł się czołem o jej czoło, łaskotały ją jego rzęsy.

- Mogę? - spytał. - Pozwolisz mi?

Nie odpowiedziała, bo nie starczyło jej tchu. Przygryzła dolną wargę i tylko kiwnęła głową.



### *Rozdział trzynasty*

Na parterze, u rzeźnika, leżały sprawione króliki. Kaczki - dla odmiany w pełnym upierzeniu, powieszono za opalizujące szyje, a czarne kiełbaski, zwinięte w węzowe sploty, tkwiły na hakach. Ciężka woń tych wszystkich rarytasów ciągnęła się za Molly i Fa-brice'em, gdy wchodzili na górę, mijając ciche mieszkania, do których prowadziły w połowie przeszklone drzwi, przesłonięte koronkowymi firankami, przepuszczającymi na podest szarawe światło. Nadgniłe drewniane stopnie ugiwały się pod stopami. Na samym szczycie Molly czekała w półmroku, aż Fabrice, ogarnięty gorączką tworzenia, otworzy zasuwkę. W końcu zamki ustąpiły i pchnął drzwi na oścież. Wszedł pierwszy. Molly wsunęła się za nim do długiego wąskiego pokoju na strychu.

Podłogę stanowiły gołe deski, przykurzone i poplamione farbą. Jedyne okna znajdowały się w dachu, w który skrobały gołębie. Wszędzie pod skośnymi ścianami stały płótna, w jednym kącie królował ogromny kosz na śmieci, otoczony butelkami po piwie. Na całe umeblowanie składały się cztery sztalugi, dwa drewniane krzesła, kuta w żelazie otomana z luźno rzuconym materacem i zniszczonym podglówkiem oraz wielki metalowy stół ginący pod różnymi przedmiotami, rozrzuconymi w artystycznym nieładzie. Molly dostrzegła rolki papieru, arkusze kartonu, stare puszki ze sterzącymi pędzlami, pojemniki farby w sprayu, kawałki węgla, pomięte szmatki, zniekształcone tubki umazane farbą oraz poczerniały banan, który zapewne niegdyś odgrywał rolę modelu, umożliwiając namalowanie martwej natury. Trudno o bardziej romantyczne otoczenie.

- Tutaj, tu jest dobre światło. - Fabrice energicznie przeciągał otomanę pod jedno z okien. Molly pośpieszyła mu z pomocą. Dopiero wtedy zauważyła, że zdążył zdjąć kurtkę, która teraz wisiała na gwoździu przy drzwiach, obok usmarowanego farbami fartucha, jakiegoś płaszcza przeciwdeszczowego oraz kawałka jaskrawoniebieskiego jedwabiu, który wyglądał na frywolny szlafroczek. No tak, oczywiście, przecież Fabrice na pewno często korzystał z pomocy modelek, tego się należało spodziewać.

Była podenerwowana. W drodze do pracowni, podskakując na skuterze, postanowiła, że będzie gotowa na wszystko, a w razie potrzeby zgodzi się pozować nago. Wymagało to pewnej odwagi, ale czasem trzeba zrezygnować ze skrupułów - dla wyższych celów. Miała świeżo w pamięci przykład Rodina. Odzwierciedlane przez niego zmysłowe pozy sto lat temu wywoływały grozę i gniew, a teraz budziły podziw i uwielbienie. Może Fabrice także miał swoją wizję artystyczną, której pospolici ludzie, jak na przykład ona, nie pojmowali. Sama myśl o tym, w jak lubieżnych pozycjach może chcieć ją malować, wyrwała z piersi Molly cichy jęk rozkoszy. Szczęściem zagłuszony przez dźwięk klaksonu. Na pewno nie będzie pruderyjna, zwłaszcza we Francji. Jeżeli Fabrice okaże się geniuszem... a przecież wszystko możliwe! - ona zyska nieśmiertelność. Bóg łaskaw, że rano ogoliła nogi.

- Zdejmij żakiet - polecił Fabrice. Zaczyna się.

Ale tylko powiesił żakiet na kolejnym gwoździu przy drzwiach, po czym kilkoma wielkimi krokami podszedł do ogromnego stołu i zaczął przygotowywać potrzebne materiały. Wydawał się tym całkowicie pochłonięty.

Nie chcąc mu przeszkadzać, zajęła się zwiedzaniem poddasza. Na przeciwległym końcu znalazła wąskie drzwi wstawione w kruchą ściankę działową. Uchyliła je, zerknęła do środka i szybko uciekła na widok mrocznego ustępu z umywalką, najwyraźniej używaną do czyszczenia pędzli. Przeszła wzdłuż licznych płócien, oglądając je w pełnym szacunku milczeniu i zastanawiając się, które wyszły spod pędzla Fabrice'a. Jedno malowidło zostało na sztalugach. Przedstawiało wyjątkowo skomplikowaną układankę tworzącą gigantyczny kontur kobiecej twarzy, surowo obwiedziony czarną linią. Na każdym fragmencie białego tła widniały jakieś dziwaczne obliczenia.

- Wzory chemiczne poszczególnych odcieni - wyjaśnił Fabrice,

*Robyn Sisman*

zauważając jej zdumienie. - François uważa, że sztuka powinna za wszelką cenę unikać oczywistości. No, ale on ma pająka pod sufitem.

Molly niespokojnie podniosła wzrok, lecz w tej samej chwili przypomniała sobie, że to idiom. Ma pająka pod sufitem, to znaczy: ma kuku na muniu, brak mu piątej klepki. Odczuła pewną ulgę na myśl, że praca na sztalugach nie była dziełem Fabrice'a, bo już zaczęła w niej narastać obawa przed wizją własnego ciała rozciągniętego jak te biedne prosiaki u rzeźnika, z zaznaczonymi w odpowiednich miejscach liniami i podpisem „wycinanie polędwicy”.  
- No chodź. Szybko. - Fabrice już ustawił sztalugi, w ręku trzymał garść pędzli. Rękawy miał podciągnięte, włosy odgarnął do tyłu.

Molly niepewnie przełknęła ślinę i posłusznie ruszyła w stronę otomany, w napięciu oczekując kolejnego polecenia.  
- Tak jest dobrze? - zapytała, wskazując niepewnie sukienkę.

- Czy trzeba coś zmienić?

- Co? - Fabrice zerknął na nią niecierpliwie. - Nie, nie. Ta czerwień jest bardzo dobra. Siadaj.

Przycupnęła na krawędzi materaca, grzecznie złączyła nogi, dłonie ułożyła na kolanach i patrzyła, jak przyszedł geniusz wyciska różne farby z tubek na kawałek deski. Fioletowy! Coś podobnego! Do czego mu to?

Nagle wbił w nią tak intensywne spojrzenie, że musiała mu odpowiedzieć uśmiechem. Pięknie wyglądał w górnym świetle, które wyostrzało mu rysy. W zasadzie to ona powinna malować jego. Tyle że nie miała talentu.

Fabrice sapnął zirytowany.

- Nie, nie tak. Przecież nie będę ci robił zdjęcia do legitymacji.

- Jasne. - Założyła nogę na nogę, odchylając się trochę w tył.

- Tak lepiej? - Z wyrazu jego twarzy od razu się domyśliła, że nie. O rany. Kompletna porażka. Była nie tylko za brzydka, żeby ją malować nago, ale w ogóle! - Nie bardzo wiem, co mam zrobić.

- Nie patrz na mnie. - Zamachał rękami. - Skup się na czymś innym. Zdejmij buty. Odpręż się. Pomyśl o czymś przyjemnym. O czym myślałaś w ogrodzie? Miałaś taki cudowny wyraz twarzy, *tres melancolique*\*.

Posłusznie zaczęła rozwiązywać sznurowadła. Myślami wróciła do chwili, gdy siedziała na rozgrzanej słońcem ławce. O czym wtedy

\* **Bardzo melancholijny.**

rozmawiali? O matce Fabrice'a. O tym, że nie żyje. O jego wstrętnym ojcu. O jej ojcu... Zrzuciła w końcu buty, położyła się na boku i podparła na jednym z zagłówków. Ciekawe, co by się stało, gdyby znalazła w sobie wystarczająco dużo odwagi i powiedziała mu prawdę o ojcu...

- Oczy wyżej - polecił. - Patrz na ścianę. Druga ręka luźniej... Dobrze.

Wydawał się nieobecny, wyobcowany. Cóż, skoro nie wolno jej nawet patrzeć na niego, tym bardziej nie pora na rozmowy. Gdzieś w głębi serca odczuła prawdziwą ulgę. Dzielenie się sekretem oznaczało utratę jego tajemniczości. Z dziwnym dreszczykiem stwierdziła, iż Fabrice, choćby nawet był geniuszem, i tak nie namaluje jej myśli. Kazał jej marzyć. Wsparła głowę na dłoni, zastanawiając się nad swoim kłamstwem i nad tym, jak powinna wyglądać prawda. Zapatrzyła się w brudną ścianę, aż mur zaczął znikać, przemieniać się w mgłę, na której pojawiały się przywołane pragnieniem obrazy.

Oto stała na podwyższeniu, w ogromnej sali, odbierając prestiżową nagrodę. Oklaski grzmiały jak burza, blask reflektorów oślepił. Była to wielka uroczystość, a jednak Molly nie miała tremy, czuła się świetnie i wyglądała cudownie. Wiele pracy kosztowało ją zdobycie tego wyróżnienia. Figurę miała, jakimś cudownym sposobem, wyjątkowo smukłą, bez grama nadwagi. Sukienka leżała na niej doskonale.

Jako zwyciężczyni w aurze triumfu zeszła ze sceny i została natychmiast otoczona tłumem gratulujących jej kolegów, koleżanek oraz przyjaciół. Ktoś podał jej kieliszek szampana. Gdy podniosła go do ust, zauważyła pewnego mężczyznę, stojącego na uboczu, przyglądającego się jej z podziwem i ogromną ciekawością. Był to człowiek około pięćdziesiątki, wysoki i przystojny, o włosach przetykanych siwizną, elegancki i nobliwy. Wyraźnie należący do europejskiej elity. I choć Molly z pewnością nigdy wcześniej go nie widziała, wydawał jej się dziwnie znajomy. Prowadząc niezobowiązujące rozmowy, cały czas miała świadomość, że obcy jej się przygląda, ale podszedł dopiero, gdy tłum się przerzedził. Twarz miał inteligentną, a oczy dobre, lecz powleczone mgiełką smutku. Zamienili ledwie kilka słów, a ona znowu odniosła wrażenie, że dobrze się znają. Nazywał się Jackson Carruthers. Nazwisko nic jej, rzecz jasna, nie powiedziało, ale kiedy spytał, czy mógłby ją zabrać na kolację do restauracyjki tuż za rogiem, odrzuciła wszystkie inne zaproszenia i natychmiast się zgodziła.

*Robyn Sisman*

W niewielkim, przytulnym lokalu zjedli doskonały posiłek. Świetnie się rozumieli. On był błyskotliwy i czarujący, ona bystra i pojętna. Okazało się, że osiągają sukcesy na tym samym polu, pracują w tej samej dziedzinie, tyle że on przed laty wyjechał do Włoch i nieczęsto wracał do ojczyzny. Chciała z nim porozmawiać o słonecznej Italii, którą naturalnie знаła z częstych wyjazdów za granicę, ale jakoś ciągle powracał temat jej spraw osobistych.

Nieznajomy chciał wiedzieć o niej wszystko: o szkole, pracy, dzieciństwie. Co dziwne, im więcej mu o sobie opowiadała, tym bardziej wydawał się ożywiony, aż w którymś momencie przerwał jej w pół zdania. Poprosił, by mu zdradziła, ile dokładnie ma lat. Dwadzieścia jeden? Tak właśnie przypuszczał. A czyjej matka przypadkiem nie ma na imię Frances? Zdumiona Molly zdołała jedynie w milczeniu pokiwać głową.

Wtedy ujął w ręce jej dłonie i powiedział, że jest jej ojcem. Szukał jej przez całe życie i nie mógł odnaleźć. Cudem, przez czysty przypadek, natrafił na nią tego wieczoru. Nie śmiał nawet marzyć, że córka okaże się taka piękna, taka utalentowana. Błagał, by zechciała pojechać z nim do Włoch, przynajmniej na kilka miesięcy. Oczywiście rozumiał, że praca jest dla niej bardzo ważna, ale tak wiele czasu mieli do nadrobienia, a Toskania była tak piękna o tej porze roku...

- Bardzo dobrze - mruknął Fabrice nieobecny głosem. - Nie ruszaj się.

Molly zamrugła. Znowu znajdowała się w pracowni. Bryłowaty materac uwierał jej biodro, wykręcony nadgarstek zaczynał boleć. Westchnęła cicho, tylko w duszy.

Bez sensu. Nigdy w życiu nie będzie szczupła i nigdy nie zdobędzie żadnej nagrody. Jej ojciec nie uważał córki za osobę wartą zachodu, bo w przeciwnym razie już dawno by się pojawił. Może nawet w ogóle nie wiedział o jej istnieniu. A może umarł. Nie wiedziała. I właśnie to ją dręczyło. Nie miała najmniejszego pojęcia.

Fabrice z pasją nakładał farbę na płótno, ostry zapach wiercił w nosie.

W pierwszej klasie podstawówki nauczycielka poleciła, aby przygotowali laurki na Dzień Ojca. Dopiero uczyli się pisać i czytać i Molly z prawdziwą rozkoszą skopiowała z tablicy wyrysowane białą kredą znaki na arkusz papieru, na którym namalowała ogromną głowę z uśmiechem w kształcie litery U oraz wyrastające od razu spod brody długie nogi.

## *Weekend w Paryżu*

133

- O jak ładnie! - zachwyciła się mama, gdy dziewczynka z dumą zaprezentowała jej laurkę. Przyczepiła ją na korkowej tablicy w kuchni i więcej o niej nie wspomniała. Zdarzył się tylko jeszcze jeden moment napięcia, który został Molly w pamięci. - Gdzie jest mój tata? - spytała, gdy pierwszy raz przyszło jej to do głowy.

- Mieszka bardzo daleko stąd, kochanie.

- Dlaczego?

- Chyba tak mu się podoba.

Wtedy tyle wystarczyło. Stopniowo zaczynała rozumieć, że wielu rodziców się rozstaje, bierze rozwód i wstępuje powtórnie w związki małżeńskie. Wcale nierzadko w miejsce tatusia pojawiają się kolejni przyjaciele mamy. Tyle tylko że inne dzieci znały swoich oiców Nawet jeśli się z nimi nie widywały, miały jakieś pojęcie o ich zajęciu i miejscu pobytu. Znały ich imiona. Tymczasem zawsze gdy Molly pytała matkę o takie szczegóły, dostawała niejasne i wykrętne odpowiedzi. - Kochanie, czy imię naprawdę jest takie ważne? Ten człowiek nigdy z nami nie zamieszka. Nie potrzebujemy nikogo, przecież jesteśmy szczęśliwe we dwie, prawda?

Prawda. Były szczęśliwe. I powtarzały to sobie przy każdej okazji Mamusia i Molly. M. i M. wymyślały swoje zabawy, prześcigały się w żartach, miały niepowtarzalne domowe tradycje i ulubione potrawy. W zaciszu domowego ogniska nie wydawało się istotne, że Molly nie mogła wystawić zawodnika w Wyścigu Tatusiów ani wpisać imienia w puste miejsce w drzewie genealogicznym.

Tymczasem życie, jak wiadomo, nie jest bajką. Molly szybko zdała sobie sprawę, że jej dom bardzo się różni od domów rówieśników. Mama używała staromodnych słów, takich jak „szykowny”, zamiast oglądać telewizję, słuchała państwowej stacji radiowej, me lubiła żywności z supermarketów i wycieczek na Teneryfę, rozwoziła sadzonki kwiatów vanem dieslem, a na tylnej szybie samochodu miała naklejkę „Ratuj płomykówkę”. Była piękna cygańską, pierwotną urodą i lubiła chodzić na bosaka. Nie tak jak inne matki. A Molly nie potrafiła oświadczyć publicznie, że me zna swojego ojca. Dlatego zaczęła zmyślać.

Przylapywano ją na głupich kłamstwach. Kiedyś na przykład chwaliła się, że ojciec przysłał jej na urodziny piękny nowy rower, niestety, prezent jakoś się nie pojawił. Innym razem utrzymywała, iż w czasie letnich wakacji była z nim w Disneyworldzie, choć wszy-

scy wiedzieli, że nigdy w życiu nie wyściubiła nosa poza Minster Episcopi.

Wobec czego dość szybko wymyśliła rozwiązanie znacznie łatwiejsze i w jakimś sensie korzystniejsze, dzięki aurze tajemniczości oraz grozy. Mówiła ludziom, że jej ojciec nie żyje. Sama nie wierzyła w to ani przez chwilę.

Rozmawiała z nim nocami, spotykała go w snach i choć potem nie pamiętała jego twarzy, był dla niej żywy, całkowicie prawdziwy. Wyobrażała sobie ich pierwsze spotkanie, nadała mu imię i nazwisko.

Jackson Carruthers. Brzmiało trochę dziwacznie, ale Molly była z niego dumna. Czasem ojciec bywał hrabią Montepulciano, kimś pomiędzy Maksem de Winter a d'Artagnanem, które to egzotycznie brzmiące miano przeczytała na etykiecie od wina. Niestety, był mężczyzną żonatym i stanowczo nie mógł zaryzykować sukcesji rodowego majątku poprzez uznanie córki z nieprawego łoża. Niekiedy nazywał się Doug Michaels i był milionerem z Wall Street, niesamowicie podobnym do Michaela Douglasa: zbyt zajęтым, by znaleźć czas dla dzieci, ale w jego testamencie znalazł się zaskakujący zapis. Kiedy indziej wcielał się w postać nazwiskiem Ricky Radical, gitarzystę rockowego z lat siedemdziesiątych, obdarzonego nieprzeciętnym talentem i urokiem osobistym. Zszedł był tragicznie z tego świata wskutek przedawkowania w czasie festiwalu w Glastonbury. Innym długoletnim faworytem okazał się Tex, hodujący konie rasy appaloosa na ranczu w Ameryce, gdzie Molly, w końcu jego córka, galopowała przez rozległe równiny na ogierze, którego nikt inny nie potrafił okiełznać, a w wolnych chwilach do woli oglądała telewizję. Mama nie chciała się przeprowadzić do Stanów, bo tam radio nie odbierało jej ulubionej rozgłośni. Po gorączce wyborczej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku Molly przez jakiś czas rozważała kandydaturę Tony'ego Blaira na swojego ojca, opierając się na kruchych podstawach takich jak fakt, że był w odpowiednim wieku, miał powiązania z Edynburgiem, gdzie studiowała jej matka, oraz zrozumiałe powody, by się nie chwalić nieślubnym dzieckiem.

Z jednej strony przyznawała przed sobą, iż wszystko to jedynie gra wyobraźni, z drugiej - namiętnie wierzyła w swoje wymysły. Na przykład wizja sceny, gdy została przemycona do mieszkania państwa Blairów przy Downing Street i tam wielkodusznie wybaczyła premierowi, iż przedłożył politykę nad ojcostwo, po czym solennie mu obiecała, że tę tajemnicę zabierze ze sobą do grobu, doprowa-

działa kiedyś Molly do łez. Każda nowa książka, każdy film i artykuł w gazecie pobudzały jej wyobraźnię. Może tata siedział w więzieniu jak ojciec Roberty z „Przygoda przyjeżdża pociągiem” Edith Nesbit? Albo mieszkał w Ameryce z jej bliźniaczą siostrą, jak w „Nie wierzcie bliźniaczkom”? Może któregoś dnia pojawi się w miejscowym pubie tajemniczy żeglarz, który zacznie rozpytywać o pannę Clearwater? Na tym akurat etapie ulubioną lekturą, do której Molly wracała bez końca, stały się „Wielkie nadzieje” Dickensa. Wzdychała nad sceną, kiedy Pip mówi umierającemu Magwitchowi, że jego zaginiona córka żyje, jest wielką panią, piękną i bogatą i na dodatek Pip ją kocha.

Nie zamierzała czekać na rewelacje aż do łoża śmierci. Nie chciała też, by jej ojciec był skazańcem, choć z upływem czasu domysły obrastały grozą, wybuchającą w gwałtownych snach o zacząjonych w cieniu zamaskowanych mężczyznach.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, kto jest moim ojcem? - denerwowała się Molly jako nastolatka. - Chcę wiedzieć!

Mama jednak potrafiła zatrzymać tę wiedzę dla siebie w sposób jak najbardziej naturalny, niewrażliwa na protesty córki. Przecież nie brak im miłości, odpowiadała. Miały to, co w życiu najważniejsze.

Molly widziała, że matka ciężko pracuje, bohaterko wiążąc koniec z końcem, dumna ze swojej kobiecej niezależności. Nielojalnością, wręcz niewdzięcznością byłoby prosić o więcej. Niepostrzeżenie sama także włączyła się w konspiracyjne milczenie. W wieku piętnastu lat, gdy musiała złożyć akt urodzenia, ściągnęła go z urzędu w tajemnicy przed matką. W rubryce „ojciec” wpisano: „nieznany”.

Miała pewność, że jej babka ze strony matki coś wie, bo raz i drugi wyrwało jej się jakieś zdradzieckie westchnienie i zmienił się ton głosu. Sześć lat temu babcia zmarła na raka, mimo to Molly nie traciła nadziei. Spodziewała się jakiegoś listu - może nawet od prawnika w typie pana Jaggersa - dzięki któremu zgłębiłaby tajemnicę iwojego pochodzenia. Tymczasem minęły osiemnaste urodziny, a potem dwudzieste pierwsze - i nic się nie zmieniło.

Dziadka nie mogła spytać, bo dawno temu wyprowadził się do Londynu, gdzie zamieszkał z inną kobietą. Zostawił żonę i dziesięcioletnią córkę, sprowadził na nie takie nieszczęścia i problemy finansowe, że wspomniano go rzadko i zawsze z pogardą. Wskutek jego postępuku trzeba było sprzedać dom, matka z córką zostały wygnane z raję



*Robyn Sisman*

zielonych łąk i pokojów ozłoconych słonecznym blaskiem, a krucha babka musiała podjąć pracę zawodową. Dziadek w tym czasie bawił się w chowanego z wierzycielami i przepuszczał resztki rodzinnego majątku. Tacy właśnie byli ojcowie. A może wręcz tacy są mężczyźni? Trudno powiedzieć. Nie wiedziała.

- *Voilà*. Skończone. Skrzypnęła deska w podłodze. Molly odwróciła głowę.

Fabrice stał obok sztalug, ze zmarszczonymi brwiami oceniając wynik swojej pracy. Ze zmierzwionymi włosami i dłońmi umazany-mi farbą wyglądał szalenie romantycznie, a jednocześnie srogo.

- Mogę zobaczyć? - Molly usiadła, rozmasowała kark.

- Jeszcze nie. Teraz chcę zrobić parę szkiców. Rozbierz się.

- Co? - Molly gapiła się na niego osłupiała.

- Zdejmij ubranie. - W jego głosie pojawiła się nutka irytacji. Nawet na nią nie spojrzał.

Wstała powoli, ale jakoś nie mogła zacząć się rozbierać. Pod bosymi stopami czuła zakurzoną twardą podłogę. Nie, nie mogła się rozebrać ot tak, tutaj, na jego oczach. Fabrice zbierał pędzle. Zaniósł je na stół, nalał do smukłej puszkii jakiegoś płynu i włożył je wszystkie. Obrzucił pechową modelkę mrocznym, długim spojrzeniem spod rzęs. - Molly, to jest sztuka. - Oczywiście.

- Ludzkie ciało jest piękne. Nie ma powodu się go wstydzić.

- Nie, jasne, że nie. - Ale czy mogłaby zostawić sobie chociaż majtki?

- Możesz iść tam. - Wskazał nędzną toaletę.

- Dobrze.

Przywołała na twarz szczery uśmiech w stylu pracownicy społecznej, dotarła jakoś do wąskich drzwi, otworzyła je, weszła i zamknęła za sobą. Krótki czas stała bez ruchu, wpatrując się w kafelki na przeciwległej ścianie. Co tu właściwie jest grane? Tkwią w paskudnym kłopotie w Paryżu, zdejmuję ubranie.

Racja. Wzięła głęboki wdech, chwyciła dół sukienki i ściągnęła ją przez głowę. Przewróciła na prawą stronę i powiesiła na haczyku na drzwiach. Rozpięła stanik, zsunęła ramiączka, zarzuciła go na sukienkę. Spojrzała w dół.

Gloria i Esmeralda. Czy inne dziewczęta także nadawały imiona swoim piersiom? Gloria była seksowniejsza, Esmeralda nieco bardziej z rezerwą. Trzeba pamiętać o ściągnięciu łopatek, wtedy może nie opadną tak bardzo. No i figi. Białe, koron-

kowe, jeszcze niezniszczone praniem, stworzone do podziwiania. Tyle że w aktach bielizna nie występuje. Zsunęła koronkę na uda i ocierając nogę o nogę, zrzuciła majtki na podłogę. Wyjęła jedną nogę, drugą podrzuciła figi i zręcznie je złapała. Dołączyły do stanika i sukienki.

Stało się. Była naga. A Fabrice czekał. Przydałoby się lustro. Energicznie rozmasowała biodra i pośladki, żeby usunąć ewentualne ślady gumki, i przyglądała włosy między udami. Czuła się całkowicie odsłonięta, wyczulona na najłżejszy dotyk powietrza. Ale to była sztuka. *L'art*, powiedziała bezdźwięcznie. Larr. Odrzuciła głowę do tyłu, poprawiła włosy i zanim zdążyła się rozmyślić, otworzyła drzwi.

Fabrice stał przy stole, zwrócony do niej plecami. W rękę trzymał blok dużych arkuszy papieru, z jakiejś płaskiej puszki wybierał odpowiedni kawałek węgla.

Molly odchrząknęła.

- Gotowa - wychrypiała.

- Dobrze, bardzo dobrze - stwierdził, nie przerywając poszukiwań. - Jedną sekundę. Usiądź.

Wróciła na otomanę. Z obawy, by cała nie trzęsła się zbyt mocno, sunęła niczym wąż, na samych czubeczkach palców, jakby miała sklezione uda. Jedną ręką zasłaniała piersi, drugą - krocze. Szybko położyła się na brzuchu i podparła łokciami. Po chwili zgięła nogę w kolanie, stopą wycelowała w sufit. Później zgięła także drugą nogę, zaczęła nimi beztrąsko machać. Fabrice nawet na nią nie spojrział! Całe szczęście. Zerkając przez ramię, sprawdziła, czy pośladki przypadkiem za bardzo nie odstają.

O-o... Idzie! Położyła się całkiem płasko i oparła twarz na dłoniach. Zerkając na niego przez włosy. Zatrzymał się, przyjrzał jej w milczeniu, a potem długi czas starannie opierał pod właściwym kątem blok na biodrze.

- Dobrze, możemy zacząć tak - odezwał się wreszcie. - Ale jeszcze ci powiem coś ważnego. Musisz się cieszyć własnym ciałem. Zmieniaj pozycje, rób, na co masz ochotę. To nie jest sztywne pozowanie. Chcę zrobić mnóstwo szkiców, popracować nad techniką.

Mnóstwo? Zmieniać pozycje? Cieszyć się ciałem?!?

- Aha - mruknęła bez przekonania.

- Nie jestem teraz mężczyzną. Nie patrzę na ciebie jak mężczyzna, tylko jak artysta. Artysta musi być niewidzialny, bezosobowy, jak... jak Bóg.

*Robyn Sisman*

- Witaj, stwórco. - Pomachała mu stopą.

- Opuść nogi - zarządził. - Skrzyżuj w kostkach. Udawaj, że śpisz.

Zrobiła, jak kazał. Dziwne uczucie tak leżeć nago na francuskim strychu, z zamkniętymi oczami i pod czujnym wzrokiem mężczyzny, którego ledwo знаła, słuchając cichego zgrzytania węgla po papierze. Hm... w sumie nie jest tak źle.

Wydawało jej się, że minęła najwyżej minuta, choć w rzeczywistości było to raczej pięć minut, gdy usłyszała szelest wydzieranego papieru z bloku, a potem kartkę opadającą na podłogę.

- Co teraz? - spytał Fabrice.

O, do licha, czas zmienić pozę. Błyskawicznie podjęła decyzję: przekręciła się na bok, plecami do niego. Jedną ręką podłożyła pod głowę, drugą dyskretnie przesłoniła od tyłu miejsce, gdzie zbiegały się uda. Znowu zapadła cisza.

Zaraz jednak dał się słyszeć chrobot węgla, czasem miękki, jak kocie kroki, a niekiedy ostry, niczym drapanie pazurem. Miała niesamowite wrażenie, jakby Fabrice szkicował nie na papierze, ale na jej skórze, zaznaczając krzywiznę biodra, a potem kręgi, jeden po drugim. Kątem oka widziała własne piersi, miękkie miseczki bitej śmietany zwieńczone truskawkami. Co z nimi zrobić, gdy przyjdzie czas się odwrócić? Jak je ukryć? Swoją drogą, Gavin nigdy nie zwracał na nie szczególnej uwagi. Może Fabrice także ich nie zauważy?

Kolejny arkusz papieru został wyrwany z bloku. Tym razem Molly usiadła, nadal zwrócona plecami do artysty.

Podparła się jedną ręką, drugą położyła na kostkach podciągniętych nóg. Plecy proste. Żadnego kołysania, moje piersi kochane. Ledwo śmiała oddychać.

Węgiel zaskrzypiał na papierze. Pisnęła na deskach gumowa podeszwa. I raptem, tak nagle, że Molly o mało nie podskoczyła, ciepła dłoń dotknęła jej nogi, poprawiając ułożenie. W następnej chwili już jej nie było, tylko na łydce została smuga niebieskiej farby.

Ciekawe, czy widział ją od przodu. Jasny gwint! Zapomniała wciągnąć brzuch!

Skończyły się pomysły na pozycje, które by pozwalały nadal odwracać się do niego plecami. Po tym szkicu trzeba będzie mu się pokazać. Niesamowite, ale Molly prawie się przyzwyczaiła do nagości. Wiazało się z nią jakieś poczucie swobody, budzące chęć, by się przeciągać jak kot, dopuścić powietrze do miejsc zwykle ukrytych pod ubraniem. Powiedziała sobie, że na tym etapie nie czas na skrupuły, i postanowiła pójść na całość.

Stało się. Szuranie oddartego arkusza. Cisza. Molly gładko przetoczyła się z jednego boku na drugi, podciągnęła kolana i usiadła identycznie jak przed chwilą. Ale czuła się zupełnie inaczej! Widziała Fabrice'a, skupionego, mrocznego, pięknego. Widziała, że na nią patrzył. Gdy ich spojrzenia się spotkały, posypały się iskry. Liznął ją płomień gorąca, rozlewając się po całym ciele.

Fabrice pochylił głowę nad arkuszem papieru. Ruchy miał pewne i celowe. Tu płynna linia, tam trochę cienia, tutaj znów śmiały półokrąg... czyżby to była Gloria? Podniósł wzrok, ale tylko na chwilę, unikając spojrzenia Molly. Wargi miał zaciśnięte, brwi ściągnięte, na twarzy wyraz głębokiego skupienia. Z pewnością szlifował technikę. A Molly nie mogła wytrzymać bez ruchu, ciało ją mrowiło, oddychała coraz głębiej. Jakim cudem Fabrice mógł na nią patrzeć równie beznamietnie jak na interesujący układ żelaznych prętów? Nie chciał podejść bliżej? Nie miał ochoty jej dotknąć? Nie czekając na oddarcie kolejnego arkusza, przekręciła się na plecy i wyciągnęła ręce za głowę. Piersi same uniosły się w górę.

Fabrice zerknął na nią, zawahał się, a potem zerwał z bloku poprzedni rysunek i w skupieniu obserwował jej nową pozycję, wyobcowany na wyspie z desek płynącej po morzu białych fal papierowych arkuszy. Przesunął wzrok na Głorię i Esmeraldę, zatrzymując na nich dłużej spojrzenie. Więc jednak zwrócił uwagę.

Zaczął kolejny szkic.

- *En fin*, Molly, nie możesz się tak wiercić.

- Dlaczego? - Zauważyła, że przesunął blok niżej, zasłaniając górną część dzinsów.

- Bo muszę się skupić... rozumiesz... dla mężczyzny to trudna sprawa. - Ruchy ręki nad kartką stały się gwałtowne, urywane. - Jak się widzi takie zmysłowe ciało... *euuh*... uda, włosy, piersi...

Zmysłowe ciało! Tylko dwa słowa, a ile słodczy! Przeciągnęła się leniwie, wsunęła dłonie pod głowę, wygięła plecy i uśmiechnęła się do niego. Węgiel trzasnął mu w palcach.

Molly roześmiała się, upojona własną mocą.

- Nie patrz na mnie jak na kobietę.

- Molly... - wycedził przez zaciśnięte zęby. Opuścił blok i zrobił krok w jej stronę. Odwróciła się do niego. Raptem zamarł w bezruchu. - Nie ruszaj się! - Podniósł papier i chwycił węgiel.

- Fabrice, litości...

*Robyn Sisman*

- Czekaj!

- Nie mogę!

- Ja też, ale tak trzeba. To będzie dobre... najlepsze. Na pewno. Nie sposób było tego znieść. W dodatku teraz naprawdę jej się

przyglądał. Szkicował jak w gorączce, widziała napięte ścięgna nadgarstka, naprężone mięśnie przedramienia. A jego wzrok czuła jak muskanie piórkiem po całym ciele.

Wreszcie skończył, rzucił blok i znalazł się przy niej. Przysunęła się do niego, spragniona gorących uścisków, ale tylko pogładził dłonią jej policzek, drugą ręką objął pierś. Molly zakreśliło się w głowie. Musiała się czegoś złapać, więc wyciągnęła rękę na oślep i chwyciła go akurat w pasie nad dzinsami. Pod palcami poczuła gładką, jędrną skórę. Fabrice jęknął.

- Ubierz się - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Co?! - Jak on śmiał...!

- Będziemy się kochać - powiedział, delikatnie zdejmując jej dłoń z dzinsów i przyciskając ją do ust - ale nie tutaj.

Ubierz się, a ja pozbieram szkice. - Obrzucił ją płonącym spojrzeniem. - Pośpiesz się.

### *Rozdział czternasty*

Tylko kilka słonecznych promieni rysowało na mrocznym dywanie złote pasy. W powietrzu unosił się zapach wosku i drewna z kominka. Molly mocniej ścisnęła palce Fabrice'a, pozwalając się prowadzić wokół niewyraźnych zarysów mebli.

- Gdzie my jesteśmy? - spytała szeptem. - To twoje mieszkanie?

- Czekaj. Zaraz zobaczysz. - Wyswobodził dłoń i zaczął odsuwać jakieś rygle.

Molly ze wszystkich sił pragnęła przylgnąć do jego pleców, całować go, wdychać jego zapach, ale gdy stał się taki milczący i tajemniczy - nie śmiała. Nie miała pojęcia, gdzie się znajdują.

Krótki czas jechali w gęstym sobotnim ruchu. Niewiele z tego zapamiętała: jakąś fontannę, smukłe balkony, strzelające w niebo iglice i obeliski, mosty rozpięte na czarnych podporach oraz rzekę. Na zakrętach biodra Fabrice'a uciekały jej z dłoni. Uda naciskały na uda. Pamiętała też smak jego włosów.

Miała niejasne wrażenie, że wjechali na jakąś wyspę. Zatrzymali się przed kamiennym łukiem, pod którym mógł przejechać wóz zaprzężony w czwórkę koni. W ogromnej drewnianej bramie, pomalowanej na zielono, wycięto mniejsze drzwi. Fabrice wstukał kod w dyskretnie ukrytym alarmie i wprowadził skuter na wybrukowane podwórze. Molly poszła za nim, kompletnie oszołomiona. Była jak otepiała, straciła zdolność myślenia i wolę działania. Fabrice musiał sam zdjąć jej kask i poprowadzić ją za rękę przez chłodny korytarz. Znowu włączył kilka przycisków, by otworzyć kolejne drzwi. Po chwili znaleźli się w cichej windzie z czarnego szkła i matowej stali. Gdy stanęła, Fabrice wyjął klucz, którym otworzył

*Robyn Sisman*

drewniane drzwi z paneli. W środku panował taki bezruch, że Molly poczuła się jak włamywacz.

- Gdzie jesteśmy? - spytała ponownie, ciągnąc go za koszulkę. Ale w tej chwili Fabrice pchnął sięgające podłogi okiennice i odstał na bok, by mogła wyjść na wąski balkon.

- O rany!

Z wrażenia zabrakło jej tchu w piersiach. Tuż pod nogami miała Sekwanę! Rzeka lśniła jak strumień brylantów.

Przez woal zielonych i złotych liści Molly widziała ludzi na nadbrzeżu: jedni się opalali, inni spacerowali, jeszcze inni łowili ryby... Na prawo, nieomal w zasięgu ręki, wznosiła się katedra Notre Dame. Na drugim brzegu rzeki przyciągała oko wdzięczna linia starych kamieniczek, przytulonych balkon w balkon, zwieńczonych szarymi dachami, o okienkach bardzo przypominających w tej chwili okrągłe ze zdumienia oczy Molly.

Fabrice objął ją w talii od tyłu. - Podoba ci się? - Jego oddech laskotał ją w ucho.

- Fantastycznie! - Odchyliła głowę, wsparta na jego ramieniu.

- Kto tu mieszka?

- Mój ojciec. Wyjechał! - dorzucił szybko, bo Molly zeszywniała.

- Wybrał się na wieś na cały weekend.

Obróciła się w jego objęciach.

- Zrozumiałam, że nie zgadzasz się ze swoim ojcem. Czy on nie ma nic przeciwko temu, żebyś tu przyprowadzał... przyjaciół? - W końcu jestem jego synem - stwierdził Fabrice filozoficznie, wzruszając ramionami. Cofnął się do mieszkania. - Wyrastałem w tych ścianach. - Zakreślił dłonią szeroki łuk. - Wszystko to jest tak samo moje jak jego. Molly także wróciła do pokoju. Obce, pogrążone w mroku wnętrze okazało się bardzo eleganckim salonem, położonym tuż ponad czubkami drzew. Odbite od Sekwany promienie słońca rozświetlały stare belki na suficie oraz dekoracyjne tynki, połyskiwały na antycznych stolikach, tańczyły na wspaniałych srebrach, igrały w chińskiej porcelanie, a w perskich dywanach rozpalały barwne ognie jak w drogocennych kamieniach. Kominiek był wielki, marmurowy, ozdobiony głowami faunów. Na półkach stały książki o błyszczących twardych oprawkach, ale też stare wydania w miękkich okładkach, z powycieranymi grzbietami. W innej sytuacji chętnie przyjrzałyby im się bliżej, teraz jednak zaprzętały ją inne kwestie. Czemu przyjechali właśnie tutaj? Dlaczego nie do mieszkania Fabrice'a? Czy on ją wreszcie pocałuje?!

Fabrice wydawał się niespokojny. Brał do ręki różne przedmioty, odkładał je niby na miejsce, jednak trochę inaczej, usiadł na wielkiej kanapie i zaraz wstał, zostawiając w niej wgłębienie. Uśmiechnął się do Molly przelotnie, stanął przy oknie, patrząc w dal. Ręce wcisnął w tylne kieszenie. Doszła do wniosku, że daje jej czas na oswojenie się z nieznanym otoczeniem, z tym eleganckim, wytwornie urządzonej apartamentem. Przy okazji chciał jej udowodnić, że nie jest pierwszym lepszym, że pochodzi z dobrej rodziny... jakby to miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie! Ale Francuzi właśnie tacy są, wiedziała to z Prousta. Swoją drogą, ciekawe, jak by się czuł Fabrice w domku jej mamy, gdzie ubłocone tenisówki suszyło się na płycie kuchni węglowej, a sofa z gąbki zawsze obłaziła włosami AUelui.

- Pięknie tutaj - westchnęła. - Twój ojciec na pewno jest człowiekiem sukcesu. Jaki ma zawód?

- Jest architektem. O ile mi wiadomo, znanym i cenionym. - Fabrice skrzywił się lekceważąco. - Ale jego dochody i tak nie wystarczyłyby na utrzymanie tego mieszkania. Na nieruchomości na Ile St. Louis mogą sobie dzisiaj pozwolić tylko gwiazdy rocka i kilku szejków. Mój ojciec pozuje na czystego intelektualistę, ceni sobie jednak uroki życia.

*Gauche caviar*, rozumiesz?

Potrwało chwilę, nim rozszyfrowała to określenie, a wtedy zaraz pokiwała głową.

- Tak, rozumiem. Farbowany socjalista. U nas też istnieje to pojęcie. - Chociaż, o ile jej wiadomo, trudno byłoby znaleźć odpowiedni przykład w Minster Episcopi.

- Majątek wniosła w posagu mama. Jej rodzina jest bardzo bogata. Parę lat temu ojciec sprzedał nasz dom, wtedy wyjechałem na uniwersytet. Trochę rzeczy przywiózł tutaj, resztę powyprzeda-wał... - Fabrice zmarszczył brwi. „Nasz dom”, powtórzyła Molly w myślach.

- Masz rodzeństwo?

- Dwie siostry. Dużo starsze. Młodsza ma już trzydziestkę na karku, męża i dzieci. Zresztą, obie moje siostrzyczki już się powydawały, zafundowały sobie własne domy i wiodą *la vie bourgeoise*\*. - Z pogardą wzruszył ramionami i zaczął się bawić niewielkim srebrnym drobiazgiem, leżącym na stoliku: nożyczkami do przycinania knotów. - O, na przykład to. Należały do mamy, osiemnasty wiek. Warte pewnie z tysiąc euro. A ojciec nawet ich nie używa.

\* **Drobnomieszkański żywot.**



*Robyn Sisman*

- Nieważne - powiedziała Molly cicho, pragnąc wygładzić bolesne zmarszczki na jego twarzy.

Fabrice uśmiechnął się ciepło.

- Napijemy się czegoś?

- Jeśli masz ochotę...

Ruszył do drzwi, lecz nagle, w pół kroku obrócił się ku niej, ujął jej twarz w dłonie i wycisnął na wargach namiętny pocałunek. Trwało to ledwie мгnienie oka - i już zniknął, zostawiwszy ją bez tchu. Co on wyprawiał? Nie chciała niczego pić. Chciała jego. Czy to bardzo szalone pragnienie? Henry James nie mylił się co do Paryża: to miasto wywracało do góry nogami pojęcie o grzechu. Wystarczy przypomnieć sobie tego... jak mu tam... z „Ambasadorów”, Jamesa Henry'ego, który przyjechał do Paryża z jakiejś przerażająco pruderyjnej części Ameryki, by ratować młodego człowieka ze szponów kusicielki, a w efekcie przekonał się, że ta kobieta „swobodnego prowadzenia” oraz jej środowisko były znacznie bardziej cywilizowane i żywe niż jałowa egzystencja, jaka czekała młodzieńca w domu. Żyj pełnią życia, brzmiało przesłanie tego dzieła. Jeśli tego nie robisz, grzeszysz.

Molly lekko skinęła głową, ośmielona owym wezwaniem. Jeszcze nie tak dawno gotowa była przysięgać, iż - niezależnie od zapatrywań innych dziewcząt - za nic w świecie nie pójdzie do łóżka z facetem, którego zna krócej niż dwadzieścia cztery godziny. A teraz nie mogła się tego doczekać! Wstydziła się tej niecierpliwości. Ona - niedoświadczona, mało wyrafinowana, jednym słowem - angielska. Francuzi są, rzecz jasna, ekspertami w *l'amour*. Najlepiej zrobi, jeśli pójdzie za przykładem Fabrice'a i postara się przedłużyć efektowne oczekiwanie.

Nie mogła ustać w miejscu. Wędrowała po pokoju, oglądając różne obce jej, Angielce, detale prawdziwego francuskiego domu: wysokie wąskie drzwi, klamki, które się naciskało, zamiast obracać, ściany wyłożone tkaniną, a nie papierową tapetą, okna otwierane do środka, zamiast na zewnątrz, jak w jej domu. Przyglądała się obrazom, z przechyloną na bok głową przeczytała tytuły na grzbietach książek, nie mogła się oprzeć pokusie i dotknęła płatków błękitnych hortensji ułożonych w wazonie. Musiała sprawdzić, czy są prawdziwe. Owszem, jak najbardziej. Jeden płatek spadł. Schowała go pod czasopismem. Kątem oka dostrzegła swoje odbicie w zwierciadle o złotych ramach. Była rozczochrana i zaczerwieniona, jakby trawiła ją jakaś tropikalna gorączka, mimo wszystko jednak wyglą-

dała całkiem ładnie. I nadal miała na sobie zakiet. Nic dziwnego, że Fabrice nie mógł się na niej skupić. Zdjęła go i obciągnęła dekolt najniżej, jak się odważyła. Tak na wszelki wypadek, gdyby potrzebował drobnego przypomnienia. Nie, nie. Bez przesady. Nie uciekajmy się do tak trywialnych sztuczek.

Szybko podciągnęła dekolt.

Na niedużym inkrustowanym stoliku ujrzała fotografię eleganckiej szczupłej kobiety o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach. Wzięła w rękę srebrną ramkę i z bliska przyjrzała się nieznamomej. Kobieta na zdjęciu była piękna, miała wysoko sklepione kości policzkowe i ciemne oczy jak Fabrice. Molly domyślała się, że to jego matka, ale nie zamierzała o to pytać jedynie dlatego, by zaspokoić ciekawość. Westchnęła współczująco. Sytuacja była klarowna: ukochana matka umiera, starsze siostry są zbyt zajęte, by sobie zawracać głowę bratem, okrutny, nieczuły ojciec gnębi syna i wreszcie wyrzuca go z rodzinnego domu. Biedny Fabrice. Już ona sprawi, żeby zapomniał o swoich nieszczęściach. Niech no tylko da jej szansę.

Usłyszała szybkie energiczne kroki i dźwięczne pobrzękiwanie szkła. Szybko odstawiła fotografię na miejsce i przemknęła na drugi koniec pokoju.

- Szampan! - oznajmił Fabrice, pokazując dwa kieliszki o złotych brzegach. W drugiej ręce trzymał pękata butelkę. Wystarczyło, że się pojawił, że spojrzał na Molly błyszczącymi oczami i smutek zniknął, a wszystkie ponure myśli uciekły. Postawił kieliszki.

Wielką rozkosz sprawiło jej obserwowanie, jak długimi smukłymi palcami zdjął z korka złotą blaszkę, a potem odkręcił drucik. Przechylił butelkę pod odpowiednim kątem i obracając lekko, delikatnie wyjął korek. Rozległo się miękkie pyknięcie, z szyjki wyleciał siwy dymek. Fabrice nalał trunek do kieliszków. Piana sięgnęła brzegu, potem zaraz opadła i tylko pękające bąbelki wyskakiwały w górę wytworną mgiełką.

Podał Molly kieliszek.

- Dziewięćdziesiąty szósty - podkreślił z naciskiem.

Był tak poważny, że aż śmieszny. Tak nieprawdopodobnie przystojny, że Molly o mało nie zemdląła z miłości.

- Doskonały rocznik - powiedziała, naśladowując jego ton. Fabrice wziął w rękę drugi kieliszek.

*Robyn Sisman*

- Ej, ej! - Przyjrzał jej się podejrzliwie. - Czy ty się ze mnie czasem nie nabijasz?

- Ależ skąd! - Zatrzepotała niewinnie rzęsami i znad krawędzi kieliszka obdarzyła go szelmowskim uśmiechem.

On też się uśmiechnął, oczy mu się zwięziły, kąciki ust wolno powędrowały w górę.

A więc flirtowali! Molly nie posiadała się z radości. Głowę miała lekką, rozkoszowała się ryzykiem, jak ktoś, kto stoi na krawędzi klifu, targany pokusą, by skoczyć, dla samej przyjemności zakosztowania lotu w czystym rześkim powietrzu.

- Naśmiewasz się ze mnie.

- *Mais non*. - Molly próbowała wyduć wargi po francusku, ale nie chciały jej słuchać.

Fabrice podszedł bliżej, wielki i groźny, lecz w jego oczach, ukrytych pod czarnymi rzęsami, błyszczał powstrzymywany śmiech. Molly krew zaczęła dudnić w uszach.

Odstawił kieliszek i chwycił ją za ramiona.

- Co ty wiesz o szampanie, ty Angielko...!

- Nic! - pisnęła! - Uważaj! - Szlachetny trunek chlusnął z kieliszka prosto na dekolt. - O rany! Sukienka!

- Jaka sukienka? - Wyjął jej kieliszek z ręki i gdzieś odstawił. A potem, nie wiedząc jakim sposobem, znalazła się w jego objęciach. Przycisnął ją do siebie tak mocno, że straciła równowagę i musiała się na nim oprzeć. - Jaka sukienka? - powtórzył, parząc Molly gorącym oddechem. Przesunął dłońmi po jej pośladkach, podciągnął cienką tkaninę do talii. Sunął dalej w górę po nagiej skórze.

Sama nie wiedząc jak i kiedy, podniosła ręce. Sukienka przeszła przez głowę. Stanik też gdzieś zniknął.

Fabrice rzucił obie rzeczy na bok i przyjrzał się Molly płonącym wzrokiem.

- Tak mi się podobasz - szepnął. - Tylko w butach i *la petite culotte*\*. O, patrz, oblałem cię szampanem! Piersi w szampanie... nie można go zmarnować.

Och!

Pochylił głowę i wtedy się zaczęło! Całował Molly, gryzł delikatnie, podszczypywał, a ona wsunęła palce w jego włosy, podciągnęła mu koszulkę, aż wreszcie dotknęła tego pasa gołej skóry, który uka-

\* **W figach.**

## *Weekend w Paryżu*

147

zywał się od czasu do czasu i rozpraszał ją całe popołudnie. Ciepły, miły w dotyku... Pociągnęła jego polo wyżej, przez żebra, ramiona, muskularny kark, aż Fabrice wysunął głowę, wyjął ręce z rękawów i koszulka została jej w rękach. Rzuciła ją na podłogę.

Stali twarzą w twarz, dysząc jak po długim biegu.

Fabrice ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą do lustra.

- Popatrz, jacy jesteśmy piękni - mruknął, całując ją w szyję. Zobaczyła jego złote ramiona na swojej mlecznej skórze, jego

ciemne włosy splątane ze swoimi jasnymi pasmami.

- Myślałam, że ci się nie podobam - powiedziała do jego odbicia.

- Owszem, podobasz mi się. - Przesunął ręce wyżej i zakolysał jej piersiami. - i to bardzo.

- Przestań! - zachichotała Molly.

- Dobrze. Będę wyjątkowo delikatny. Kochane cycuszki, tak lepiej?

Oparła się o niego, odchyliła głowę na jego ramię. Spod półprzymkniętych powiek obserwowała ich wspólny kształt w lustrze, gdy ręce Fabrice'a podróżowały ścieżkami tajemniczego labiryntu po jej ciele. Skóra jej się zaróżowiła, oddech rwał. W którejś chwili Fabrice zsunął dłoń niżej i na jeden elektryzujący moment wsunął palce pod białą koronkę. - Czas do sypialni - zdecydował. Objął Molly i wyprowadził z salonu. - Szampana też zabieramy - dodał stanowczo. - Najlepiej smakuje na twojej skórze.

Przeszli jakimś korytarzem, przez drzwi, i znaleźli się w niedużym pokoju z ogromnym łóżkiem. Fabrice odstawił butelkę na szafkę nocną, ściągnął z materaca kapę i rzucił się na pościel, pociągając Molly na siebie.

Szorstkie dżinsy drapały jej gołe nogi. Fabrice odgarnął jej włosy z twarzy i całował policzki, oczy, nos, usta. A ona oddawała mu pocałunki z całego serca, pragnąc miłości, pragnąc, by ją wypełniła do ostatka, każdy zakątek ciała i umysłu, aż nie zostanie miejsca na nic innego. Był taki piękny! Miał taką cudowną skórę! Takie twarde mięśnie brzucha! Całowała go wszędzie, gdzie tylko sięgała; gdy dotarła do pępka, zawróciła i powędrowała w górę, aż w końcu usiadła na nim okrakiem. Obcasy wbijały jej się w pupę... za późno na zdejmowanie butów. Odrzuciła włosy i spojrzała mu w twarz. Ujrzała na niej rozkosz; ciemne oczy lśniły tajemniczym fiołkowym blaskiem. Hipnotyzując Molly wzrokiem, sięgnął po jej dłoń i położył ją na guziku dżinsów.

148

*Robyn Sisman*

Wypchnęła go z dziurki i chwyciła zameczek suwaka, gotowa pociągnąć w dół.

Nagle zastygła w bezruchu. O, nie.

Zapomniała, jak po francusku jest „kondom”.

### *Rozdział piętnasty*

Préservatifs. Tak to brzmi w języku żabojadów. Tylko skąd je wziąć? Apteka - po żabiemu *pharmacie* - wyglądała jak skrzyżowanie salonu piękności z gigantycznym gabinetem lekarskim i panowała w niej atmosfera pełna czci i szacunku, sprawiająca, że miał wrażenie, iż powinien chodzić na palcach. Obsługa była wyłącznie damska, nieprawdopodobnie młoda, schludnie odziana w białe fartuchy i zupełnie inna niż te harpie oraz bezmózgie odrzuty edukacji, które pracowały w aptekach w jego rodzinnym Boots. Tutaj farmaceutki przypominały masażystki ze starych filmów z Jamesem Bondem, piękne dziewczyny, które zwykle pod fartuchem miały tylko pas do pończoch i opaleniznę. Władcze i seksowne. Takie właśnie lubił najbardziej. Ale takiej nie mógł przecież spytać o gumki! Unikając pytających spojrzeń, Malcolm przemykał wzdłuż półek, mijając nieznanne produkty. Jedno nie ulegało wątpliwości: Francuzi są koszmarnymi hipochondrykami. Nie trzeba być poliglotą, żeby zrozumieć słowa *tonique*, *vitamine*, *hygénique* czy *dynamisme*, krzyczące z regałów wielkimi literami. W życiu nie widział tylu rodzajów bandaży i najróżniejszych fantazyjnych przyrządów, poczynając od gumowych gruszek, na bańkach kończąc. Rysunki na opakowaniach butelek, kapsulek i proszków zdradzały, że Francuzi to naród prześladowany paranoją w kwestii krzywych pleców, niesprawnych nerek, niedomagań układu trawiennego oraz jakiegoś tajemniczego schorzenia zwanego *la grippe*. Co gorsza, miał nieodparte wrażenie, iż niektóre leki należało nie tyle przeliść, ile aplikować... wiadomo gdzie. Barbarzyńcy. Całe szczęście, że urodził się Anglikiem.

*Robyn Sisman*

W części dla kobiet sytuacja nieco się poprawiła, głównie dzięki zdjęciom nagich dziewcząt zanurzonych w pianie albo nacierających doskonale uda czymś, co wyglądało jak ogromny czyścik do okularów. Mnóstwo miejsca zajmowały jakieś kompletnie zbziko-wane produkty dotyczące *regimes*\* i *le corps gymnastique*. Jakaś soczysta brunetka miała na sobie tylko centymetr krawiecki, opływający jej ciało w strategicznych miejscach. „85-60-89” - obwieszczał z dumą napis. Osiemdziesiąt pięć cali w biodrach?! Nieźle, kobitka słusznych rozmiarów! Zaraz... a może to jednak w centymetrach? Tak, raczej tak.

Wreszcie znalazł niewielkie paczuszki w celofanie. Obejrzał je uważnie, lekko rozczarowany, że w zasadzie niczym się nie różniły od tego, co można było kupić w Anglii. Jeden rodzaj polecano jako „rozsądny wybór”. No, ten to na pewno nie miał wielu zwolenników. Alicia z pewnością będzie oczekiwała czegoś wyjątkowo nierozsądnego, nawet zwariowanego. Tak przynajmniej można sądzić po jej słowach. Może zaimponują jej niecodzienne kolory? Albo smaki? W zasadzie powinien chyba wziąć którąś z gumek wyposażonych w „dodatkowe atrakcje”, reklamowanych w męskich czasopismach.

Właśnie sięgał po coś, co się nazywało *superglissage*, gdy usłyszał coraz bliższy stukot obcasów. Odruchowo cofnął dłoń, pomknął dalej alejką i usiłował się skryć za wyciętą z kartonu smukłą blondynką, umieszczającą elektrody na wspaniale wyeksponowanym brzuchu. Za późno. Dogonił go cichy szelest pończoch i przerażająco atrakcyjna kobieta około trzydziestki o różowych, lśniących wargach obdarzyła go szerokim uśmiechem. Cerę miała doskonałą, makijaż idealny, ciemne włosy upięte w jakiś skomplikowany kok. Śnieżnobiały fartuch z całkiem przyzwoitym dekoltem kończył się przed kolanami. Stała tuż przy Malcolmie, jej oczy błyszczały profesjonalnym zainteresowaniem oraz zdrowiem. Odpowiedział jej lekko błędnym spojrzeniem. Na pewno zaraz usłyszy: „Proszę się odwrócić, komandorze Bond”. Pochyliła się nieco w jego stronę, między rozchylonymi wargami zabłysły bieluteńkie zęby. Owiał go zmysłowy zapach, aż zakreśliło mu się w głowie. Słodki syreni głos zapytał, czego *monsieur* sobie życzy. A on, uśmiechając się blado, zamarkował mycie zębów.

Pół godziny później, spocony ze zdenerwowania i kompletnie wyczerpany, wrócił do pokoju hotelowego jako posiadacz pięciu szczoteczek do zębów oraz tubki czegoś o nazwie Everest i mięto-

\* **Diety.**

wym smaku, ozdobionej mylącym obrazkiem przedstawiającym szczyt góry z zatknietą na nim flagą. Na szczęście w szóstej *pharmacie*, do której zawitał, klientów obsługiwał mężczyzna, toteż w końcu został dumnym właścicielem paczki kondomów *selection exotique*.

Dochodziła szósta. Późno. Za pół godziny powinien się stawić na dole, gotów kadzić sponsorowanym przez PLB doktorkom oraz ich połowicom. „Doskonała robota z tą śledzioną! Należą się panu gratulacje!”, „Czy mogę pani dolać wina?”. I tak będzie aż do ósmej, kiedy powinna zjawić się Alicia. Pół godziny to niewiele, żeby się wyszykować na podryw, a w dodatku jego pokój hotelowy na razie bardziej przypominał sekretariat niż alkowę uwodziciela. No i nie zdążył powtórzyć jutrzejszej mowy. Hamując rosnącą panikę, Malcolm w pośpiechu zrzucił ubranie, powiesił garnitur, chwycił gąbkę morską, doskonałe narzędzie do usuwania martwego naskórka, i wskoczył pod prysznic.

Pod strumieniem wody rozjaśniło mu się w głowie.

Spokojnie, Malc, więcej wiary w siebie. Tyle pracy włożyłeś w tę prezentację, że pójdzie jak burza.

Od razu postanowił, że zacznie od czegoś innego, nowego, a nie jak wszyscy - od nudnego wstępu: „Miło mi powitać...”, „Kolejny świetny rok dla PLB”, „Niezawodny partner każdego lekarza”. Będzie tyle grubych ryb, że miałby nie po kolei w głowie, gdyby przepuścił okazję do pokazania się z najlepszej strony, zaznaczenia swojej kreatywności. Zamierzał dać prawdziwe przedstawienie, bez żadnej prowizorki, wykorzystując wiedzę, jaką zdobył dzięki odpowiednim poradnikom dotyczącym wystąpień publicznych. Pomocne były nawet pozornie nieistotne drobiazgi, na przykład należało się upewnić co do swojego nienagannego wyglądu. „Zawsze przeglądaj się w dużym lustrze” - radził podręcznik. Trzeba też było mieć pewność, że się prosto stoi. „Wystarczy pięć minut tygodniowo z książką na głowie, a zyskasz postawę, dzięki której zostaniesz natychmiast zauważony w każdym towarzystwie”. Malcolm ćwiczył z najnowszym Terryem Pratchettem. Zyskał też kilka cennych wskazówek na temat urozmaicenia prezentacji. „Przyciągnij uwagę obecnych historią z życia wziętą”. To akurat było wyjątkowo łatwe.

Gastroenterolodzy mieli do czynienia z zaburzeniami funkcjonowania żołądka i jelit, prawda? Cóż więc mogło ich zainteresować bardziej niż zabawna anegdota, podkoloryzowana nieco dzięki wielokrotnemu powtarzaniu w pubie? Traktowała ona o zeszłorocznej



*Robyn Sisman*

wycieczce Malcolma do Turcji, kiedy to podczas dwunastogodzinnej podróży koleją ze Stambułu na wybrzeże dopadła go biegunka. Z lubością namydlił włosy na piersiach.

„Wprowadź słuchaczy w dobry nastrój, opowiedz jakiś dowcip”. Tak, to już trudniejsza sprawa. Konferencja była międzynarodowa, lekarze zjechali się z całego świata, więc dowcip musiał być uniwersalny. Na szczęście pamiętał jeden taki, o Francuzie, Irlandczyku i Niemcu, którzy szli razem przez pustynię. Dzięki świetnemu opanowaniu techniki wizualizacji Malcolm potrafił sobie wyobrazić siebie na mównicy, w aurze triumfu, w huku stojącej owacji. Ze skromną miną zszedł z podwyższenia, by przekazać pałeczkę jajogłowym. Uśmiechnięty od ucha do ucha sięgnął po balsam na wzmocnienie włosów, używany podobno przez obsadę „Z archiwum X”. Nie był to kosmetyk tani, ale co dobre dla Moulderera i agentki Scully, dobre też dla Figga.

Jedno tylko niepokoiło go, gdy wytarł się do sucha i pochylił do lustra w łazience, by ogolić włosy pod pachami - taki prosty zabieg, a redukuje nieprzyjemności związane z poceniem się o połowę! Otóż nie sprawdził jeszcze dysku z grafiką. Nie, żeby nie ufał doktorowi Griffinowi, chociaż facet zachowywał się dziwnie i zadawał potwornie dużo pytań na temat Molly, ale skąd można wiedzieć, że ta głupia dziewczucha nie pomyliła płyt? Wolał nie ryzykować, że wystąpi na konferencji, szokując zebranych ścieżką dźwiękową z „Bridget Jones”. To byłby dopiero wstyd! Postanowił zajrzeć do sali wystawowej, jak tylko się ubierze, tuż przed przyjęciem, i na jednym z tamtejszych komputerów sprawdzić płytę.

A niech to! Trzeba jeszcze koniecznie zadzwonić do mamusi. Zawsze się o niego niepokoiła, kiedy wyjeżdżał za granicę. A jeśli to ona zadzwoni później, może trafić akurat na moment, kiedy on i ta Alicia będą... zajęci. I tak już nieźle wytresował mamuszkę, ale musiał się odmeldować, żeby mieć spokój. No a poza tym warto przypomnieć, żeby mu wyprasowała na poniedziałek koszulę od Paula Smitha. Czasami zaniedbywała takie podstawowe sprawy, chociaż nie miała nic konkretnego do roboty. Niektórzy znajomi podśmiewali się z Malcolma, że mieszka z mamą, a przecież to naprawdę miało ręce i nogi. Mógł liczyć na doskonałą opiekę, nie musiał spłacać hipoteki, jadał bardzo przyzwoicie - na przykład kielbaski zapiekane w cieście albo pudding, a na dodatek widział przed sobą miłą perspektywę przejęcia po śmierci mamusi jej skromnego domu. Od wielkiego dzwonu dorzucał się do wspólnej

## *Weekend w Paryżu*

153

kasy, jednak nie za często, bo potrzebował pieniędzy na życie na odpowiednim poziomie: na ubrania, samochód, urlopy, ubezpieczenie - i dziewczyny oczywiście, a one, chociaż zgodnym chórem głoszą zasady równouprawnienia i twierdzą, że płacą za siebie, ciągle jakoś okazują się kosztowną rozrywką. Wybór przyszłej pani Figg będzie wymagał naprawdę głębokiego namysłu.

Włożył swoje szczęśliwe bokserki, białe z czerwonym krzyżem z przodu i z tyłu, wpuścił koszulę w spodnie. Jeszcze tylko buty i gotowe. Spojrzał na zegarek. Dobrze, można wykroić minutkę dla mamusi. Zwłaszcza jeśli jednocześnie będzie się czesał i wklepie płyn po goleniu.

Nagle dokonał odkrycia tak przerażającego, że wszystkie myśli o telefonie do matki wyleciały mu z głowy. Butelka płynu po goleniu „Tygrys” była pusta! Tylko tego brakowało. Z całą pewnością nie pójdzie do kolejnej *pharmacie* Poza wszystkim innym, nie miał na to czasu.

Wtem spłynęło nań olśnienie. Chwycił neseser i po chwili gorączkowych poszukiwań wyciągnął czasopismo dla mężczyzn, które kupił na lotnisku. Przekartkował je niecierpliwie. Brawo! Jest! Znalazł reklamę z pachnącą stroną. Wyrwał kartkę, potarł nią skórę za uszami, a potem na klatce piersiowej. Jeszcze zerknął na zmięty papier. Calvin Klein, najnowsza woda, bardzo droga. Alicia z wrażenia padnie trupem.

Pod warunkiem, że przyjdzie. W zamyśleniu zapiął koszulę. A jeśli będzie potwornie szpetna? Facet w recepcji powiedział, że była ładna, ale to Francuz, dla takiego największym przebojem jest „La Mer”, a koń to przekąska. Malcolm nie miał najmniejszej ochoty na spędzenie wieczoru w towarzystwie tłuściochy w okularach, jak to mu się już kiedyś zdarzyło przy okazji randki w ciemno. W życiu nie zapomni, jak siedząc naprzeciwko dziewczyny w barze, obserwował jej rozedrgane podbródki. W końcu, kiedy już nie mógł znieść jej utyskiwań na tarczyce, udał, że ktoś go niespodziewanie wezwał przez komórkę.

Wzruszył ramionami. Najlepiej będzie wetknąć jakiś banknot temu *concierge* i sprawdzić dziewczynę. Jak mu się laleczka nie spodoba - zawsze można zniknąć. A dziś wyglądał tak, że mógł wyrwać dowolną laskę. Nawet wśród żon doktorków były ze dwie warte zachodu.

E, co za bzdury. Alicia na pewno będzie pierwsza klasa. Czuł to w kościach.

*Robyn Sisman*

Wziął do ręki płytę i po raz ostatni obrzucił siebie w lustrze zadowolonym spojrzeniem. Poklepał się po kieszeniach, sprawdzając ich zawartość: odświeżacz do ust, grzebień, portfel wypchany plastikowymi kartami. Oczywiście nie wszystkie były kartami kredytowymi, ale tak wyglądały. Znalazłaby się między nimi karta klubu Anonimowych Alkoholików, karta członkowska wypożyczalni wideo, karta stałego klienta sieci marketów spożywczych oraz bilet kolejowy. Niejeden raz widział, jak dziewczynie opadała szczeka, kiedy zaczynał przeglądać plik sugestywnych kawałków plastiku.' A już Australijka na pewno nie będzie wiedziała, który jest do czego. Malcolm był mocno podekscytowany. Z Australijką jeszcze nie miał do czynienia. Bardzo możliwe, iż ją także po raz pierwszy spotka przywilej pójścia do łóżka z Anglikiem. Para nieznajomych w obcym mieście - kto wie, co przyniesie im noc? Tak czy inaczej, można spokojnie założyć, że wieczór w Crazy Horse natchnie ich paroma świetnymi pomysłami gry na jego flecie.

### *Rozdział szesnasty*

Pływała wysoko po niebie, oparta wygodnie na puchatym obłoczku, skapana w złotym blasku. Ręce i nogi rozrzuciła swobodnie na boki, bosko wyczerpana. Słyszała skrzeczenie jakiegoś ptaka. Dziwne, że wleciał aż tak wysoko. Gdyby się podniosła na łokciu i wyjrzała za krawędź chmurki, mogłaby sprawdzić, co to za ptak, ale nie chciało jej się ruszać. Była na to zbyt szczęśliwa. Była też naga. Ciekawe dlaczego. E, nieważne. Nic nie jest teraz ważne. Poza tym... poza tym, że czegoś jej brakowało. Usiłowała schwytać jakieś słodkie, umykające wspomnienie. Co to było...? Szkoda, że zapomniała.

Otworzyła oczy. Na brązowym suficie przesuwały się beżowe plamy światła, połyskliwe i niespokojne, to przygasały, to błyskały mocniej, układały się w skomplikowane wzory. Molly leniwie przesunęła wzrokiem po ścianach wyłożonych tkaniną, wąskich drewnianych drzwiach, zatrzymała spojrzenie na butelce. W jej kształcie było coś znajomego.

Nagle gdzieś blisko zaskrzeczała mewa i Molly wszystko sobie przypomniała. Z uśmiechem odwróciła głowę, przygotowana na miły widok.

Ale co to? Fabrice zniknął!

Usiadła prosto i rozejrzała się po pokoju. Poczula się opuszczona. Wyjrzała za krawędź łóżka: dzinsów i butów także nie było. Coś wystawało spod pustej butelki... Papier milimetrowy. Na nim znajdowały się jakieś napisy i rysunki... Odwróciwszy kartkę we właściwą stronę, zaczęła rozszyfrowywać przekaz. Na jej ustach wykwitł uśmiech szczęścia doskonałego.

Fabrice narysował dla niej komiks!

Na pierwszym obrazku widać było jego głowę, złożoną na poduszce, z ustami otwartymi w szerokim ziewnięciu. Na drugim szerszy plan ukazywał ich oboje w łóżku. Molly wyglądała jak rusałka o obfitych kształtach i z gęstą kaskadą włosów. O, nie, na pewno nie ma aż takich dużych piersi! Nogi były przykryte prześcieradłem. Z głowy Fabrice'a wychodził dymek pełen serduszek i wykrzykników. Cudowne! Następny obrazek: zbliżenie na twarz Fabrice'a, marzącego o papierosie. Dalej - zaniepokojona mina i dymek z gigantycznym pudełkiem oznaczonym napisem *Cigarettes*, obok wykrzyknik. Kilka następnych szkiców odzwierciedlało poszukiwania: sprawdzanie w kieszeniach dzinsów, potem w kurtce, znalezienie paczki - wielka radość, odkrycie, iż pudełko jest puste - rwanie włosów z głowy. Wreszcie - Fabrice całkowicie ubrany, wychodzący na palcach z mieszkania. Na ostatnim rysunku znowu leżał w łóżku z Molly i uszczęśliwiony palił. Strzałka wskazywała jego zegarek ze wskazówkami ustawionymi na szóstą dwadzieścia.

Obejrzała komiks jeszcze raz i złożyła na kartce pocałunek. Dusza jej śpiewała radosną pieśń bez słów.

Fabrice jest cudowny!

Znalazła swój zegarek na szafce nocnej: wskazywał już dwanaście po szóstej, więc rozłąka nie będzie długa. Pewnie obudziło ją zamykanie drzwi, gdy wychodził. Zgarnęła poduszki i opadła na plecy. Nad czołem miała pozłacany zagłówek rzeźbiony w rozety. Czuła się jak królowa. Przeciągnęła się rozkosznie, naprężając każdy obolały mięsień, rozpamiętując każdą malinkę, jakby to były blizny po bitwie zakończonej chwalebny zwycięstwem. Przez otwarte okno wpadła lekka bryza i pogładziła jej skórę. Blask ścielący się ukosem przez okiennice malował świat barwą przygaszonego po-marańczu. A Molly leżała spowita w szczęśliwość, słuchając przytłumionego stukania kroków na ulicy, świergotania ptaków wracających do gniazd, cudownych odgłosów miasta biorącego głęboki oddech przed wieczornymi szaleństwami.

W pewnej chwili rozległ się znacznie głośniejszy dźwięk; hałaśliwy warkot przypominał odgłosy wydawane przez lodówkę. Ogromniał i potężniał, aż zmienił się w ryk. Wyskoczyła z łóżka, podbiegła do okna i pchnęła okiennicę. Sekwaną płynęła łódź turystyczna, słynna *bateau mouche*, szeroka, wielka, przypominająca jakiegoś wodnego żuka ze szklanym pancerzem chroniącym tłum zwiedzających. Z licznych głośników rozlegał się bezosobowy głos: „Po prawej stronie widzimy Ile St. Louis, aż do siedemnastego wieku nazywa

## *Weekend w Paryżu*

150

na Wyspę Krów. Dopiero wtedy Ludwik XIII zezwolił na stawianie tu domów. To właśnie tutaj słynny kompozytor Chopin...". Molly wychyliła się przez okno i radośnie pomachała do przepływających, kompletnie zapominając, że jest całkiem naga. Zdziwiająco wielka liczba turystów odpowiedziała jej entuzjastycznymi okrzykami. Jacy oni przyjaźni!

- Cześć! - krzyknęła. - Nazywam się Molly! Paryż jest fantastyczny!

Łódź popłynęła dalej, bliźniacze ślady na wodzie pochwyliły czerwony blask słońca, zapaliły się żywym ogniem i zmarszczyły powierzchnię Sekwany aż do nadbrzeży, gdzie zakołysały przycumowanymi barkami. Molly chciałyby kiedyś zamieszkać na takiej barce, z burzą geranium nad głową. Zasiadać przy ciepłym piecyku, a w wieczory takie jak ten patrzeć z pokładu na turkusowe niebo poznaczone różowo-szarymi obłokami.

Zostawiła okiennice otwarte i wróciła do łóżka. Położyła się na plecach, ręce wsunęła pod głowę. Z ciekawością przyjrzała się swoim krągłym kształtom. Tego popołudnia zdobyła się na kilka całkiem nowych posunięć, zastosowała również kilka takich, które już nie były jej obce, ale nigdy jakoś nie mogła się w nich dopatrzeć sensu.

Teraz nareszcie wiedziała, jaka potrafi być miłość: nieodparta, wszechogarniająca, szalona, nieokiełznana. Kilka chwil przyglądała się w myślach słowu „miłość”. Od dziś będzie się jej kojarzyło z rozgorączkowaniem, żarliwie splecionymi ciałami, z jego twarzą na tle sufitu, z jękami i okrzykami, śmiechem i wstrzymaniem oddechu.

Uśmiechnęła się leciutko. Już nigdy nie będzie się wstydzila własnego ciała. Będzie się nim cieszyła, ponieważ dzięki niemu mogła zyskać niebiańską rozkosz. Kiedy Fabrice wróci, nie będzie się chowała w pościeli. Sprawia mu niespodziankę i ułoży się w najbardziej prowokującej pozie, jaką zdoła wymyślić.

Dobiegł ją jakiś niegłośny dźwięk. Czy to już on? Szybko się uwinął! Oczyma wyobraźni zobaczyła go, jak biegnie do domu, z wymarzoną paczką papierosów w dłoni, jak wpada do windy i niecierpliwi się, kiedy wreszcie znowu zobaczy swoją ukochaną Molly. Aha, tak. Teraz zamknął ciężkie drzwi wejściowe. Nowo narodzona rozpustnica chwyciła butelkę po szampanie i wstawiła ją sobie między uda, tuż przy *foufoune* - jeszcze jedno nieznanne wcześniej słowo, wzbogacające słownik wyrazów francuskich. Opadła na poduszki.

*Robyn Sisman*

- Juhuuu!!! - zawołała kokieteryjnie. - *Je suis iciiii! Dans le liiit\**

Teraz już wyraźnie słyszała kroki. Koniec klamki powędrował w dół. Drzwi się otworzyły i w progu stanął jakiś obcy mężczyzna.

Molly wrzasnęła, niezgrabnie skuliła się przy zagłówku i obronnym ruchem przycisnęła do piersi poduszkę. Butelka po szampanie spadła na ziemię z głuchym łoskotem, potoczyła się po deskach, hucząc jak potężny grzmot, aż wreszcie zatrzymała się przy ogromnym męskim bucie, oparta o stopę przybysza.

- Kim pan jest?! - pisnęła Molly, desperacko szukając dłonią prześcieradła. - Co pan tu robi?!

Obcy, nadal z dłonią na klamce, patrzył na nią zrezygnowanym wzrokiem. Miał już swoje lata, był pewnie dobrze po pięćdziesiątce, ale wyglądał świetnie. Nie szkodziły mu nawet dumne rysy twarzy, świadczące o tym, iż patrzył na świat z góry, ani srebrne nitki w kruczoczarnych włosach.

- Rozumiem, że mój syn marnotrawny znowu pojawił się w rodzinnym gnieździe. - Westchnął głośno.

- Nie rozumiem! - Molly się najeżyła. Przy gwałtownym ruchu protestu jedna pierś wysunęła się spod poduszki. Szybko zakryła ją na powrót. Wreszcie wymacała palcami prześcieradło i ciągnęła je dotąd, aż zasłoniło ją po pachy.

- Nazywam się Armand Lebrun - rzekł mężczyzna, mierząc ją lodowatym wzrokiem. - Jestem ojcem Fabrice'a.

Znajduje się pani w moim mieszkaniu. Proszę je opuścić. - Odwrócił się, by wyjść.

- Jedną chwileczkę! - Molly z niejakim trudem udało się zsunąć z miękkich materaców i stanąć. Uwolniła nogę zaplątaną w pościeli. Aha! Więc to jest ten potwór, który niszczył życie Fa-brice'owi! To z tym człowiekiem nie dało się rozmawiać, to był ojciec, który skąpił synowi na edukację, choć sam płaścił się w luksusach. Jak śmiał nazywać Fabrice'a synem marnotrawnym!!! - Jak pan śmie go tak nazywać! - Wyzywająco uniosła podbródek, usiłując jednocześnie zasłonić prześcieradłem pośladki. - Nie jest synem marnotrawnym! Jest wspaniały! Pokazał mi tyle pięknych rzeczy! I dużo mnie nauczył o sztuce. Jest inteligentny i miły, i... i ja go lubię!

Mężczyzna popatrzył na nią bez większego zainteresowania.

- Ach... Angielka.

**\* Jestem tutaj! W łóżeczku!**

Molly aż zaniemówiła po tak niestosownej uwadze. Bez wątpienia naśmiewał się z jej akcentu.

- Fabrice sądził, że pan wyjechał na wieś - wyjaśniła rzeczowo.

- Pomylił się, jak widzę. A poza tym, co złego w tym, że syn wchodzi do domu ojca?

- Wróciłem wcześniej. Proszę mi zdradzić, od jak dawna Fabrice jest tutaj? Nie wiem, czy powinienem przeliczyć łyżeczki. Molly osłupiała. Oczy jej rozbłysły gniewem.

- Czy pan sugeruje, że Fabrice jest złodziejem? Ze okradłby własnego ojca?

- Cóż - wzruszył lekko ramionami - trudno byłoby go nazwać szczególnie wrażliwym. A skoro o wilku mowa, gdzie on jest? - Wręcz przeciwnie, proszę pana, Fabrice jest człowiekiem o niepowседневnej wrażliwości, zapewniam pana. Wyszedł kupić papierosy.

Monsieur Lebrun przewrócił oczami.

- No właśnie! - rzuciła Molly oskarżycielsko. - Nawet palenie panu przeszkadza. Nic dziwnego, że Fabrice nie może się z panem porozumieć. I nic dziwnego, że nazywa pana skąpcem.

- Tak o mnie mówi? - Zmarszczył brwi. - Naprawdę?

Molly wyczuła w jego głosie nutkę niezdecydowania i postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Kto wie, może doprowadzi do pojednania? A przynajmniej wytłumaczy Fabrice'a przed tą bryłą lodu... człowiekiem, który najwyraźniej większą wagę przywiązywał do swojego wyglądu niż do losu własnego syna. No bo czy w przeciwnym razie jadąc na wieś, włożyłby kremowe pantofle i spodnie o kantach ostrych jak brzytwa? A jeszcze do tego sztruksową marynarkę. Śmieszne! Wodę kolońską czuć było od niego na kilometr. W jej stronach nie nadawałby się nawet do pubu. Mimo wszystko był ojcem Fabrice'a, więc do jej obowiązków należało uświadomienie mu, jak wielką krzywdę robi synowi. Podciągnęła prześcieradło.

- Proszę pana, z pewnością jest pan człowiekiem kulturalnym

- zaczęła ugodowo. - Widziałam książki w salonie. Balzak, Proust, John Updike, Julian Barnes. Jak to możliwe, że kochając literaturę, jest pan tak okrutny wobec syna?

Uniósł wysoko brwi, niebotycznie zdumiony. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do słuchania prawdy. Jasne, przecież kiedy jadał kawior, przepuszczając majątek zmarłej żony w towarzystwie tak zwanych lewicowych przyjaciół, słyszał same pochlebstwa. Czas



*Robyn Sisman*

na zmiany. Ona nie będzie miała oporów, wygarnie mu wszystko, co powinien wiedzieć.

- Fabrice jest utalentowanym artystą. Wystarczy mu pomóc rozkwitnąć. A nie ma nawet porządnej pracowni. Przez pana przerwał studia...

Ojciec artysty zdumiał się jeszcze bardziej.

- Tak powiedział...?

- Niech pan sobie przypomni Rodina! - Molly uniosła palec wskazujący, skupiając na sobie uwagę gospodarza.

- Kogo?

- Rodina! Tego sławnego rzeźbiarza, geniusza. On także nie miał pieniędzy i był zmuszony do wykonywania pospolitych prac. Na jego sztuce poznano się dopiero, gdy zmarł! Czy tego pan chce dla swojego jedyne go syna?!

- Sugeruje pani, że Fabrice jest geniuszem? Krzywy uśmiezek mężczyzny doprowadził ją do pasji.

- Z czego pan się śmieje?! Tu nie ma nic śmiesznego! Ojciec powinien kochać swoje dzieci, a nie wyśmiewać się z nich. Niech pan sobie wyobrazi, jak to jest, być synem ojca, który nie kocha swojego dziecka, którego to dziecko w ogóle nie obchodzi, który je zostawia na łaskę losu, bez wsparcia, bez pieniędzy, a sam delectuje się życiem... zabawia z gwiazdami rocka i innymi takimi!

- Z gwiazdami rocka?!

- Fabrice stracił matkę. Tym bardziej potrzebuje ojca. Prawdziwego ojca, który mu doda odwagi, doceni go, a nie będzie nazywał synem marnotrawnym! Każdy człowiek ma swoją wartość! - Łzy napłynęły jej do oczu. - Każdy! - powtórzyła bezradnie. Zapadła cisza. Molly ciaśniej owinęła się prześcieradłem i założyła ręce na piersiach.

- Czy mogę spytać, jak pani na imię? - odezwał się w końcu ojciec Fabrice'a.

- Nazywam się Molly Clearwater.

- Bardzo mi przykro z powodu nieporozumienia, jakie tu zaistniało, mademoiselle Clearwater. Nie jest pani osobą, za jaką panią wziąłem w pierwszej chwili... z butelką szampana... - Schylił się, podniósł ją i spojrzał na etykietkę. - Z moich zapasów, jak widzę.

- Cóż, rzeczywiście... - Molly spiekła raka. - Jest mi bardzo przykro z powodu szampana. Przyznaję, nie powinniśmy byli go wziąć. Zaraz panu za niego zapłacę.

- Doprawdy, nie ma potrzeby. - Wyglądał na dotkniętego.

## *Weekend w Paryżu*

154

- Nalegam. Nie chciałabym zostać posądzona o kradzież!

Z wysoko uniesioną głową przeszła na drugą stronę łóżka. Niestety, tam również nie było torebki. W pewnym momencie przydepnęła prześcieradło i byłaby runęła jak długa, gdyby się nie przytrzymała zagłówka. Łóżko zatrzeszczało pod jej ciężarem ostrzegawczo. Oczywiście. Ono także z pewnością stanowiło część bezcennego dziedzictwa. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że torebka została w salonie.

- Za kilka chwil dam panu pieniądze - oznajmiła z godnością.

- To absurdalne. Proszę przyjąć tę butelkę w prezencie od starego Francuza zauroczonego czarującą Angielką.

I jeszcze miał śmiałość się do niej uśmiechnąć! Molly wyżej uniosła brodę. Za stary z niej wróbel, żeby dać się wziąć na takie plewy. Hm... Tyle tylko że uśmiechnięty ojciec bardzo przypominał syna... Na dodatek uświadomiła sobie, jak niewiele gotówki jej zostało, a szampan z pewnością nie należał do tanich. Takich ten człowiek raczej nie pijał.

- Cóż... w zasadzie... dziękuję. - Z królewską godnością skinęła głową. - A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym się ubrać... - Oczywiście. - On także skinął głową, po czym wyszedł. Chwilę później, akurat gdy Molly, całkiem naga, na kolanach

wpełzła pod łóżko po majtki, rozległo się stukanie do drzwi.

- Mademoiselle?

- Słucham!

- Skoro ma pani zamiar się ubrać, zapewne przydadzą się pani te rzeczy. - Drzwi uchylły się nieco, w szparze pojawiła się ręka trzymająca jej żakiet, sukienkę i stanik. Z nadgarstka zwisała torebka.

Molly przemknęła wokół pokoju złożona we dwoje, jakby chciała uniknąć snajperskiego ostrzału. Stanąwszy po drugiej stronie uchylonych drzwi, chwyciła swoje rzeczy.

- *Merci*\*.

- *De rien*\*\* - i drzwi ponownie się zamknęły.

Jeszcze się ubierała, gdy usłyszała, że wraca Fabrice. Nareszcie. Bo po namyśle doszła do wniosku, że znalazła się w dość kłopotliwej sytuacji. W końcu gospodarz po powrocie do domu zastał we własnym łóżku nagą kobietę, której wcale nie zapraszał. Co by

\* **Dziękuję.** \*\* **Nie ma za co.**

było, gdyby jej mama, wróciwszy wcześniej, zastała w salonie porzucane ubrania, a w gościnnej sypialni gołego Francuza? Oczywiście nic nie usprawiedliwiało wyrodnego ojca, ale z drugiej strony można było zrozumieć jego zaskoczenie. Zaczynała odczuwać wyrzuty sumienia z powodu tego najścia. Nie do końca też potrafiła się uwolnić od przykrego wrażenia, jakie teraz wywoływał w niej widok skłębionej pościeli i cennej koronkowej kapy beztrzesko rzuconej na podłogę. Bardzo potrzebowała teraz Fabrice'a. Powinien tu przyjść, objąć ją czule i zapewnić, że wszystko jest w najlepszym porządku, że wspólne popołudnie naprawdę było fragmentem najpiękniejszej bajki. On jednak nie przyszedł. Molly słyszała dobiegającą z innego pokoju rozmowę: pompatyczny, pełen wyrzutu ton ojca i obronne wybuchy Fabrice'a. W którymś momencie oba głosy połączyły się w gniewną sprzeczkę. Biedny Fabrice. Ojciec zmywał mu głowę. Trzeba pośpieszyć na odsiecz. Prędko przywróciła w sypialni jaki taki porządek: złożyła pościel, materac przykryła narzutą. Wyplątała szcnotkę do włosów z czarnej peruki - cała nadzieja w tym, że ojciec Fabrice'a jej nie widział! - i energicznie rozczesła splątane włosy. Minę miała coraz bardziej srogą, bo zza ściany dochodziły odgłosy coraz gwałtowniejszej kłótni. Ojciec znęcał się nad synem, tego nie mogła znieść. I nie zamierzała tego znosić w milczeniu! Przewiesiła torebkę przez ramię i zdecydowanym krokiem ruszyła do salonu. Obaj mężczyźni zamilkli, ale język ciała był dostatecznie wymowny. Chmurny ojciec siedział w fotelu przypominającym tron. Syn stał przy oknie przygarbiony, gwałtownie zaciągając się papierosem. Twarz miał ściągniętą, minę zbuntowaną.

- *Ah, mademoiselle.* - Starszy pan wstał, demonstrując niepowседневną kurtuazję.

Molly minęła go bez słowa i podeszła do Fabrice'a. Ujęła jego twarz w dłonie, wycisnęła na jego ustach gorący pocałunek, zdecydowana przypomnieć mu, że jest dla niej ważny, choć nic nie znaczy dla własnego ojca. Poglądziła go po policzku, uśmiechając się czule.

- Nie martw się - poprosiła. - Wszystko będzie dobrze. - Dopiero wtedy zwróciła się do gospodarza. - Rozumiem, że chce pan teraz porozmawiać z synem spokojnie - położyła akcent na ostatnie słowo, przypominając mu w ten sposób o obowiązkach ojca względem dziecka, które tak egoistycznie zaniedbywał.

- *Euh, Molly...* - zająknął się Fabrice.

## *Weekend w Paryżu*

163

- Nie, nie - zatrzymała go, unosząc dłoń. - O mnie się nie martw. Trafię do hotelu z łatwością. Porozmawiamy później.

- Później? - powtórzył jak echo.

Molly przyjrzała mu się uważniej. Wydawał się nieco zbity z tropu, ale to przecież nic dziwnego, naturalnie, miał prawo być zdenerwowany.

- Tak. Później. Jak już porozumiesz się z tatą, a ja... wezmę prysznic... i tak dalej.

-Ale...

- Na pewno chcielibyście zjeść razem kolację - wtrącił gładko ojciec syna marnotrawnego. - Możecie zajrzeć do L'Orangerie, to blisko. Chyba że Molly wolałaby coś bardziej tradycyjnego jak Bofin-ger czy La Coupole? Zarezerwuję wam stolik. Na dziewiątą? Fabrice przyjedzie po panią pół godziny wcześniej. *Hein*, Fabrice?

- *Oui, oui* - zgodził się Fabrice.

Ha! Molly pozwoliła sobie na ironiczny uśmiech. Restauracja La Coupole została wyszczególniona w jej przewodniku w rozdziale „Lokale wyjątkowo drogie”.

- Wątpię, żeby pański syn mógł sobie pozwolić na taki luksus. - Odwróciła się do Fabrice'a. - Wszystko mi jedno, dokąd pójdziemy i co będziemy robić. Nie jestem głodna. - Jak na złość, dokładnie w chwili gdy wypowiadała te słowa, głośno zaburczało jej w brzuchu. Ponieważ w rzeczywistości konała z głodu. Odchrząknęła głośno, mając nadzieję, że nikt nic nie usłyszał, podeszła do ojca Fabrice'a i z lodowatą uprzejmością wyciągnęła do niego dłoń. - Zegnam pana. Przykro mi, że... pana zdezorganizowaliśmy. - Nie miała pewności, czy użyła właściwego słowa, ale co tam. - Mam nadzieję, że będzie pan pamiętał, co powiedziałam, i... odpowiednio się zachowa.

Uściskał jej dłoń równie chłodno i oficjalnie. - Nie czuję się w najmniejszym stopniu zdezorganizowany. Wręcz przeciwnie. Miło mi było panią poznać. - Przytrzymał jej dłoń odrobinę dłużej niż należało i uśmiechnął się naprawdę ciepło. A może to było szyderstwo? Z Francuzami nigdy nie wiadomo. Molly odwdzieczyła mu się niepewnym uśmiechem, obdarzyła Fabrice'a promiennym spojrzeniem - i wyszła.

Dopiero na podwórzu spostrzegła, że zapadł mrok. Zrobiło się całkiem ciemno, świat zamarł w niesamowitym bezruchu, tylko skądś dobiegał stukot obcasów na bruku. Artystycznie przycięte krzewy, których wcześniej w ogóle nie zauważyła, wychylały się z cienia jak zastygłe w oczekiwaniu postacie. Ta wyjątkowa chwila,

oderwana od czasu, przywołała duchy odległej przeszłości, dymiący ogień pochodni, zabieganą służbę, spienione konie. Dopiero gdy Molly wyszła z dziedzińca na ulicę i pozwoliła, by furtka zatrzęsnęła się za nią z głośnym kliknięciem, odcięła się od długich wieków historii.

Którędy do hotelu? Niedaleko, przy moście dostrzegła tabliczkę z jakąś nazwą. Ruszyła w tę stronę, wyciągając z torebki mapę. „Pont de la Tournelle”. Zdaje się, że to akurat w przeciwną stronę. Zaraz sprawdzi na mapie. Ale najpierw zerknie jeszcze raz na ten piękny dom, teraz skąpany w miękkim świetle ulicznych latarni. Dziwne. Dawniej byle analfabeta wiedział wszystko o bóstwach zdobiących fasadę, na pamięć znał herby na tarczach, wieńce oraz egzotyczne bestie, a dzisiaj ona, osoba z wykształceniem, nie potrafiła ich nawet rozpoznać. Z okien mieszkania na przedostatnim piętrze wylewało się światło. Kiedy za oknem przesunął się cień ludzkiej postaci, Molly serdecznie mu pomachała. Może to był Fabrice, a może nie, ale tak czy inaczej jej nie zauważył.

Rozdział siedemnasty

*Anguilles fumes... pintade aa cerfeuil... lotte a la creme de safran... pommes mousselines... salade defenouil auxgirolles.*

Molly odgrodziła się jadłospisem od Fabrice'a, z niepokojem przewracając strony pełne obcych słów. W życiu nie widziała tak długiej listy dań, tak wspaniale przedstawionej, a jednocześnie tak skomplikowanej. *Menu gastronomique, Menu traditionnel, Menu du jour*. I ani jednej ceny! Czy naprawdę są na tym świecie ludzie tak bogaci, że nie interesuje ich koszt posiłku?

Zarówno sama restauracja, jak i jej wykwintna klientela spragniona rozkoszy stołu robiły wrażenie zadowolonych z siebie i pewnych własnej wartości. Ogromny lokal o zielonkawoniebieskich ścianach zdobionych freskami i suficie wspartym na smukłych kolumnach rozkwitających na szczycie złotymi liśćmi przypominał stację dylżansów.

Mocne, jasne światło budziło tysiące błysków w lustrach, kubelkach na wino, srebrnych pokrywach, spod których wydobywały się smakowite wonie, a także w spinkach od mankietów, sprzączkach i klamrach, w naszyjnikach i kolczykach oraz sukniach z połyskliwego jedwabiu lub przetykanych złotą albo srebrną nitką, opływających ciała gości z bezwstydną swobodą. Kelnerzy - wszyscy nieskazitelni, w czarnych marynarkach i z białymi muchami - patrolowali stoliki rozmieszczone w dyskretnych altanach, szybcy, sprawni i bezosobowi jak roboty na kółkach.

Molly nigdy dotąd nie była w równie eleganckiej restauracji.

- Nie proponują tutaj nic specjalnego - rzucił Fabrice - ale *ambiance*\* jest dość przyjemne.

\* **Otoczenie, atmosfera.**

*Robyn Sisman*

- Och, Fabrice, tu jest cudownie! - Opuściła menu i uśmiechnęła się do niego promiennie, zaniepokojona, czy nie wziął jej milczenia za przejaw krytyki.

Wyglądał jeszcze piękniej niż dotąd. Miał na sobie łososiową jedwabną koszulę, w smukłych palcach swobodnie trzymał papierosa. Do włożenia koszuli zmusił go ojciec, który był staromodny, a w takich sprawach przejawiał idiotyczny upór. Oświadczył, że Fabrice nie może towarzyszyć Molly w poplamionej farbą koszulce polo.

- Co za tyran! - oburzyła się Molly. Oczy jej zapłonęły gniewem. - Wszystko mi jedno, w co jesteś ubrany!

Szczególnie jeśli już tego na sobie nie masz, dodała w myślach. Przyjęła, że po kolacji wylądują u Fabrice'a. Może mieszkać w najgorszej norze, a ona i tak tego nie zauważy, taka będzie szczęśliwa. Niepokoiliła się tylko, czy Fabrice nie ma jej za złe, że nadal jest ubrana w tę samą czerwoną sukienkę. Przed wyjazdem pakowała się na konferencję, toteż nie miała zbyt wielkiego wyboru strojów wieczorowych. Zdołała ożywić sukienkę naszyjnikami i włożyła pantofle na obcasie, ale teraz, gdy popatrzyła na oszałamiające kreacje innych kobiet, efekt nie wydawał jej się już tak korzystny, jak sądziła, oglądając się w hotelu.

Kelner wyrósł jak spod ziemi. Molly znów ukryła się za menu, najchętniej stałaby się niewidzialna. Nie miała bladego pojęcia, co zamówić. Wbiła wzrok w ziemię. Tuż obok stołu czarne lśniąca noski butów zrobiły gustowne ćwierć obrotu i zamarły w oczekiwaniu.

Fabrice nawet nie podniósł oczu i odprawił tamtego nieznacznym gestem dłoni z papierosem.

Molly podziękowała mu szybkim uśmiechem.

- Trzeba ich trzymać krótko - rzucił od niechcienia. - W końcu, żyją z naszych pieniędzy, *non?* Klient płaci i wymaga.

- Oczywiście - przytaknęła, będąc pod wrażeniem jego niepowszedniego obycia. Francuzi są w takich sprawach niedoścignieni. Nic dziwnego, że Anglicy musieli właśnie od nich przejąć określenie: *savoir faire*. Tymczasem jednak zainteresowała ją kwestia, kto tak naprawdę będzie płacił za tę kolację. Nie mogła znieść myśli, że Fabrice miałby wydawać ostatnie zaskórniaki na coś tak prozaicznego jak jedzenie, tylko dlatego, iż ojciec go do tego zmusił. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę wydatki poniesione w ten weekend, musiała liczyć się z faktem, że na jej koncie pozostało niewiele, wobec czego należało wątpić, czy zdoła zapłacić za siebie, nie mówiąc

już o rachunku za dwoje. A na samą myśl, że któryś z tych wyniosłych kelnerów mógłby publicznie oznajmić, iż jej karta nie ma pokrycia, Molly dostawała gęsiej skórki.

Fabrice zgasił papierosa i pochylił się nad stołem, by uzgodnić menu. Jego zdaniem mogliby na przystawkę wziąć talerz owoców morza dla dwojga. Co ona na to? Molly zgodziła się z ochotą. Co prawda nie przepadała za owocami morza, ale za to jedno danie na dwoje wypadnie taniej. Fabrice najwyraźniej także myślał o pieniądzach, czego zaraz dowiódł po raz kolejny, zamawiając jako główne danie nóżki na zimno. Na widok przerażonej miny Molly parsknął śmiechem. Potem opowiedział jej szczegółowo przynajmniej o tuzinie wyjątkowo złożonych, wyrafinowanych dań, między innymi o móżdżku, węgorku i kwaszonej kapuście. W końcu przyznała, że najchętniej zjadłaby stek i *frites*. Tylko jaki ten stek? *Contrefilet, faux filet, pave, tournedos, bavette*? I jak ma być przyrządzony? Czy wolałaby z *sauce bearnaise*, czy może raczej *sauce au poivre*? Jak można przywiązywać tak ogromną wagę do tak nieistotnych szczegółów? Molly wydawało się to zwariowane, choć zarazem cudowne. W końcu spytała otwarcie, które z tych dań jest najtańsze. - Tym się nie przejmuj. Wycisnąłem ze staruszka trochę gotówki.

- Naprawdę?! Jak?

Ale Fabrice tylko uśmiechnął się tajemniczo i strzelił palcami na przechodzącego kelnera.

Złożyli zamówienie, wybrali wino, butelka spoczęła w kubelku z lodem, zebrano niepotrzebne sztuce, rozłożono właściwe - i wreszcie mogli spokojnie porozmawiać. Ponieważ wcześniej jakoś się nie zgadało na ten temat, Molly dopiero teraz opowiedziała, jak rzuciła pracę i wskoczyła w pociąg do Paryża. Podkoloryzowała swoją historię, ale tylko odrobinę, a i tak reakcja Fabrice'a przeszła jej najśmielsze oczekiwania.

- Fantastycznie! - zachwycił się, ujmując jej dłoń w obie ręce.

- Tak właśnie powinno się żyć! Impulsywnie, żywiołowo. Trzeba iść za głosem serca, słuchać odruchów, a nie poddawać się merkantylnym nakazom szarej rzeczywistości.

Molly potakiwała mu z uśmiechem, zasłuchana w pompatycznie brzmiące zwroty w języku, w którym nawet najbłahsze stwierdzenia brzmiały niczym skomplikowana filozofia.

- Jesteś bohaterką! - zachwycił się Fabrice.

- Bezrobotną bohaterką.



*Robyn Sisman*

- To nie ma najmniejszego znaczenia. Jesteś wolna. Jutro możesz wsiąść w następny pociąg - do Rzymu albo do Petersburga.

- Jutro muszę wrócić do domu i zacząć szukać pracy. - Westchnęła ciężko. Czy poprosi ją, żeby z nim została w Paryżu?

- Szukać pracy... - Zmarszczył brwi. - A po co?

Akurat w tym momencie pojawiło się na stole prawdziwe dzieło sztuki. Na trzypiętrowej tacy, jak na tort weselny, z najniższym talerzem o średnicy prawie pół metra, przepięknie ułożono na lodzie raki, ślimaki, podzielone na części kraby, ostrygi oraz mniejsze skorupiaki, a wszystko przybrane listkami pietruszki i plasterkami cytryny. Po chwili kelner wrócił z nakrochmalonymi serwetkami, sosjerką pełną stopionego masła i miseczkami z ciepłą wodą, w której pływały krawki cytryny. Tak, oczywiście, do opłukiwania palców, a nie do picia. Tyle przynajmniej wiedziała.

Szybkimi, imponująco oszczędnymi gestami rozłożył na obrusie stalowe narzędzia o niezwyklej zakończonych. Zupełnie jakby odgrywał pantomimę przed wymagającą publicznością. Napełnił kieliszki i zniknął.

Fabrice wziął raka i urwał mu odwłok. - Praca to zniewolenie - oświadczył. - Ogranicza horyzonty umysłu. Jest dla ludzi bez wyobraźni, dla takich, którzy nie potrafią wykorzystać szerokiej możliwości stwarzanych przez życie. Ilu znasz geniuszy, którzy pracowali od ósmej do szesnastej? Molly miała w tym momencie dziurę w pamięci, bo właśnie patrzyła, jak jej ukochany przesuwając kciukiem wzdłuż rącznego brzucha, otwiera czerwoną skorupę i wyluskuje z niej kremowe mięso. Drugi rak zdawał się zerkać na nią wyzywająco wylupiastymi czarnymi oczkami, jakby chciał sprawdzić, czy i ona odważy się na podobny krok. Wybrała ślimaka. - Rzeczywiście, praca nie zawsze jest interesująca - przyznała. - Moja była wręcz nudna. Ale każdemu jej potrzeba.

- Do czego?

- Żeby zarabiać na życie. Mieć co jeść.

- E, tam, jedzenie! - Wzruszył ramionami i umoczył raka w maśle.

- I nie każda praca jest nudna. Niekiedy bywa naprawdę fascynująca. Daje ludziom poczucie własnej wartości.

- Własnej wartości? - zdumiał się Fabrice, sięgając po ślimaczka.

- Chyba chodzi ci o wartość kont bankowych chciwych biznesmenów. Albo rozdęte ego prezydentów.

Zanieczyszczenie planety i plądrowanie zasobów naturalnych. Ach, wyśmienite. Spróbuj. - Rzucił

ślimaka na jej talerz. - Dlatego sztuka jest wartością nadrzędną. Przez sztukę rozumiem naturalnie literaturę, muzykę, teatr i tak dalej. Sztuka ceni jedynie wartość idei, myśli, która wzbogaca duszę i nie może być mierzona pieniędzmi. Jest cudownie egoistyczna.

Molly wpatrywała się w niego z uwielbieniem. Jak on umiał mówić! Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że egoizm może być zjawiskiem pozytywnym. W porównaniu z tym Francuzem była prymitywna i nierozgarnięta. Pracowicie wkręciła haczykowany przyrząd w ślimaka i zaczęła z niego wyciągać szarą, galaretowatą masę. Nie wydawała jej się szczególnie apetyczna, ale to tylko dowodziło, jaka jest nieobyta. „Ogranicza horyzonty umysłu”. Uniosła ślimaka do ust. Wtedy coś jej przyszło do głowy.

- Ale przecież artyści też muszą zarabiać na życie?

- *Ah, non.* Artyści nie zarabiają, oni obdarowują. Nie rozumiesz tego? To znacznie wspanialsze, czystsze.

Artysty nie można kupić, on sam się oddaje.

Nawet nie paskudztwo, po prostu guma. Na wpół przeżuty ślimak rósł jej w ustach. Przy pierwszej okazji dyskretnie wypluła go w serwetkę.

- Nie wolno pracować dla pieniędzy. Wyłącznie dla chwały samej pracy, dlatego że stanowi ona twoją wizję. W przeciwnym razie praca upadła, a ty zostajesz niewolnicą typu w stylu tego Pig\*.

- Figg - uśmiechnęła się Molly.

- Jego nazwisko nie ma najmniejszego znaczenia. Ten człowiek jest nikim, zerem, pustym garniturem z kieszeniami wypchanymi stertą bezwartościowych dyplomów.

Cudownie było słuchać takiej bezpośredniej krytyki Malcolma. Boże! A biedna Alicia? Jak sobie z nim radzi?

Molly ucieszyła się także, iż ani słowem nie zdradziła się przed Fabrice'em ze swoim dyplomem uniwersyteckim.

Teraz sama dostrzegła, jak marne to było dokonanie wobec potęgi sztuki, choć ciężko pracowała, żeby osiągnąć cel.

Czy to źle? - Weźmy na przykład malowanie... - Fabrice skosztował jakiegoś okrągłego mięczaka.

Molly walczyła z krabem. Zaczynała już czuć niejakie znużenie tematem sztuki. Czy naprawdę żadna praca nie uszlachetnia? Wycisnęła sok z cytryny na kawałek białego mięsa, nabiwszy je przedtem na widelec jak Fabrice.

On wszystko robił z takim wdzię-

\* (ang.) Świnia.

kiem! Za każdym razem, gdy na niego spoglądała, na czarne firanki rzęs, zmysłowe usta, białe zęby, nawet kropelkę masła na brodzie - zaczynały jej mięknąć kolana. I nawet poglądy mieli takie same! Tyle tylko że po francusku brzmiało to bardziej stanowczo. Oczywiście, najlepiej byłoby pracować w szlachetnym celu, jak na przykład dla sztuki, a nie po to tylko, by dostać wypłatę. No i w końcu sama sprzeciwiła się harówie w PLB i rzuciła tę posadę, gdy została nazwana głupią sekretarką. Ale może Fabrice nie zdawał sobie sprawy, iż są na świecie ludzie nie tak mądrzy i utalentowani jak on? Co powinien robić ktoś, kto nie potrafi wyznaczyć sobie tak godnego celu i musi po prostu jakoś żyć, dopóki tego celu nie znajdzie?

- Widzisz, Molly - ciągnął Fabrice - w życiu należy stosować własny kodeks wartości. - Otarł masło z brody. -

Pieniądze nie są ważne, jeśli żyjesz w zgodzie z sobą, wtedy pojawią się same.

- Czy ja wiem... Z jednej strony, trudno się z tobą sprzeczać. Z drugiej, to, co mówisz, wydaje się zbyt łatwe.

- Ależ przeciwnie. Takie życie jest znacznie trudniejsze. Rola niewolnika sztuki wymaga bolesnego poświęcenia i pracy znacznie cięższej niż zajęcia... choćby służącej, która szoruje podłogi.

Słowa Fabrice'a przywiodły Molly na pamięć znajomy obraz matki pochylonej nad wschodzącymi nasionami. Szła przez szklarnię, przyglądając się wątlą zielonym kielkom, które stanowiły jej źródło utrzymania. Podlewała je, nawoziła, chroniła, troszczyła się o nie i bez końca liczyła, oceniała potencjalną wartość każdej roślinki pokrytej rozkosznym kwieciem. Molly poczuła się zmieszana, choć nie do końca umiałaby określić dlaczego.

- Cóż... ja nie jestem artystką. Jestem... - zawahała się. Kim właściwie była? Siedząc między dwoma lustrami, dostrzegła siebie, nieważną czerwoną plamkę, powtarzaną w nieskończoność w coraz mniejszym planie. Nadal czuła w ustach błotnisty posmak ślimaka. Jeśli zje jeszcze jedno morskie stworzenie, na pewno się pochoruje. Odłożyła zmiętą serwetkę i wstała. - Wybacz mi na chwilę. Muszę iść do... - machnęła ręką w nieokreślonym kierunku.

Okazało się, że trzeba przejść przez prawie całą restaurację. Po drodze gnębiło ją jaskrawe światło, prześladowały urywki rozmów, brzęk tac i zamęt we własnych skołowanych myślach. Gdy znalazła się w kabinie, nareszcie sama, oparła łokcie na udach, podparła twarz dłońmi i zamknęła oczy. Fabrice, och, Fabrice... Gdybyśmy tak przestali rozmawiać i poszli do domu, do łóżka? Była już zmę-

czona. Od przyjazdu do Paryża prawie nie spała. Nic dziwnego, że ciężko jej się myślało.

Myjąc ręce, zerknęła przypadkiem na zegarek. Prawie dziesiąta! Czyli Alicia już niemal od dwóch godzin jest w towarzystwie Malcolma! Albo już dawno go sobie odpuściła. Trzeba do niej wysłać SMS, upewnić się, czy wszystko w porządku. Wyjęła telefon, włączyła. O, jakaś wiadomość. Oby tylko się nie okazało, że przegapiła wołanie o pomoc.

Wiadomość jednak wcale nie pochodziła od Alicii.

„Molly, musimy się spotkać, porozmawiać w ważnej i pilnej sprawie. Przyjacieli”.

Co to miało znaczyć? Kto to napisał? Przewinęła wiadomość do końca, ale numer telefonu nadawcy nic jej nie mówił. Hm... „Przyjacieli”? Przyjrzała się wiadomości podejrzliwie. Prawdziwy przyjaciel podpisałby się imieniem. I w dodatku wiadomość była dziwnie sztywna, nikt normalny nie pisze takich SMS-ów! Może to jakiś Francuz? A może nie Francuz, ale ktoś, komu zależało na ukryciu swojej tożsamości? Obrzydliwość. To na pewno Malcolm. Próbuje ją zmusić do odpowiedzi, żeby potem móc ją dręczyć jakimiś koszmarowymi pytaniami na temat płyty albo materiałów konferencyjnych. Malcolm jest zerem, niczym. Chciał ją zabrać do Paryża tylko po to, żeby ją przelecieć, a w tej chwili pewnie obmacywał biedną Alicię. Faceci!

Z zaciętą miną wykasowała SMS. Na ikonce list wpadł do kosza na śmieci. Tam było jego miejsce. Spieszenie wstukała wiadomość dla Alicii. „Jest OK? SOS w każdej chwili”. Zastanowiła się moment i dodała: „Ekstraknajpa z F. Potem chyba u niego wiesz co. Molly”. Gdy informacja w wirtualnej kopertce odleciała w cyberprzestrzeń, wrzuciła telefon do torebki. Kończył się prąd w baterii, ale lepiej zostawić komórkę włączoną jeszcze z godzinę lub dwie, na wypadek gdyby Alicia potrzebowała pomocy.

Spojrzała w lustro i poprawiła włosy. Poczowała się nieco lepiej. Mózg na nowo podjął pracę. T.S. Eliot zajmował kiedyś stanowisko redaktora kwartalnika. George Orwell zmywał naczynia! Proszę bardzo. A kolacja była rzeczywiście wspaniała. Molly już tęskniła za Fabrice'em. Postara się skłonić go do zmiany tematu, niech zapomni o sztuce, a skoncentruje się na niej, swojej towarzyszce. W drodze do toalety widziała przynajmniej trzy namiętne całujące się pary. Nie były to jakieś tam buziaczki przez stolik, ale gorące pocałunki z zamkniętymi oczami, wsparte takimi pieścizotami, że

*Robyn Sisman*

wydawało się, iż kochankowie za chwilę albo się na siebie rzuca, albo spłoną z pożądania.

Wróciwszy do stolika, nie zastała już na nim patery z przystawkami. Na jej miejscu pojawił się okrągły, różowobrazowy stek, umieszczony na samym środku białego talerza. Molly przyjrzała się strumyczkom krwi zmieszany z przybraniem z borówek i zdała sobie sprawę, że nie jest już głodna.

- Taki jak trzeba? - spytał Fabrice troskliwie. - Na moje oko trochę za bardzo wysmażony. Każę kelnerowi przynieść drugi.

- Nie, nie, nie trzeba. Jest w sam raz. - Podniosła nóż i widelec, aby odkroić plasterk, słuchając szczegółowej opowieści o tym, jak Fabrice musiał kiedyś trzy razy odsyłać do kuchni swoją *canard a la mode de Caen*\*, zanim ją odpowiednio przyrządzono. Trzy razy! Wprost niesłychane. W końcu Molly zdołała skierować rozmowę na właściwy temat. - Fabrice, ty jesteś taki mądry. Poradź mi, co powinnam zrobić?

- *Hein!*

- W sprawie pracy. No, jakiegoś zajęcia. To znaczy... w zasadzie, pieniędzy. - Roześmiała się, nieco zakłopotana. - Wiem, to bardzo prozaiczne, ale muszę zapłacić czynsz. Nie mogę żyć na koszt mamy.

- Och, pieniądze zawsze się znajdują. - Zapalił papierosa. - Jak?

Spojrzał na nią porozumiewawczo.

- Normalnie.

- To znaczy jak?

- Molly, nie żartuj sobie ze mnie. Przecież wiesz, o co mi chodzi. Zawsze można coś sprzedać, parę miesięcy pomieszkać u przyjaciela albo - wskazał głową stek - naciągnąć czyjegoś papę na kolację, skubnąć to czy tamto, kiedy nikt nie widzi... Nic szczególnego, każdy tak robi.

- Ja nie.

Niestety, w tym samym momencie usługna pamięć podsunęła jej wspomnienie, jak pewnego dnia znalazła banknot dwudziestofuntowy wetknięty między poduszki sofy. Postanowiła go sobie zatrzymać. Miała wtedy jakieś czternaście lat, była zbuntowana, arogancka i zajęta wyłącznie sobą. Bardzo chciała mieć firmowe dzinsy, a mama nie chciała jej takich kupić. Wszyscy dookoła je nosili.

\* **Kaczka w stylu Caen (miasto w pin. Francji).**

Wszyscy oprócz niej. Życie by za nie oddała. Postanowiła je sobie kupić, a gdyby mama spytała, skąd wzięła pieniądze, powiedzieć, że zaoszczędziła z drobnych sum za wyprowadzanie psów i opiekę nad dziećmi, chociaż w rzeczywistości dawno zdążyła wszystko wydać. I już widziała siebie w nowych dżinsach, jak wolnym krokiem przechadza się po przystanku autobusowym, gdzie zbierały się z dziewczynami po szkole.

- Nie widziałas gdzieś banknotu dwudziestofuntowego, kochanie? - spytała mama kilka dni później.

Molly podniosła głowę znad książki. Odgrywając znudzoną nastolatkę, wydała jakiś nieokreślony pomruk i pokręciła głowę. Matka przyjęła tę odpowiedź za dobrą monetę i na powrót zajęła się papierkową robotą. A Molly triumfowała w duszy. Łatwizna! A zresztą to tylko dwadzieścia funtów! Dorosły nawet nie zauważył takiej sumy. Tymczasem matka wciąż szukała tych pieniędzy. Przetraszała salonik, kuchnię, altankę, szperała w rzeczach odłożonych do prania, we wszystkich kieszeniach.

- Co ja z nimi zrobiłam? - jęczała. A potem dodawała ciszej, lecz bardziej dramatycznie: - Co ja teraz zrobię? Normalnie matka chroniła Molly przed jakąkolwiek myślą o kłopotach finansowych, tym razem jednak zmartwienie okazało się za wielkie, by je ukryć. Pieniądze przeznaczyła na zaliczkę za elektryczność, która musiała zostać opłacona z góry. W przeciwnym razie dostawca odcinał dopływ prądu. Jednocześnie akurat zbliżał się termin zapłacenia comiesięcznej raty pożyczki, a na dodatek jeden ze stałych klientów spóźnił się z zapłatą. W ten sposób płynność finansowa mamy odeszła w przeszłość.

Molly pomagała w poszukiwaniach, nękana poczuciem winy i przybita, ze świadomością, że banknot leży między kartkami zamykanego na kłódkę pamiętnika. Matka z napiętą twarzą narzekała na swoją bezmyślność i przepraszała Molly, że nie kupiła jej po szkole deseru. A córka próbowała wyrzucić z pamięci swój haniebny czyn. Bezskutecznie. Skóra ją piekła ze wstydu, w piersiach coś paliło, jakby się napiła trucizny. Już nie chciała mieć dżinsów. Pragnęła znowu widzieć na twarzy mamy uśmiech i także móc w odpowiedzi zaśmiać się radośnie. W końcu „znalazła” banknot i ze spuszczonego wzrokiem opowiedziała naciaganą historyjkę o tym, jak to odkryła go w jakimś najmniej prawdopodobnym miejscu. Kryzys minął. Przez kilka dni Molly starała się mniej burczeć,

Robyn Sisman

a więcej pomagać mamie. W końcu zapomniała o całej sprawie. W szkole zapanowała nowa moda, tym razem na buty z podkutymi obcasami.

- Raz w życiu coś ukradłam - przyznała się teraz głośno. - Czułam się okropnie.

- Zostałaś przyłapana?

- Nie.

Dziwne, ale Fabrice się uśmiechał. Czule, pieszczotliwie... Rozpromienił się cały.

- Ech, *la petite sainte*\* Molly o angielskiej buźce niewiniątka. - Pogładził ją po policzku. - Mądra z ciebie dziewczyna. Spodobałaś się mojemu ojcu.

- Niemożliwe. Uważasz, że jestem mądra? Dlaczego tak sądzisz? Ale on nie odpowiedział, tylko na nią spojrział, psotnie, konspiracyjnie, jakby dzielili cudowny sekret.

- O co ci chodzi? - spytała, ciekawa nowego żartu. Zaciągnął się papierosem i wypuścił dym kącikiem ust.

- Jeszcze ich nie znalazłaś?

- Czego?

- Tego drobiazgu z mieszkania mojego ojca.

- Jakiego drobiazgu?

- Włożyłem ci je do torebki. Znam pewnego człowieka, który dobrze za nie zapłaci. Wszystko gra! Ojciec nie może mnie o nic oskarżyć, bo widział na własne oczy, że nic nie wyniosłem.

- Do torebki? - Już miała ją w ręku i przeszukiwała, nic nie rozumiejąc.

- W tej małej kieszonce. Nie dostanę tyle, ile są naprawdę warte, jasna sprawa, ale i tak na jakiś czas wystarczy.

Molly szarpnęła suwak wewnętrznej kieszonki i wsunęła rękę do środka. O Boże!

- Nożyczki do knotów... - Niesamowite, co? A on pewnie długi czas w ogóle nie zauważył, że zniknęły.

Zasunęła kieszonkę. Szybko, żeby nikt nie zauważył. Restauracja zawirowała, tylko twarz Fabrice'a z szerokim, porozumiewawczym uśmiechem współnika tkwiła w miejscu.

Molly odstawiła torebkę na podłogę. Głęboko zaczerpnęła powietrza, a kiedy się uspokoiła, spojrzała mu prosto w oczy.

\* **Świętoszka.**

*Weekend w Paryżu*

168

- Nie - oznajmiła.

- Co: nie? - Spojrzenie Fabrice'a zlodowaciało.

- Nie pozwolę ci na to. Oczywiście trudno cię winić. To na pewno pomyłka. Oddamy te nożyczki. Teraz, od razu. Jeszcze mi podziękujesz, zobaczysz.

Fabrice gniewnie odepchnął talerz.

- Co ty wygadujesz? Jakże: oddamy?! Nie rozumiesz? Wszystko poszło gładko!

- Jak dotąd, rzeczywiście - przyznała Molly. Zaczęła drżeć. - Ale potem będziesz żałował. Znienawidzisz siebie. Nie będziesz mógł malować. Nie zniesiesz tego.

- Pewnie! Nie będę mógł malować! Jak nie zdobędę szmalu na farby i płótna, to dopiero nie będę mógł malować! O co ci chodzi? Chcesz coś urwać dla siebie?

- Fabrice!

Przez łzy zobaczyła wystrojonego na czarno kelnera.

- Państwo skończyli? - zapytał. - Podać deser? Sery?

- Rachunek - rzucił Fabrice. Molly zacisnęła dłonie.

- Wiem, że jesteś zły, i bardzo mi z tego powodu przykro, ale tak czy inaczej mam rację. Przekonasz się. Jakoś mu to wytłumaczymy. Pomyłka... nieporozumienie... jeszcze nie wiem, ale cię nie opuszczę. Będę cię wspierała. - Niepewnie wyciągnęła rękę, chcąc pogłodzić go po ramieniu.

- Co z tobą, dziewczyno! - Gwałtownie strząsnął jej dłoń. - To miała być miła kolacja! Wszystko zepsułaś!

- Nieprawda, była cudowna.

- Przecież ja tylko wzięłam od niego jakiś cholerny drobiazg! Żadne wielkie halo! To nawet nie do końca jego własność! - Tak, wiem, należały do twojej mamy.

Fabrice zatrzasnął okładkę z rachunkiem i długimi krokami ruszył do wyjścia. Molly ledwo za nim nadązała.

Uśmiechała się dzielnie do mijanych kelnerów, którzy żegnali wychodzących grzecznymi ukłonami.

-*Mercil* - zawołała wesoło. - Tak, wszystko było doskonałe. *Bonsoir, bonsoir*\*

Przed restauracją Fabrice stanął przy skuterze, paląc ze złością papierosa.

\* **Dobranoc.**



*Robyn Sisman*

- Ojca nie będzie w domu. W końcu jest sobota wieczór. - Chodź, sprawdzimy. Proszę cię.

W czasie jazdy, obejmując go czule, usiłowała okazać mu swoje uczucie i wsparcie, ale ciągle miała wrażenie, że przytuliła się do lodówki.

Z okien apartamentu pana Lebruna sączyły się spod zasłon jasne smugi. W milczeniu zsiadli ze skutera. Fabrice wstukał kod. Zamek odskoczył.

- No to idź. - Wskazał jej kierunek drwiącym ruchem głowy. Wtedy Molly zdała sobie sprawę, że nie zdjął kasku.

- Ty nie idziesz? -Nie.

- Fabrice, je *fen prie*, błagam cię! Nie mogę iść sama.

- Jak sobie chcesz. - Wcisnął ręce w kieszenie i odwrócił się do rzeki. - Śmiało! Idź! Wydaj mnie. Narób mi koło pióra. - Nic podobnego! Przecież nie chcesz być złodziejem!

- Myślałem, że mnie lubisz.

- Lubię cię, chyba już o tym wiesz.

- No to jedź ze mną. - Zatopił w jej oczach gorące spojrzenie, uwodzicielskie, kuszące. Przyciągnął ją do siebie. - Chodź do łóżka - szepnął.

Zakołysała się razem z nim, czując jego oddech na szyi. W zasadzie... to tylko jakieś tam nożyczki... głupie stare nożyczki do przycinania knotów, nikomu niepotrzebne. Mogła teraz wsiąść na skuter i spędzić z Fabrice'em całą noc, obudzić się w blasku słońca opromieniona miłością. A nożyczki oddać jutro.

Gorące usta muskały jej ucho.

- Molly... moja słodka *cocotte*. Chodź ze mną.

Chciała, och, jak bardzo chciała go posłuchać. Gorąco pragnęła się poddać. Tyle tylko, że skradziony drobiazg w torebce ciążył jak ołów. - Zaczekasz na mnie?

- Nie. Musisz wybrać, co jest dla ciebie ważniejsze: moje uczucia czy śliczne czyściutkie sumienie?

Wahanie Molly zdradziło obojgu, że już wybrała. Fabrice puścił ją i odwrócił się plecami.

- Zaczekaj! Kiedy się spotkamy? Na pewno będziesz chciał wiedzieć, jak mi poszło. Nie możesz tak... ja nie mogę...

- Molly zwiesiła głowę, w oczach miała łzy. - Fabrice, ja cię kocham.

Zapadła cisza, przerywana tylko jej rozpaczliwymi szlochaniem.

*Weekend w Paryżu*

177

I nagle poczuła na włosach jego dłoń.

- Ej, mała, aleś ty głupia. - Westchnął ciężko. - W niedziele zwykle jestem w Cafe Balzac. Między pierwszą a drugą. To niedaleko kościoła St. Sulpice. Jak chcesz, możesz przyjść. *Si tu veux*\*

- *Je veux*. - Próbowała się uśmiechnąć.

Silnik z warkotem obudził się do życia. Molly długo stała przy wielkiej bramie, czekając, by Fabrice zawrócił.

Czerwone oko cyklopa zbladło, zamigotało, a gdy skuter skręcił za róg, zniknęło. Odjechał.

\* **Jeśli chcesz.**

### *Rozdział osiemnasty*

Totalny odlot. Poezja na nogach do samego sufitu. Wysoka, sprężysta, wysportowana, z cudownie okrągłą pupcią. Ubrana w mikroskopijną sukienkę w lamparci wzór, spiętą na ramieniu wielką złotą agrafką. Z uśmiechem, którym dałoby się oświetlić przyzwoitej wielkości stadion. Kiedy szli do zarezerwowanego stolika tuż przy scenie, za Alicią odwracały się wszystkie głowy. Malcolm nie potrafił zetrzeć z twarzy głupawego uśmiechu. Jeśli wszystkie Australijki są do niej podobne, czas emigrować. Tylko ten tatuaż...

Co to jest? - zapytał, korzystając z okazji, by w półmroku przysunąć się bliżej i musnąć jej ramię. Trochę mu ten rysunek przypominał szarżującego buldoga. - Twój pies stróż? Mam nadzieję, że mnie nie ugryzie! Wrrr! - Kłapnął zębami w powietrzu. Och, był w szczytowej formie!

Alicia zawyła ze śmiechu.

- Nie, to symbol mojej drużyny. Znasz australijski futbol? Futbol! Kochała sport!

- Taki jak normalny?

- O niebo lepszy! Jest prawdziwa akcja, a faceci grają w świetnych szortach. Podejrzewam, że nieźle byś w takich wyglądał.

- Jasna sprawa! - Malcolm wyszczerzył zęby po ósemki. Leciała na niego, bez dwóch zdań.

- A ty co, chowasz jakieś tatuaże pod tym nobliwym garnitur-kiem?

Pewnie, że nie. Mama by go zabiła. A poza tym, tatuaż nie współgrał z wizerunkiem człowieka o jego pozycji.

Malcolm rozparł się wygodniej, obrzucając dziewczynę spojrzeniem Jacka Nicholsona.

## *Weekend w Paryżu*

172

- Wiesz, jak jest, złotko, po imprezie możesz sama sprawdzić.

- Ho, ho! - Alicia znacząco uniosła brwi.

Malcolm postanowił spoić ją szampanem. Nie wierzył własnemu szczęściu. Warta była niebotycznej ceny, jaką zapłacił za ten wieczór w kabarecie. A jeszcze czekał go widok nagich tancerek! Przez chwilę oddał się lekkomyślnym rozważaniom, czyby nie zamówić „*Diner spectacle*”\*, ale ceny startowały od osiemdziesięciu funtów. Nigdy tyle nie wyda na kobietę. Zresztą, miała okazję nawpychać się darmowych orzeszków w hotelowym barze, dokąd ją zabrał na drinka. Plan miał chytry: mógł ten wydatek wpisać w koszty reprezentacyjne.

Kiedy weszła do hotelu, dosłownie go zatkało. Kręcił się przy jakiejś palmie, dyskretnie wyglądając zza liści, umówiony na odpowiedni znak z facetem z recepcji. Gdyby dziewczyna okazała się paskudna, zdążyłby wziąć nogi za pas. Niemożliwe.

Taka była pierwsza myśl. To na pewno nie ona. Nie była paskudna. Była... Jaka właściwie była? Była lamparcicą, stwierdził po namyśle. Fantastyczną, naładowaną seksem lamparcicą. Dziką bestią, czekającą na ujarznienie. Do boju, Figg! Co prawda spodziewał się, że będzie miała dłuższe włosy, a recepcjonista opisujący dziewczynę, która przyniosła dysk, nie wspomniał też o pomarańczowym pasemku na grzywce. I w dodatku chyba jej nie poznał, dopóki nie spytała o Malcolma.

Wyskoczył zza palmy i szybko ją przejął, żeby nie zdążyła zniknąć po raz drugi. Nadal nie wierzył własnym oczom.

- Czy to ty przyniosłaś dysk po południu? - zapytał, gdy tylko usadowili się w barze.

- Możliwe - uśmiechnęła się zalotnie.

- Dlaczego uciekłaś? Chyba nie jestem aż taki straszny? - Puścił do niej oko.

- Co takiego? - Zamrugła rzęsami.

Pewnie była niezbyt lotna. Świetnie, takie lubił.

- Zniknęłaś akurat wtedy, kiedy podchodziłem do lady - przypomniał jej. - Dlaczego dałaś płytę temu doktorce, a nie mnie?

- Ach... - Poruszyła głową, kolczyki zamigotały. - Miewam napady nieśmiałości. Może trudno ci w to uwierzyć po naszej rozmowie telefonicznej, ale... - Podniosła na niego hipnotyzujące spojrzenie.

\* **Kolacja w czasie przedstawienia.**

*Robyn Sisman*

nie wielkich, błękitnych oczu, okolonych czarnymi jak smoła rzęsami. - Widzisz, ty na pewno nie zdajesz sobie sprawy, jakie to przeżycie dla mnie, zwykłej Australijki, umówić się z takim ważnym facetem z Londynu. - Założyła nogę na nogę.

Malcolmowi zrobiło się gorąco, uszy mu poczerwieniały, już-już miał podnieść rękę, by rozluźnić krawat, ale w porę sobie przypomniał, że go nie ma. Oczywiście! Powinien sobie uświadomić, jak wielkim wyzwaniem dla prostej dziewczyny z kolonii był Paryż w towarzystwie wykwintnego londyńczyka. Zamierzał spytać, skąd dysk wziął się u Alicii i czy Molly jest w Paryżu, a jeśli tak, to jak to się stało, ale nie wiedzieć jakim sposobem zboczył z tematu i zaczął jej opowiadać o swoich licznych obowiązkach i ogromnej odpowiedzialności spoczywającej na nim jako na wyjątkowo ważnym pracowniku PLB. Dziewczyna wydawała się zafascynowana. Nawet wysunęła kilka interesujących sugestii dotyczących jego najnowszego kłopotu, jakim był urządzany co roku Dzień Pracownika. Malcolm miał na tę okazję przygotować parę akcji, które by skutecznie przełamały wszelkie ewentualne lody i połączyły ludzi z PLB w zespół z prawdziwego zdarzenia. Okazało się, że Alicja poprzedniego lata pracowała w Grecji jako animator życia towarzyskiego i знаła kilka świetnych zabaw. Na przykład taką: dzieliło się wszystkich uczestników na dwie drużyny i ustawiało w rozkroku w dwóch rzędach, jednego za drugim. Ostatni w rzędzie miał przepelznąć pod wszystkimi stojącymi, dobiec do prowadzącego grę - w najbliższej przyszłości Malcolma - który dawał mu lampkę alkoholu. Wtedy musiał dziesięć razy obieć kij od szczotki, jedną ręką trzymając kieliszek na czole, drugą przyciskając kij do ziemi. Wypijał, biegiem wracał do swojej drużyny i stawał jako pierwszy. Wtedy osoba ostatnia w rzędzie przystępowała do akcji. Zwyciężała szybsza drużyna.

- Ale do końca nigdy nie doszliśmy - zachichotała Alicja. -Większości zawodników tak się kręciło w głowie, że nie bardzo potrafili znaleźć własną drużynę. Wszystko przez ten piasek! Sypał się przy każdym energiczniejszym ruchu! A zawodnicy zataczali się po plaży. Super było!

- W Basingstoke trudno o piasek - zamyślił się Malcolm. Dzień Pracownika miał się odbyć w hotelu przy autostradzie M3. - Ale chyba da się to zorganizować w sali bankietowej?

- Jasne!

To lubił: optymizm, niewyczerpana energia, aktywne podejście i niezłomne przekonanie o sukcesie. Oto jego lwica... lamparcica,

## *Weekend w Paryżu*

181

która potrafi przyciągnąć do jaskini świeżutkie bawole mięso, rzucić od czasu do czasu dobry dowcip, a jeszcze wieczorkiem mieć tyle energii, żeby radośnie pobaraszkować przed snem. Wystarczy spojrzeć na ten jej kuszący uśmiezek. Całe szczęście, że w końcu kupił gumki.

Najpierw jednak przedstawienie. Trochę się zdziwił, że wbrew nazwie Crazy Horse Saloon z prawdziwym saloonem nie miał nic wspólnego. Był to nobliwy budynek w jednej z najbardziej reprezentacyjnych dzielnic Paryża, niedaleko tunelu, w którym zginęła księżna Diana, jak się dowiedział od Alicii. Z zewnątrz robił wrażenie ekskluzywnego klubu, wejście było dyskretne, stał przed nim portier w liberii. Pełnia szyku, gustu i elegancji. Żadnego gołego cycka na zewnątrz, ani jednej wypiętej dupencji. W pierwszej chwili Malcolm zwątpił, czy trafili do właściwego lokalu, ale czy mogły być dwa kabarety o takiej samej nazwie? W przeblysku makabrycznej wizji ujrzał siebie siedzącego pośród jakichś potwornie nudnych jajogłowych, podczas gdy dziewczęta obnażały się zupełnie gdzieś indziej. Ale nie, wszystko było w porządku. Czekały na niego zarezerwowane bilety. Nawet kupił błyszczący program - za dziesięć euro! - więc przy wewnętrznych drzwiach nie odmówił sobie drobnej przyjemności i serdecznie klepnął Alicię w tyłek.

Wnętrze przypominało nieduży teatr, tyle że zamiast siedzeń przed sceną stłoczono maleńkie stoliki. Za nimi rozpościerał się półokrągły bar. W miękkim świetle oczy przyciągał czerwony aksamit, a temperatura, bardziej odpowiednia w szklarni, tworzyła miłą atmosferę sprzyjającą uwodzeniu. Zupełnie jakby się siedziało w przytulnej jaskini. Strumień światła rysował w półmroku napis „Crazy Horse Paris” na kurtynie, która od czasu do czasu poruszała się tajemniczo, trącana od drugiej strony. Malcolm wyobraził sobie, co się tam dzieje, i musiał ścisnąć kolana. Niewiele to pomogło.

Trzymając program drżącą dłonią, przeczytał odpowiedni fragment, z którego dowiedział się, że obejrzy występ zatytułowany „Drażnienie”. „Dwanaście krótkich scen, klasycznych i współczesnych, ułożonych w inscenizację doskonale eksponującą dwadzieścia tancerek o posagowych kształtach, tworzących najślawniejszy na świecie zespół rewiowy”.

W tej właśnie chwili rozległy się, nie wiadomo skąd, pierwsze nuty melodii, którą Malcolm rozpoznał jako „Waltzing Matilda”. Alicia, wcale niespieszona, wyjęła z torebki telefon komórkowy. Malcolm pośpiesznie wyciągnął z kieszeni swój i wyłączył aparat.

*Robyn Sisman*

W półmroku przyjrzał się towarzyszce, która z uśmiechem czytała tekst wiadomości.

- Ktoś ważny? - spytał.

- W porównaniu z tobą kompletne zero. - Obrzuciła go powłóczystym spojrzeniem.

Pierwsza klasa!

Przygasły światła. Po sali przeszedł szmer. Malcolm siedział jak na szpilkach. W powietrzu rozległ się warkot werbli, a kiedy osiągnął punkt kulminacyjny, kurtyna rozsunęła się na boki. A Malcolmowi opadła szczęka. W rytm żwawego wojskowego marsza na scenę wkroczyły dziewczęta ubrane w wysokie buty, kapelusze, długie skórzane rękawiczki - i właściwie nic więcej, bo to miejsce - wiadomo które - przesłonięte było czymś maleńkim i przejrzystym jak skrzydło motyla. A te ciała! Nieziemsko długie nogi, nagie piersi, gładka skóra błyszcząca w świetle reflektorów! Malcolm ze wszystkich sił starał się nie gapić na tancerki jak ostatni wieśniak, więc wziął do ręki program. Ten numer został zaliczony do baletów i zatytułowany „Boże, chroń nagą skórę”. No! Nieźle! Zerknął na Alicję, ciekaw, co ona na to. A jej się najwyraźniej bardzo podobało! Bezwstydnica! Przed oczami wykwitł mu rozpustny obraz Australijki brykającej po jego hotelowym pokoju w stroju nieco bogatszym niż Ewy, bo z tatuażem. Potarł czoło i skupił się na przedstawieniu.

Dziewczęta maszerowały w różnych układach. Salutowały, stawały na baczność i na spocznij, robiły w lewo zwrot, tak że wszystkie różowe sutki celowały w jedną stronę jak noski wężące pod wiatr. Potem w prawo zwrot i wreszcie w tył zwrot, dzięki czemu widownia zyskała przepiękny widok na rządęk słodziutkich pupek przywodzących na myśl krągłe dojrzałe śliweczki.

- Świetna choreografia, prawda? - odezwała się Alicia w czasie oklasków na koniec numeru.

- Ja tam nie patrzę na choreografię! - zachichotał Malcolm, uszczęśliwiony, że zdobył się na taką dowcipną ripostę.

- Malcolm, ty świntuchu! - Odrzuciła głowę do tyłu, roześmiała się głośno, a potem nachyliła do niego i wyszeptwała:

- Pewnie masz kosmate myśli, co?

No, to dopiero będzie zabawa! Posłał jej uśmiech samca zaprawionego w bojach i znów nalał szampana do kieliszków.

### *Rozdział dziewiętnasty*

Fabrice mnie naprawdę lubi, myślała Molly, jadąc windą. Zraniła jego dumę i trudno mu to znieść. Mężczyźni mają bardzo wrażliwe ego. Nie mogą nic na to poradzić, po prostu tacy już są. Jak tylko im się wejdzie na ambicję, złością się i gniewają. A kiedy się gniewają, stają się okrutni. Ot, choćby sierżant Troy z książki „Z dała od zgiełku”, który porzucił swoją ukochaną tylko dlatego, że spóźniła się na ślub! A potem serce mu krwawiło aż do śmierci... Och, oczywiście Molly nie chciała, żeby Fabrice miał złamane serce, ale jutro na pewno będzie mniej wzburzony i zobaczy całą sprawę we właściwszym świetle. I ona mu w końcu wybaczy, oczywiście. Już widziała siebie w Cafe Balzac, spowitą w czerń, zamyśloną i smutną. Potem on ją pociesza, przeprosza, obiecuje poprawę i wszystko dobrze się kończy. Zdążą się pogodzić przed odjazdem pociągu. Jak to było w wierszu? Jakoś tak... „I ty, śliczna i chętna w to popołudnie...”.

Winda się zatrzymała. W pustym, idealnie cichym korytarzu automatycznie rozbłysły światła. Molly stanęła przed drewnianymi drzwiami. Musiała zebrać odwagę. Czowała się bardzo samotna. Co miała powiedzieć? Jak wytłumaczyć niezręczną sytuację, nie zdradzając Fabrice'a? Pan Lebrun to despota i tyran. A jej francuski jest taki ubogi! Trudno. Jak trzeba, to trzeba. Wcisnęła guzik dzwonka.

Usłyszała szybkie kroki, szcęk zamka i drzwi się otworzyły. Monsieur Lebrun był wyraźnie zniecierpliwiony, ale na jej widok na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, a następnie ciekawość. Miał na sobie ciemne spodnie i koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Wyglądał w tym stroju znacznie mniej perfekcyjnie niż po



*Robyn Sisman*

południu, przez co wydawał się bardziej ludzki. W dłoni trzymał ołówek.

- Ach, mademoiselle Molly. Proszę mi wybaczyć, nie przypominam sobie pani nazwiska.

- To bez znaczenia. Chciałabym... czy mogę wejść?

- Oczywiście. - Zerknął na korytarz, jakby sprawdzał, czy jest sama, po czym zrobił krok do tyłu, przepuścił ją i zamknął drzwi. - Tędy proszę.

- Przykro mi, że pana niepokoję tak późno, ale zobaczyłam z dołu światło. Mam nadzieję, że za bardzo nie przeszkodziłam - mamrotała, podążając za gospodarzem. Za jakimiś otwartymi drzwiami dostrzegła pokój urządzony w zupełnie innym stylu niż salon i sypialnia. Mebli było w nim niewiele, przeważały jasne drewno i chrom. Biurko ginęło pod papierami, wystroju dopełniały szafki na akta oraz deska kreślarska.

- Pracowałem - odezwał się gospodarz - ale z nieszczególnym efektem, przyznaję z przykrością. Dzięki pani zyskałem pretekst, aby się napić koniaku. Lubi pani koniak?

- Nie wiem. Ale...

- Wobec tego należy spróbować.

- Nie! To znaczy... chciałam powiedzieć: bardzo dziękuję, ale nie mogę tu zostać. - Molly stanęła na progu salonu. Ze zdenerwowania robiło jej się niedobrze. - Proszę pana...

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Chodzi o Fabrice'a? Stało się coś złego?

- Nie, nie, wszystko jest w jak najlepszym porządku. I dziękuję, że dał mu pan pieniądze na kolację. Była wyborna. Ale... - Jedzenie było smaczne? Naprawdę? To bardzo się cieszę. Człowiek niczego nie może być pewien, jeśli restaurację przejmuje duża firma. Zdarza się, że w ogóle nie przywiązują wagi do jakości sera! Któregoś razu podano mi *reblochon*, który stanowił prawdziwą zniewagę dla tego gatunku. Można by pomyśleć, że został nabyty w *supermarche*\* - Skrzywił się z pogardą.

- Nie jedliśmy sera - odparła Molly, rozpaczliwie ściskając torebkę. - Proszę pana - ośmieliła się, zanim ojciec Fabrice'a zdążył rozwinąć temat gastronomiczny. - Muszę się panu do czegoś przyznać. Do czegoś bardzo złego. Dzisiaj po południu, kiedy tutaj byłam... coś panu ukradłam.

\* **Supermarkecie.**

*Weekend w Paryżu*

178

Dłuższą chwilę patrzył na nią niebotycznie zdumiony. Aż nagle twarz mu się rozpromieniła.

- Ach, ma pani na myśli szampana! Mówiłem już, proszę go uznać za upominek. Nie trzeba do tego wracać.

- Nie chodzi mi o szampana, tylko o to. - Wyjęła z torebki srebrne nożyczki. Ujrzawszy spojrzenie gospodarza, poczuła się jak kry-minalistka. - Widzi pan, jestem bardzo biedna - tłumaczyła nieporadnie - i straciłam pracę. A tutaj zobaczyłam tyle różnych pięknych rzeczy... sama nie wiem, co mnie napadło. Postąpiłam bardzo źle.

- Ale mi je pani oddaje - stwierdził Lebrun z kamienną twarzą.

- Tak. Zrobiło mi się wstyd. No bo ta kolacja i tak dalej. I jest pan ojcem Fabrice'a. Dlatego to przyniosłam... - Cudem udało jej się zrobić krok i podać mu nożyczki. - Jest mi bardzo, bardzo przykro.

Przez chwilę obracał je w dłoni, wreszcie wskazał nimi kanapę.

- Zechce pani usiąść.

Powiedział to tak stanowczym tonem, że Molly odruchowo posłuchała. A on poszedł w róg salonu, gdzie stał telefon.

Czy zamierzał wezwać policję?

- Proszę pana... - zaczęła błagalnym tonem.

Odłożył nożyczki i otworzył barek. Zabrzęczało szkło. Uroczyście nalał po odrobinie brązowego płynu do dwóch pękatych kieliszków. Jeden podał Molly.

- Proszę się do mnie zwracać po imieniu. Niech mi pani mówi Armand. Kiedy słyszę „proszę pana”, czuję się okropnie staro. Oczywiście swoje lata już mam i niejedno widziałem, dlatego między innymi wiem, że nic mi pani nie ukradła, droga Molly. Nie pani mnie okradła, tylko mój syn.

- Nie, skądże! - Gwałtowne słowa wpadły w nieubłaganą ciszę. Monsieur Armand przysunął do kanapy fotel, usiadł, oparł łokcie na udach. Spojrzał Molly prosto w oczy.

- To Fabrice wziął nożyczki, prawda? Spuściła powieki.

- On... bo właściwie... należały do jego matki. Chciał mieć po niej jakąś pamiątkę.

- *Ah non!* - Tak gwałtownie wyrzucił ręce do góry, że aż podskoczyła. - Molly, niechże mnie pani nie okłamuje!

Molly wykręcała pasek torebki z taką energią, jakby próbowała go podrzeć na strzępy.

Robyn Sisman

- Zamierzał je sprzedać - wyszeptwała. - Oczywiście nie powinien. Dlatego ja... dlatego my... Uzgodniliśmy, że je panu oddam.

- Zaraz usłyszę, że za bardzo się wstydzi, by mi je oddać osobiście.

- No właśnie! Jestem tego pewna.

- Czeka na dole? - Armand kiwnął głową w stronę ciemności za oknem.

Molly pokręciła głową.

- Był okropnie zły. - Broda zaczęła jej drgać, do oczu napłynęły łzy.

- *Oh, la la*! Proszę wypić koniak. To jeszcze nie koniec świata, zapewniam panią.

- On nie chciał tego wziąć - chlipnęła. - Nie pomyślał, co robi. Może gdyby mu pan dawał więcej pieniędzy, gdyby pan był dla niego lepszy... - Słowa zamarły jej na ustach. Niepewnym ruchem uniosła kieliszek. Szkło zadzwoniło jej o zęby, woń trunku uderzyła w nos. Wlała w siebie solidny łyk. Okropność! W jej gardle zapłonął żywy ogień, w piersiach parzyło, wargi szczypały. Armand przytrzymał swój kieliszek w dłoni i lekko nim zakręcił. Myślami był daleko. - Brakuje mi już cierpliwości do Fabrice'a - oświadczył ponuro. - Musi pani wiedzieć, że wypłacam mu bardzo przyzwoitą pensję. Przypuszczam, że dostaje nawet więcej, niż powinien. Długie latałożyłem na jego naukę, na najlepszych nauczycieli, wyprawy do włoskich muzeów. Zmarnował to wszystko. Powiedziała pani, że przeze mnie przerwał studia. To nieprawda. Fabrice został usunięty z *ecole*, ponieważ odmówił przystąpienia do egzaminów. Oświadczył, że wykładowcy na niczym się nie znają, są głupi i ślepi, a do tego to faszyści... Nie zamierzał poddawać się ich bezwartościowej ocenie. - Westchnął. - Obawiam się, że mógł się zachowywać arogancko. No i niekiedy zdarza mu się mijać z prawdą... w różnych sprawach. Powinna pani o tym wiedzieć. Molly patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Bardzo chciała zaprotestować. Gorąco pragnęła nie wierzyć Armandowi, ale ból malujący się na jego twarzy świadczył o prawdziwości słów.

- Nie pierwszy raz mnie okrada - ciągnął. - Wyznaję to z przykrością. Nie da się zaprzeczyć, jest fatalnie rozpuszczony. Matka go rozpieszczała, jak to matka. A po jej śmierci Fabrice był taki nieszczęśliwy, że robiłem wszystko, co w ludzkiej mocy, by dał sobie radę z tą tragedią. Trudno mi było czegokolwiek mu odmówić. Powiedziała pani, że go zaniedbywałem...

- Zachowałam się niegrzecznie. Bardzo mi przykro. Myślałam... Zdawało mi się...
- Mówiła pani szczerze, a to godne podziwu. Zmusiła mnie pani do zastanowienia. Jestem bardzo zajęty, stale pracuję. Może dawałem synowi za dużo pieniędzy, a za mało mu poświęcałem czasu? Najbardziej w tym wszystkim irytujące jest to, że chłopak rzeczywiście ma talent. Nie jest geniuszem, oczywiście, żaden z niego Corot ani Matisse, ale jego prace mają swój styl, wartość, są pełne pasji...
- Armandowi zabrakło słów, dokończył więc wypowiedź szerokim gestem rąk. - Nie wolno marnować talentu!
- Wydaje mi się, że Fabrice chce stworzyć coś naprawdę dobrego
- powiedziała wolno Molly. - Zaprosił mnie dzisiaj do muzeum Rodina nie po to, żeby się popisać. Był rzeczywiście zafascynowany tym, co można zrobić, jeśli ma się wizję dzieła. To znaczy, trochę się rzeczywiście popisował - dodała, widząc niedowierzające spojrzenie Armanda i jego krzywy uśmieszek - ale mnie to wcale nie przeszkadzało. Za głową gospodarza widziała lustro, w którym razem z Fabri-ce'em oglądali się nago. Aż coś ją ścisnęło w sercu z tęsknoty za tamtą chwilą. Owszem, Fabrice jest trochę rozpieszczony i może odrobinę samolubny... i co z tego? Jest taki piękny! Nie tylko jego uroda ją ujęła. Miał też poczucie humoru, umiał się bawić. Molly przypomniała sobie, jak na łodzi wziął ją za rękę, jak żartował z jej chęci poznania „zabytków historii oraz kultury”, jak pękała ze śmiechu nad wyrysowanym przez niego komiksem.
- Może Fabrice nie umie pracować - powiedziała cicho. - Wiem, że to dziwnie brzmi, ale czasami człowiek tak bardzo czegoś pragnie... Wie, kim chce być, co chce zrobić, ale nie wie, jak to osiągnąć.
- Zdała sobie sprawę, że te słowa równie dobrze pasowały do niej samej. - Ludzie czasem tak się boją porażki, że wolą nic nie robić albo robić coś całkiem bez sensu, w czym nie mają szans zabłysnąć, niż to, o czym tak naprawdę marzą. No i jeszcze Fabrice widzi obok siebie pana, człowieka sukcesu, i pewnie się zastanawia, czy kiedykolwiek uda mu się tak wiele osiągnąć. - Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. - Właściwie to rzeczywiście dziwne, że przyprowadził mnie do pana mieszkania. Nie rozumiem, dlaczego nie poszliśmy do niego? Był zdenerwowany. Wydawał się zły na pana, trochę jakby miał zamiar za wszelką cenę coś udowodnić.
- Może tutaj przychodzić, kiedy zechce. - Armand zamknął tę kwestię eleganckim ruchem dłoni, nie odpowiadając wprost na wątpliwości dziewczyny. - Po to ma klucze.

*Robyn Sisman*

- Tak, ale... mnie chodziło o coś innego... - Molly spiekła raka po same uszy. - Proszę pana... Armand... chciałam powiedzieć, że ja zwykle nie... Ja nie jestem taka...

- Proszę nic nie mówić! - przerwał jej zdecydowanie. - To absolutnie nie moja rzecz. We Francji podchodzimy do tych spraw z pełnym zrozumieniem. Nie tak jak wy, Anglicy, którzy najchętniej każdą przelotną znajomość z *petit amie*\* ogłaszaliby w gazetach. *Enfin, l'amour c'est l'amour*\*\* - Jego ruchy i oburzone prychnięcia przypominały Alleluję, otrząsającą się z wody.

- Po prostu Fabrice był dla mnie taki miły, opiekował się mną i zabawiał mnie i... i w ogóle - uśmiechnęła się w rozmarzeniu.

Armand wstał po koniak. Molly ze zdziwieniem dostrzegła, że jej kieliszek jest pusty, i podsunęła go gospodarzowi. Choć mimowolnie krzywiła się za każdym razem, gdy przelykała mocny alkohol, to w jej żyłach stopniowo rozlewało się miłe ciepło. Uśmiechnęła się do Armanda nieśmiało. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nie było się czego tak okropnie bać. Teraz czuła się przy ojcu Fabrice'a nieomal swobodnie. Miał doskonałe maniery, pięknie mówił.

- *Merci beaucoup*\*\*\* - rzuciła lekko.

- Jest pani uroczą młodą damą - oznajmił Armand. - I jak na Angielkę całkiem przyzwoicie mówi pani po francusku. Proszę mi opowiedzieć, jak pani poznała Fabrice'a?

Przedstawiła Lebrunowi nieco okrojoną wersję spotkania na łodzi oraz późniejszych wypadków. Następnie, odpowiadając na pytania, sama nie wiedząc kiedy, wyjaśniła mu, skąd się w ogóle wzięła w Paryżu. W ten sposób doszła do firmy Phipps Lauzer Bergman, swoich problemów z Malcolmem i obecnego statusu bezrobotnej.

- Całe szczęście, że rzuciła pani tę pracę. Przecież to absurdalne zajęcie dla takiej osoby! - W tym szczerym oburzeniu podobny był do Fabrice'a. - Trudno pojąć, dlaczego w ogóle przystała pani na taką propozycję. Dla mnie to niepojęte! - Wydał wargi z niesmakiem, jakby właśnie spróbował sera kupionego w supermarkecie. - Proszę mi powiedzieć, do czego ma pani zdolności?

Popijając koniak, opowiedziała mu o uniwersytecie, o entuzjzmie i ambicjach, o radości, jaką jej dawało czytanie książek. Próbo-

\* Przyjaciółką, kochanką. \*\* Na miłość nie ma rady. \*\*\* Dziękuję bardzo.

wała mu wyjaśnić zmęczenie domem, tęsknotę za dużym miastem, pragnienie zrobienia czegoś niepowszedniego, bycia niezależną. Armand czuł się zobowiązany przeprosić, że nigdy nie słyszał o Minster Episcopi. Choć naturalnie bywał w Wielkiej Brytanii stosunkowo często, odwiedzał głównie duże miasta: Londyn, Birmingham, Edynburg - który wymawiał ej-dan-bur. Wydawało mu się dziwne, że w kraju tylu interesujących, a nawet genialnych architektów spotykało się tak wiele brzydkich budowli. Interesujący paradoks, nad którym z pewnością warto się zastanowić. On sam, osobiście, nie potrafiłby mieszkać na wsi, niezależnie od kraju. A czy mogłaby mu opowiedzieć, czym zajmują się jej rodzice?

- Mój ojciec nie żyje. Umarł, kiedy byłam dzieckiem. A mamę chyba można by nazwać ogrodniczką. W każdym razie hoduje rośliny ozdobne na sprzedaż, opiekuje się ogrodem warzywnym sąsiadów, którzy mają ogromną farmę, a od kilku lat pracuje jako architekt krajobrazu. Ostatnio dostaje sporo zleceń. A w zeszłym roku zdobyła nawet jakąś prestiżową nagrodę. Ale długo trwało, zanim zaczęła w tej dziedzinie odnosić sukcesy. Najgorsze, że u nas wszyscy chcą mieć równo przycięte żywopłoty, fiołki, karłowate drzewka i wymuskane trawniki. - Znajomość francuskiego szybko okazała się niewystarczająca, więc Molly przeszła na język gestów oraz wyrażenia opisowe, przypominające definicje ze słownika botanicznego: krzewy z gałęziami przyciętymi w taki sposób, że tworzą ścianę liści. Armand najwyraźniej wszystko rozumiał. - Niestety, mama upiera się przy różnych uduziwnieniach, lubi ogromne przestrzenie ozdobione tymi samymi roślinami.

- Teraz to bardzo modne.

- Naprawdę? Moja mama nie goni za modą, o nie. - Molly ziewnęła. Pora wracać do hotelu, inaczej zaśnie na siedząco. Z drugiej strony, tak wygodnie jej było na miękkiej kanapie, że nie mogła się zmusić nawet do energiczniejszego ruchu.

- Pani matka wydaje się wspaniałą kobietą. Chyba jest bardzo młoda, skoro ma tyle energii.

- Nie, nie. Ma czterdzieści dwa lata.

Powieki opadały jej coraz niżej. Armand wyjaśniał zależności pomiędzy budynkami a ich otoczeniem, które stały się ostatnio ważniejsze niż kiedykolwiek ze względu na wynalezienie nowych materiałów. Pojawił się na przykład nowy rodzaj szkła, absolutnie rewolucyjne odkrycie, budulec tak mocny, że można by z niego stawiać całe biurowce, na dodatek zdolne generować i przetwarzać

*Robyn Sisman*

własne ciepło. Nietrudno sobie wyobrazić oszczędność w zużyciu energii oraz obniżenie poziomu zanieczyszczenia środowiska. Niestety, takie szkło nie jest nietłukące.

- Za dużo mówię - zreflektował się w końcu. - Pani jest zmęczona, droga Molly.

- Troszeczkę. - Ziewnęła ponownie. - Przepraszam. Czas na mnie. - Ale zamiast wstać, tylko niezbyt przytomnie zamrugła.

Armand zerwał się na równe nogi.

- Zaparzę kawę, zaraz się pani lepiej poczuje.

- Nie trzeba, naprawdę.

- Nalegam. Proszę poczekać, to nie potrwa długo. Co prawda kawa nie będzie świeżo palona, ale kupiłem ją w sklepie, który cieszy się doskonałą renomą. *Patronne*\* zna się na rzeczy. - Z tymi słowami zniknął, ale jego głos nadal skądś dobiegał: - ...naprawdę doskonały smak ...aromat jednocześnie wyjątkowy i cudownie kojący ...zdaje się wschodnia Afryka...

Molly oparła głowę na miękkiej poduszce i nieprzytomnie uśmiechnęła się do sufitu.

Kocham Paryż, pomyślała. Kocham Francuzów. Kocham Fa-brice'a.

Oczy jej się zamknęły; w wyobraźni ujrzała, jak zapewnia pięknego Fabrice'a, iż nie spotkają go żadne nieprzyjemności z powodu srebrnych nożyczek do przycinania knotów. Będzie uszczęśliwiony. Teraz, gdy zaczęła go rozumieć, wszystko wydawało się łatwiejsze. Jutro wstanie kolejny cudowny dzień. A może już teraz jest jutro? Głowa opadła jej na ramię, oddech stał się głębszy, wolniejszy. Palce się rozluźniły. Nie czuła, że Armand zsunął jej pantofle, ułożył ją wygodniej i przykrył kocem. Zasnęła.

\* **Właścicielka.**

## *Rozdział dwudziesty*

- *Ale* się wstawiłam! - zachichotała rozkołysana Alicia, wsparta na ramieniu Malcolma.

Stali w hotelowym korytarzu.

- Dobra karuzela nie jest zła! - uznał Malcolm sentencjonalnie, próbując wyciągnąć z kieszeni marynarki kartę elektroniczną, a następnie trafić nią w szczelinę elektronicznego zamka. Udało się. Przez irytująco długi czas nadal świeciła czerwona dioda, wreszcie rozbłysła zielona. Przekręcił gałkę i pchnął drzwi na oścież. - A...trrrre, madame! Szerokim gestem zaprosił gościa do środka, potykając się przy tym nieznacznie. Chyba też był lekko wstawiony. Alicia przepłynęła obok, obrzucając go wyzywającym spojrzeniem. O, tak! Już była jego! Jego łup, jego zdobycz, jego niewolnica. Jeszcze tylko powiesił na klamce tabliczkę z napisem „nie przeszkadzać”.

- Natura wzywa - oznajmiła Alicia, zbijając go z tropu. Szybko się jednak zorientował, w czym rzecz, skoro w specyficzny sposób przestępowała z nogi na nogę.

- Tam. - Z pobłażliwym uśmiechem machnął ręką we właściwą stronę. Mieli mnóstwo czasu.

Dziewczyna, chwiejąc się, dotarła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Malcolm zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła, z minibaru wyciągnął butelkę szkockiej i nalał sobie przyzwoitą porcję. Opadł na dwuosobową kanapę pod oknem. Zrzucił z nóg wsuwane pantofle. Czekala go długa noc, pełna pikantnych atrakcji. I najprawdopodobniej na jednej się nie skończy. Myślami wrócił do rozmowy w taksówce. Wszystko wskazywało na to, że Alicia wy-



bierała się do Anglii. Jeśli tylko znajdzie tam pracę. Pracodawca musiałby załatwić jej przedłużenie wizy. W przeciwnym razie będzie musiała wrócić do Australii. Hm... W głowie Malcolma zaczynał kiełkować świetny pomysł. Otwierały się przed nim zupełnie nowe perspektywy.

Rozległ się szum spuszczonej wody i już w następnej chwili Alicia stanęła w drzwiach łazienki. Uśmiechnęła się promiennie.

- Przedstawienie było wspaniałe - powiedziała. - U nas nie ma czegoś takiego. Jestem ci bardzo wdzięczna za zaproszenie.

- Jak bardzo wdzięczna? - Uśmiechnął się lubieżnie i poklepał poduszkę obok siebie. - Chodź, siadaj.

- Nie mogę. Jestem taka nakręcona! Taka... upojona tymi cudnymi dziewczynami... A ty? - Spomiędzy pudeł z reklamówkami Phipps Lauzer Bergman wyciągnęła parasolkę. Otworzyła ją i zatańczyła, odgrywając całkiem niezłą parodię numeru obejrzanego w Crazy Horse. - Śpiewam dziś w deszczu!... - zanuciła. - Hej, Malcolm, gdzie twój kapelusz?

Skoczył na równe nogi, wcisnął na głowę baseballową czapkę, kupioną po przedstawieniu.

- Nie w tę stronę! - zaśmiała się Alicia i przekreśliła czapkę daszkiem do tyłu. - Rany, wyglądasz jak Lleyton Hewitt. Najsek-sowniejszy Australijczyk.

Malcolm, udając, że trzyma rakietę, zamarkował serw.

- Super! - zawyła Alicia. - Piętnaście do zera.

Zdobył się na jeszcze jeden wzorcowy serw, ale tym razem przesadził i wpadł na dziewczynę. Zachwiała się, upuściła parasolkę, ale utrzymała się na nogach. No, bomba! Lubił takie silne kobitki. Niezgrabnie chwycił ją za ramię i z trudem złapał pion. Jakoś mu się wzrok mącił.

- Ciekawe, co by się stało, gdybym odpiął tę agrafkę... - zastanowił się głośno.

- Sprawdź!

Jakiś czas niezdarnie walczył z bezsensownym zapięciem, a gdy wreszcie wygrał ten nierówny bój, sukienka zsunęła się na podłogę. Alicia została w czarnym staniku i stringach od kompletu.

- Rany, Alicia, ty jesteś... - Słowa uwięzły mu w gardle, bo dziewczyna zaczęła mu rozpinać koszulę. - O, kurczę, no niech mnie, ja cię, aaale! - Płynnym gestem obnażyła mu tors, a koszulą potrząsnęła jak matador muletą. Malcolm zmienił się w byka,

*Weekend w Paryżu*

186

przyciskając do skroni palce wskazujące, i przystąpił do szarży. W ostatnim momencie Alicia usunęła się zgrabnie, a on padł na łóżko.

- *Olei* - rzuciła koszulę, przewróciła go na plecy i błyskawicznie rozpięła mu pasek. Chwyciła za nogawki spodni i zaczęła je ściągać.

Rany, ta dziewczyna się nie obcyndala!

- O, ale masz ciasne bokserki - zauważyła. Przyjrzała się im z nieskrywanym zachwytem. - Czy to jest Czerwony Krzyż? Ratunku! Pomocy! Potrzebna pierwsza pomoc! - Rzuciła się w szaloną rundę po pokoju, wymachując rękami. Malcolm, nie posiadając się ze szczęścia, zeskoczył z łóżka i pobiegł za nią, tylko w bokserkach i skarpetkach. - Imię moje Wacuś Maximus! - wrzeszczał, tnąc niewidzialnym mieczem. - Syn Grubusa Fallusa! Wierny sługa Cesarza Zboreźnika! - dorzucił głosem zaczerpniętym z „Gladiatora”. -1 będę rypał całą noc! - Nadepnął na parasolkę.

- Nieźle! Piękna podróba. Russell Crowe jest Australijczykiem, wiesz?

Mile połączony komplementem postanowił powtórzyć sztuczkę.

- Imię moje Wacuś...

- Nie, nie, Malcolm, teraz co innego, dobrze?

- Tak jest!

- Dobra. - Zmierzyła go groźnym spojrzeniem i wskazała łóżko. - Kładź się!

- Tak jest, proszę pani. - Popędził na miejsce w radosnych podskokach. - Chodź, bierz mnie!

- Nie tak szybko. Jesteś niegrzecznym chłopcem. Muszę cię ukarać.

Malcolm wznosił oczy do sufitu. Nie wierzył własnemu szczęściu.

- Co my tu mamy... - Alicia szperała w torebce. W końcu wyciągnęła kajdanki i zakreśliła nimi na palcu wskazującym.

Malcolm był jednocześnie przerażony i zachwycony. Bez najmniejszego sprzeciwu pozwolił się przykuć do drewnianych prętów zagłówek. Leżał rozciągnięty jak długi i patrzył na dziewczynę lekko zdenerwowany, mocno podniecony. Nikt mu dotąd czegoś takiego nie zaproponował.

Alicia wpełzła na łóżko powoli i usiadła okrakiem na ważnym kierowniku. Drażniła go, rysując palcem jakieś wzorki na jego torsie. Zaczęła od szyi, potem niżej i niżej...

*Robyn Sisman*

I akurat w tej chwili zadzwonił telefon.

Malcolm podskoczył, jakby go ktoś potraktował prądem.

- Cholera jasna! Rozkuj mnie! Szybko!

Tymczasem dziewczyna, ku jego przerażeniu, spokojnie sięgnęła po słuchawkę.

- Halo...? Tak, jest. Mogę spytać, kto dzwoni? A, pani Figg! Dzień dobry pani.

Malcolm kopał wściekle, rzucał się z całej siły, ale Alicia bez trudu utrzymywała równowagę. Pewnie nabyła wprawę przy ujeżdżaniu koni. Nawet głos jej nie zdrzął.

- Oczywiście - powiedziała. - Już go proszę.

Schyliła się, a właściwie położyła na nim i przycisnęła mu słuchawkę do ucha.

- Cześć, mam - wychrypiał drżącym głosem.

- Co ty tam wyprawiasz, Malcolmie? - spytała jego matka podejrzliwie. - Co to za kobieta?

Widział ją oczyma wyobraźni. Siedziała przy kuchennym stole, pałac papierosa, stopy wsunęła w ciepłe bambosze. Na blacie przed nią leżała „Wielka księga krzyżówek”.

- Mam nadzieję, że nie robisz nic takiego, czego byś musiał się wstydzić przed mamusią - dorzuciła, wydmuchując dym. - Nie, nie! Absolutnie nie. To... to moja nowa sekretarka. - Na te słowa Alicia usiadła prosto i triumfalnie wyrzuciła w górę ramiona. Słuchawka odsunęła mu się od ucha. Malcolm zrobił błagalną minę, a wtedy dziewczyna znów przyłożyła mu ją do ucha. - Mamy... nooo... kupę roboty... - starał się mówić tonem odpowiednim dla spraw zawodowych. - Mówiłem ci, mam, jutro mam bardzo ważne wystąpienie.

- Och, kochanie, ty się przepracowujesz. Naprawdę, za dużo na siebie bierzesz. No a jak tam sobie radzisz w tym Paryżu? Nie masz kłopotów z wypróżnieniami? - Wszystko w porządku, mam - wymamrotał.

- W obcym kraju nigdy nie wiadomo, co człowiek dostanie na talerzu. Zapakowałam ci kanapeczki z marmoladą, znalazłeś? - Tak, mamusiu.

- Dbaj o siebie, kochanie. Niech ta cała sekretarka zamówi ci gorące kakao. Dobranoc, słoneczko. Buziaczki.

Malcolm wymamrotał coś pod nosem.

- Powiedziałam: buziaczki!

- Taaaak, tak... buziaczki - mruknął, ledwie otwierając usta.

*Weekend w Paryżu*

195

- Ale milusia! - wykrzyknęła Alicia z entuzjazmem, odkładając słuchawkę. - Na czym skończyliśmy?  
Malcolm bez słowa odwrócił głowę na bok. Skończył, owszem, jak najbardziej. Był wiotki jak żagiel w bezwietrzny dzień. Alicia znowu się na nim położyła i pogładziła go po włosach.

- Nic się nie martw. Będę fantastyczną sekretarką. - Ucałowała go słodko gdzieś pod uchem, potem w policzek, wreszcie w kącik ust. - No, kto tu mi się dąsa? - zapytała.

Powoli odwrócił do niej głowę. Na wargach poczuł jej usta. Może jednak będzie dobrze?  
Wtedy znowu zadzwonił telefon. Malcolm aż podskoczył.

- Nie dotykaj tej cholерnej słuchawki!

- Rany, ale z ciebie zajęty człowiek! Całe szczęście, że masz mnie - zauważyła Alicia. - Halo? Tak. Obawiam się, że teraz nie mogę mu przekazać słuchawki. - Puściła do niego oko. - W czym mogę pomóc? - Słuchała z wyraźnym skupieniem. - Kto? Ach, tak, rozumiem... Jak najbardziej.

Malcolm przeżywał katusze. Czy to przypadkiem nie Jeny?

- Za chwileczkę - oznajmiła i odłożyła słuchawkę.

- Kto to był? Dzwonili z recepcji? Teraz nie możesz odejść! Ale ona już zeszła z łóżka i wkładała sukienkę.

- Wybacz, Malcolmie, ale nie mogę zostać. Dokończymy tę zabawę innym razem.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem, wściekle szarpiąc kajdankami.

- Ty suko! Rozkuj mnie!

- Ejże, spokojnie, tygrysie. Nie lubię brzydkich wyrazów, pamiętasz? Zaufaj mi, niedługo zostaniesz uwolniony. - Obdarzyła go szerokim uśmiechem. - Stworzymy świetną parę. Doskonale będzie nam się razem pracowało. Zobaczysz. - Znalazła długopis i nagryzmoliła coś na kartce. - Zostawiam ci swój numer telefonu. Kładę tu, przy łóżku. Zadzwon do mnie, jak będziesz miał wolną... chwilę.

Malcolm zawył z wściekłości, brzęcząc kajdankami.

- A, jeszcze ten drobiazg. - Wyjęła z torebki srebrny kluczyk. - Gdzie by go zostawić? - Jej wzrok padł na bokserki z czerwonym krzyżem. - Aha! Tutaj. - Wsunęła kluczyk za gumkę, choć Malcolm wił się wściekle. - Nietrudno będzie go znaleźć. - Zapięła agrafkę na ramieniu i ruszyła do drzwi. - Ojej, byłabym zapomniała. Twoje kakao!

196

*Robyn Sisman*

- Odpuść sobie kakao! - wrzasnął. - Rozkuj mnie! Nie możesz mnie tak zostawić!

- Masz całkowitą rację. - Alicia podniosła słuchawkę. - Halo? Obsługa pokojów? Chciałabym gorące kakao. Tak, natychmiast. *Tout de suite*. Aha, proszę wziąć zapasowy klucz. Pan Figg nie może wstać z łóżka.

Posłała mu pocałunek i zniknęła.

### *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Prędzej! On czeka! Nie wolno się spóźnić!

Pędziła ulicami obcego miasta, walcząc z gęstym tłumem. Choć wkładała w to bardzo dużo wysiłku, przemieszczała się straszliwie wolno. Szara droga zmieniała się w skaliste ujście rzeki, więc musiała ją przepłynąć. Z trudem wdrapała się na drugi brzeg, zaczęła wykręcać wodę z włosów. Ile jej było! Całe litry! Lała się jak z kranu. Ojej. Jak ona mu się pokaże z mokrymi włosami?

Wyrósł przed nią budynek o imponującej fasadzie i kamiennych stopniach prowadzących do wejścia. Ale strome! Cóż to za nierozważny architekt zaprojektował takie schody? Wspinała się, zdzierając skórę z rąk i kolan. Wnętrze okazało się przepastną skorupą, zaśmieconą deskami i gruzem. Pod sufitem wysokie dźwigi krzyżowały długie ramiona. Rozchwierutane schody, którymi Molly ruszyła w górę, nie miały poręczy. Nieważne. Szybko! Musi zdążyć na czas. Na końcu długiego szarego korytarza widziała już drzwi, upragniony cel. Na progu czekał urzędnik, miał sprawdzić jej dokumenty. Gdzie one się podziały? Szukała ich w torebce, która okazała się wielka jak waliza i wypchana najdziwniejszymi przedmiotami. Podręcznik szkolny - skąd się tu wziął? Piszcząca zabawka Allelui - ach, wreszcie się znalazła.

- Jestem Molly - powiedziała zrozpaczona, czując w oczach łzy. - Nazywam się Molly Clearwater. On na mnie czeka.

Nagle znalazła się znowu na ulicy, szukając wzrokiem postaci, która oddalała się długimi krokami, prawie zagubiona w tłumie.

- Czekaj! - zawołała. - Już idę!

Ale kończyny miała niemożliwie ciężkie, jak z ołowiu. Widziała coraz gorzej. Powieki jej ciążyły. Przetarła je palcami i podniosła.

Ostrzegawczo zawyła syrena. To sygnał do odjazdu jego pociągu. Wyjeżdżał! Nie zdążyła. Za późno...

Obudziła się ze zduszonym okrzykiem. Ściągnęła z twarzy jakąś miękką tkaninę, która przytkała jej nos. Co to za hałas? Co to za pokój? Serce waliło jej jak młotem. Usiadła. Rozmazane kształty przybrały w bladym świetle poranka znajomą postać. To meble Armanda, spokojne i solidne. A to kanapa Armanda. Najwyraźniej na niej właśnie Molly zasnęła wczoraj w nocy. Hałas natomiast powodował jej własny telefon, ale akurat kiedy rozglądała się za torebką - ucichł. Odsunęła z twarzy wilgotne włosy, opadła na poduszki i głęboko odetchnęła z ulgą.

Odczekała, aż serce zwolni rytm. Więc to tylko sen. Wracał od czasu do czasu, co pół roku, co rok. I choć szczegóły się zmieniały, zawsze dręczyły ją niepokój, rozpacz, zawiedzione nadzieje i zawsze wszystko odbywało się w dziwnym szarawym półmroku, który jakby podkreślał beznadziejność jej wyprawy.

Odrzuciła koc i wstała. Czas się otrząsnąć z przykrego nastroju. Na bosaka przeszła przez pokój, otworzyła okno, potem okiennice, wychyliła się przez parapet. I od razu zrobiło jej się lżej na sercu, bo ujrzała cudowny widok: kolorowe drzewa, kopuły, urocze łuki mostów, łódki na rzece. Wstał nowy śliczny dzień obsypany złotem i błękitem. Powietrze było świeże, rześkie, kościelne dzwony głosiły radość. Ależ tak! Przecież to niedziela.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Molly? Już się pani obudziła?

- Tak, tak, proszę wejść! - zawołała.

Armand przyniósł fantastycznie pachnącą kawę. Na tacy stały dwie parujące filiżanki, miseczka z kostkami cukru oraz koszyczek croissantów. Gospodarz, w bladoszarym garniturze i granatowej koszuli, wyglądał tak elegancko, iż Molly odruchowo przyglądała sukienkę. Zawsze gdy zdarzyło jej się spać w ubraniu, miała potem nieprzyjemne wrażenie, że jest bardzo brudna. W ustach czuła niesmak.

- Dobrze pani spała? - zapytał Armand, stawiając tacę.

- Bardzo dobrze. Dziękuję za koc.

Gestem ręki uciął ten nieistotny temat, rozsiewając tak silną woń wody kolońskiej, że Molly omal się nie cofnęła.

- Jakie pani ma plany na dzisiaj? Chętnie panią podwożę. Molly odgryzła chrupiący koniuszek rogalika. Niebo w gębie.

Słodki, maślany, z przypieczoną skórką.

## Weekend w Paryżu

192

- Muszę się zastanowić... - zebrała myśli. - Ojej, mój telefon się odzywał, dostałam jakąś wiadomość. Przepraszam, tylko zerknę.

Znalazła torebkę, wyjęła z niej komórkę i kciukiem wcisnęła właściwy klawisz. „O 10.30 jestem po ciebie. Kupa nowości! Alicia”.

O rany! Nauka jazdy na rolkach! Kompletnie o tym zapomniała. Która to godzina?

Na szczęście dopiero piętnaście po dziewiątej. Z drugiej strony jednak trzeba jeszcze wrócić do hotelu, wziąć prysznic, zmienić ubranie...

- Muszę zaraz uciekać - powiedziała, śpiesznie odgryzając następny kęs. Popiła go pyszną kawą z mlekiem.

- Odwiozę panią.

- Nie, nie, dziękuję. Nie jadę daleko. Na pewno ma pan ważniejsze sprawy...

Armand jednak nalegał. Przekonywał, że jego samochód stoi blisko, tuż pod domem, że on bardzo lubi jeździć po Paryżu; „oczywiście jeśli akurat nie ma korków, bo zamknięto ulice dla ruchu kołowego, żeby mogli sobie pojeździć rowerzyści i ci *foutu*\* wrotkarze. Mer Paryża to po prostu idiota. Ostatnio ubzdurał sobie, że główną drogę szybkiego ruchu prowadzącą wzdłuż rzeki będzie co lato zamieniał w plażę! Prawdziwą plażę, z palmami i tonami piasku wysypanymi na chodnik. Chce postawić parasole i leżaki, dzieci mają budować zamki z piasku, ich rodzice pić drinki i tańczyć, a cała reszta miasta będzie stała w korkach. Niesłychane.

Molly potwierdziła jego opinię nieokreślonym pomrukiem, chociaż w rzeczywistości uważała pomysł burmistrza za rewelacyjny. Samochód Armanda okazał się niewielki, lecz luksusowy, z głębokimi skórzanymi siedzeniami i nieprawdopodobnie głośnym silnikiem, co uwielbiają chyba wszyscy mężczyźni. Lebrun prowadził jak wariat, nie zwracając najmniejszej uwagi na światła, pieszych ani znaki zakazu, prawej ręki właściwie nie zdejmował z klaksonu. Patrzenie na drogę groziło zawalem, więc Molly wyglądała przez boczną szybę. Na ulicach znajdowało się zdumiewająco dużo ludzi, większość odświętnie ubrana. W Anglii niedziela była dniem całkowitego luzu: chodziło się w dzinsach i zniszczonych koszulkach, myło samochody, zaglądało do pubu albo montowało na tylnym podwórzu jakieś diabelskie wynalazki z serii „zrób to sam”. Tutaj widziała kobiety w klasycznych czarnych sukienkach, idące parami,

\* **Koszmarni.**



trzymające się pod rękę, chłopców w białych skórzanych bucikach i czyściuteńkich spodniach, dziewczynki w wypieszczonych sukieneczkach o szerokich marszczonych spódniczkach. Wszyscy kroczyli radośnie, przystając przed wystawami *pdtisserie\**, gdzie pyszniły się doskonałe tarty, ciężkie od pokrojonych w plastry owoców, ułożonych w koncentryczne kręgi i zastygłych w galaretce. Tu i ówdzie stał tort, zwieńczony grubą warstwą czekolady gładkiej i twardej jak lód, ozdobiony pajęczyną lukru. Chyba wszystkie sklepiki były otwarte. Paryżanie krzątali się wokół swoich spraw. Tylko turyści włożyli się po mieście w sportowych butach i niedbałych ubraniach, dźwigając przeładowane torby.

Armand z piskiem opon skręcił z szerokiej ulicy w jakąś podrzędą, a następnie w tę, przy której stał hotel Molly. Pędził między bliźniaczymi rzędami zaparkowanych samochodów, jakby to były ściany ognia. Gdy wskazała mu właściwy budynek, zatrzymał się w miejscu, zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i zaparkował tuż pod znakiem zakazu postoj. Molly jeszcze szukała klamki, a on już wyskoczył z wozu i znalazł się przy drzwiczkach. Pomógł jej wysiąść i głuchy na protesty przeprowadził ją przez ulicę.

- Proszę się nie sprzeciwiać. Zawsze może się trafić jakiś wariat za kierownicą.

Hotelowy kot siedział na ladzie recepcji, wyniosły i nieruchomy. Dalej madame łuskała fasolę. Na widok Molly wstała.

- *Bonjour, mademoiselle* - odezwała się z wysokim zaśpiewem, dość powszechnym u Francuzek.

- *Bonjour, madame*. Poproszę o klucz. - Molly uwielbiała te formalności po francusku. Odwróciła się do Armanda z uśmiechem, układając w głowie podziękowania i przeprosiny za wczorajsze zbyt gwałtowne słowa.

A tu raptem pojawiły się kłopoty.

- Pani ma pięćdziesiąt osiem, prawda? - upewniła się madame.

- Tak, tak.

- Nie ma klucza! Proszę spojrzeć! - Właścicielka z niemałym wysiłkiem odkręciła się do Molly, wskazując pusty haczyk. - Może pani go wczoraj zabrała ze sobą?

- Nie. - Molly zdecydowanie pokręciła głową, tłumiąc zniecierpliwienie. Czasu było coraz mniej, a trzeba jeszcze wziąć prysznic.

\* **Ciastkarnia.**

## *Weekend w Paryżu*

201

- *Mais alors*. Gdzie on się podział? - Madame rozłożyła bezradnie ręce.

Armand podszedł do lady. Jak to możliwe, żeby klucz zniknął? Obecna tu mademoiselle jest samotną młodą damą. Powierzyła właścicielom hotelu swoje bezpieczeństwo.

Madame całkowicie się z nim zgadzała i doskonale rozumiała jego punkt widzenia. Może jej mąż wie coś więcej?

Niestety, akurat poszedł na targ, po kurczę z Bresse.

Ooo, kurczę z Bresse...! Armand zastrzygł uszami. Kurczęta z Bresse są rzeczywiście najlepsze, prawda? Ten smak, to soczyste mięso, zwłaszcza z odrobiną wermutu dodaną w połowie czasu przyrządzania. Zmrużył oczy i cmoknął złożone palce.

Madame nigdy nie przyrządzała kurczęcia z wermutem, choć słyszała o takiej możliwości. Osobiście wolała cytrynę. Naprawdę? Cytryna jest, rzecz jasna, tradycyjną przyprawą, zwłaszcza na południu, ale...

Molly niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę.

- Muszę się dostać do pokoju...

Ach, no tak! Oczywiście, klucz. Klucz, jak najbardziej. Możliwe, że wzięła go sprzątaczką, choć byłoby to dziwne, bo ma własny komplet. Ale - tak, to jedyne wyjaśnienie. Prawdopodobnie właśnie sprzątała, robiła *petit*\* porządki. Ponieważ madame nie bardzo chciała opuszczać recepcję, uzgodnili, że Armand dotrzyma towarzystwa Molly i razem z nią sprawdzi, co się dzieje na górze. Wsiedli razem do trzeszczącej windy. Tak, cytryna jest jak najbardziej do przyjęcia, ale wermut bezsprzecznie ma nad nią niezaprzeczalną przewagę. Armand wyznał, iż był zaskoczony słowami madame.

Molly pamiętała, że pokojówki zwykle zostawiają otwarte drzwi, więc kiedy zobaczyła swój pokój zamknięty, straciła nadzieję. Jak się tam teraz dostanie? A jeśli ktoś zabrał klucz i ukradł jej rzeczy? Mało tego, włamywacz mógł jeszcze być w środku!

- Niech pan zapuka - poprosiła Armanda. Zrobił to bardzo zdecydowanie i stanowczo.

Z wnętrza dobiegł głuchy łomot, potem usłyszeli szuranie stóp, wreszcie szcęk otwieranego zamka. A kiedy drzwi stanęły otworem, na progu ukazała się bosa blondynka, z włosami krzywo zebranymi na czubku głowy, w długiej kwiecistej spódnicy.

\* **Drobne.**

*Robyn Sisman*

- Mamo! - krzyknęła Molly.

I już znalazła się w ramionach pachnących mydłem lawendowym.

- Och, Molly, kochanie, gdzieś ty była? Tak się o ciebie martwiłam! Dzięki Bogu, żyjesz!

- Jasne, że żyję! Skąd się tu wzięłaś? - Molly wyswobodziła się z matczynego uścisku.

- Bałam się o ciebie! Nie zadzwoniłaś, nie odbierałaś telefonu, nikt mi nie potrafił powiedzieć, co się z tobą dzieje.

Oszalałam ze strachu! - Ujęła twarz córki w dłonie, pogładziła ją po policzku.

- Słoneczko ty moje. Moje kochanie. Moja maleńka. Skąd, na litość boską, wzięłaś taką kieckę?!

- Jestem dorosła! Wolno mi przyjechać do Paryża na weekend!

- Ale nie przyjechałaś tu służbowo... Ten... jak mu tam... Figg powiedział mi, że cię wyrzucił z pracy.

- Co takiego? Zresztą, wszystko jedno. Tak czy inaczej, przyjechałam.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

- A dlaczego miałabym uprzedzać?

- Jestem twoją matką! Kocham cię! Strasznie się o ciebie martwiłam, całą noc nie zmrzyłam oka, dręczyły mnie najgorsze... - przerwała i spojrzała gdzieś za Molly. Pobladła, a jej twarz zmieniła się w ponurą maskę. - Kim jest ten mężczyzna? - spytała. Molly zbyt późno przypomniała sobie o Armandzie, który pozo- stał na korytarzu.

Obserwował je z grzecznym półuśmiechem, robiąc wrażenie zafascynowanego konstrukcją drzwi.

- O, przepraszam. - Ujęła go za ramię i wprowadziła do pokoju.

- To jest moja mama. *Ma mere*. - Boże, w jakim języku powinna teraz mówić? - A to Armand. Spałam u niego.

- Jak to?! - Ignorując wyciągniętą rękę mężczyzny, matka Molly zrobiła krok do przodu i z zadziornie uniesioną brodą zmierzyła Francuza wrogim spojrzeniem. - A dlaczego to moja córka nie spała tej nocy we własnym łóżku, jeśli wolno spytać? Czy pan ją uwiódł?

- Niesforny kosmyk włosów, który wysunął się spod spinki, zatrzęsł się gwałtownie. - Wstyd! W tym wieku! Czy pan sobie zdaje sprawę, że moja córka ma dwadzieścia jeden lat? Dwadzieścia jeden!

- Maaamo! - jęknęła Molly.

- Jak pan śmie wykorzystywać młodą dziewczynę, która po raz pierwszy w życiu znalazła się daleko od domu? Na pewno nietrudno było ją omamić na te wasze różne francuskie sposoby. Moje poglądy

*Weekend w Paryżu*

203

na te sprawy wydają się niektórym staromodne, ale wiem, co jest dobre, a co złe, i nie boję się o tym głośno mówić!  
- Mamo, litości! - jęknęła Molly, purpurowa ze wstydu. - Nie spaliśmy ze sobą - syknęła matce do ucha. - Armand jest ojcem mojego... przyjaciela. Ojcem, rozumiesz? Spałam u niego w salonie, na kanapie.

- Aha. - Pani Clearwater trochę straciła rezon, zaraz jednak się roześmiała. Ten śmiech doprowadzał Molly do skrajnej rozpacz, choć innym się podobał. Wyciągnęła rękę do Armanda. - Przepraszam. Miło mi pana poznać. Monsieur Labrun po raz kolejny okazał klasę. Zachował się, jakby poprzednia minuta w ogóle nie zaistniała. Z galanterią ujął wyciągniętą dłoń i z przemiłym uśmiechem odezwał się po angielsku, straszliwie kalecząc słowa.

\ - Pani rzeczywiście jest matką Molly? *Impossible!*\* - Odwrócił się do córki, z miną tak zdumioną, iż wysoko uniesione brwi omal nie skryły się pod włosami. - Jest taka młoda! - zdziwił się teatralnym szeptem. Spojrzał znów na matkę. - Teraz już wiem, po kim Molly odziedziczyła temperament, madame. Jest uroczą i przemiłą młodą damą, gratuluję pani.

- Mam na imię Fran. - Pani Clearwater uśmiechnęła się szeroko.

Żaloszne. Molly pragnęła jedynie uwolnić się od nich obojga.

- Zrozumiałe, że martwisz się o córkę, Fran. - Armand niepojętym dla Molly sposobem łagodnie poprowadził jej matkę do okna. - Ja także stale się martwię o dziecko. Mam syna, Fabrice'a, z którym Molly spędziła nieco czasu w ten weekend. Chłopak skończył dwadzieścia trzy lata, jest wyjątkowo utalentowany, niestety... emm... *tetu*, rozumiesz?

- Uparty?

- *Exactement*. Ależ Fran, ty znasz francuski!

- O, to gruba przesada.

- Młodzi ludzie sprawiają w dzisiejszych czasach mnóstwo kłopotów.

- Ach, co prawda, to prawda.

Bla, bla, bla... Zaczęło się narzekanie, zwykłe rodzicielskie rozmowy: ten współczesny świat... tyle pokus... taki niebezpieczny... dzieci rozpieszczone... materializm... gdy oni byli młodzi...

\* **Niemożliwe!**

*Robyn Sisman*

Molly patrzyła na nich z nachmurzoną miną. Armand hipnotyzował mamę bogatym repertuarem gestów, wydymania ust i kręcenia głową. Stanowili zabawną parę: on, światowy, do przesady elegancki, wymuskany i prosto spod igły oraz ona, w okropnym starym t-shircie, spranym i zdefasonowanym, promieniejąca, zdrowa, wręcz czerstwa, z rozczochranymi włosami, zupełnie jakby przed chwilą przysła z ogrodu. Molly ogarnęła tkliwość. Kochała mamę i zawsze chętnie spędzała z nią czas. Tylko nie dzisiaj!

Sięgnęła po kosmetyczkę i ręcznik, omijając pewien znajomy obiekt rzucony na podłogę. Mama przywiozła jej plecak! Ale ob-ciach!

- Przepraszam - odezwała się do obojga - ale muszę się umyć i przebrać, bo się spóźnię.
- A dokąd się wybierasz? - spytała Fran. - Mogłybyśmy razem pójść na kawę czy gdzieś...
- Niestety. Jestem umówiona na rolki.
- Na rolki! Kochanie, to niebezpieczne!
- Ach, właśnie, przerażający są ci *patineurs*\*. Doprowadzą Paryż do ruiny. Człowiek ryzykuje życie, wychodząc na ulicę!
- Jak już powiedziałam, idę na rolki. Potem jestem umówiona z Fabrice'em. A później... będę zajęta.
- A co będziesz robiła? Nie znajdziesz dla mnie czasu?
- Mamo, pociąg mam za piętnaście siódma. Będę musiała nieźle się zwijać.
- Może uda mi się przełożyć wyjazd. Przynajmniej w drodze sobie porozmawiamy.

Molly miała ochotę zawyć z rozpaczy. Na szczęście akurat odezwał się brzęczyk telefonu, zwiastujący nadejście wiadomości. Pewnie Alicia. Zaraz się tu zjawi. Prędszej! Co na siebie włożyć?! Po rolkach już nie będzie kiedy się przebrać, a przecież musi świetnie wyglądać dla Fabrice'a. I jeszcze pakowanie! I wymeldowanie z hotelu...!

Wywołała wiadomość na ekranik.

„Molly, musimy się spotkać. Sprawa jest ważna. Będę czekać dzisiaj, w Ogrodzie Luksemburskim przy sadzawce, od piętnastej do szesnastej. Przyjdź, proszę. Przyjaciół”.

\* **Łyżwiarze.**

*Weekend w Paryżu*

205

Westchnęła ostentacyjnie. Co to za dziwak? Nawet nie wiedziała, gdzie jest ten cały Ogród Luksemburski. A dziś po południu miała czas wyłącznie dla Fabrice'a. Trudno. Mimo wszystko musiała przyznać, że w tonie SMS-u było coś poruszającego. W każdym razie na pewno nie napisał go Malcolm.

- Kto to, kochanie? - spytała niepoprawna matka.

- Nikt - burknęła Molly, wymazując wiadomość. Zegarek na komórce wskazywał dziesiątą dziewiętnaście. - Muszę się zbierać.

Armand wziął Fran pod łokieć.

- *Mors*, Molly ma sporo do przemyślenia. A mnie czeka długi i nudny dzień. Wyświadczysz mi przyjemność, jeśli zgodzisz się ze mną obejrzeć Paryż, by zapomnieć o niepokoju i zmartwieniu.

- W zasadzie... Cóż... Ja nie...

- Molly świetnie sobie poradzi sama. Mój samochód stoi przed hotelem. Zaczekam na dole.

- Aleja nie mam...

- Bombowy pomysł - oświadczyła Molly stanowczo. - Szykuj się, mamó.

### *Rozdział dwudziesty drugi*

Leżał rozciągnięty na wyrze jak długi - ciągnęła Alicia - kiedy znowu zadzwonił telefon. Facet z recepcji powiedział, że pani Clear-water pyta o córkę, chciałyby uzyskać informację, czy pan Figg wie cokolwiek na temat zaginionej. A niech mnie! - wykrzyknęła. - Zobacz, jakie dynie!

Tym samym bulwarem co w piątek do mieszkania Zabi szły teraz w stronę placu, gdzie się jeździło na rolkach. Tym razem miał on jednak zupełnie inny charakter: zmienił się w pasaż handlowy, w targ, na którym było wszystko i jeszcze trochę, a każda rzecz w najlepszym gatunku. Molly nie mogła wyjść z podziwu. W jej stronach słowo „targ” kojarzyło się z zaśmieconym parkingiem pełnym zapachu hamburgerów oraz muzyki country. Brudni faceci wrzucali na wagę poobtłukiwane jabłka i pakowali wątpliwej jakości mrożone mięso w „zestawy rodzinne”. Można też było kupić papier toaletowy hurtem, zawinięte w folię kawałki galaretowatego cheddara i t-shirty z błyskotliwymi napisami w stylu „Mam za sobą numerek” albo „Barbie to szmata”, rozłożące się w szwach po pierwszym praniu.

Paryski targ był miejscem jak z bajki. Sprzedawano tu świeżutkie mirabelki, figi, kwiaty i ostrygi, srebrzyste ryby ciężko łapiące oddech karmazynowymi skrzelami oraz kredowobiały kozi ser, naznaczony pajęczynką pleśni. W cieniu platanów o łaciatej korze kryły się świeżutkie włoskie orzechy, wilgotne i pomarszczone jak noworodki, pomidorki dekoracyjne spływające kaskadami ze stojaków, rozkrojone arbuzy, pyszniące się soczystą czerwienią. Wszystkie te smakołyki sprzedawały wspaniałe matrony w śnieżnobiałych

## *Weekend w Paryżu*

200

fartuchach. Właściciele straganów rybnych, ubrani w schludne stroje marynarskie, wyposażeni w noże, tytułowali każdego madame lub monsieur. Nigdzie nikt nie biegał, wrzeszcząc wściekle: „Ryan, zabiję cię, jeśli zrobisz to jeszcze raz!”. Kupujący, czujni jak rasowe psy gończe, żwawym krokiem podążali od straganu do straganu, wączali melony, próbowali sera, smakowali smoliste oliwki albo delikatnie uciskali gruszki. A jeśli chodzi o dynie - Alicia miała całkowitą rację: niektóre były takich rozmiarów, że Kopciuszek mógłby bez pomocy magii wsiąść do nich jak do karety.

- Daj spokój dyniom - zniecierpliwiła się Molly. - Opowiadaj.

- Oczywiście zastrzygłam uszami, słysząc nazwisko Clearwater, i pomknęłam na dół, sprawdzić, co się dzieje. Przy recepcji stała zapłakana kobieta, przekonana, że Malcolm zrobił z ciebie niewolnicę i więzi cię w czeluściach swojej sypialni.

Zerknęły na siebie z ukosa i zachichotały. Molly ciągle jeszcze rozkoszowała się tą częścią opowieści, gdzie główną rolę odgrywały kajdanki.

- Nie było mi do śmiechu - przyznała Alicia. - Twoja mama wyglądała na poważnie zmartwioną.

- Jest niemożliwa. Zniknęłam raptem na jeden dzień!

- Daj spokój. Najwyraźniej cię kocha, jesteś dla niej najważniejsza na świecie. Jak ona tam wyglądała! Taka bezbronna, taka śliczna, jak krucha laleczka zagubiona w wielkim holu. Ubrana w tę śmieszna starą spódnicę - i z plecaczkiem! - Od lat osiemdziesiątych chodzi praktycznie w tym samym ubraniu - skrzywiła się Molly.

- Mnie się wydaje strasznie fajna. A poza tym styl hipisowski właśnie wrócił do łask. Sama zobacz. - Rozłożyła szeroko ręce, by zaprezentować wszystkie zalety kurtki z frędzlami oraz kowbojskich butów nabijanych srebrnymi ćwiekami. Niechcący szturchnęła mężczyznę nad rozżarzoną piecykiem.

- Oj, *pardon!*

- Patrz, kasztany! - ucieszyła się Molly. - Kupujemy! Przyglądały się z ciekawością, jak sprzedawca praży kasztany, aż uzyskały odpowiedni kolor - skorupki poczerniały, tylko w jaśniejszym miejscu nabrały odcienia bladego.

Wreszcie zebrał je drewnianą łyżką durszlakowatą i wsypał do papierowego rożka.

- *Voilà!* - rzekł czule, wyciągając do Molly dłoń z torebką.

\* **Gotowe.**



*Robyn Sisman*

Podala mu monetę i wzięła słodko pachnący egzotyczny przysmak.

- Nie rozumiem tylko - spytała chwilę później z pełnymi ustami

- Dlaczego zaprowadziłaś mamę akurat do mojego hotelu. Przecież mogłam tam być... no wiesz... z Fabrice'em.

- Miała mało pieniędzy i nie wiedziała, gdzie się podziać. Opowiedziałam właścicielowi jakąś bajeczkę i w końcu dał mi klucz. A poza tym sama mi napisałaś, że pojedziecie do Fabrice'a, żeby „wiesz co”. Nie rozumiem, dlaczego nie możesz wyrażać się jak normalny człowiek i powiedzieć po prostu „kochać się” albo „zabawić”. A tak przy okazji: jak było? Masz jakieś malinki? - Odgarnęła jej włosy, zlustrowała szyję.

- Zostaw! - Molly zsunęła włosy na miejsce. - Było fajnie. Właściwie... cudownie.

Wspomnienie wspólnego popołudnia obudziło na jej ustach leniwy rozmarzony uśmiech. Tym bardziej nie chciała zdradzać Alicii, co się stało później. Za trudno byłoby to wytłumaczyć. Zbyt skomplikowane. Na pewno by nie zrozumiała.

Z dziwnego elektrycznego urządzenia po drugiej stronie ulicy wydobywała się rozkoszna woń pieczonych kurczaków. Były piękne, ze złocistą skórką i artystycznie pospinywanymi nóżkami i skrzydełkami, obracały się, ponadziewane na rożen. Przypomniały jej o Malcolmie.

- Co było dalej? Malcolm na pewno się wściekł, że go zostawiłaś skutego?

- No! Zadzwoił do mnie dziś rano i trochę pokrzyczał, ale szczerze mówiąc, myślę, że mu się podobało. Może odkrywa kobiece aspekty swojej osobowości - zaśmiała się Alicia. - Poważnie myśli o dubelku! Tylko tym razem mamy się zamienić rolami. A, i wiesz co? - Zrobiła dramatyczną pauzę. - Jadę do Anglii!

- Coś ty! Fantastycznie! - Uścisnęły się radośnie. Kilkoro przechodniów obrzuciło nieprzyjaznym spojrzeniem dwie zawalidrogi.

- Kiedy? Jakim cudem? Co z twoją wizą?

- Po problemie - odrzekła Australijka gładko. - Dzięki Malcolmowi zyskałam sponsora i pracę.

- Rewelacyjnie! Masz, bierz kasztan. Należy ci się.

Kiedy jednak Molly się dowiedziała, jaką pracę dostała Alicia, trochę jej się popsuł humor. Australijka była przemiła, to prawda, ale nie miała wyższego wykształcenia, a co dopiero pierwszego miejsca na roku. Pewnie nawet zdarzały jej się kłopoty z ortografią.

## *Weekend w Paryżu*

209

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytała taktownie Molly. - To znaczy... że masz odpowiednie kwalifikacje?
- Księgowość, prowadzenie wypłat, konserwacja traktora, catering - zaczęła wyliczać Alicia - dogłębna znajomość edytorów tekstu, obsługi centrali telefonicznej, pierwszej pomocy, ratownictwo i jeszcze parę, których teraz nie pamiętam. Wydaje mi się, że taka praca w reklamie to na dobrą sprawę po prostu kwestia zdrowego rozsądku, nie?
- Mhm... - zgodziła się Molly słabo. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może rzeczywiście nie była tak doskonałą pracownicą, jak jej się zdawało.
- Martwi cię, że nie znam cytatów z Szekspira, tak? - zaśmiała się Alicia.
- Nie, skądże. Zastanawiałam się, jak ci się udało nauczyć tylu różnych rzeczy w tym twoim buszu.
- W jakim buszu?
- No, w tym twoim Tullmarino, czy jak mu tam.

Tamta ryknęła takim śmiechem, że musiała się oprzeć o słup ulicznej lampy, żeby nie upaść. Dopiero gdy odzyskała mowę, zdołała wyjaśnić, że Tullamarine to przedmieście Melbourne, dzielnica z lotniskiem. Innymi słowy, mniej więcej tak samo wiejska okolica jak Londyn czy Paryż. A tak przy okazji, to Australijczycy nie jadają possumów, ale nie pogardzą młodym koala zapieczonym w folii aluminiowej.

- Cha, cha, cha. - Oczywiście Molly wcale nie było do śmiechu. Alicia teatralnym gestem objęła ją za ramiona.
- Wiesz co, Molly? Musisz więcej bywać między ludźmi. Trochę mniej czytaj. Wyluzuj. Odwagi! Jesteś wspaniałą, szaloną dziewczyną, z mózgiem wielkości połowy Australii, cały świat stoi przed tobą otworem! - Uściskała ją serdecznie. - Widzisz, jak byłam mała i opalałam się na tylnym podwórzu, to patrzyłam w niebo, na te wszystkie samoloty, które ciągle startowały i lądowały. Wtedy dotarło do mnie, że jeśli którymś z nich nie polecę w świat, to na resztę życia ugrzęznę w najróżniejszych stereotypach. - Zatrzymała się i zakreśliła ręką szeroki łuk, jakby przedstawiała wyjątkowy widok zaciekawionym turystom.

Molly także się zatrzymała, odwróciła we wskazaną stronę i spojrzała tam, skąd przyszły. Targ robił wrażenie pięknego obrazu, pastelowego, a jednocześnie tętniącego życiem, powstałym, jak u Matisse'a, z odrębnych plam: pomarańczowych, zielonych i ciem-

nofioletowych. A kontrapunkt stanowiła idąca w ich kierunku postawna Murzynka, ubrana od stóp do głów w żółć, od której cierpły zęby. Tam, dokąd zmierzały, ciągnęła się linia drzew, przerywana niekiedy perłowoszarą fasadą budynku lub szkarłatną plamą geranium kwitnącego w skrzynkach na parapecie. Molly skierowała wzrok do kolumny, zwieńczonej dostojną postacią błyszczącą złotem na tle błękitnego nieba.

- Co to takiego? - spytała. - Czyj to posąg? - Widziała strzałkę wskazującą miejsce, gdzie stała Bastylia, i była ciekawa, czy pomnik miał coś wspólnego z Rewolucją Francuską.

- Pojęcia nie mam! Pewnie jakiegoś króla albo innego ważniaka. Wiem natomiast, że czwartego lipca robią tu pierwszorzędną imprezę.

Wkrótce targ zniknął im z oczu, przeszły rozległy plac i ujrzały port jachtowy na Sekwanie. Barwne kadłuby łódek odbijały się w zielonej wodzie.

- Teraz mieszkam tutaj - powiedziała Alicia. - Widzisz tamten wrak z rowerem na dachu i australijską flagą?

- Niesamowite! Jakie to romantyczne!

- Jeżeli lubisz wilgoć, zimno i szczury, to na pewno. Dobrze się składa, że pojedę do Londynu przed zimą.

- Ehm... słuchaj... - zaczęła Molly niepewnie. - Chciałabym cię spytać... Na pewno masz w Londynie setki przyjaciół, a moje mieszkanie jest małe i w niezbyt ciekawej dzielnicy...

- Wykrztuś wreszcie.

- Widzisz... gdybyś chciała spać na podłodze albo na sofie... to bardzo bym się cieszyła, gdybyś u mnie zamieszkała.

- Super! A już myślałam, że się nie doczekam tej propozycji.

- Kiedy przyjedziesz?

- Za jakiś miesiąc. Trochę potrwa, zanim Malcolm rozejrzy się w papierach i przyśle mi formalną propozycję pracy. Zresztą i tak na razie jeszcze nie chcę jechać. Muszę koniecznie do Salzburga, na „Dźwięki muzyki”.

- Jak to? Lubisz Mozarta...?

- Dziewczyno, litości! Nie zamierzam słuchać Mozarta. „Dźwięki muzyki” w cudzysłowie! *Lederhosen*\*. Julie Andrews. Jodłowanie. Jakiś jajcarz wymyślił sobie, że zapakuje ludzi do autobusu i zawiezie wszędzie, gdzie był kręcony film, żeby sobie porobili zdję-

\* **Charakterystyczne tyrolskie krótkie spodnie ze skóry.**

cia. Wszyscy śpiewają piosenki z filmu, a jak chcesz, to nawet możesz się przebrać za zakonnice. Albo za nazistę, ale to już przesada. A na koniec dostajesz gratis paczkę nasion szarotki. Nie mogę się doczekać!

Molly dostrzegła wielki znak w kształcie łyżworolki, zawieszony na budynku przed nimi. Chętnych do nauki było sporo. Jedni przymierzali rolki, inni stawiali pierwsze kroki na drżących nogach i piszcząc z wrażenia, kurczowo trzymali się ściany. Jeszcze inni popisywali się, kręcąc piruety na ulicy i zupełnie nie zwracając uwagi na przejeżdżające samochody. Molly serce podeszło do gardła. Opanowało ją uczucie, że zaraz zrobi z siebie przedstawienie.

Weszła za Alicią do pomieszczenia, które niegdyś mogło być garażem, a teraz zostało przystosowane do nowej roli: przybyła lada, pod ścianami stały długie stojaki z łyżworolkami oraz ławki, na których można było je przymierzać. Z głośników płynął jakiś dziwny francuski rap. Alicia powiedziała „cześć” albo „salut” mniej więcej kilku setkom różnych osób, zaprowadziła Molly do chłopaka, któremu trzeba było zapłacić za jazdę, a sama wyłowiła skądś parę rolek. Włożyła je i sprawdziła, kogo ma w dzisiejszej grupie. Uzbrojona w podkładkę z listą uczestników skutecznie i z naturalną łatwością przejęła dowodzenie.

Molly została wyekwipowana w rolki, kask, a także ochraniacze na kolana i łokcie. Siedząc na ławce i zaciągając klamry na butach, widziała koleżankę spędzającą swoje stadko i mknącą po ulicy tam i z powrotem z gracją i bez najmniejszego wysiłku. Jazda na rolkach nie wydawała się trudna. Wobec czego Molly odważnie wstała.

Nogi jej się rozjechały i natychmiast usiadła z impetem. Zabolało jak diabli.

- Pochyl się trochę. Ugnij kolana - poradził któryś z instruktorów.

Molly uniosła się odrobinę, tym razem wyjątkowo ostrożnie, nieomal złożona wpół, przekonana, że wygląda jak wielka małpa, która akurat wyszła z imprezy na cześć własnych setnych urodzin. Przeklęła w myślach upór matki, która nie zgodziła się kupić jej rolek wtedy, gdy wszystkie dzieciaki na nich jeździły. Powiedziała, że to bezsensowny wydatek, skoro Molly tak szybko rosną nogi.

Alicia miała pod opieką tak zwaną grupę anglojęzyczną, co w praktyce oznaczało, że dostawała tych, którzy nie mówili po francusku. Poza Molly znalazło się w niej dwóch klockowatych chłopaków z Ameryki - obaj mieli włosy dziwnie zwisające w strąkach

i każdy przynajmniej setkę białych, lśniących zębów. Był jeszcze Norweg z wyjątkowo wysokim czołem i trzy podekscytowane, miauczające jak kociaki Japonki, każda z przyczepionym do nadgarstka aparatem fotograficznym w miękkiej osłonie. No i para Włochów. Ubrani w przylegające skórzane komplety, emanowali seksem i trzymali się na uboczu, trochę jak gwiazdy filmowe, dziwnym zbiegiem wypadków wplątane w towarzystwo drugiej klasy. Alicia pokazała wszystkim kilka podstawowych ruchów i krótko opowiedziała o wymogach bezpieczeństwa. Następnie ruszyli chodnikiem jak stadko niezdarnych kaczuszek za mamusią. Molly stanowczo radziła sobie najgorzej. Sport nigdy nie był jej najmocniejszą stroną.

- Podoba ci się? - spytała Australijka, gdy czekali przed przejściem dla pieszych na zielone światło.
- Bardzo! - Uśmiechnęła się dzielnie, choć zęby miała zaciśnięte i z całej siły trzymała się słupka sygnalizacji.
- Nie przejmuj się. Zaraz wjedziemy na teren bez samochodów, tam już da się żyć. Zobaczysz, będziesz śmigła, jakbyś się w rolnkach urodziła!

Bez większych problemów dotarli do metalowej bariery przegradzającej drogę, za którą na asfalcie pustej autostrady popisywali się rowerzyści i rolkarze. Molly musiała przyznać, że pomysł zamknięcia całych fragmentów miasta wyłącznie po to, by ludzie mieli trochę rozrywki, wydawał jej się niesamowity. Alicia twierdziła, że Francuzi oszaleli na punkcie rolek. W każdy piątek wieczorem z dziesięć tysięcy osób wyruszało z jakiegoś punktu na lewym brzegu i jechało przez Paryż wielką falą.

Molly natomiast nie szło rewelacyjnie. Potykała się i chwiała, raz nawet upadła. A co gorsza, szybko spostrzegła, że przyciągnęła uwagę Norwega, który tkwił przy niej jak przyklejony, choć coraz bardziej odstawała od grupy.

- Cześć, nazywam się Odmund - zaczął z dziwnym szczebioczącym akcentem, w którym samogłoski jakoś zanikały. - Podoba mi się twoje ciało.
- O! Dziękuję. - Oczywiście miał błękitne, jasne, jak u szaleńców i nawiedzonych. Na dodatek wywracał nimi, gdy tylko otwierał usta. Wtedy ukazywały się głównie białka, a rzęsy opadały, trochę jakby miał zemdleć. Zapoznał Molly ze swoją teorią, wedle której Atlantyda, sławny zaginiony ląd, znajdowała się gdzieś u wybrzeży Irlandii.

*Weekend w Paryżu*

213

Miękkie, powolne słowa Norwega przerwał wściekły wrzask:

- Wracaj! Oddawaj rolki!

Jakaś dziewczyna w czerwonym swetrze minęła pędem grupę uczniów i pognała w stronę barierek. Alicia rzuciła się za nią szalonym pędem.

- Co robisz?! - krzyknęła Molly, niebotycznie zdumiona.

- To Janinę! - rzuciła Australijka w odpowiedzi, nujając ich jak błyskawica. - Zatrzymaj tu ludzi. Niech zaczekają! Pozostali członkowie grupy, z napięciem obserwujący dramatyczną scenę, odwrócili się do niej jak jeden mąż.

- Dobrze... - zaczęła Molly niepewnie. - Świetnie - podjęła, gdy się do niej zbliżyli. - Wobec tego teraz... - Ale nikt jej nie słuchał. Wszyscy z zapartym tchem obserwowali pogoń. Janinę przemknęła już za barierkę i gnała w stronę ceglanego łuku pod czymś, co wy-

\ głądało jak linia kolejowa. Zamiast jednak pojechać dołem, wyhamowała przy jednej z podpór i ruszyła w górę po kamiennych schodach. Alicia zrobiła to samo. Miała do uciekającej ze trzydzieści metrów.

- To nie są tory! - zawołał jeden z Amerykanów. - Patrzcie! Ludzie i drzewa... Chodźcie, pomożemy Alicii!

- Nie, bardzo was proszę! - Molly usiłowała przywołać ich do porządku. - Prosiła, żebyśmy tu zaczekali, żebyśmy się nie rozpraszali. Nie możemy... Naprawdę, nie powinniśmy... - Ucichła, bo już nie miała do kogo mówić. Amerykanie energicznie ruszyli w stronę schodów, zaraz za nimi pojechały Japonki, które jak szalone fotografowały wszystko w zasięgu wzroku. Para Włochów oddaliła się w przeciwnym kierunku. - Czekaście! Dokąd jedziecie?! - krzyknęła rozpaczliwie. Dziewczyna odwróciła się i leniwie wruszyła ramionami, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie musi się Molly tłumaczyć. Wykrztusiła jednak dwa zdania: będą w kawiarni. Muszą się napić espresso.

Molly gorączkowo rozglądała się dookoła. Co robić? W końcu uznała, że Włosi jakoś dadzą sobie radę, i ruszyła w kierunku schodów. Towarzystwa dotrzymywał jej wierny Odmund. Zanim dotarli do ceglanego łuku, Amerykanie i Japonki dawno zniknęli. Molly nie uśmiechało się wdrapywanie na strome stopnie z rolkami na nogach. Zresztą, właśnie zauważyła znak z przekreśloną łyżworolką. Nie miała zamiaru łamać prawa.

- Zaczekamy tutaj - powiedziała Odmundowi, zadowolona, że będzie mogła przekazać Alicii przynajmniej jednego członka grupy.

*Robyn Sisman*

Usiadła ostrożnie na najniższym stopniu. Norweg usadowił się nieprzyjemnie blisko i skoncentrował na niej spojrzenie szalonych oczu.

- Lud Atlantydy miał rude włosy - podjął swój wywód, machając rzesami. - i zastanawiające duża część mieszkańców Irlandii wyróżnia się tą samą cechą, chociaż powinni być czarnowłosymi Celtami.

Czy przyszło jej kiedyś do głowy, że Atlanci przybywają z morskich odmętów, by łączyć się z Irlandczykami? Molly miała dość. Wstała.

- Czekaj tutaj - rozkazała natrętowi, podnosząc palec wskazujący, jakby tresowała psa.

Cieężko wsparta o poręcz, wdrapała się na górę. Stała na szerokiej betonowej alei, wzdłuż której ciągnęły się dwa rzędy drzewek oraz klombów, kipiących różami i ozdobnymi krzewami. Niegdysiejszy tor kolejowy został przekształcony w promenadę, gdzie paryżanie odpoczywali od miejskiego zgiełku. Po uroczych pergolach pięły się powojnik i zaczerwieniona jesienne winorośl, gdzieś dalej rozbłysła w słońcu dekoracyjna sadzawka, otoczona ławkami, z których można było podziwiać odległe dachy i kopuły. Tu jakaś kobieta popychała wózek, tam mały berbecz próbował sił w chodzeniu, ówdzie migdalili się zakochani. Dwie staruszki szły wolnym, spacerowym krokiem i plotkowały na potęgę. Samotny mężczyzna w średnim wieku zatrzymał się, by powąchać różę. Idylliczny obrazek. Jedyny problem polegał na tym, że aleja prowadziła w dwie przeciwne strony, a Molly nie miała bladego pojęcia, gdzie szukać Alicii.

Ledwo dobrnęła do ławki i kompletnie załamana, przycupnęła na brzeżku. Z ośmiorga uczniów Australijki ostał się jeden. A jeżeli któreś z pozostałych złamie nogę? Jeśli Alicia zostanie wyrzucona z pracy za zaniedbanie?

Ukryła twarz w dłoniach i zamknęła oczy. Wiecie, kto to jest Molly Clearwater? Taka, co niczego nie potrafi zrobić. Głupia sekretarka. Dzieciak, którego mamusia pilnuje w Paryżu. Zdolności przywódcze na poziomie poniżej zera.

Umiejętność jazdy na łyżworolkach - dno i wodorosty. Aha, i ma fioletowy siniak na pupie.

Westchnęła, otworzyła oczy i zamrugła od słońca. No to sobie przynajmniej pojeździ na rolkach. Może przy okazji znajdzie któregoś Amerykanina albo Japonki. Pojedzie w lewo, w stronę stawu.

Ugięła kolana, pochyliła się i odepchnęła najpierw jedną nogą, potem drugą. Ostrożnie. Hm... całkiem nieźle. W zasadzie radziła

## *Weekend w Paryżu*

215

sobie zupełnie dobrze. Jeśli jechało się szybciej, było stanowczo łatwiej. Akurat trafiła na jakiś łagodny spadek. Aaaa! Byle nie za szybko! Zaraz, gdzie tu są hamulce? Ratunku! Jak to się zatrzymuje?!

Jechała prosto na staw!

Dalej wypadki potoczyły się w mgnieniu oka.

Usiłowała minąć przeszkodę, ale kiedy udało jej się skręcić, dostrzegła na swojej drodze dziecko, przyglądające się z uwagą czemuś na ziemi. Odbiła w drugą stronę, lecz zrobiła to za ostro i straciła równowagę. Gwałtownie zamachała ramionami, omyając jakąś czerwoną błyskawicę i upadła niezgrabnie na bok, rozpaczliwie chwytając się powietrza. Zaczepiła o coś palcami, a jednocześnie ktoś na nią wpadł, obrócił się i zniknął. Rozległ się krzyk, potem głośny plusk.

**I** Cudem dźwignęła się na czworaki. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że wepchnęła kogoś do stawu.

- O Boże... Przepraszam! Tak mi przykro! - przekonywała prychnając młodą kobietę gramolącą się z wody.

Aby poniżenie było kompletne, akurat w tym momencie pojawiła się nad nimi Alicia, niczym Boadicea nad rzymską Anglią, krzycząc coś, co brzmiało jak: „Łapać ją!”. Ponieważ niemal jednocześnie podjechali także Amerykanie oraz Japonki, Molly zaczęła mieć poważne obawy, iż fatalny wybryk nie ujdzie jej płazem. Jedna ze skośnookich dziewcząt wyprysnęła do przodu, chyba chciała ją bić! Molly cofnęła się przerażona, lecz tamta tylko pstryknęła aparatem fotograficznym. I wtedy Molly zauważyła coś dziwnego. Alicia się uśmiechała! Od ucha do ucha!

- Mamy ją! - zawołała jeszcze raz, a oczy miała roziskrzzone szczęściem i uwielbieniem. - Molly, jesteś prawdziwą bohaterką! Złapałaś Janinę!



### *Rozdział dwudziesty trzeci*

Tak się nie mogła doczekać spotkania z Fabrice'em, że pędząc schodami przy wyjściu z metra, potknęła się i upadła na betonowych stopniach zaśmieconych skasowanymi biletami. Podniosła się, otrzepała dżinsy na kolanach. Na pewno będą nowe siniaki. A włosy? Zatrzymała się w przejściu i przeczesła je energicznie - ale ledwo wyszła na ulicę, wiatr zniweczył jej wysiłki. „Boulevard St-Germain” - przeczytała na tabliczce. Czy to przypadkiem nie jakaś sławna ulica? Miejsce wybrane przez intelektualistów? Widziała jedynie turystów i rzekę. Ruszyła żwawym krokiem, chcąc w ten sposób zademonstrować każdemu, kto na nią spojrzał, że jest w zasadzie miejscowa i świetnie się tutaj czuje. Była przecież dziewczyną Francuza! Nie tylko dziewczyną, ale kochanką! Jakie dorosłe słowo... A jej Francuz jest wspaniały, seksowny, ujmujący... no w każdym razie zazwyczaj bywa właśnie taki. I na dodatek ma artystyczną duszę oraz talent! Ha!

Oczywiście mogło się okazać, że jeszcze będzie na nią trochę zły... trudno, trzeba się na to przygotować. Każdy by się zirytował, gdyby został postawiony w takiej sytuacji, no i trzeba przyznać, że nie rozegrała sprawy najlepiej. Bardzo ją to niepokoiło. Czy zachowała się jak ostatni zarozumialec? Fabrice mógł odnieść wrażenie... a w zasadzie na pewno uznał, że wsypała go przed jego własnym ojcem. Ale przecież postąpiła słusznie? Na pewno Fabrice zrozumie, że zachowała się w ten sposób dla jego dobra, dlatego, że nie był jej obojętny. O tak, wystarczyło, że pomyślała o jego włosach opadających na skronie, o tym, jak pieścił ją wzrokiem i smukłymi palcami, a pragnienie, by mu okazać swoją miłość i troskliwość, mało nie rozsadziło jej piersi.

Wyszła na plac zdominowany przez świątynię z białego kamienia, składającą się głównie z kolumn, zdobiących obie kondygnacje, po bokach zamkniętą dzwonnicy o włoskim charakterze. Pomiedzy kamieniami beztrudno rosło zielsko. Aha, kościół St. Sulpice. Przed nim znajdowała się słusznych rozmiarów fontanna, na brzegu siedziało kilkoro turystów, przeżuwających ogromne kanapki. Woda napełniająca bladzielone baseny tryskała z otwartych ust kamiennych twarzy. W rozproszonych kropelkach słońce malowało drobniutkie tęcze. Po raz kolejny Molly czuła się zaskoczona pięknem Paryża. Co krok natrafiała na jakąś niespodziankę, za każdym rogiem jakiś cudny szczegół przykuwał wzrok i zniewalał serce.

Zaraz, tylko gdzie ta Cafe Balzac? Fabrice powiedział: „niedaleko St. Sulpice”... Ruszyła wokół placu, szukając kawiarni za drzewami. Z rosnącym niepokojem spoglądała na zegarek. Już prawie wpół do drugiej. Szkoda, że Fabrice nie wytłumaczył jej dokładniej... Kątem oka uchwyciła własne odbicie w sklepowej witrynie - Yves'a St. Lau-renta! - i zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w ten weekend ma na sobie wyłącznie własne rzeczy. Dżinsy w kolorze indygo, ulubiona bladzielona bluzka z długimi rękawami ożywiona wzorkiem z różyczek i zwykłe czarne zamszaki od Marksa & Spencera, cokolwiek powycierane. Trudno było nie zauważyć kontrastu z manekinami, które spoglądały na nią z wyższością, wypływającą z przekonania o własnej niezaprzeczalnej elegancji prawdziwych szkieletów bez grama nadwagi. Nieważne! Fabrice'owi podobała się właśnie taka, okrągła i tak dalej. Miała „zmysłowe ciało”. Powtórzyła te cudowne słowa, wyjęła z torebki perfumy i psiknęła raz, nie za dużo, ot żeby zyskać nieco pewności siebie. Przekrzywiła przy tym głowę, a wtedy w jednej z bocznych uliczek dostrzegła poruszaną wiatrem białą markizę ze słowem „Balzac”. Odetchnęła z ulgą.

Na chodniku przed kawiarenką stały rzędem okrągłe stoliczki, przy nich drewniane krzesła - wszystkie zajęte.

Goście rozmawiali z ożywieniem, a gdy Molly przyglądała się kolejnym osobom, błyskały w jej stronę przyciemnione szkła okularów. Nie znalazła Fabrice^ . W progu natknęła się na kelnera, z namaszczeniem wkładającego korkociąg do kieszeni długiego fartucha. Na jej widok pytająco uniósł brew.

- Szukam... Ma tu być mój przyjaciel. - Wskazała wnętrze dość niepewnym gestem.

Kelner skinął głową i odstąpił na bok. W środku panował znacznie większy gwar. Molly przesuwiała wzrokiem po stolikach i twa-

rzach gości, słyszała trzeszczenie krzesel i drewnianej podłogi, czuła dym i zapach wina. Niewiele widziała, bo było dużo ciemniej niż na ulicy. Bez przekonania zrobiła kilka kroków, zaglądając w mroczne kąty. Usłyszawszy wybuch śmiechu, automatycznie się obejrzała i wtedy nareszcie zobaczyła znajomy profil. Uśmiechnęła się, ruszyła w tamtą stronę, ale zaraz stanęła niezdecydowana. Nie był sam. Siedział w towarzystwie trzech innych osób, oparty o ścianę, przy węższym końcu prostokątnego stolika, na którym stały butelki po piwie, kieliszki, popielniczki oraz talerze z resztkami jakichś przekąsek. Słuchał mężczyzny z końskim ogonem, ulokowanego naprzeciwko. Molly nie miała śmiałości przeszkadzać zgranej paczce, ale z drugiej strony - był tak blisko! Widziała go, pociągał ją, nie mogła mu się oprzeć.

- Cześć, Fabrice - powiedziała, nerwowo stukając palcami w blat.

Siedzący po kolei odwrócili się w jej stronę: najpierw dziewczyna, potem dwóch obcych mężczyzn, wreszcie on.

- A, to ty. *Qa va*\*? - Lekko kiwnął głową. - To jest Molly - wyjaśnił przyjaciołom. - Angielka. Przyjechała na weekend.

Kolejno podali jej ręce: dziewczyna o uważnym spojrzeniu i krótko obciętych kręconych czarnych włosach - Sylvie, potem chłopak z kocią bródką i w okularach z drucianymi oprawkami - Olivier

I wreszcie ten z ogonem - Henri. Wszyscy powiedzieli „bonjour”, każde z nich uśmiechnęło się uprzejmie, zdawkowo. Molly czekała, aż Fabrice poprosi znajomych, by zrobili jej miejsce przy stole, nic podobnego jednak nie nastąpiło. Zresztą, i tak nie było wolnych krzesel. Wobec tego przez dłuższą chwilę stała, czując się jak ostatnia idiotka. Wreszcie Olivier wstał, wyczarował krzesło i ustawił je pomiędzy sobą a Sylvie.

- Bardzo dziękuję. - Molly obdarzyła go najpiękniejszym uśmiechem i usiadła, starając się nie przejmować ściśniętym gardłem. Fabrice, po drugiej stronie Sylvie, już zdążył na nowo pogрузić się w rozmowie. Może jeszcze się boczył? Wszystko jedno: przedstawił ją swoim przyjaciołom, a to dobry znak. Jeśli będzie się zachowywała normalnie i pogodnie włączy się do dyskusji, on z pewnością zaraz odtaje. A kiedy znajomi się wyniosą, będą mogli swobodnie porozmawiać.

- A więc jesteś Angielką - odezwała się Sylvie.

\* **Jak się masz?**

## Weekend w Paryżu

219

-Tak.

- Z Londynu? -Tak.

- Przyjechałaś tylko na weekend?

- Tak. - Molly próbowała wlać trochę życia w rytmiczne monosylaby.

- Długo znasz Fabrice'a?

- Poznaliśmy się w piątek wieczorem. W klubie. Dziewczyna uniosła brwi, wyraźnie zdziwiona.

- Fabrice, co ja słyszę, byłeś w klubie?

I wszyscy troje zarzucili go pytaniami. Chyba się z niego nabijali. Może zwykle nie chadzał do klubów? Fabrice wzruszył ramionami, coś wymamrotał i zrobił dziwaczną minę. Molly uśmiechnęła się do niego, choć nie do końca rozumiała, co mówił. Usiłowała pochwycić jego spojrzenie. „Przepraszam za wczoraj wieczór”, chciała powiedzieć. „Już wszystko w porządku. Kocham cię”, chciała zobaczyć w jego oczach. Ale on patrzył w dół, wyciągając kolejnego papierosa z wymiotzonej paczki.

Cała czwórka zaczęła roztrząsać kwestię klubów. Fantastyczne są, *n'est ce pas*? Nie, nieprawda, są nudne, nawet nie można spokojnie pogadać. Lepiej iść do baru. A co z tańcem? A co z...?

Molly szybko zgubiła wątek. Mówili, jak dla niej, stanowczo za szybko. Nie знаła wielu gwarowych wyrazów i zwrotów. „*Mais si, c'est de la balie*”\*\*, „*Quel eon!*”\*\*\*. Używali też słów, które w ogóle nie brzmiały po francusku. Czuła się jak obserwator rozgrywki tenisowej, który nie zna zasad i bez zrozumienia śledzi piłkę, kręcąc głową z boku na bok. Twarz jej ścięła od sztucznego uśmiechu uprzejmego zainteresowania.

W końcu zlitował się nad nią Olivier.

- Mówią verlanem - wyjaśnił. - Wiesz, co to takiego? - A gdy Molly pokręciła przecząco głową, wyjaśnił jej, że verlan to odmiana gwary, w której tworzyło się słowa, przedstawiając sylaby. W ten sposób *metro* zmieniało się w *trome*, butelka nie była *bouteille*, ale *teil-le-bou*, a imię Molly brzmiałoby Lymo. Taki sposób mówienia narodził się między blokami w podparyskich dzielnicach, najprawdopodobniej jako kod mający pomagać w utrzymaniu na dystans ob-

**\* Prawda?**

**\*\* Skąd, to świetna okazja. \*\*\* Co za krety!**

cych, zwłaszcza policji. Na przykład trawka - narkotyk, czyli *l'her-be*, przybierała postać beuher. Od jakiegoś czasu Verlan był na topie i pojawiał się w języku większości młodych ludzi, opanowując Paryż.

- Czyli Ryzpa - uśmiechnęła się Molly. Miała nadzieję, że Fabrice zauważy, jak dobrze się rozumie z jego przyjacielem. Zasady verlanu zdawały się doskonale odzwierciedlać jej nieodparte wrażenie, iż wszystko zostało postawione na głowie. Wczoraj Fabrice kochał się z nią, traktował Molly jak najpiękniejszą i najbardziej godną pożądaną kobietę na świecie, a dziś ją ignorował. Może nie umiał okazać czułości w obecności przyjaciół? Chociaż... dlaczego?

Próbowała się skoncentrować na Olivierze, któremu tłumaczyła podstawy rymowanego dialektu londyńskiej biedoty, znanego jako cockney, ale skupiona była wyłącznie na Fabrice'u, który rozmawiał z pozostałą dwójką, sprzeczał się z nimi i żartował. Pragnęła złożyć głowę na jego ramieniu, przytulić twarz do ciepłej szyi... miałU w pamięci jego zapach... Nadal usiłowała pochwycić jego spojrzenie, ale wcale nie patrzył w jej stronę.

- Miałam dzisiaj śmieszna przygodę - zaczęła nagle, przerywając im rozmowę.

Opowiedziała o Janinę i odzyskaniu łyżworolek, ale jakoś nikt nie wydał się poruszony. Może dlatego że szalenie trudno było oddać australijski akcent po francusku? Opowiedziała im, jak śmiesznie wyglądała Janinę w stawie, jak Alicia posłała ją do domu w samych skarpetkach, lecz nikt się nie śmiał. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że zachowała się niegrzecznie, opowiadając o kradzieży w obecności Fabrice'a. Zająknęła się, zacięła, w końcu zamilkła.

Ciszę przerwał Olivier.

- Opowiedz mi jeszcze o slangu - poprosił litościwie. A Sylvie w tej samej chwili zwróciła się do Fabrice'a:

- Zdaje się, że Gabrielle też lubi jeździć na rolkach? -I po chwili wszyscy troje mówili tylko o Gabrielle. Gdzie ona jest, kiedy wraca...

A Molly w tym czasie usiłowała wytłumaczyć Olivierowi, że jabłka i brzoskwinie rymują się z gwiazdami. W każdym razie, po angielsku.

Nagle zdała sobie sprawę, iż obok niej stoi z pochyloną głową kelner, jakby oczekiwał odpowiedzi na jakieś pytanie.

Dopiero wtedy Fabrice na nią spojrział.

- Chcesz jeszcze coś do picia? - spytał.

*Weekend w Paryżu*

221

- Nie, dziękuję.

Tak w każdym razie zamierzała powiedzieć. Niestety, coś jej się pomyliło. Usiłowała w jednym zdaniu zawrzeć kilka informacji: dziękuję za picie, jest mi dobrze, czuję się świetnie, niczego mi nie trzeba. A na dodatek opanować nowo doznaną przykrość. Fabrice nawet nie wiedział, że ona jeszcze nic nie piła! No i w końcu wyszło jej z tego: „*Je suis bonne*”. Zapadła dziwna cisza, potem wokół stołu przetoczył się chichot. Kelner powstrzymywał śmiech z widocznym trudem. Wreszcie Olivier wziął na siebie kwestie uzgodnień z obsługą, natomiast Henri Koński Ogon wymierzył Fabrice'owi żartobliwy kuksaniec.

- To prawda? - spytał z chytrą miną. - Rzeczywiście jest taka dobra?

Molly zalała falą gorąca. Oni sobie żartowali, a ona nic nie rozumiała.

- Co ja takiego powiedziałam? - spytała czarnowłosa Sylvie lekkim tonem i z uśmiechem na ustach. - Kiepsko znam francuski. Popelniłam jakiś koszmarny błąd?

Dziewczyna machnęła ręką, jakby sprawa niewarta była uwagi.

- Powiedz, proszę - naciskała Molly. - Chciałabym wiedzieć, co to znaczy.

Sylvie zerknęła niepewnie na Oliviera. Molly spoglądała to na jedno, to na drugie.

- Powiedzcie.

Olivier wziął głęboki wdech.

- Czasami... nie w tej chwili oczywiście, ale zdarza się, że słowo *bonne* oznacza... *eah...* „biegła w miłości”.

- Aha. - Molly nadal nie do końca rozumiała, o czym mowa. Odwróciła się do Sylvie i długi czas patrzyła w jej czarne nieprzeniknione oczy. Wreszcie uzyskała jasną odpowiedź. I to w ojczystym języku.

- To znaczy: panienka do dymania.

Podskoczyła, jakby ją ktoś uderzył. Szturchnęła ręką kelnera, który znów pojawił się nie wiadomo skąd.

- *Pardon* - powiedział, jakby to była jego wina.

Panienka do dymania. Koszmarny zwrot. Oczywiście nikt ją za taką nie uważał. Tylko ten głupi Henri robił sobie kretyńskie szowinistyczne dowcipy. Fabrice nie uważał jej za... on na pewno nie...

Zaraz, co się dzieje? Sylvie wzięła ze stołu złożony kawałek papieru, a potem zaczęła szperać w torebce... przy stole zapanowało

*Robyn Sisman*

poruszenie... Molly zdała sobie sprawę, że Olivier nie zamówił następnych drinków, tylko poprosił o rachunek.

- Dokąd się wybieracie? - spytała czarnowłosą Sylvie, udając przyjazne zainteresowanie. Bogu dzięki! Wreszcie zostaną tylko we dwoje i będą mogli spokojnie porozmawiać. - Do kina. Na polski film. Klasyk.

Niestety, Fabrice także wyciągnął portfel i rzucił na blat kilka banknotów. Odsunął krzesło. Serce Molly biło tak szybko, że mało nie wyskoczyło z jej piersi.

- Fabrice, ty też idziesz? - spytała za głośno. Choć chciała, żeby jej głos brzmiał normalnie, odezwały się w nim piskliwe nutki rozpaczy. - Poczekaj... muszę z tobą porozmawiać. O... o wczorajszej nocy. - Pozostała trójka przyglądała im się ciekawie.

Spojrzał na zegarek i skrzywił się z rozdrażnieniem.

- Dobra, idźcie - rzucił pod adresem przyjaciół. - Dogonię was.

- Opadł na krzesło, niecierpliwie stukając palcami w blat.

Molly wstała i uściśnęła na pożegnanie trzy dłonie, jak to było w Paryżu we zwyczaju przy oficjalnych okazjach. Za wszelką cenę chciała utrzymać pozory normalności. - Cieszę się, że cię poznałam, Olivierze. Tak, do widzenia. Mam nadzieję, że film się wam spodoba. - Zaciśnęła ręce na oparciu krzesła. Odczekała, aż trójka przyjaciół zniknie w drzwiach, dopiero wtedy usiadła przy Fabrice'u. Zapalił kolejnego papierosa. - Cześć - odezwała się cicho. Na jedną sekundę ośmieliła się dotknąć czubkiem palca jego ręki. - W ogóle dzisiaj się do mnie nie odzywasz. Zły jesteś o wczorajszy wieczór? Nie spojrzał jej w oczy. - Czego chcesz?

O Boże, nadal się gniewał.

- Tylko porozmawiać.

- O czym?

- O tobie. I o mnie. O nas. Zaciągnął się dymem.

- O nas?

Molly udawała, że nie słyszy tego lodowatego tonu.

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy razem spędzić czas do odjazdu pociągu - podjęła głosem pełnym nadziei, nieomal radosnym.

- Do osiemnastej piętnaście. Mogłabym nawet zostać dłużej, gdybyś chciał.

*Weekend w Paryżu*

223

- Po co?

Och, gdyby tylko jej pozwolił... przepędziłaby pocałunkami ten zły humor, z rozkoszą gładziłaby Fabrice'a po włosach, zarzuciła mu ręce na szyję... Ale był tak naburmuszony, chłodny i niedostępny, że budził w niej strach.

Gdyby ją odepchnął, poczułaby się jeszcze gorzej.

- Słuchaj, jestem zajęty. - Bawił się paczką papierosów. - Mam co robić.

Molly z trudem przełknęła ślinę.

- Czy możemy to zrobić razem? - spytała lekkim tonem. -Nie.

- Dlaczego?

Zirytowany stuknął pudełkiem w blat, popatrzył na coś za jej ramieniem, spojrzał jej w twarz i zaraz spuścił wzrok.

- Dzisiaj wieczorem wraca Gabrielle. Zabrakło jej tchu.

- Gabrielle? Kto to? Dlaczego...?

Znała prawdę, zanim usłyszała odpowiedź.

- To moja dziewczyna.

Tak bardzo starała się nad sobą panować, że prawie nie oddychała.

- Rozumiem - udało jej się wykrztusić. Pochyliła głowę. Fabrice odgarnął włosy.

- *Enfin*, Molly, a czego się spodziewałaś? Przecież każdy ma swoje życie. Ty też masz kogoś w Anglii, *n'est-cepas?*

Zmusiła się, by skinąć głową, i utkwiała wzrok w kolanach.

- Nie ma z czego robić dramatu - ciągnął Fabrice. - Jesteśmy dorośli. Chyba nie powiesz, że cię do czegoś zmuszałem? - Nie, nie. - Podniosła na niego wilgotne oczy.

Trudno powiedzieć, co dojrzał w jej twarzy, ale go to rozwścieczyło. Nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Fakt, Molly, wkurzyłaś mnie - rzucił ze złością. - Pokazuję ci Paryż, zabieram cię do pracowni, funduję kolację, a ty co? Donosisz na mnie mojemu staremu. - Oczy płonęły mu oburzeniem.

- Och, Fabrice, tak cię przepraszam! Ja nie chciałam...

- Jasne! - Płasnął w stół otwartą dłonią. - Dyktujesz mi, jak mam się zachowywać. Ja. Artysta! A kim ty jesteś, żeby mnie pouczać, *hein?* Jakaś angielską idiotką, która przyjechała na weekend dać się zerżnąć Francuzowi.



*Robyn Sisman*

Molly zaniemówiła z wrażenia. Była dla niego angielską idiotką! Od samego początku. To wszystko nie tak!  
Pierwsza naiwna.

Z ogromnym wysiłkiem uniosła rękę, udając, że patrzy na zegarek.

- Ojej, Fabrice, przepraszam cię, całkiem zapomniałam... Jestem umówiona. Muszę uciekać. - Wstała, choć nogi miała całkiem zdrętwiałe.

On także się podniósł, narzucił kurtkę.

Ściskając w dłoniach torebkę, jakoś przedarła się przez kawiarniany gwar i wydostała na ulicę. Piersi przygniatał jej olbrzymi głaz. Odwróciła się do Fabrice'a i jakimś cudem wykrzywiła twarz w uśmiechu.

- Musisz już biec, bo inaczej ich nie dogonisz.

- Fakt. - Niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. - *Mors, ciao.* - Położył jej dłonie na ramionach i szybko ucałował ją w oba policzki. A potem odszedł. Nie obejrzał się ani razu.

### *Rozdział dwudziesty czwarty*

Ogrodzie Luksemburskim umierały liście. Wiele już spadło na ziemię, wiatr unosił je łagodnym powiewem, szeleściły pod stopami. Molly weszła przez otwartą na oścież bramę i stanęła u końca szerokiej piaszczystej alei. Wcale nie zamierzała tu przyjść. Nawet nie bardzo wiedziała, jak trafić. Wyglądało na to, że znalazła się w parku bez udziału woli, ot po prostu, stawiając kolejne kroki, jak lunatyk dotarła do wysokich czarnych prętów u góry pociągniętych złotą farbą. Szła wzdłuż ogrodzenia i w pewnym momencie wpuszczono ją do środka.

Odgłosy ruchu ulicznego przycichły. Szła w miękkim cieniu gęsto posadzonych drzew, tworzących mroczną ścianę pokrytą jaśniejszymi cętkami. Raz po raz wstępowała w kałużę słonecznego blasku. Ktoś obok przebiegł lekkim truchtem, ktoś inny stukał wysokimi obcasami, gdzieś niepewnie dreptało dziecko, gdzie indziej zaskrzypiała gumowa podeszwa. A ona szła ze spuszczoną głową, ukrywając przed światem łzy. Objęła się rękami, jakby jej było zimno.

Angielska idiotka. Rzeczywiście, jak najbardziej. A ona sobie wyobrażała, że Fabrice ją lubi, może nawet kocha? Była dla niego tylko łatwą zdobyczą, przygodą, *bonne*. Jeszcze wczoraj zastanawiała się, czy jest wystarczająco błyskotliwa! Inteligentna! Jakby w ogóle zauważał, że ona ma mózg! Sama się przed nim rozebrała, w imię sztuki, skuszona pochlebstwami. Zmysłowe kształty! Dała się zaprowadzić do obcego mieszkania, oddała duszę i ciało ledwo co poznanemu mężczyźnie, a potem jeszcze prawiała mu o moralności! Miał niezły ubaw! Teraz pewnie opowiada przyjaciółom o łatwo

wiernej angielskiej idiotce. Wystarczy jeden pusty komplement, jedno namiętne spojrzenie i możesz z taką robić, co ci się żywnie podoba! Na szczęście zwykle w niedzielę wieczorem wracają do domu. Cha, cha, cha.

Poszperała w torebce z nadzieją, że znajdzie coś, w co da się wydmuchać nos, ale odkryła jedynie bilet z muzeum Rodina. Trudno. Nie było innego wyjścia. Zrobiła, co musiała, po czym wrzuciła zmięty kawałek papieru do zielonego pojemnika, który wydał jej się koszem na śmieci. Zegnaj, Fabrice.

Odebrał jej całą dumę, nie zostawił nawet cienia szacunku dla samej siebie. Jeszcze nie tak dawno była rozświetloną postacią wędrującą krawędzią wysokiego klifu, pogodnie niesioną przyjaznym wiatrem. Ze szczęścia kręciło jej się w głowie, oczy błyszczały, pełne marzeń... I ślepe na wszelkie sygnały ostrzegawcze. Aż Fabrice lekko ją pchnął. „Angielska idiotka, która przyjechała dać się zerznąć Francuzowi”.

No i tak ją potraktował. Jak zwykle przesadziła z romantyzmem, nazywając ten związek miłością. To nawet nie związek, żadnej wspólnoty umysłów, boskiej radości, braterstwa dusz. Tylko przygodna znajomość, na dodatek taka, jaką zawsze uważała za odrażającą: tylko seks, bez miłości, jednorazowe bzykanko. Dobra, nazwijmy rzecz po imieniu. Pieprzenie.

Zrobiło jej się niedobrze. Podniosła głowę i wyprostowała się, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ze zdumieniem dostrzegła tuż obok kucyka, prowadzonego przez czerstwego mężczyznę z bandaną na szyi. W siodle sztywno tkwiła mała dziewczuszka. Na jej twarzyczce wyraźnie malowały się duma i wielkie podekscytowanie, choć bardzo się starała ukryć oba te uczucia za srogim grymasem. Obok szli rodzice, na zmianę chwalać ją i dodając odwagi.

Dopiero teraz Molly zwróciła uwagę na rytmiczne dźwięki przypominające wyciąganie korka z butelki i odwróciwszy głowę, ujrzała za wysoką drucianą siatką ubrane na biało postacie podskakujące i robiące gwałtowne wypady we wszystkie strony. Paryżanie grali w tenisa. Po drugiej stronie alei grupa mężczyzn ze śmiertelną powagą traktowała partię *boules*\*.

Park tętnił życiem. Chyba pół miasta wybrało się na niedzielny spacer akurat tutaj. Hałaśliwe rodziny, starsze panie, jeszcze w ele\* **Gra w kule.**

## *Weekend w Paryżu*

220

ganckich strojach z kościoła albo po niedzielnym obiedzie, młody mężczyzna z marynarką przerzuconą przez ramię, nawet policjant - schludny i wymuskany, w ciemnogrnatowym mundurze z jaśniejszym pasem na piersi i w czapce a la Charles de Gaulle. Minęła kobietę w obcisłym stroju, ćwiczącą tai chi, dwóch mężczyzn pochylonych nad szachownicą i dziewczęta z książkami na kolanach, opalające nogi. Najbardziej rzucały się w oczy objęte i przytulone pary, które całowały się, przystając w cichych zakątkach pod drzewami, trzymały się za ręce i patrzyły sobie w oczy.

Zakochani kpili z niej swoim rozpromienionym szczęściem.

Na wprost, jakby u końca tunelu, otwierała się szersza przestrzeń, rozświetlona błyszczącą w słońcu taflą wody. Molly raptem przypomniała sobie, dlaczego się tu znalazła. „Przyjaciół”. Czy aby na pewno? A może to żart albo jakieś oszustwo? Weszła w złoty blask i zatrzymała się przy kamiennej amforze na szczycie szerokich schodów. W dole lśniła duża, bogato zdobiona ośmiokątna sadzawka. Dzieci puszczały na niej statki, popychając je patyczkami. Paryżanie rozsiadali się wygodnie na zielonych metalowych krzesłach porostawianych swobodnie pod równo przyciętymi drzewkami cytrusowymi i afrykańskimi palmami, opalając się, czytając albo plotkując. Placyk otaczały kamienne balustrady ozdobione amforami i rzeźbami przedstawiającymi ludzkie postacie. W powietrzu rozbrzmiewał śmiech i plusk wody, niesło się leniwe brzęczenie pszczół. Po drugiej stronie sadzawki identyczne schody wiodły ku cieniejszej alei. Dróżka na prawo prowadziła do jakiegoś budynku z kopułą. Ta scena, artystycznie doskonała i jednocześnie cudownie żywa, obudziła w Molly jakieś niewyraźne wspomnienie. Co to było...? Już prawie złapała nieuchwytną myśl, gdy po lewej stronie dojrzała pałacyk z francuską flagą powiewającą na środkowej wieżyczce. Na wysokim frontonie ozdobionym skrzydlatymi nimfami znajdował się zegar wskazujący dwadzieścia minut po trzeciej.

„Przy sadzawce, od piętnastej do szesnastej... Będę czekać...”.

Molly przesunęła dłonią po twarzy. Na pewno wyglądała okropnie, spłakana i z opuchniętymi, czerwonymi oczami. Czy naprawdę chciała się z kimkolwiek spotykać w tym stanie? Popatrzyła ostrożnie zza amfory, przyjrzała się spacerowiczom i ludziom wypoczywającym przy stawie. Niewiele zobaczyła, byli za daleko. Nikogo nie rozpoznała. „Przyjdź, proszę”.

*Robyn Sisman*

Była mniej więcej w połowie schodów, gdy od anonimowego tłumu oddzieliła się jakaś postać i szybkim krokiem ruszyła w jej stronę. Na jej widok Molly nie mogła powstrzymać rozczarowania, a nawet irytacji. Żaden tajemniczy wielbiciel, to tylko doktorek z konferencyjnego hotelu, obcy, którego chwyciła pod ramię, uciekając przed Malcolmem. Czego od niej chciał, u licha ciężkiego? Na dodatek, kiedy się poprzednio widzieli, miała na głowie tę nieprawdopodobną perukę! Dosyć upokorzeń jak na jeden dzień.

- Molly Clearwater, prawda? - Przyglądał jej się z uwagą. - Dzisiaj wyglądasz trochę inaczej.

- Cześć. - Stuknęła czubkiem buta w stopień. - Nie chcę być niegrzeczna, ale jeśli znowu chodzi o dysk, to ja już naprawdę nie chcę nic o tym wiedzieć.

- Nie, nie. Dysk trafił we właściwe ręce. — Zamilkł niezdecydowany. Na pewno zauważył, że płakała. Molly uparcie patrzyła w ziemię.

- Odeszłam z firmy Phipps Lauzer Bergman. Kompletnie mnie nie obchodzi cała ta konferencja, a na dodatek mam za sobą fatalny dzień.

- Biedactwo. Tak mi przykro.

Zerknęła na niego zaskoczona. Uśmiechał się leciutko i naprawdę współczująco. W zasadzie wyglądał nawet całkiem sympatycznie. No i w hotelu wybawił ją z kłopotu. Tyle tylko, że akurat współczucia teraz nie potrzebowała. Groziło nowym potokiem łez. Założyła ręce na piersiach.

- To o co właściwie chodzi? - spytała. - Ta dziwaczna wiadomość, „przyjdź, proszę”, co się dzieje? Kim pan jest?

- Nazywam się Jonathan Griffin. - Wcisnął do kieszeni ręce, ale zaraz je wyjął. Molly przyszło do głowy, że jest zdenerwowany. - Czy moglibyśmy się przejść?

Zmierzyła go groźnym spojrzeniem, gotowa odmówić. Dostrzegła jednak, że jest bardzo spięty i wyraźnie ogromnie mu zależy na tej rozmowie. Tłumił w sobie jakieś potężne emocje.

Kiwnęła głową. Właściwie czemu nie? I tak nie miała nic do roboty.

Jakiś czas szli w milczeniu. Molly zachodziła w głowę, co to ma właściwie znaczyć. Może Jonathan Griffin jest jakimś zboczeńcem albo świrem? Albo kto wie... może mu się jakimś cudem spodobała? Nie odniosła takiego wrażenia w hotelu, a teraz także nie próbował robić nic, co by wykraczało poza granice uprzejmości - na przykład

wziąć ją pod rękę. Wyraźnie starał się zachować dystans. No i był strasznie stary, miał najmarniej czterdziestkę. Przecież nie zrobi jej nic złego w tłumie ludzi pośrodku miasta!

- Cudowny dzień - zauważył, rozglądając się dookoła.

Aha. Czyli mają rozmawiać o pogodzie. Molly przewróciła oczami. Z rzędu białych rzeźb, sądząc po koronach - podobizn władców, ciągnącego się wzdłuż alei, jedna odpowiedziała jej spojrzeniem pustych oczodołów.

Ale jednocześnie rozkosznie słodkie powietrze nappełniało jej płuca, słońce ogrzewało twarz i rozjaśniało wszystko złotym światłem, jakie zdarza się tylko jesienią. Tam, gdzie padło na więdnące liście, drzewo wyglądało jak posypane cynamonem. Nie sposób było pozostać obojętnym wobec piękna wspaniale zaprojektowanego ogrodu.

Szli wolno, spokojnym miarowym krokiem i ten niespieszny rytm także przynosił ukojenie.

- To prawda - przyznała.

Lekarz zaczął opowiadać o parku. O tym, że Simone de Beauvoir jako mała dziewczynka bawiła się właśnie tutaj, że był tu kiedyś teatrzyk lalkowy i stała miniatura Statuy Wolności.

- Zachowała się jeszcze prawdziwa pasieka! - dorzucił z szerokim uśmiechem. - Pójdziemy ją zobaczyć?

Skręcili w węższe ścieżki, wijące się w nakrapianym cieniu, mijali rzeźby lwów i jeleni, poetów i postaci mitycznych. Gdy przechodzili obok niewielkiego sadu ze śliwami, pokazał jej, iż każdy owoc jest dla

bezpieczeństwa osobno zawinięty w folię. I zaraz trafili do pasieki. „*Janger d'abeilles*”<sup>\*</sup> - głosiła tabliczka.

Spojrzeli po sobie z lekkim uśmiechem.

Po drodze lekarz zadawał jej pytania, ale robił to w taki sposób, że Molly nie czuła się przesłuchiwana. Czy była już kiedyś w Paryżu? Co sądzi o tym mieście?... Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej towarzysz gra na zwłokę. Tylko po co? Zatrzymała się przy jakimś ogrodzeniu.

- Chcę wreszcie wiedzieć, o co chodzi. Po co się spotkaliśmy. Czego pan chce.

Twarz mu się skurczyła, jakby go zabolął ten ostrzejszy ton. Jonathan Griffin był z pewnością sympatycznym człowiekiem.

- Widzi pan, nie jestem dzisiaj w najlepszym nastroju... - Cholera, zaraz się znowu rozplacze. Odeszła kilka kroków i zacisnęła dłoń-

**\* Uwaga, pszczoły!**

*Robyn Sisman*

nie na poręczy. Słyszała śmiech dzieci, widziała kolorowe zjeżdżalnie i huśtawki. A, tak, oczywiście. Plac zabaw. Lekarz podszedł bliżej.

- Wybacz mi. Rzeczywiście, dziwnie to wygląda... Rzecz w tym, że... - Zamilkł na długo, aż w końcu spojrzała na niego pytająco. Był niespokojny, wyraźnie szukał właściwych słów. - Za nic w świecie nie chcę ci sprawiać przykrości. Bardzo długo cię szukałem...

- Jak to? Przecież poznaliśmy się wczoraj. Poza tym, skąd pan wie, jak się nazywam? Skąd pan ma numer mojej komórki?

- A, zwyczajnie, od pana Malcolma Figga.

Malcolm! Wszystko jasne. Cienka nić sympatii natychmiast pękła.

- Dostyc tego! - warknęła. - Nie pracuję już w firmie Phipps Lauzer Bergman. Zresztą i tak byłam tylko głupią sekretarką, jak to celnie ujął mój szef.

- Molly! To nie tak! Nie mam nic wspólnego ani z firmą Phipps Lauzer Bergman, ani z tą nieszczęsnie nudną konferencją. Chodzi mi wyłącznie o ciebie.

Odwróciła się do niego gwałtownie.

- Tak? A co we mnie jest takiego interesującego?

- Jeśli o mnie chodzi, to właściwie wszystko. Pokręciła głową.

- Pomylił mnie pan z kimś innym. Ja jestem tylko zwykłą Angielką, która na weekend wyskoczyła do Paryża. Głupią kretynką, która ciągle pakuje się w kłopoty. - Znowu łzy napłynęły jej do oczu. Ukryła twarz w dłoniach. Gdyby spróbował ją teraz objąć, przyłożyłaby mu na odlew.

- E... na pewno nie jest aż tak źle.

- A skąd pan wie? I w ogóle co pana to obchodzi? Nic pan o mnie nie wie! - Zmierzyła go płonącym spojrzeniem. Owszem, zachowywała się, delikatnie mówiąc, nieszczególnie, przecież ten człowiek nie zrobił jej nic złego, ale była tak nieszczęśliwa, że już nie umiała się opanować. Patrzył na nią wyraźnie strapiony.

- Cóż, w pewnym sensie to prawda. Ale z drugiej strony, wiem o tobie całkiem niemało. Na przykład znam twoją datę urodzenia: dwudziesty czwarty maja. Wiem, gdzie się urodziłaś. Na drugie imię masz Catherine.

- Kim pan jest? Detektywem? Pokręcił głową.

*Weekend w Paryżu*

231

- Skąd pan zna moją datę urodzenia? A, już wiem: znalazł pan mnie przez Internet i czytał moją pocztę.
- Naprawdę tak sądzisz? - spytał, patrząc jej spokojnie prosto w oczy.
- Nie, rzeczywiście, nie. Ale skąd pan tyle o mnie wie? I... dlaczego pan się mną interesuje?
- Nie wiesz?

Molly pokręciła głową, jednak już w tym momencie zaświtała jej pewna myśl. Myśl niedorzeczna. Wręcz śmieszna. Griffin milczał dłuższą chwilę.

- Chciałbym ci to wszystko wyjaśnić - odezwał się wreszcie. - Chciałbym ci opowiedzieć pewną historię. Mogę?
- Molly, zapatrzona w dal, skinęła głową.

- Dawno, dawno temu miłość połączyła pewną śliczną dziewczynę i dość lekkomyślnego młodego człowieka. Spędzili razem niezapomniane lato. Ona była dla niego całym światem. Lecz gdy wakacje się skończyły, każde z nich poszło swoją drogą. On wyjechał za granicę i zaczął tam pracować. I choć bardzo, bardzo lubił tę śliczną dziewczynę, chyba nie myślał o niej tak często, jak powinien. Nie wiedział też, ponieważ mu nie powiedziała, że była w ciąży i że osiem miesięcy po rozstaniu wydała na świat córeczkę. Dowiedział się, że ma dziecko, dopiero trzy lata później, a wtedy tamta dziewczyna już go nie chciała.

- A co z córeczką? - Molly ścisnęła poręcz z całej siły. - Ona też go nie chciała?
- Tego nie wiem. Widzisz, temu młodemu człowiekowi nie pozwolono jej zobaczyć. Nie wiedział, gdzie mieszka...
- Mógł się dowiedzieć.
- Wiesz, o czym mówię.
- Nie! Może i tak. Już nic nie wiem.
- Molly, spójrz na mnie, proszę cię. Tak długo czekałem na tę chwilę. Marzyłem o niej, bałem się, tęskniłem... Ale Molly nie spełniła jego prośby. Wbiła gniewne spojrzenie w ziemię, choć przez załzawione oczy nie widziała nic. Serce jej waliło jak oszalałe. W duszy rosła nadzieja. Kręciło jej się w głowie.
- Ten młody człowiek... To byłeś... To jesteś... - Wreszcie podniosła wzrok. - Ty? Pokiwał głową. W oczach miał łzy, ale patrzył na nią bez zmrużenia powiek.
- A córeczką jesteś ty, Molly - powiedział. - Jestem twoim ojcem.



### *Rozdział dwudziesty piąty*

Z gardła Molly wyrwał się zduszony okrzyk. Odwróciła się od Griffina. Nic nie widziała, nie mogła myśleć. Kolana się pod nią ugięły, odruchowo wyciągnęła przed siebie rękę i natrafiła palcami na łuskowatą korę.

- Wybacz mi. Wiem, że to dla ciebie ogromny wstrząs. - Usłyszała jego głos. Kącikiem oka dostrzegła zatrzymaną w połowie drogi dłoń.

- Wszystko w porządku.

Nieprawda. Nic nie było w porządku. Oparła się o drzewo, z trudem łapiąc powietrze.

- Chodź, usiądź. - Ujął ją pod łokieć, więc pozwoliła się zaprowadzić do wolnej ławki. Usiadła, oparła łokcie na kolanach i pochyliła głowę. - Jak się czujesz? - On także usiadł, ale nie za blisko. Zapatrzyła się w jego skórzane, sznurowane pantofle. Po jakimś czasie odwrócił się do niej, bo jedno kolano zmieniło położenie. Możliwe, że wyrwał jej się szloch, bo zaproponował: - Przyniosę ci wody. Zaraz wrócę.

Usłyszała zgrzytanie butów na zwirowanej ścieżce. Gdy podniosła głowę, zobaczyła Griffina zmierzającego do drewnianego budynku w pobliżu. W wejściu obejrzał się, podniósł rękę - może po to, by dodać Molly otuchy, a może chciał upewnić siebie, że ma do kogo wracać - i zniknął w środku. Była to jakaś kawiarnia lub restauracja o interesującym wyglądzie. Kryty gontami dach i okapy przywodziły na myśl chatkę drwala z bajki. Przez okna Molly dostrzegła ludzi popijających kawę czy też herbatę. Ten i ów podnosił do ust kawałek ciasta.

Jonathan Griffin zaraz ukazał się znowu, z kubkiem wody w rękę, jednocześnie śpiesząc się i ostrożnie stawiając kroki, by nie rozlać płynu. Obcy człowiek. Jej ojciec. Czy to prawda? Tytu jest mężczyzną na świecie, tytu ojców powołała do życia jej wyobraźnia, a tu nagle wybór padł na lekarza w średnim wieku, w brązowej marynarce i niebieskiej koszuli.

- Proszę. Powolutku. - Włożył jej kubek w dłoń, po czym znowu usiadł i przyglądał się, gdy drobnymi łykami piła wodę. Trzymała naczynie obiema rękami. Próbowwała uspokoić wzburzone myśli. W końcu opanowała się na tyle, że odsunęła kubek od warg. - Mówisz prawdę?

- Tak. - Spojrzenie miał czułe i niepewne. Niebieskie oczy wydawały się takie same jak jej. Ale to jeszcze nic nie znaczyło.

- A skąd ta pewność, że jestem twoją... - zawiesiła głos. Nie potrafiła wymówić na głos tego słowa.

- Jesteś moją córką. Molly, jesteś moją córką. - Z jego głosu było radosne przekonanie. Jonathan roześmiał się głośno, przeczesał włosy palcami. Spojrzał jej prosto w oczy. - Nie masz pewności?

Uciekła wzrokiem w bok. Tego już za wiele. Za duże zbliżenie z obcym człowiekiem. By pokryć zmieszanie, zasypała go pytaniami. Dlaczego mówi jej to teraz? Dlaczego tutaj, w Paryżu? Dlaczego nie szukał jej wcześniej? Nie zadała tylko tego, które samo cisnęło jej się na usta: gdzie byłeś przez całe moje życie?!

- Nie umiałem cię odszukać. Była jeszcze jedna przyczyna, że nie spotkaliśmy się wcześniej, ale o niej opowiem ci za chwilę. Widzisz, przyjechałem do Paryża wyłącznie dlatego, że zobaczyłem twoje nazwisko w materiałach konferencyjnych. Firma Phipps Lauzer Bergman zaprosiła mnie już kilka miesięcy temu, lecz nie zamierzałem tu przyjeżdżać. Nie jestem jednak człowiekiem szczególnie skrupulatnym i jakoś nie znalazłem czasu na wysłanie odpowiedzi, więc kilka tygodni temu napisali do mnie znów, z prośbą o potwierdzenie uczestnictwa. Dołączyli także listę wszystkich osób biorących udział w konferencji. Przejrzałem ją pobieżnie, żeby się pośmiać w duchu ze znajomych karierowiczów i miłośników darmowej rozrywki, i już miałem wrzucić papier do kosza, kiedy wpadło mi w oko znajome nazwisko: Clearwater. Molly Clearwater. Niewiarygodne!

- Wiedziałaś, że istnieje.

- Wiedziałem o tobie od dziewiętnastu lat. Nie wiedziałem natomiast, gdzie mieszkasz, i czy w ogóle jesteś w Anglii. I nagle pojawiła się szansa, że cię zobaczę, spotkam, a nawet poznam... oczywiście

*Robyn Sisman*

pod warunkiem, że to rzeczywiście ty. Z drugiej strony Clearwater nie jest pospolitym nazwiskiem. W zasadzie byłem pewien, że to ty. A teraz, kiedy cię spotkałem, nie mam już najmniejszych wątpliwości.

I ona miała ich coraz mniej. Był taki pewny, że to prawda! Zaczęła w niej kiełkować absurdalna nadzieja. Patrzyła na niego bez słowa, ledwo rozumiejąc, co mówił.

- Mogłem po prostu zadzwonić do ciebie do pracy albo zaczepić cię przed biurem - ciągnął - ale to dla mnie sprawa tak ważna i taka trudna... Bardzo długo czekałem na ten moment. Nie chciałem być w twoim życiu intruzem, bałem się, że cię przestraszę, że mnie odepchniesz! Sądziłem, że jeśli spotkamy się w jakiejś innej sytuacji, na neutralnym gruncie, zyskamy szansę, by się trochę poznać, zanim... zanim ci wyjawię tę zaskakującą wiadomość. Chciałem się dowiedzieć, kim jesteś, miałem też nikłą nadzieję, że dowiem się, jakie uczucia żywisz względem nieznanego ojca.

- Mam rozumieć, że się mną interesowałeś?

; - Oczywiście! Mało nie oszalałem, czekając na tę konferencję! Nie wiedziałem, jak zareagujesz, czy ci się spodoba... Specjalnie na tę okazję poszedłem do fryzjera. Kupiłem marynarkę... Tak, tak, wiem, nie wygląda na nową - dodał szybko, wygładzając zagniecenia na rękawie. - Jakoś tak się zawsze dzieje z moimi ubraniami. A poza tym, nie umiem się pakować, więc po wyjęciu z walizki wszystkie rzeczy wyglądają jak psu z gardła wyjęte. Ale przysięgam ci, włożyłem ją pierwszy raz. Na twoją cześć.

W jego oczach było tyle ciepła, że Molly musiała się uśmiechnąć, choć był to uśmiech bardzo słaby. Tak czy inaczej, nie interesowała jej nowa marynarka.

- Mów dalej.

- Zaraz po przyjeździe zapytałem w hotelowej recepcji, czy już się zameldowałaś, ale jeszcze cię nie było. Ponownie sprawdziłem przed kolacją i wtedy się dowiedziałem, że twoja rezerwacja została odwołana, bo nie przyjeżdżasz. Mało brakowało, a byłbym wsiadł w pierwszy samolot i wrócił do domu. A tu wkrótce los postawił mi na drodze ciebie, przebraną za Australijkę z kruczoczarnymi włosami, recytującą francuskie rymowanki!

Molly przesunęła dłoń po włosach i poczerwieniła. Ta okropna peruka! Niezależnie od tego, jak wyobrażała sobie pierwsze spotkanie z ojcem, jeden element nigdy się nie zmieniał: wyglądała fantastycznie.

- To było okropne.

- To było świetne! Okazałaś się zaradna, pomysłowa, dzielna, wspaniała! Rozweseliłaś mnie, a czułem się wtedy fatalnie, bo przyjechałem na tę konferencję całkiem niepotrzebnie. Oczywiście, nie wiedziałem, kim jesteś, ale podejrzewałem, że masz kłopoty. Gdy tylko poznałem tego beznadziejnego Figga, natychmiast zrozumiałem, dlaczego robiłaś wszystko, by się z nim nie spotkać. A tak przy okazji: on rozpowiada, że cię zwolnił.

- To ja złożyłam wymówienie! - sprostowała oburzona Molly.

- I bardzo dobrze zrobiłaś. Każdy normalny człowiek postąpiłby tak samo. Chociaż, przyznaję, powinienem być mu wdzięczny, bo to on mimowolnie uświadomił mi, że jesteś osobą, której szukam. I od niego dostałem twój numer. Moje wiadomości cię nie wystraszyły, mam nadzieję?

- Nie, nie. Trochę tylko były... dziwaczne. Nikt nie pisze SMS-ów w ten sposób. Nikt nie używa prawidłowej interpunkcji i składni. - Stłumiła uśmiech, niepewna, czy powinna sobie z tego żartować.

- Naprawdę? - Wydawał się wstrząśnięty. Zaraz jednak twarz mu się rozpogodziła. - Wszystko jedno. Przyszłaś. To najważniejsze.

- Mało brakowało, a byłabym nie przyszła.

Spojrzeli na siebie. Mina Jonathana wyraźniej niż jakiegokolwiek słowa mówiła o jego strachu, że oczekiwanie będzie daremne, i o uldze, o radości, gdy obawy okazały się płonne. Z całą pewnością bardzo mu zależało na spotkaniu z córką. Z drugiej strony... czy rzeczywiście?

Molly z goryczą uświadomiła sobie, że dość długo czekał, by jej przekazać sensacyjną wiadomość. Pewnie teraz, skoro już zaspokoił ciekawość, zaraz sobie przypomni o jakimś ważnym spotkaniu albo może za chwilę musi pędzić na lotnisko? „Miło było cię poznać, musimy utrzymać kontakt...”. Jak śmiał wdzierać się w jej życie teraz, gdy na wszystko już za późno? Poczula się nagle przytłoczona cieniem drzew; pnie w idealnie równych odstępach robiły wrażenie więziennych krat. Gdzieś niedaleko odezwała się pozytywka karuzeli. W słonecznej plamie wystartowały stojące dęba kolorowe rumaki o karmazynowych nozdrzach i grzywach jak morskie fale. Dzieci przywarły do złoconych prętów rozpromienione, szczęśliwe, uśmiechnięte. Tuż obok czuwali rodzice.

Molly wstała.

- Odniosę kubek.

*Robyn Sisman*

- Nie, nie - zerwał się na równe nogi i wyjął jej naczynie z ręki. - Pozwól, że ja to zrobię. - Był wyraźnie przestraszony, wyczuł zmianę jej nastroju. Bał się, że Molly nie wróci.

Nagle opanowała ją nieodparta chęć, by sprawić mu ból.

- Możesz powtórzyć, jak masz na nazwisko? - spytała. - Nie zapamiętałam. Griffith czy Griffin?

- Griffin. Jonathan. A na drugie imię Peter. - Choć głos i spojrzenie miał spokojne, wiedziała, że sprawiła mu przykrość. Nerwowo obrócił kubek w dłoniach. - Molly... Nie wiem, co o mnie wiesz. Liczę się z tym, że możesz nie chcieć mnie znać. Na pewno nie będę ci się narzucał ani w niczym przeszkadzał. Jeśli każesz mi zniknąć ze swojego życia... zrozumieć. Ale... jesteś dla mnie bardzo ważna... od prawie dwudziestu lat, no i wreszcie cię poznałem. - Zamilkł, w skupieniu szukając słów. Targały nim trudne do opanowania emocje, musiał się uporać z niełatwym zadaniem znalezienia odpowiednich wyrazów, które pozwolą mu wyjaśnić dokładnie to, co czuł. - Jesteś już dorosła. Straciłem całe twoje dzieciństwo. To przykry fakt, któremu oboje musimy stawić czoło. Chciałbym ci jednak wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Chciałbym ci opowiedzieć tę historię z mojego punktu widzenia... jeśli zechcesz posłuchać. - Dobrze, posłucham. - Mimowolnie poprawiła torebkę na ramieniu. Może źle go oceniła? W milczeniu poszła za nim do kawiarni, szurając liśćmi. To jest mój ojciec, pomyślała. Spaceruję w parku z ojcem. *Je me promene dans le parc avec mon pere.*

- Zjadłabyś coś? Kawalek ciasta? - spytał. - A może się czegoś napijesz? Gorącej czekolady? Herbaty?

Pokręciła głową. - Wolałabym się przejść.

- Ja też. - Jonathan się rozpromienił.

Poszli szeroką aleją prowadzącą w stronę ogromnej szklarni.

- Latem, tego roku, kiedy brała ślub księżna Diana, wtedy jeszcze „lady Di” - zaczął - miałem dwadzieścia trzy lata i nareszcie skończyłem studia medyczne. Bawiliśmy się trochę w teatr i akurat tego roku braliśmy udział w Międzynarodowym Festiwalu Sztuki w Edynburgu. Podejrzewam, że byliśmy tragiczni, ale zabawę mieliśmy świetną. Poza tym zawsze gdzieś było jakieś przyjęcie, oglądaliśmy inne przedstawienia, a miasto tętniło życiem na najwyższych obrotach. No i pierwszego dnia pobytu poznałem śliczną dziewczynę o długich blond włosach i najpiękniejszym uśmiechu na świecie, która robiła nam scenografię. Zetknęliśmy się przy ogrom-

nej makiecie postaci Margaret Thatcher. Pani premier za nic w świecie nie chciała stać prosto. Frankie miała pistolet pneumatyczny na kołki. I moim zdaniem była fantastyczna.

- Frankie? - Molly spojrzała na niego koso.

- Tak ją nazywałem. A potem zostaliśmy Frankie i Johnnie. - Westchną). - Byliśmy szaleńczo zakochani. To były piękne dni. Trzy tygodnie. A kiedy festiwal się skończył, przedłużyliśmy sobie wakacje, skoczyliśmy na Skye, wmawiając rodzicom, że przeciągnęło się sprzątanie po przedstawieniach. Moja matka wpadła w furję, bo przed moim wyjazdem do Ameryki zorganizowała kilka przyjęć pożegnalnych i wszystkie musiała odwołać. - Uśmiechnął się szeroko. Tak pewnie wyglądał dwadzieścia dwa lata temu: pełen zapału, chłopięcy, przystojny, zdecydowany. - W końcu jednak musieliśmy się pożegnać. Planowaliśmy, że Frankie przyjedzie do mnie do Kalifornii. Z początku pisałem do niej właściwie co dzień i co rano zaglądałem do skrzynki pocztowej, wyczekując jej listów. Ale moje nowe życie miało swoje uroki i coraz bardziej mnie wciągało. Pisałem rzadziej, ona także, aż korespondencja w ogóle się urwała. - Spojrzał na Molly; widać było, że trudno mu się wysłowić. - Nie będę ci opowiadał bajek o złamanym sercu. Żyłem i cieszyłem się życiem. Poznawałem nowych ludzi, miałem interesującą pracę. Nawet nauczyłem się surfować... ehm... mniej więcej. Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem dostałem od Frankie dziwny list. Pisała, że zastanawia się nad przyjazdem do Kalifornii na święta, pytała, co ja na to. - Na twarzy Jonathana pojawiło się zakłopotanie. - Wiem, jak to zabrzmie, ale prawda jest taka, że chodziłem wtedy z bardzo atrakcyjną dziewczyną, Kristal, która zaproponowała mi spędzenie świąt z jej rodziną, w górskim domku nad jeziorem Tahoe. Mieliśmy jeździć na nartach. Nie przyszło mi do głowy, że Frankie ma do mnie pilną sprawę, więc odpisałem, że w czasie Bożego Narodzenia jestem zajęty, i zaprosiłem ją na Wielkanoc. - Zamilkł i wcisnął dłonie w kieszenie. - Więcej się do mnie nie odezwała.

W milczącej zgodzie skręcili na ścieżkę prowadzącą wzdłuż szklarni, ozdobioną drzewkami pomarańczowymi.

Właśnie zaczynano je zwozić, jaskrawym wózkiem widłowym, pod dach, na zimę.

- Mieszkałem w Ameryce trzy lata - opowiadał Jonathan. - Po powrocie zacząłem pracę w szpitalu w Birmingham.

W porównaniu z Kalifornią tutaj wiodłem ponury żywot. Pracowałem w pogotowiu, z nikim się nie umawiałem.

Pamiętałem, że Frankie mieszkała gdzieś w Shropshire, więc niedaleko. Chyba czułem się winny

*Robyn Sisman*

z powodu tych nieszczęsnych świąt... W każdym razie, w jakimś starym notesie znalazłem numer jej telefonu i zadzwoniłem. Odebrała matka i powiedziała mi, że Frankie niedawno się wyprowadziła. Nie była specjalnie rozmowna, nie chciała mi powiedzieć, dokąd właściwie przeniosła się córka ani co się z nią dzieje, ale szybko się zorientowała, z kim rozmawia, i zaprosiła mnie do siebie. Właściwie „zaprosiła” to mało powiedziane. Zrozumiałem, że muszę przyjechać i że sprawa jest ważna.

- Pojechałeś? Poznałeś moją babcie? - Historia Jonathana stawała się coraz ciekawsza. A znajomość ukochanej babci z nieznanym ojcem wydawała się szczególnie ważnym elementem.

- Tak, pojechałem, oczywiście. I w pewnym sensie poznałem ją bardzo dobrze. Catherine to wspaniała kobieta, była dla mnie wyjątkowo dobra. Ale... wybaczone pytanie, czy twoja babcia żyje?

Molly pokręciła głową.

- Umarła, kiedy miałam piętnaście lat.

- Rozumiem. To wiele wyjaśnia. Przyjmij moje kondolencje.

- Zawsze mi się zdawało, że ona coś o tobie wie. Powiedz wszystko - zażądała. - Proszę - dodała ciszej.

Wcisnął ręce głębiej w kieszenie, lekko odchylił głowę charakterystycznym ruchem i opowiedział jej o tym, jak w pewną mroźną niedzielę wyjechał z Birmingham i zgubiwszy się w drodze pomiędzy bagnistymi wzgórzami porośniętymi wrzosem i pobielonymi zadymką, dotarł na lunch spóźniony o godzinę. W domu Catherine płonął ogień w kominku, przed paleniskiem leżał wygodnie rozciągnięty taki kudłaty pies...

- Brando - przypomniała mu Molly - bo przypominał Marlona Brando z „Ojca chrzestnego”.

...o tym, jak Brando grzał się przy kominku, a z kuchni dochodziła niebiańska woń pieczonego baraniego udźca. Pani Clearwater... Catherine... usadziła Jonathana w fotelu, podała mu gigantyczną porcję sherry i podziękowała za spóźnienie, bo dzięki temu zdążyła skończyć czytać kryminał i dowiedziała się, kto był mordercą. Z ogromną tkliwością mówił o kobiecie, którą Molly kochała, przytaczając słowa babki, przywołując jej ciepłe poczucie humoru. Przy lunchu rozmawiali o wszystkim i niczym. Dopiero gdy siedli przy kominku, by wypić kawę, Catherine Clearwater poruszyła najważniejszy temat. „To, co pan teraz ode mnie usłyszysz, powierzam panu w tajemnicy. Chcę, by mi pan dał słowo, że nie zawiedzie mojego zaufania”.

## *Weekend w Paryżu*

232

Jonathan, pod wrażeniem jej uroczystej powagi, złożył obietnicę.

- Właśnie wtedy dowiedziałem się, że mam córkę, Molly Catherine, lat dwa i pół. - Przystanął i spojrzał na Molly z uśmiechem.

- Dowiedziałem się o twoim istnieniu.

- Co wtedy myślałeś?

- Z początku byłem skołowany, wstrząśnięty i zdumiony. Miałem ogromne szczęście, że twoja babcia była tak mądrą i wspaniałomyślną kobietą. Nie osądzała mnie, nie dyktowała mi, co powinienem zrobić, nie zamierzała ode mnie wyciągać pieniędzy. Zwyczajnie powiedziała, żebym sobie wszystko przemyślał i odnalazł się w nowej sytuacji, chociaż ja chyba od razu wiedziałem, czego chcę. Pamiętam, wracałem wtedy do szpitala ciemnymi, błotnistymi drogami, wycieraczki miały się po przedniej szybie jak oszalałe, w świetle reflektorów pędziły białe płatki śniegu, a ja myślałem: „Jestem ojcem!”. Catherine dała mi twoją fotografię. Gdy zatrzymałem się na stacji benzynowej, wyjąłem ją z portfela i przyglądałem ci się kompletnie osłupiały. - Miałeś moje zdjęcie?

- Tak. Chcesz je zobaczyć? - Już sięgał do kieszeni na piersi.

- Masz je przy sobie?!

- Tak, oczywiście. Usiądźmy na chwilę, dobrze? Będzie ci wygodniej oglądać.

Usiedli na drewnianej ławce otoczonej klombami radosnych petunii. Jonathan wyjął z portfela niewielkie zdjęcie z białą obwódką i pogiętymi rogami. Gdy Molly brała od niego fotografię, dotknęła jego palców. Miał ciepłą dłoń. Zdjęcie ukazywało dziewczynkę w różowych sztruksach i biało--różowej pasiastej koszulce. Mała włożyła ręce w kieszenie, patrząc śmiało w obiektyw, a na jej twarzy malował się cudowny uśmiech osoby zdecydowanej i pewnej siebie. Znała tę fotografię z rodzinnego albumu. A teraz widziała ją u obcego człowieka, który nosił przy sobie to zdjęcie dzień za dniem przez tyle lat...

- W następny weekend pojechałem do domu - podjął Jonathan

- opowiedziałem wszystko mamie i poprosiłem ją o radę. Naturalnie była zaskoczona, spytała też, czy dziecko na pewno jest moje. Cóż, w zasadzie nie miałem absolutnej pewności, ale też nie potrafiłem sobie wyobrazić, by ktokolwiek kłamał w tak ważnej sprawie, a zwłaszcza Frankie. Pokazałem mamie tę fotografię. Pamiętam to jak dziś. Stałem oparty o lodówkę, a ona włożyła okula-



ry i w mocnym świetle długo przyglądała się dziewczynce na zdjęciu.

- Nie wiem, co powinieneś zrobić, kochanie - odezwała się wreszcie - ale to są z całą pewnością brwi Griffinów. Molly spojrzała na Jonathana. Wolno przeciągnęła palcem wzdłuż cienkiej linii nad własnym okiem, podobnej do skrzydła jaskółki. Kształt tak klasyczny i nieskazitelny, że często budził zachwyt. Te same brwi widziała u niego. Te same kreski tworzyły brwi na twarzy dziecka.

Przyglądali się sobie, zdumieni potęgą tak drobnego dowodu genetycznej dziedziczności.

- Miała rację, prawda? - odezwał się w końcu Jonathan. - Odkąd cię spotkałem, patrzę głównie na twoje brwi.

Molly wolno pokiwała głową. Tak, to rzeczywiście jej ojciec. A ona jest jego córką. I jeszcze przynajmniej dwie osoby: jej ukochana babcia oraz jego matka, druga, dotąd nieznana babka, wiedziały o tym fakcie. Mroczna tajemnica wychodziła na światło dzienne. Cudownie! Strasznie... Dziwnie. Znow utkwiała wzrok w fotografii, poruszona widokiem absurdalnie krótkich nóżek i okrągłej, niewinnej twarzyczki dziecka. Jak mógł zamknąć serce przed tym maleństwem?

- I co w końcu zrobiłeś? - zapytała po dłuższej chwili.

- Zadzwoiłem do twojej babci i zapytałem, czy mógłbym cię zobaczyć, a przynajmniej jakoś się z tobą skontaktować, zależnie od tego, co Frankie uzna za stosowne. No i posłałem do niej zabawkę z prośbą, żeby w Boże Narodzenie przemyciła ją wśród prezentów dla ciebie.

- Zabawkę?

- Tak, wiem, to był załosny gest. - Jonathan skrzywił się, błędnie tłumacząc sobie jej zaciekawienie jako pogardę. - Egoistyczny. Sentymentalny. Musiałem zrobić coś, co by mi uświadomiło, że naprawdę istniejesz.

- Jaka to była zabawka, pamiętasz?

- Tak, oczywiście. Nawet dowiedziałem się później od Catherine, że lubiłaś ten „specjalny prezent”. Dopiero znacznie później zdałem sobie sprawę, że dokonałem dziwaczego wyboru. Dzieci zwykle uwielbiają zwierzęta, które dobrze znają z obrazków: misie, króliki, tygrysy... A ja wtedy myślałem chyba więcej o sobie niż o małej dziewczynce i bardzo chciałem znaleźć coś niezwykłego, coś innego, co zrobi na tobie wrażenie i zostanie ci w pamięci.

- I wybrałeś... - Molly z trudem wymawiała słowa - borsuka.

- Tak! - rozpromienił się Jonathan. - Pamiętasz go!

Coś ją dławiło w gardle, nie mogła mówić. Bertie! Jej wierny towarzysz, powiernik dziecięcych sekretów, szeptanych nocami w futrzaste ucho łaskoczące wargi. Strażnik jej marzeń o ojcu.

- Nazywa się Bertie - powiedziała cicho. - Nadal go mam, choć wiem, że jestem już stanowczo za dorosła na... -

Odwróciła twarz. Nie chciałam borsuka! Chciałam ciebie! Ale tych okrutnych słów nie mogła powiedzieć głośno. - Weź. - Wcisnęła mu fotografię w dłoń.

Podniósł na nią nieszczęśliwe spojrzenie.

- Och, Molly, tak mi przykro.

- Dlaczego nikt mi nic nie powiedział! - wybuchła. Jonathan ponownie sięgnął do portfela i wyjął z niego złożoną

- Tego listu zwykle ze sobą nie noszę, ale specjalnie zabrałem go do Paryża, w nadziei, że cię spotkam. Napisała go twoja babka. Przeczytaj.

Molly rozłożyła gołębi papier, ulubioną papeterię babci, pokryty bladoniebieską pajęczynką znajomego pisma. W rogu widniała data sprzed niemal dziewiętnastu lat.

*Drogi Jonathanie!*

*Widziałam się z Fran, odbyliśmy bardzo długą rozmowę. Ma mi za złe, że powiedziałam Ci o Molly, ale tym się nie przejmuj, jakoś sobie poradzę. Moim zdaniem powinieneś znać prawdę.*

*Obawiam się jednak, iż nie zdołam przełamać jej oporu w innej sprawie: Fran stanowczo nie życzy sobie, abyś w jakikolwiek sposób kontaktował się z Molly. Jak wiesz, moja córka jest osobą wyjątkowo samodzielną i niezależną. Podjęła trudną decyzję o urodzeniu i wychowaniu dziecka i jak dotąd radzi sobie doskonale. Nawet Ty, jak podejrzewam, przepracowany lekarz, nie masz dostatecznego pojęcia o tym, co to znaczy samotna opieka nad taką maleńką istotką, gotowość na każde zawołanie o każdej porze dnia i nocy. .*

*W efekcie Fran jest wyjątkowo przywiązana do córeczki. Nie prosiła Cię dotąd o pomoc i teraz także jej nie chce. Molly jest szczęśliwym dzieckiem, dobrze się rozwija, toteż Fran nie widzi powodu, by wprowadzać w jej życie obcego człowieka, zwłaszcza stale zajętego lekarza, który mógłby widywać dziecko rzadko i nieregularnie. Nie*

*Robyn Sisman*

*ma do Ciebie żalu, ale prosi Cię, żebyś nie próbował się z nimi w żaden sposób kontaktować. Nie zgadzam się z decyzją córki. Moim zdaniem przyjdzie czas, kiedy Molly będzie chciała wiedzieć, kim jesteś. No cóż, to nie moje dziecko, muszę szanować decyzje Fran.*

*Jonathanie, jest mi bardzo przykro. Czuję, że nie należysz do tych, co uciekają przed odpowiedzialnością. Niestety, przynajmniej na razie, musisz całkowicie zniknąć ze sceny. Możesz być pewien, że w razie potrzeby natychmiast dam Ci znać, proszę też, abys do mnie się odzywał, kiedy zechcesz. Zawsze chętnie Ci opowiem o Molly, oczywiście przy założeniu, że nie będziesz próbował jej odszukać. Musi Ci wystarczyć świadomość, że jest szczęśliwym dzieckiem i ma kochającą matkę, która zrobi dla swojego maleństwa wszystko.*

*Ściskam Cię serdecznie Catherine Clearwater*

Molly jeszcze nie do końca uświadomiła sobie, co przeczytała, gdy Jonathan przerwał milczenie.

- Zawsze miałem wrażenie, że babcia zamierzała ci powiedzieć, kim jestem, albo mi wyjawić, gdzie cię szukać.

Czekałem na to szczególnie w roku twoich osiemnastych urodzin, i potem, gdy skończyłaś dwadzieścia jeden lat.

Oczywiście, żadne wieści do mnie nie dotarły, teraz rozumiem dlaczego. Ponieważ jesteś już dorosła i możesz podejmować sama decyzje, uznałem, że mam prawo cię odszukać. Niekiedy dzieci odrzucają swoich rodziców, w sytuacjach takich jak nasza zdarza się to częściej... wiedziałem, że muszę działać rozważnie. Dopiero co zacząłem poszukiwania - i znalazłem cię tam, gdzie nigdy bym nie szukał!

Przeczytała list jeszcze raz. Z zaciśniętymi zębami. „Jest szczęśliwym dzieckiem i dobrze się rozwija"! j,Nie widzi powodu, by wprowadzać w jej życie obcego człowieka...". Nie widzi powodu? Jakim prawem mama podjęła za nią taką decyzję? Czy wiedziała, co czuła jej córka, kiedy inne dzieci siedziały u ojców na barana albo gdy tata Abi wsuwał jej w rączkę piątaka, mrużąc przy tym szelmowsko oko i szepcząc: „nie mów mamusi"? Czy domyślała się, jak to jest, kiedy ktoś trzeci robi wyłom w matczynym szklanym kloszu? Dziewiętnaście lat stracone, zmarnowane! Złożyła list, przycisnęła go krótko do warg, wspominając babcię, i oddała kartkę Jonathanowi. Podniosła się stanowczo.

## *Weekend w Paryżu*

243

- Nie siedźmy tak.

Zaskoczony podążył za nią, chowając list i portfel do kieszeni na piersi.

- Nie oceniaj matki zbyt surowo - powiedział łagodnie. - Chciała cię wychować jak najlepiej i z pewnością osiągnęła cel. Wystarczy na ciebie popatrzeć.

- O, tak, wystarczy popatrzeć!

- Stało się coś złego? - spytał cicho. - To znaczy, zanim tu przyszłaś. Powiedziałaś, że nie jesteś w najlepszym nastroju. Czy mogę coś na to zaradzić? Chętnie ci pomogę, jeśli to tylko możliwe.

- Po prostu... - Coś ją ścisnęło w gardle. - Jestem do niczego. Głupia jak but. Innym ludziom życie ściele pod nogi płatki róż, dokładnie wiedzą, czego chcą i co mają robić. A ja bez przerwy popełniam głupie... potwornie błędy. Zrobiłam z siebie idiotkę na studiach, potem kretynekę w pracy, a teraz, tutaj, w Paryżu przeszłam już wszelkie granice.

- Wcale tego nie zauważyłem. Ja widzę, że trafiła mi się najwspanialsza córka pod słońcem.

- A co ty o mnie wiesz? - Zatrzymała się i spiorunowała go wzrokiem. - Nie było cię przy mnie przez dwadzieścia jeden lat. W ogóle mnie nie znasz. Więc powiem ci: jestem do niczego. Pierwsza naiwna. Grzeczna dziewczynka. Tak mnie mamusia wychowała i zawsze kiedy usiłuję zrobić coś po swojemu, na własną rękę dla odmiany... - Zeszła ze ścieżki i objęła się rękami, mierząc gniewnym wzrokiem przez lzy rozmazaną zieleń. Kolejna rzeźba zalśniła w plamie słońca. Tym razem była to młoda dziewczyna z naręczem róż, w objęciach rozpustnego malarza. Miała suknię z głębokim dekoltem odsłaniającym pełne piersi, okrągłą twarzyczkę i maleńkie stopki wystające spod rąbka napuszonej osiemnastowiecznej sukni. - Proszę bardzo. To jestem ja. - Twoja córka, którą tak bardzo chciałeś poznać. - Śliczna osóbką, to na pewno - powiedział ostrożnie. - Natomiast jeśli chodzi o niego, to mam mieszane uczucia. Jak sądzisz, czy on na nią zasługuje?

Molly podeszła bliżej i starła jakiś porost ze stopy dziewczyny.

- Nie wiem - wyszeptła. Jonathan stanął przy niej.

- Powiedz mi, co się stało - poprosił cicho. - Opowiedz wszystko staremu ojcu.

Otworzyła usta, by zaprotestować, przecież nie miał prawa używać tego tytułu, on mu się nie należał! Zamiast tego, ku własnemu

*Robyn Sisman*

zdumieniu opowiedziała Jonathanowi o swojej znajomości z Fabri-ce'em.

- Nie zamierzałam go zdradzić - zakończyła. - Sądziłam, że mu pomagam. Ale on był taki zły, taki rozgniewany...

Czułam się jak pretensjonalna idiotka i ostatnia szmata. Sama nie wiem, co gorsze.

- Cóż, ja najchętniej strzeliłbym go w pysk. Zachowałaś się fantastycznie. A jemu zrobiło się wstyd. I bardzo słusznie.

- Naprawdę tak uważasz? - upewniła się Molly drżącym głosem.

- Ależ oczywiście. - Jego mocne przekonanie dodało jej pewności siebie. - A ty nie wydajesz mi się ani pretensjonalną idiotką, ani szmatą. - Wskazał rzeźbę. - Spójrz na tę dziewczynę. Jaka ona słodka, jaka ufna. Może popełniła błąd, wierząc artyście, ale to pomyłka, nie wina. Charakter człowieka ujawnia się w jego postępowaniu. On okazuje słabość, ponieważ jej nie docenia. Jak ten cały Fabrice śmiał cię tak potraktować? Mam nadzieję, że przynajmniej jeździłaś w kasku.

Musiała się uśmiechnąć. Niesamowicie, ale potrafił ją rozweselić. Był miły, opiekuńczy, choć trochę nieporadny, i traktował ją poważnie. Czuła, że ma w nim oparcie.

- Innymi słowy, twoim zdaniem nie jestem kompletnie do niczego - podsumowała. - I nie jesteś mną rozczarowany?

- Rozczarowany?! Dziewczyno, co ty wygadujesz! Mam prześliczną, odważną córkę, inteligentną i uczciwą! Jestem z niej dumny! Jestem tak szczęśliwy, że chce mi się krzyczeć z radości! A, krzyknę sobie, co mi tam! Huraaa!!! - zawołał. Molly zaśmiała się uradowana, ale zaraz zaczerwieniła się i rozejrzała dokoła, lekko zawstydzona. Akurat w pobliżu przechodziły dwie nieprawdopodobnie szykowne kobiety. Odwróciły się obie, obie wysoko uniosły pięknie wyregulowane brwi, a następnie... obie się uśmiechnęły. A wtedy Molly ujrzała to, co one widziały: ojca żartującego z córką. Poczula się jakoś dziwnie.

- Oczywiście moja opinia - podjął już poważnym tonem Jonathan - nie jest tu najważniejsza. Nikt nie ma prawa ci mówić, kim jesteś: ani mama, ani ja, ani ten twój szef, ani przyjaciele. A już na pewno nie jakiś bezmyślny młody Francuz na skuterze. Mama wpoila ci pewne zasady. Ja dałem ci garstkę genów. Ale ty jesteś sobą, odrębną istotą. Warto o tym pamiętać.

Te słowa spłynęły na nią jak balsam na otwartą ranę. „Jesteś sobą, odrębną istotą”. Myśl świeża i wyzwalająca. Jednocześnie poja-

## *Weekend w Paryżu*

245

wiła się inna, przekorna refleksja: proszę bardzo, on ją pouczał! Krytykował jej znajomego, „bezmyślnego młodego Francuza ! 1 na dodatek przypominał jej o zasadach bezpiecznej jazdy. Zupełnie jak prawdziwy tata!

W przyjaznej ciszy przyglądali się rzeźbie i własnym myślom, aż jakiś gołąb usiadł na głowie malarza i przyozdobił na białą jego wyuzdane loki. Molly zerknęła na ojca i oboje parsknęli śmiechem.

- Gówniany portret artysty? - wykrztusił w końcu Jonathan. - Chodź, niech szejnie.

Nie tylko brwi mieli takie same. Łączyło ich także poczucie humoru. Jonathan był bystry, wrażliwy, miły, dobrze się z nim szło

przez park. . . .

- Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej - rzuciła impulsywnie. - Nie myślałeś o tym, żeby mnie odszukać, mimo tego, co napi-

- Myślałem, pewnie, że myślałem. Wyobrażałem sobie, jak któregoś dnia spotykam cię przypadkiem... Na przykład bohaterko uratuję dziewczynkę tonącą w morzu, a potem odkryję, że to moja wyteśkniona córeczka. Wyobrażałem sobie, że lecę cię z jakiejś choroby. Albo że któregoś dnia rozlegnie się pukanie do drzwi, a kiedy otworzę, ty będziesz stała na progu. Takie tam... zwariowane marzenia...

Nie takie znowu zwariowane, zwłaszcza w porównaniu z jej rojeniami. Na przykład o statusie nieślubnej córki hrabiego Monte-pulciano. Więc Jonathan także o niej myślał. W sercu Molly rozbłysła ciepła iskierka. , .

- Ja też nie mogłam się cię doczekać - powiedziała szczerze. - Molly.. - Oczy mu zabłysły. - Bardzo się cieszę. Nie mogę twierdzić, że myślałem o tobie bez przerwy - zreflektował się - ale zawsze tkwiłaś we mnie, wracałaś jak echo bolesnego i cudownego sekretu. Byłaś takim... znakiem zapytania ukrytym w głębi serca. Choć muszę przyznać szczerze, na dobre zacząłem o tobie myśleć, dopiero kiedy założyłem rodzinę.

- Ożeniłeś się? Masz dzieci? - wychrypiała Molly. Zaraz, spokojnie, przecież to całkiem naturalne. Człowiek w jego wieku ma pełne prawo być mężem i ojcem.

- Rory ma trzynaście lat, Ben jedenaście, a Charhe w przyszłym tygodniu skończy osiem. .

Trudno było oswoić się z takimi wieściami. Więc istniały jeszcze trzy ludzkie istoty, z którymi jest blisko spokrewniona! Trzech

*Robyn Sisman*

chłopców, których ten mężczyzna przytulał, z którymi się bawił i obchodził święta. Całował ich i pocieszał, gdy pojawiały się nowe siniaki, a może nawet był przy ich narodzinach? Do serca Molly wkradła się zawiść.

- Moja żona ma na imię Georgie... to znaczy Georgina. Jest lekarzem, tak samo jak ja. Poza moją mamą tylko ona wie o twoim istnieniu. W jakimś sensie ty nas połączyłaś, bo uświadomiłem sobie, że skoro powierzyłem jej swój najcenniejszy sekret, to bardzo ją kocham. Oświadczyłem się tydzień później. Pobraliśmy się... niech policzę... Skoro Rory ma trzynaście... - Ze zmarszczonym nosem i podniesionym kącikiem ust zapatrzył się zmrużonymi oczami w niebo, licząc minione lata. A Molly doznała wstrząsu. Ileż to razy przy takiej okazji słyszała: „Nie rób takiej miny, kochanie, bo kogoś przestraszysz!”.

- Tak, będzie piętnaście lat - uznał Jonathan. - A niech to, kawał czasu! - Uśmiechnął się, trochę zdziwiony.

- Twoje dzieci nic o mnie nie wiedzą?

- Nie, jeszcze nie. Ale bardzo bym chciał, żebyś poznała moich chłopców.

Molly musiała to przemyśleć. „Georgina” brzmiało sztywnie. I trzech przyrodnych braci... A jeśli jej nie polubią?

- Nadal mieszkasz w Birmingham? - spytała ostrożnie.

- A, nie, skąd! Jeszcze ci nie powiedziałem? Przeprowadziliśmy się do Londynu. Dokładniej rzecz biorąc, do Clapham. Znanego jako Tooting. Molly patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Przecież ja mieszkam o rzut kamieniem. W Wandsworth. Inaczej zwanym...

- Earlsfield - dokończyli razem.

- Pewnie mijaliśmy się na ulicy! - krzyknęła Molly.

- I widywałeś mnie, jak szlifowałem uderzenia na polu golfowym.

- Golf! - prychnęła.

- O, z golfem coś nie tak?

- Koszmar! - oświadczyła z szerokim uśmiechem, pewna, że może się z niego ponabijać. - Mama i ja nienawidzimy tej podłej rozrywki. Pola golfowe szpecą naturalny krajobraz. Gracze chodzą w dziwacznych spodniach i kręcą kuprami...

- Nie przesadzajmy. Nie bądź taką antygolfistką. Frankie zawsze miała skłonności do przesady, gdy chodziło o ochronę środowi-

ska. W życiu nie zapomnę, jak kiedyś na Skye kąpała się w tak lodowatym jeziorze, że ja ośmieliłem się zamoczyć tylko czubek palca. Naurągała mi wtedy od mięczaków.

- Tak, to do niej podobne. - Molly, idąc, kopała zeschnięte liście. Biła się z myślami. Rozpierała ją miłość do matki, ale jednocześnie czuła gniew. Czy popełnia teraz grzech niełojalności, zaprzyjaźniając się z człowiekiem, którego matka odsuwała od niej przez dwadzieścia jeden lat? ,

Ciepłe jesienne popołudnie obudziło wspomnienia.

Z miasteczka do głównej drogi, po której jeździł szkolny autobus, były jakieś trzy kilometry. Inne matki zawsze odwoziły dzieci samochodami, natomiast Fran oczywiście miała na ten temat własne zdanie. .

- To kompletnie bez sensu! - śmiała się w głos. - My pójdziemy skrótem przez las. Łykniemy trochę świeżego powietrza, ruszymy się, a przy okazji Alleluja się przebiegnie. Nie nawdychamy się spalin i nie zanieczyścimy środowiska. Będzie fajnie, zobaczysz!

Molly była zdruzgotana. Chciała zachowywać się jak wszyscy inni, siedzieć w pasach na tylnym siedzeniu jakiejś rozklekotanej hondy, obłożona torebkami chipsów. Mama jednak wołała ją karmie bananami i niekształtymi kruchymi ciasteczkami, pieczonymi w domu, z mąki z otrębami. Nosiła kalosze i dziwaczne farmerskie kapelusze z Australii, często przyjeżdżała pod szkołę poobijanym rowerem, z zakupami w koszyku, a na bagażniku woziła mniejsze dzieci. I rzeczywiście, fajnie było wracać do domu ciepłym jesiennym popołudniem, szukając po drodze grzybów, wspinać się na drzewa i zbierać żołędzie. Niekiedy udało im się dostrzec sarnę. Wiosną szukały pierwiosnków i wypatrywały ptasich gniazd. Po drodze zabawiały się literowaniem słówek i powtarzaniem tabliczki mnożenia. „A co będzie, jeśli znajdziemy pięć gniazdek i w każdym będą trzy jajka...?”. Nigdy nie sprawiało to wrażenia odrabiania lekcji. W słotne dni śpiewały głośno, żeby zrobiło się weselej. Któregoś dnia jakiś chłopak powiedział Molly: - Twoja mama jest dziwaczna. Ale bardzo ją lubię. Dziewczyna westchnęła ciężko. Nic dodać, nic ująć. Znaleźli się ponownie u szczytu schodów prowadzących nad staw, dokładnie tam, gdzie Molly zastanawiała się, czy iść na spotkanie z nieznanym „przyjacielem" i mało brakowało, a byłaby zawróciła. Oto znów patrzyła na wodę tryskającą jak szampan z butelek, na kamienne wielkie misy, rzucające cienie w kształcie klep-



*Robyn Sisman*

sydr, na zderzenie wyrafinowanego smaku i niemal pogańskiej wesołości, radującej zmysły. Raz jeszcze pamięć podsunęła jej ulotne skojarzenie.

- Wiesz, co mi to przypomina? - odezwał się Jonathan. - Te pompatyczne rzeźby, palmy, pałac z flagą, odpoczywający ludzie...

- Bajki o słoniu Babarze! - odgadła. - Patrz, są nawet metalowe obręcze wokół trawnika. Już widzę, jak Babar i Celesta wychodzą z pałacu, odziani w gronostajowe płaszcze i z koronami na głowach.

- A Pom i Alexander w marynarskich ubrankach bawią się statkami...

- Tak... - Uśmiech na twarzy Molly zbladł, bo pomyślała, ilu dziecięcych książeczek ojciec jej nie przeczytał. Gdy znaleźli się u podnóża schodów, spojrzała na pałacowy zegar. Kwadrans po piątej. - O, nie! - Kiedy ten czas minął?

- Muszę lecieć. - Szkoda.

- Za półtorej godziny mam pociąg, a jeszcze muszę zabrać bagaż i... i w ogóle. - Nie mogła mu teraz wyjaśniać kwestii mamy i Armanda.

- Usiądź jeszcze na chwilę, dobrze? Chciałbym ci coś powiedzieć. - Poprowadził Molly do wolnych krzeseł przy brzegu stawu, a gdy usiedli, jakiś czas jeszcze milczał, przyglądając się córce z podziwem, trochę tak, jakby w zachwycie patrzył na jedną z ogrodowych rzeźb, która cudem ożyła. - Ledwo wierzę własnym oczom.

Odpowiedziała mu uśmiechem także pełnym zdumienia. Trochę nieswojo się czuła pod tym uważnym spojrzeniem. Jonathan spoważniał.

- Na wiele spraw jest już za późno. Cieszę się jednak, że cię znalazłem. Chciałbym cię dobrze poznać. Marzę, że staniesz się częścią mojego życia, tak jak Georgie i chłopcy... o ile będziesz sobie tego życzyła. Nie musisz o niczym decydować od razu. Naturalnie potrzebujesz czasu na oswojenie się z nową sytuacją i zastanowienie. Pewnie zechcesz porozmawiać z mamą... i tak dalej. - Wyjął z kieszeni wizytówkę. - Tu są wszystkie moje dane. Zawsze chętnie się z tobą zobaczę, jeśli tylko zechcesz. Proponuję, całkiem niezobowiązująco, żebyśmy się spotkali na lunchu w przyszły weekend. Tylko ty i ja. Zadzwońię do ciebie pojutrze, umówilibyśmy się, gdzie i kiedy się spotkamy. I może po tym lunchu albo innym razem, jak będziesz wołała, zabiorę cię do siebie, przedstawię rodzinie. Co ty na to?

- Zgoda. - Wzięła wizytówkę. Zwykły zadrukowany kartonik,

## *Weekend w Paryżu*

249

z ręcznym dopiskiem na odwrocie. Największy skarb na świecie. Pierwszy namacalny dowód istnienia ojca. Mało tego, zaproszenie do wspólnej przyszłości. Spojrzała na oficjalnie przedstawione unię i nazwisko. - Hm... może to głupie pytanie, ale jak właściwie mam się do ciebie zwracać?

Uśmiechnął się szeroko. .

- Jak chcesz. Może być po imieniu. Odprowadzić cię czy wolisz wracać sama?

- Chyba wolę być sama. -Rozumiem.

Wstali oboje, przeszli razem kilka kroków i przystanęli.

- Nie bardzo wiem, jak mamy się pożegnać - roześmiał się Jonathan - Czy powinniśmy sobie uściśnąć dłonie? - Trochę niezdarnie wyciągnął rękę, a Molly podała mu swoją. Trwali tak przez chwilę, spowici miękkim blaskiem słońca, zapatrzeni w swoje twarze, szczęśliwi i troszkę przestraszeni. Nie wiedząc, co powiedzieć, i me chcąc się rozstać.

Trudno zgadnąć, kto poruszył się pierwszy, ale raptem padli sobie w ramiona. Jonathan był duży, silny, pachniał czystą koszulą. Jakiś głos w głowie Molly sztorcował ją: „Czego się obsciskujesz z obcym facetem?”, ale drugi, głośniejszy, śpiewał radośnie: „To nie obcy. To mój ojciec. Moja rodzina”. Był zupełnie inny od wszystkich tych, których sobie wymyśliła, był zwykłym człowiekiem. Jonathan Griffin Miły. A co najważniejsze: prawdziwy. Nie senne marzenie znikające o świecie. Przytuliła go mocniej. Nad pasem wyczuła miękką oponkę". Oho! Za mało golfa! Ukryła uśmiech w klapie nowej marynarki. Tak, chociaż nie jest ideałem, jest jej ojcem. Możliwe, że w przyszłości częściej będą się tak żegnać - i witać. Trzeba zacząć się do tego przyzwyczajać.

### *Rozdział dwudziesty szósty*

- Teraz gdzie?

- *Tout droit.*

- Czyli w prawo, tak?

- *Attention\**, Fran!

- Czy w lewo? –*Non!*

- Nie, mamó! To znaczy prosto! Litości!

Samochód Armanda po raz kolejny skręcił gwałtownie, o włos mijając parę przerażonych turystów na środku przejścia dla pieszych. Molly poleciała przez całą szerokość tylnego siedzenia. Fran wyprostowała kierownicę i wystrzeliła na most, ścigana kakofonią wściekłych klaksonów.

- Piekielne dzwony! - zachichotała.

- Bardzo dobrze - stwierdził Armand ze stoickim spokojem. Dłonią, którą przed chwilą złapał się za serce, poklepał mamę Molly po ramieniu. - Widzisz, Fran, prowadzisz jak rodowita paryżanka.

- Wyłącznie dzięki tej cudownej maszynie - odrzekła. - Wspaniały samochód, dynamiczny, posłuszny... A ile tu tych tajemniczych przycisków! Ten do czego? - Wycieraczki skoczyły żwawo, dwa bliźniacze strumienie płynu do szyb trysnęły w górę i przez otwarty szyberdach spryskały Molly. - Aj, przepraszam.

Dziewczyna teatralnym gestem otarła twarz.

- Mamó, piłaś coś?

- Tylko wino do obiadu. Armand zabrał mnie do wspaniałej

\* **Uważaj!**

## *Weekend w Paryżu*

251

*restaurant du quartier*. Z dala od turystycznego zgiełku. Nie sposób jej znaleźć, jeśli się nie wie, gdzie szukać. Jadłam ślimaki.

- Taaa, wiem, z dużą ilością czosnku. Aż tutaj go czuć.

Nie była to prawda. Czula wyłącznie perfumy, jakiś obraźliwy zapach przywodzący na myśl magnolię. Nie tyle nieprzyjemny ile... nie na miejscu. Przecież mama używała mydła, a me perfum. Jadała soczewicę, nie ślimaki. I w ogóle jak to się stało, że siedziała za kierownicą wozu Armanda? Najwyraźniej właścicielem jej to zaproponował. Powiedział, że przyda jej się „dreszczyk”.

Rano w hotelu, jeszcze we trójkę uzgodnili, że Armand odwiezie na dworzec Molly, jej mamę oraz bagaże. Umówili się przed wejściem do Instytutu Arabskiego, który okazał się ogromną bryłą stali i szkła postawioną nad rzeką, w wyjątkowo wietrznym miejscu. Molly czekała prawie dziesięć minut, zanim wreszcie usłyszała trąbienie. Dobre parę sekund stała jak zamurowana, zanim w efektownej blondynce za kierownicą rozpoznała własną matkę, wystrojoną w jedwabną białą koszulę i obcisły żakiet z ciemnozielonego aksamitu.

- Skoczyliśmy po zakupy - wyjaśniła Fran bez sensu, unikając pytającego spojrzenia córki. - Zaszalałam trochę - zachichotała. Molly bez słowa wgramoliła się na tylne siedzenie i zatrzasnęła drzwiczki.

Oprócz zakupów w Marais, cokolwiek to miało znaczyć, a także obiadu w ukrytej przed turystami restauracyjce, zdążyli się przespacerować po ogrodzie botanicznym.

- Wspaniały, po prostu cudowny - zachwyciła się Fran, spoglądając na Armanda z szerokim uśmiechem.

- Ja też byłam w ogrodzie - rzuciła Molly nieco ponuro.

- Co mówisz, kochanie? Tu dobrze nie słyhać, bo silnik jest naprawdę potężny.

- O, nie przesadzajmy - zaprotestował nieszczercze wyraźnie zadowolony Armand. - Teraz uważaj. Jedź ostrożnie. Tak jak ten niebieski peugeot. *Non\ Peugeot! Voilä*. Spójrz, to budynek nowej opery. Mówi się, że przypomina hipopotama w kąpielni, ale przedstawienia są bezsprzecznie wspaniałe. Być może... - kolejne słowa zginęły w ryku silnika - z ogromną przyjemnością...

akustyka... . .

- Kiedyś bywałam... „Czarodziejski flet” oczywiście... taka zajęta... Bla bla bla. Molly widziała pochylone ku sobie głowy, ale ponieważ tamci dwoje nie byli uprzejmi podnieść głosu, a ona nie chciała

Robyn Sisman

wyciągać szyi między przednimi siedzeniami, słyszała niewiele. Skrzyżowała ręce na piersi, założyła nogę na nogę i zirytowana machała stopą. „Jak ci minął dzień, kochanie? - powinna spytać szanowna pani matka. - Aha, więc nareszcie poznałaś tatusia”. „Przykro mi, że mój wredny syn tak podle cię potraktował” - takich słów należało się spodziewać od Armanda.

Ale nie. Skądże! Armand rozplýwał się w wyrazach współczucia z powodu ubogiej oferty kulturalnej w miejscu, które nazywał *Mince d'heure Epice-corps-pis*.

- Cóż, w Minster Episcopi bywa nudnawo, to prawda - przyznała Fran - ale przecież...

Córka posłała jej przez wsteczne lustro urażone spojrzenie. Co to znaczy „nudnawo”? Przecież to ich dom! Zaraz, zaraz, co ona ma na rzęsach, tusz? Molly przygryzła wargi. Dobrze, zaczeka. Niedługo zostaną same, na całe trzy godziny. Co prawda nie planowała powrotu do Londynu w towarzystwie mamusi, ale teraz czuła coraz gwałtowniejszą potrzebę bardzo, ale to bardzo szczerzej rozmowy. Ponieważ nie była szczęśliwa jako dziecko. I potrzebowała ojca. A on o niej myślał - przez cały czas. Chciał ją poznać. Ale mamusia nie pozwoliła. I dziwić się, że tak mało wie o mężczyznach! I że jej życie uczuciowe to jedna wielka katastrofa!

Z przedniego siedzenia dał się słyszeć perlisty śmiech. Długie kosmyki jasnych włosów powiewały na wietrze.

Matula zachowywała się, jakby była o połowę młodsza! I po co jej ten nowy żakiet, skoro od wielu lat miała doskonałą kurtkę firmy Barbour? I co takiego, u licha, mówiła Armandowi, temu wymuskanemu Francuzowi, że słuchał jej z taką wyteżoną uwagą?

Odchrząknęła, westchnęła ciężko i żałośnie zapatrzyła się w przestrzeń. Chyba miała początki choroby lokomocyjnej. Ale kogo to obchodziło? Wreszcie postanowiła jednak posłuchać rozmowy. Przesunęła się do przodu, prawie klęknięła na metalowej osłonie hamulca ręcznego, wbiła łokcie w skórzane siedzenia i wcisnęła głowę między oparcia. Raptem zapadła cisza, zupełnie jakby w coś im przeszkodziła.

- Jak ci poszło na łyżworolkach, kochanie? - zapytała Fran wesoło.

- Dobrze. - Z pogardą potraktowała tę nieudolną próbę nawiązania rozmowy.

- A... jak on się nazywa... Ach, Fabrice! Dobrze się bawiliście? Co to za pytanie!? Jaki brak wyczucia!

## *Weekend w Paryżu*

246

- Opowiem ci w pociągu - powiedziała cicho Molly ze spuszczoneymi oczami.
- Ach... No tak... Widzisz... - Fran zerknęła na Armanda.
- Poprosiłem twoją mamę, by została kilka dni - podjął gładko Francuz. - Na pewno z ogromnym zainteresowaniem obejrzy paryskie ogrody: Parc de la Villette, dach Gare Montparnasse i tak dalej. Poza tym pracuję nad projektem nowego centrum kultury w Biarritz, na wybrzeżu Atlantyku, na pewno wiesz, gdzie to jest. Mam nadzieję, że Fran pojedzie tam ze mną i pozwoli mi skorzystać ze swoich rad.
- Jakich rad? - zdumiała się Molly. - Na jaki temat?
- Architektury krajobrazu, *Hen sur\**. Relacje pomiędzy strukturą i przestrzenią, architekturą i naturą, *euh...*
- Ochrona środowiska - odpowiedziała Fran.
- *Exactement\*\**.
- Ale... Ale... A co z twoimi planami, mamó? A Alleluja? I kurczaki?
- Jakoś przeżyją te parę dni. Zadzwoiłam do kilku osób, zadbają o nasz dom. Bo widzisz, skoro już tu jestem... I pogoda jest taka piękna... Chociaż oczywiście, jeśli mnie potrzebujesz...
- Taki egoizm nie mieścił się w głowie Molly. „Jeśli mnie potrzebujesz”! Niesłychane! Akurat teraz, kiedy nie ma pracy ani pieniędzy, za to ma złamane serce i przeszła największą burzę życia! Prychnęła i już zamierzała odpowiedzieć tak, żeby matce w piętę poszło, ale zanim znalazła odpowiednie słowa, odezwał się Armand.
- *Mais quand menie*, Fran, przecież Molly ma osobny dom i własne życie. A tobie przyda się urlop. W Biarritz jest absolutnie wyjątkowa restauracja, gdzie podają mięso młodych dzików pieczone z pieczarkami, liściem laurowym i *soupeon\*\*\** kolendry.
- Mama nie jada mięsa - zaprotestowała Molly.
- A jakie tam mają ryby! Oczywiście doskonale. Kto wie, może uda nam się wykąpać w oceanie, jeśli woda będzie jeszcze dość ciepła.
- Dla mnie nie musi być podgrzewana - rzuciła lekko Fran.
- Jasne, mama pływała nawet w lodowatym szkockim jeziorze - odezwała się Molly. - Prawda, mamusi?
- \* **Oczywiście.** \*\* **Właśnie.** \*\*\* **Szczypta.**

Robyn Sisman

- Tak? Możliwe. Jakoś... sobie nie przypominam. Armand przeniósł wzrok z matki na córkę i odchrząknął.

- Jeśli chodzi o pracę, Molly, to mam dla ciebie pewną propozycję. Moja stara przyjaciółka, Angielka z ogromnym wdziękiem i talentem, organizuje coś w rodzaju nowego festiwalu literatury, nie pamiętam dokładnie, gdzie to się ma odbywać, ale biuro jest w Londynie. W Soho, jak mi się zdaje. Szuka *assistante*, osoby, która będzie wysyłała zaproszenia pisarzom, zorganizuje rozkład zajęć, przygotuje dla nich miejsca w hotelach i tak dalej. Naturalnie od razu pomyślałem o tobie.

- O mnie? Jak to? - Nie śmiała nawet marzyć o tak wspaniałej pracy. Może trzeba będzie zatelefonować do Martina Amisa...?

- Oczywiście, że o tobie. Jesteś inteligentna, czarująca, uczciwa, interesujesz się literaturą. Na pewno potrafisz ciężko pracować.

- O tak - wtrąciła się Fran. - Pamiętam, jak w warzywniaku... - zamilkła, bo Molly zgromiła ją spojrzeniem. Armand podał jej kartkę wyjętą z kieszonki na piersi.

- Proszę, tu są szczegóły. Zgłoś się tam jutro.

- Jutro?

- Oczywiście. W poniedziałek. Na początku tygodnia.

- Ach... No tak. - Inteligentna. Czarująca. Uczciwa. Rzeczywiście jest właśnie taka? Malcolm miał o niej całkiem inne zdanie. Ale też... ojciec nazwał Malcolma beznadziejnym i był wyraźnie dumny, że złożyła rezygnację. Może ona jednak nie jest tak kompletnie do niczego? Impulsywnie wychyliła się do przodu i cmoknęła Armanda w policzek. - Dziękuję. Jestem ci ogromnie wdzięczna.

-*De rien, ma petite*\*. - Niepotrzebnie przyglądził doskonale ułożone włosy.

Molly usiadła prosto i starannie włożyła kartkę do portfela. Gdy podniosła wzrok, zdała sobie sprawę, że mijają kolejne światła, następne drzewa, ulice, przejścia dla pieszych. Za moment wyjedzie z Paryża. Dziwne uczucie. Trochę gorzkie, a trochę słodkie. Starła się zatrzymać w pamięci ostatni widok zielonych kiosków, czerwonych markiz i bulwarów z równymi rzędami drzew. I jeszcze kafejka, gdzie ludzie stłoczeni przy stolikach ustawionych na chodniku piją, rozmawiają, gestykują, skapani w ognistoczerwonych promieniach zachodzącego słońca.

\* **Nie ma za co, moja mała.**

## *Weekend w Paryżu*

255

A oto znowu plac Republiki. Właśnie tutaj dotarła tej pierwszej, przerażającej nocy, a potem... Nie, nie. Nie będzie myślała o tym, jak akurat tutaj stanęli pod światłami, tuż przy tej kawiarence. Wtedy mocno obejmowała Fabrice'a w pasie, jeszcze nie wiedziała, co będzie dalej. Trudno powstrzymać falę nostalgii i pożądania.

- *Allez\**, Fran! Masz pierwszeństwo.

- Naprawdę? Coś takiego!

- *Vite, vite\*\*!*... Brawo!

Zachowywali się jak dzieci. Armand zaczął się przechwalać podgrzewaniem przednich foteli.

- Ale luksus! - zachwyciła się Fran, rzucając mu spojrzenie, co tu kryć, najzwyczajniej w świecie zalotne.

Prawdziwy skandal.

Raptem znikąd napłynęło wspomnienie, choć nieproszone, to żywe i dokładne w każdym szczególe. Miała dwanaście lat, zbliżało się Boże Narodzenie. Jednym z powodów do dumy Molly i mamy był fakt, że zawsze same robiły kartki świąteczne oraz bożonarodzeniowe upominki.

- Tak jest o wiele oryginalniej, niż kupić je w sklepie - tłumaczyła Fran.

Wobec czego, zamiast nabywać różne „plastikowe śmieci”, razem piekły keks. Molly z uwagą odważała suszone owoce, mama kroїła je wielkim ostrym nożem, a potem rywalizowały, która piękniej ozdobi ciasteczka. Pojawiały się na nich drzewka świąteczne, dzwonki, gałazki choiny, bałwanki. Bywało, że we dwie pokrywały stare pudełka po butach papierem prezentowym z poprzedniego roku, a w środku układały warstwy domowej roboty truflie o nieszczerzólnych kształtach, lecz smaku i zapachu tak cudownym, że Molly raz aż się pochorowała, bo z łakomstwa wylizała wszystkie naczynia i narzędzia wykorzystane do przygotowania masy.

Tamtego pamiętnego wieczora siedziały przy kuchennym stole, piecyk grzał, z magnetofonu słychać było kolędy w wykonaniu chóru King's College, albo może jakieś stare nagrania mamy - Blondie czy Michaela Jacksona... Na gazetach przygotowały wszystko, co potrzebne do tradycyjnych robótek: przysadziste buteleczki tuszu, fiołki z brokatem, wateę na brodeę Świętego Mikołaja, wachlarz kolorowego papieru - zielonego, czerwonego, złotego i srebrnego, a także gigantyczny zapas flamastrów.

**\* Jedź. \*\* Prędzej, prędzej!**



*Robyn Sisman*

- Zastanawiam się, czyby nie zaprosić w tym roku na Wigilię Jema - rzuciła Fran od niechcenia. Molly, wyczulona na każde drgnienie jej głosu, doskonale zdawała sobie sprawę, że pytanie stanowczo nie jest postawione od niechcenia.

- Co ty na to?

Jem był miejscowym cieślą. Plotka niosła, że niegdyś studiował w Eaton College, choć teraz wiódł pustelnicze życie w jurcie na jednym z pól lorda Spilsbury'ego, jedynie w towarzystwie psa, Kipa. Latem wykonał w domku Molly i mamy mnóstwo różnych prac. Między innymi zrobił regał na książki w sypialni i naprawił spalone od wilgoci drzwi, które się nie domykały. Był szorstki w zachowaniu, nieokrzesany i burkliwy, wołał za nią: „zdrówka życzę maleńkiej słodczy” - i takiego Molly go polubiła. Drewno było mu posłuszne jak nikomu innemu. Pewnego razu pracował do późna i został na kolacji. Była to prawdziwa uczta dla ciała i duszy, jeden z najlepszych wieczorów w roku. Jem usmażył naleśniki, a robił to tak zabawnie, takie dał przedstawienie, potrząsając patelnią i tańcząc przy kuchni, że mało nie pękły ze śmiechu. Kip wtórował mu dzielnie, wykonując różne psie sztuczki. Po kolacji gość nauczył je obie grać w pokera. Grali na rodzinie, Molly okazała się najlepsza, bo dostała fula. Poszła spać z dwudziestoma sześcioma rodzinami. Przytuliła się do Bertiego cudownie rozgrzana i fantastycznie zmęczona.

Zasnęła, słuchając dobiegających z parteru rozbawionych głosów dorosłych i ich beztróskiego śmiechu.

Potem Jem zaglądał częściej. Molly nauczyła się rozpoznawać warkot silnika jego pikapa. Czasami, gdy wracała ze szkoły, zauważała, że coś się w domu zmieniło: przybyła nowa półka, dach szopy nie przeciekał...

- A, tak, Jem do nas zajrzał - mówiła Fran zbyt lekkim tonem i z oczami zbyt mocno roziskrzonymi.

Szybko pojawiły się inne nowości. Mama czasami „wyskakiwała do pubu”, „na niewielkie przyjęcie” czy zabierała Alleluję na nadprogramowy spacer do lasu. Tego samego lata opuściła Molly na całe dwa dni - pojechała na festiwal do Glastonbury - z dużą grupą, ale samochodem Jema. Ściśnięci razem z namiotami i kuchenkami, wyglupiali się jak dzieciaki z podstawówki.

Mama zrobiła się figlarna i zalotna, a to się Molly stanowczo nie podobało.

Dlatego też tamtego wieczora najpierw wzięła w rękę klej i starannie nałożyła go na odwrotną stronę bałwana wyciętego z papieru.

- Akurat Jema?

*Weekend w Paryżu*

257

- Będzie nam weślelej we trójkę. Trochę mi go szkoda, mieszka zupełnie sam w tym zimnym namiocie...

Molly nieśpiesznie przykleiła bałwanka na kartce. Wygładziła go pięścią.

- Alleluja nie byłaby zadowolona. Nie lubi Kipa. Przy nim zawsze się chowa pod pianino. A poza tym, lubię, jak jesteśmy w Boże Narodzenie tylko we dwie. - Spojrzała na matkę szeroko otwartymi, niewinnymi oczami. Obie były przestraszone jej siłą. - A ty, mamusiu?

- Ja też, kochanie. - Fran zawahała się tylko przez sekundę. Pogładziła córkę po rękę ciepłą dłonią.

Molly się uśmiechnęła.

- Molly i mama - zaczęła starą rodzinną mantrę.

- Mama i Molly - posłusznie odpowiedziała matka.

I to był koniec Jema w ich rodzinie. Jeszcze raz czy drugi, gdy Molly wybrała się na spacer z Allelują, widziała na drodze jego samochód i czekała, żeby ją powitał swoim wesołym: „zdrówka życzę maleńkiej słodczy!”, ale on nawet nie zwolnił. Niedługo potem się wyprowadził. Ludzie mówili, że do Kornwalii. Fran nigdy o nim nie wspomniała.

Teraz, patrząc na mamę z Armandem, Molly dostrzegała te same objawy, ten sam napływ energii. I tak samo jak wtedy miała ochotę to ukrócić. Nadal mogła spowodować, żeby razem wróciły do Londynu. Wystarczy kilka łez na peronie, jakieś chlipnięcie - i mama zrobi wszystko, co zechce córka.

- *Alors*, zbliżamy się do stacji, Fran. Uważaj na taksówki. Jeżdżą, jak chcą. - Armand z gracją poprawił się na siedzeniu. - Molly, wybaczysz nam, że nie odprowadzimy cię do środka. Obiecałem zabrać twoją mamę na koncert w Sainte Chapelle. Musimy się śpieszyć, mamy mało czasu.

Zanim zebrała myśli, samochód już stał przed szarą fasadą dworca. Armand wyskoczył pierwszy i otworzył Molly drzwi. - Wyjmę twój bagaż.

Fran także wysiadła. Miała na sobie skórzane spodnie!

- *Voilà*. - Szarmancki gospodarz postawił walizkę Molly na chodniku i zatrzasnął bagażnik, ale nie dość szybko, bo dostrzegła kosztownie wyglądające torby podróżne. Ledwo zdążyła rzucić mamie spojrzenie pełne wyrzutu, gdy Armand już całował ją na do widzenia. Po jednym cmoknięciu w każdy policzek. - Zajrzyj niedługo do Paryża, Molly. Zamieszkas w moim apartamencie, *heinl* - I już

*Robyn Sisman*

był z powrotem w samochodzie, taktownie zostawiwszy dziewczynę sam na sam z matką.

Tyle tylko, że Fran wcale nie wyglądała na jej matkę ani tak się nie zachowywała. Aż trudno uwierzyć, że zamierzali zostawić ją samą na ulicy.

- Mamo, na pewno wiesz, co robisz? - spytała z troską Molly. - Armand jest miły, ale to przecież Francuz. Pewnie ma jakąś... no wiesz... kochankę - szepnęła.

- Przypuszczam, że niejedną - odpowiedziała Fran z rozmarzonym uśmiechem. - Miałam wrażenie, że wszystkie sprzedawczynie go znają. Także w sklepie z doskonałą bielizną.

- Mamo! Czy ty...?

- Oczywiście, że nie. - Ale wyglądała na winną. Zaraz jednak się rozpogodziła. Pogładziła córkę po policzku. - Nie martw się o mnie, kochanie. To tylko przygoda. Wiem, że zachowuję się niepoważnie, ale... to tak cudownie dla odmiany pozwolić się sobą zaopiekować, wyręczać się we wszystkim, niczym się nie przejmować. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

- Idziesz, Fran? - zawołał Armand niecierpliwie. - Czas na nas.

- Do widzenia, kochanie. - Fran objęła córkę i mocno uściśnęła.

Molly przywarła do niej, zaciśnęła powieki, miała ochotę schronić się na zawsze w matczynych ramionach, dających ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Tyle że tym razem poczuła raczej drżące oczekiwanie, podekscytowanie, które nie miało z córką nic wspólnego. I jeszcze te nowe perfumy! Wreszcie to Molly pierwsza odstąpiła o krok i przyglądała się, jak matka z radością sadowi się za kierownicą. Silnik z rykiem wrócił do życia.

- Powodzenia w nowej pracy! - uśmiechnęła się Fran przez otwarte okno. - Do zobaczenia!

Wóz ruszył po bruku. Jeszcze ręka okryta zielonym aksamitem zamachała wesoło przez okno. Molly ujrzała na tle zachodzącego słońca głowy dwóch osób już pogrążonych w rozmowie. Krótco błysnął lewy kierunkowskaz, zaraz potem włączył się prawy. W końcu auto pojechało na wprost, przecięło zatłoczoną ulicę i zniknęło w jakiejś bocznej przecznicy, wyjąc jak potępieniec.

A Molly została na placu między szeleszczącymi liśćmi. Wreszcie podniosła walizkę i noga za nogą powlokła się do pociągu.

### *Rozdział dwudziesty siódmy*

Kolejka drgnęła o kilka centymetrów. Czyjś wózek wyrznął Molly w tydkę.

- Wybacz, kochanieńka! - odezwał się za nią głos z silnym akcentem z Lancashire.

Pokiwała apatycznie głową i odwróciła się tylko tyle, by dojrzeć bezkształtną zieloną garsonkę i szare włosy ułożone w coś na kształt fryzury pamiętającej znacznie lepsze czasy. Obok pani stał pan, zapewne mąż, mężczyzna słusznej postury, z dumą prezentując kapelusz z napisem „Kocham Paryż”.

Mechanicznie przesunęła do przodu własny wózek i oparła się na poręczy.

I tak oto kończyła się jej przygoda. Żegnaj, słoneczny blasku na Sekwanie, żegnajcie, parasole na chodnikach, przeminął na zawsze stukot obcasów na bruku, geranium na balkonach. Żegnajcie, psiaki w strojnych ubrankach, kobiety z powiewnymi apaszkami, staruszkowie łowiący ryby na nadbrzeżu, *pdtisseries*\* i *epiceries*\*\* , pomniki i fontanny tryskające w niebo. Żegnaj, radości, żegnaj, przygodo, oto odchodzi w przeszłość blask przepychu i płomienny romans. Żegnaj, Paryżu.

Teraz czekała ją już tylko szara i smutna przyszłość. Wszystko było przykurzone i nieciekawe. Zamieszanie i zdenerwowanie przy biletach i rozkładzie jazdy. Odprawa podróżnych linii Eurostar odbywała się na galerii, tuż pod dachem. Nie sposób się tu było dopa-

\* **Ciastkarnie.**

\*\* **Piekarnie.**

*Robyn Sisman*

trzyć nawet krztyny dostojenstwa właściwego całemu dworcowi. Żadnego wdzięku, stylu, tylko kłębiąca się masa ludzi z bagażami, zmierzająca w stronę wąskiego przejścia, gdzie stewardesa w niebiesko-żółtym uniformie sprawdzała bilety i kierowała pasażerów do kontroli paszportowej. Po odrętwiałym mózgu Molly obijały się echem regularnie wygłaszane komunikaty. „Prosimy nie zostawiać bagażu bez opieki”. „Palenie zabronione”. „Pociąg z Abbeville przyjechał na peron siódmy”. „Eurostar do Londynu odjeżdża za dwadzieścia minut”.

Niedługo będzie w drodze do znajomej nudnej Anglii, do Sal i wspólnego zaniedbanego mieszkania. Paryż zblaknie we wspomnieniach, odejdzie w niepamięć piękna Molly Clearwater, która tańczyła ubrana niemal wyłącznie w złotą spódnicę i ośmieliła się pokazać piersi.

Już stawała się niewidzialna. Nikt jej nie dostrzegął. Własna matka ją opuściła.

- „Uciekają ode mnie ci, którzy niegdyś mnie szukali” - mruknęła ponuro. - „Byli grzeczni, potulni, łagodni, lecz zdziczeli teraz i pamiętać nie chcą”\*.

Nie zrobiła nawet jednego zdjęcia. Nie kupiła choćby jednej pocztówki. Zostały jej tylko bilet w kieszeni i gorycz w sercu. A w Anglii na pewno znowu pada.

Powstała przed nią luka, więc Molly posłusznie zrobiła krok do przodu, niczym owieczka w stadzie. Kolejka zaczynała się niecierpliwic. W kontroli paszportowej pracował tylko jeden urzędnik i odprawiał pasażerów z podziwu godnym brakiem pośpiechu, choć wielki dworcowy zegar nieubłaganie odmierzał kolejne minuty. Francuzi bezwstydnie wciskali się bez kolejki, Brytyjczycy szemrali z oburzeniem. Gdy Molly poczuła na ramieniu stuknięcie, ledwo powstrzymała irytację. Nie trzeba mnie popychać! Znowu ktoś dotknął jej ramienia. Tym razem się odwróciła.

- Fabrice!

- Całe szczęście, że jeszcze cię złapałem.

Wyraźnie biegł. Skórę pokrywała mu cieniutka warstewka potu, włosy przylepiły się do czoła. W rękę trzymał kask, z którego sterczał jakiś zwinięty papier. Żar bijący z jego oczu mógł zawrócić w głowie każdej kobiecie.

Molly ścisnęła rączkę wózka.

\* **Thomas Wyatt.**

*Weekend w Paryżu*

254

- Co ty tu robisz?
- Chciałem się z tobą zobaczyć... i porozmawiać.
- O czym?

Odgarnął włosy porywczym gestem.

- Jesteś na mnie zła. *C'est normal\**. Zachowałem się bardzo źle. Wstyd mi. Naprawdę. Był taki rozgorączkowany, taki męski w rozpiętej skórzanej kurtce. Pod cienką bawełnianą koszulką odznaczał się prawie każdy mięsień, opięte dżinsy uwydatniały biodra. Molly odwróciła wzrok.

Fabrice przecisnął się bliżej i złapał jej walizkę.

- Gadałem straszne bzdury. Potem, w kinie, cały czas widziałem tylko twoją twarz. Musiałem cię znaleźć.

Patrzyła na jego palce i czuła je na własnej skórze. Doskonale pamiętała, jak nią zawładnęły, jak rozpałyły w niej ogień.

- Kochanieńka, możesz się ociupinę przesunąć? - spytał głos za plecami.

I ściągnął ją na ziemię. Kolejka posunęła się dobry metr, a ona tego nie zauważyła! Skup się.

Wracała do domu. Koniec z Paryżem! Koniec z Fabrice'em! Zranił ją i poniżył, przez niego czuła się jak ostatnia idiotka, jak zwykła szmata.

Mocno pchnęła wózek do przodu i Fabrice został sam.

- Molly, proszę cię. - Nie dawał za wygraną. - Słuchaj, tak się nie da rozmawiać. Chodź. Znajdziemy jakiś spokojny kąt. Daj ten *chariot\*\**. - Obrócił wózek, wypchnął go z kolejki i przesunął pod ścianę.

- Fabrice! Nie zdążę na pociąg! - Ale poszła za nim jak na smyczy.

Co ona właściwie wyprawia? Przecież to czyste szaleństwo. Boże, jaki on jest apetyczny! Dworcowy zegar wskazywał dwanaście minut do odjazdu pociągu. Molly zerknęła przez ramię. Pan „Kocham Paryż” podniósł do góry kciuk, uśmiechnął się porozumiewawczo i wskazał podłogę przed sobą, dając znać, że zajmie jej miejsce w kolejce. Obdarzyła go nieprzytomnym uśmiechem.

Fabrice rzucił swoje rzeczy na wózek i pchnął go dalej w bok. Złapał Molly za łokieć, obrócił i oparł o ścianę.

Odgroził sobą od całego świata.

\* **Nic dziwnego.** \*\* **Wózek.**

*Robyn Sisman*

- Tak lepiej, co?

- Tak? - wydyszała Molly. Zdradziecki uśmiech zaczął podnosić kąciki jej ust. - Posłuchaj - uwolniła łokieć z uścisku - śpieszę się. Mów szybko, czego chcesz.

Pochylił się i spojrział na nią z bliska przez gęste czarne rzęsy.

- Chcę cię przeprosić. Posłuchaj... - Splótł palce z jej palcami i delikatnie zakołysał jej dłonią. - Powiedziałem parę ostrych słów, całkiem niepotrzebnie. Byłem wściekły, nie wiedziałem, co robię. Znajomi się ze mnie nabijali. Molly, proszę, powiedz, że mi wybaczasz. Angielska idiotka, która przyjechała na weekend i dała się zerznąć Francuzowi! Z trudem przełknęła ślinę. Pokręciła głową.

- Zrobiłem ci wielką przykrość, ale siebie też zraniłem. Prosto tutaj. - Uderzył pięścią w serce. - Nie docierało do mnie, jaka jesteś niesamowita. Popatrz na mnie. Powiedz, że się nie gniewasz.

Wolno podniosła wzrok. Pełne, zmysłowe wargi, doskonałe rysy twarzy, policzki z cieniem zarostu, aksamitne spojrzenie. Taki był skruszony, taki pociągający, miał taki nieodparty wdzięk...

- Dobrze - szepnęła.

Fabrice uśmiechnął się, rozjaśniając cały świat. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował namiętnie. Był niedorzeczny. I cudowny. - *Tu vois\*?* Łatwo mnie uszczęśliwić. A teraz... oczywiście nie pozwolę ci zniknąć. - Ujął jej drugą rękę, założył obie za swoje plecy i przycisnął Molly do siebie. - Zostań ze mną - szepnął. - Zostań w Paryżu.

- Nie mogę! - Dlaczego?

- Pociąg... -*Bof.*

- Bilet...

- Ej... mała...! - Potarł nosem o jej nos.

- Mam szansę na ciekawą pracę. A to dla mnie ważne.

- Jasne. Ale dzień czy dwa nie robią różnicy.

Poruszył biodrami, a pod Molly ugięły się kolana. Zamknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć, dlaczego właściwie musi wracać, czemu nie może zostać w Paryżu. Wsparła czoło o pierś Fabrice'a. Był ciepły, pachniał sobą.

Najchętniej zdarłaby z niego ubranie. Zębami.

\* **Widzisz?**

*Weekend w Paryżu*

263

- Dobrze nam było razem, prawda? - Jego oddech łaskotał ją w szyję. - Lubisz mnie? Chociaż troszkę? Pamiętasz, jak u ojca...?

O, tak, pamiętała. Nie sposób zapomnieć. Jak śmiał jej to teraz przypominać?!

- Przestań! - Oswobodziła się i odsunęła o krok. - Po co tu przyszedłeś? Zawracasz mi głowę, robisz ze mnie idiotkę, udajesz, że ci na mnie zależy...

- Nie udaję!

- ...chociaż byłeś, jesteś - ponizające było, że akurat ona mu o tym przypominała - i pewnie będziesz z tą swoją Gabrielle.

- Molly, przysięgam ci, *je te jure*, między mną a Gabrielle wszystko skończone. Ja to czuję. Odkąd poznałem ciebie, wcale o niej nie myślę. To tylko zwykła dziewczyna, nie warto sobie nią zawracać głowy.

- Ale powiedziałeś...

Jednym gestem dłoni odsunął wszystko, co zostało powiedziane. Chwycił ją za rękę.

- Nie masz powodu być zazdrosna o Gabrielle. Ona mnie nie dotyka tak jak ty. Nie ma twoich niebieskich oczu, długich jasnych włosów, wspaniałych piersi. *Les seins superbs*. - Spojrzał na nie z nieskrywanym zachwytem. - Ty, Molly, jesteś kobietą. A Gabrielle jest... *enfin*, my to nazywamy *la carte bleue*. - Przesunął dłonią po torsie gestem, którego nie sposób było nie zrozumieć: płaska jak deska.

- Jesteś niesprawiedliwy! - Ale jednocześnie zachichotała.

- To jak, zostajesz? - Oczy mu się zaświeciły.

- Bo co, bo ci się podobają moje piersi? - Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Kątem oka dostrzegła, że małżeństwo stojące za nią w kolejce właśnie przeszło odprawę paszportową. Koniec świata! Osiemnasta trzydzieści siedem. Pociąg odchodzi za osiem minut. - Nie, nie zostaję - odparła stanowczo, uwalniając rękę. - Jesteś niepoważny. - Wręcz przeciwnie! Wiesz, Molly, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, w klubie na łodzi, od razu rzuciło mi się w oczy, że jesteś bardzo ładna. *Tres sympa*\*. I cieszę się, że pojechałaś ze mną zwiedzać Paryż. Ale wtedy rzeczywiście nie traktowałem cię poważnie. Nie byłem *serieux*. To przecież ty zapytałaś: „Fabrice, co będziemy robili jutro?”. Spytałaś z takim wdziękiem, że od razu mnie podbi-

\* **Bardzo fajna.**



*Robyn Sisman*

łaś. W muzeum Rodina nie miałem pojęcia... Ale skradłaś mi serce i... *enfin*, musiałem cię namalować i kochać się z tobą... Poskromiłaś mnie, oswoiłaś jak... jak lisa z „Małego księcia”. Nie możesz mnie teraz zostawić.

Molly wyrwało się ciężkie westchnienie. Trudno było się oprzeć tym czarnym oczom, pochlebnym słowom padającym ze zmysłowych ust.

- Zostawiłeś mnie samą - przypomniała mu. - Nie wróciłeś ze mną do ojca. A dziś potraktowałeś mnie jak obcą.

- Popełniłem błąd! Masz całkowitą rację. Jestem słaby, ale na szczęście ty jesteś silna. Dlatego chcę, żebyś została. Jesteś mi potrzebna.

„Jesteś mi potrzebna”. Olśniona całkiem nowym punktem widzenia nie zwróciła uwagi, że znowu wziął ją za rękę.

On jej potrzebował! Uwielbiał ją i podziwiał. Przyznał, że miała rację. A więc

- powinna zostać. To jej obowiązek. Odmowa będzie zarozumiałstwem. Em była, żeby mu odmówić pomocy, niezależnie od tego, jak zachował się wcześniej? Odruchowo zacisnęła palce na jego dłoni.

- Molly, ja się zmienię. Zobaczysz. Zostań jeszcze jeden dzień. Jedną noc. Potem... zobaczymy.

- Och, Fabrice, sama nie wiem... Już całkiem się pogubiłam.

- Ostatni pasażerowie dotarli do stewardesy, która rozglądała się za maruderami. Molly bez przekonania uniosła rękę, ściągając na siebie jej uwagę. Dziewczyna zrobiła wielkie oczy i nerwowo wskazała zegarek.

Fabrice oparł dłonie o ścianę, tuż przy głowie Molly. Widziała teraz tylko jego. Smukłego, smagłego, pełnego uwodzicielskiego wdzięku. Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła i uśmiechnął się zniewalająco.

- Daj spokój z tym pociągiem. Po co ci Londyn? Przed dworcem stoi mój skuter. Chodźmy. - Leciuteńko wsunął jej włosy za ucho, musnął opuszkami palców szyję, dekolt...

Już widziała, jak wychodzą z dworca, jak zostawia za sobą całą tę wrzawę i zamieszanie, jak zachłystuje się cudownym wieczornym chłodem Paryża. Wsiądzie na skuter Fabrice'a, obejmie kochanka mocno, z całej siły i popędzą paryskimi ulicami, a nad dachami będzie różowiło niebo. Powrócą fontanny i kawiarenki, życie jak w bajce i radosny śmiech. Będą dużo rozmawiali, Fabrice będzie słuchał jej rad. A potem znajdą się w jakimś ciemnym pokoju, dwa ciała utworzą jeden wzór, skóra przylgnie do skóry, będzie

## *Weekend w Paryżu*

265

nimi rządziła namiętność, aż do chwili, gdy wyczerpani zapadną w sen. A ona złoży głowę na jego piersi i będzie słuchała bicia jego serca.

O, tak! Przytuliła się do Fabrice'a, przycisnęła z całej siły, gotowa iść za nim na koniec świata. Był słaby, to prawda. No i co z tego? I leniwy. I trochę rozpieszczony. Nikt nie jest doskonały! Pan Darcy poniżył Elizabeth. Pan Rochester zamierzał się ożenić z Jane Eyre, chociaż był żonaty!

Paryż stał przed nią otworem. Mogła zostać z Fabrice'em. W każdym razie... na jakiś czas. Warto. Choćby tylko na jeden dzień. Na jedną noc. Nawet na godzinę. Warto.

- Pasażerowie udający się do Londynu pociągiem linii Eurostar o osiemnastej czterdzieści pięć proszeni są o niezwłoczne przejście na peron. Do odjazdu pozostały cztery minuty. Aha! Tylko że Jane Eyre zaczekała, aż pan Rochester mógł ją legalnie pojąć za żonę. Elizabeth odsuwała od siebie pana Darcy'ego do czasu, gdy poznała jego prawdziwe usposobienie. „Ludzie pokazują swój charakter poprzez zachowanie”. Kto to powiedział? Zamknęła oczy, ale i tak nie mogła sobie przypomnieć. Fabrice był bardzo blisko. Czuła na wargach jego oddech.

- *Viens*, Molly - szepnął. - Chodź ze mną.

Mijały cenne sekundy. Wolno, z ogromnym trudem odsunęła się od niego. Miała wrażenie, że zdiera z siebie skórę. Otworzyła oczy. - Gdybyś mnie o to poprosił wczoraj - powiedziała - zgodziłabym się z radością.

- A co się zmieniło? - Mocno ścisnął ją za ramię. - Jestem taki sam. - Owszem. Ale ja się zmieniłam.

- Nie rozumiem. Przecież chcesz ze mną zostać. Taka jest prawda. Pokręciła głową.

- Wracam do domu.

- Dlaczego?

- Dlaczego...? - Przygryzła wargi. Zobaczyła swojego ojca w Ogrodzie Luksemburskim. „Jestem z ciebie taki dumny, że chce mi się krzyczeć z radości”. Pomyślała o zdjęciu małej dziewczynki, które nosił w portfelu jak największy skarb. - Dlatego, że dla mnie to za mało. Dzień, noc, a potem „zobaczmy”. - Uniosła dumnie brodę i spojrzała mu prosto w oczy. - Jestem więcej warta.

Na twarzy Fabrice'a odbijały się kolejne uczucia: najpierw niedowierzanie, potem rozczarowanie, ból, gniew, na koniec chyba

Robyn Sisman

iskra zrozumienia. Wtedy z jego oczu zniknęło całe ciepło. Odwrócił się i odstąpił na bok.

- Pociąg zaraz odjeżdża - zawołała stewardesa.

- Fabrice, wybaczone, muszę już bieć. - Molly chwyciła walizkę.

- *Je viens!* Idę! - krzyknęła do stewardesy. - *Au revoir\**, Fabrice.

- Położyła mu rękę na ramieniu. Nawet teraz tęskniła za jego pocałunkami. Choćby jednym, ostatnim. Ale on tylko patrzył w ziemię.

- Przynajmniej się ze mną pożegnaj - poprosiła.

- Dwie minuty do odjazdu!

Molly westchnęła zrezygnowana i ruszyła biegiem. Stewardesa obrzuciła ją srogim spojrzeniem i błyskawicznie sprawdziła bilet.

- *Vite, vite!\*\** Musi pani bieć!

Energicznie przetrząsała torebkę, szukając paszportu, gdy raptem silne ramię objęło ją za szyję. Na policzku poczuła kłujący zarost, Fabrice wycisnął szybki pocałunek w kąciiku jej ust.

- Masz, to dla ciebie. - Wetknął jej coś w rękę. - Do widzenia, Molly. *Je fembrasse\*\*\**.

Łup! Urzędnik wbił pieczętkę do paszportu. Molly upchnęła niespodziewany prezent w torbie, rzuciła wszystko razem na taśmę maszyny prześwietlającej bagaże i przemknęła przez metalową bramkę. Zbierając rzeczy po drugiej stronie, jeszcze go zobaczyła: zbuntowany przystojny chłopak o długich nogach, z rękami w kieszeniach. Utkwił w niej palące spojrzenie. Jeden krok zrobiła tyłem, drugi jeszcze też, ale potem już się odwróciła, skrzyła w przejście, straciła go z oczu. Wcisnęła bilet do szczeliny w bramce, pchnęła kołowrotek i pognęła korytarzem. Pokonała kilka schodków prowadzących w dół i wypadła na peron. O rany! Nikogo! Tylko jakiś mężczyzna w mundurze patrzył na zegarek, w drugiej ręce trzymał podniesioną chorągiewkę. Wszyscy podróżni już wsiedli. Patrzyli na Molly, gdy biegła niezdarnie, szukając swojego wagonu. Walizka obijała jej się o nogi.

- Za chwilę drzwi zamkną się automatycznie - oznajmił przez megafony głos z dziwacznym akcentem.

Steward chwycił jej bilet.

- Niech pani wsiada tutaj. Nie zdąży pani na miejsce.

**\* Do widzenia. \*\* Szybko! \*\*\* Buziaki.**

*Weekend w Paryżu*

267

Rzuciła walizkę na najwyższy stopień i złapała klamkę. Drzwi zasunęły się tuż za jej plecami - zdążyła w ostatniej chwili. Rozległ się przejmujący gwizd i pociąg drgnął. Molly, dysząc ciężko, szukała jakiegoś miejsca.

- Dobrze biegasz, kochanieńka - pochwalił ją pan „Kocham Paryż”, wygodnie usadowiony przy oknie. W ręku trzymał styropianowy kubek z herbatą.

- Postanowiłaś jednak wrócić do domu. - Jego żona obdarzyła ją matczynym uśmiechem.

- Tak - powiedziała Molly i wybuchnęła płaczem.

### *Rozdział dwudziesty ósmy*

Nadciągał zmrok. Molly oparła brodę na dłoni i przez pancerne szkło okna w pociągu obserwowała samoloty szybujące bezgłośnie nad północną Francją. Łagodna krzywizna horyzontu, zaakcentowana topolami, na przemian to wznosiła się, to opadała. Na lśniącym, opałowym niebie zostały ślady obłoków. Leniwie obserwowała obce elementy krajobrazu: spiczaste wieże, okrągłe, a nie kwadratowe, do jakich była przyzwyczajona; krowy w kolorze biszkoptów, a nie czarne w białe łaty, pasące się na znajomych łąkach przypominających patchwork; słupy kroczące wzdłuż linii kolejowej, a pomiędzy nimi łuki drutów i stali. Z każdym kilometrem gęstniały cienie, zamazywał się krajobraz Francji. Paryż zniknął na dobre. A ona była zdezorientowana, pogrążona w czarnej otchłani, dziwnie bezwładna po gwałtownej burzy uczuć przed samym odjazdem. Pierwsze pół godziny nie czuła się na siłach, aby szukać swojego miejsca, wystawiona na ciekawskie spojrzenia obcych ludzi. Przycupnęła w przedziale przeznaczonym dla podróżnych z większymi bagażami, na końcu wagonu. Przykleiła twarz do szyby i torturowała się widokiem znikającego w oddali Paryża. Każdy budynek z odłóżką farbą, każdy zardzewiały balkon, każda wąska uliczka, po której między samochodami śmigały skutery - wyzwalały nową falę łez. I widok Sacre Coeur, lśniącego różowo w promieniach zachodzącego słońca. Powinna była jednak zostać z Fabrice'em. Nie, nie, to bez sensu. Tylko że on był taki przystojny i taki smutny... Zachowała się żałośnie. Jedno jest pewne: już nigdy w życiu się nie zakocha. Wreszcie, gdy bolesny, choć cudowny widok ustąpił miejsca zabudowie rejonów przemysłowych, z głośników popłynęła informacja o otwarciu bufetu - najpierw doskonałą angielszczyzną, następ-

nie po francusku - z angielskim akcentem. Molly uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna, nie jadła nic od czasu porannego croissanta w towarzystwie Armanda. Otarła policzki rękawem i poszła kołyszącym korytarzem do baru, gdzie za kontuarem znalazła elegancko ubraną na biało właścicielkę głosu ćwierkającego przez megafony. Bufet okazał się niewielki, z wysokimi stolikami przymocowanymi do podłogi. Dziwnie było znowu mówić po angielsku. Wydała ostatnie kilka euro na gorącą czekoladę i kanapkę z szynką, a potem stanęła przy stoliku pod oknem.

Widok ciemniejących pól pasował do jej mrocznych myśli.

Jedno pytanie nie dawało jej spokoju: co Fabrice czuł do niej naprawdę? Czy cała ta dramatyczna scena na dworcu była tylko kolejną gierką, następnym kaprysem? W zamyśleniu gryzła kanapkę. Była dumna, że zdobyła się na odwagę i wyjechała. Ale teraz czuła jakiś niesmak, przykrą gorycz, na którą nie pomagała nawet gorąca czekolada. Fabrice... czy to wszystko było udawane? Czy sama sobie wymyśliła i romans, i namiętność? Czy tylko jej się wydawało, że połączyło ich wyjątkowe uczucie?

Tyle wspaniałych chwil przeżyła w Paryżu. I odnalazła ojca! Nieprawdopodobne, jak cudowna była sama świadomość, że on jest. Zniknął nareszcie odwieczny cień niepewności. Nie było już mrocznej tajemnicy, wstydliwego sekretu. Przeciwnie - zyskała nową rodzinę! Babcię i dziadka, przyrodnich braci, a może też wujów, ciotki i kuzynów, kto wie? Do licha! Zapomniała spytać, czy Jonathan... czy jej ojciec ma rodzeństwo! Zapyta go o to, kiedy się spotkają - w najbliższy weekend. Właściwie mogła do niego zadzwonić z tą sprawą nawet teraz! Nie zamierzała tego robić, oczywiście, ale już ta cudowna możliwość przyprawiła Molly o zawrót głowy. Aż musiała przytrzymać się stolika.

Skończyła kanapkę. Doszła do wniosku, że chętnie by wreszcie usiadła. Zamknęła kubek z resztkami czekolady plastikową pokrywką, wróciła do wagonu i nareszcie znalazła swoje miejsce - jedno z czterech przy stoliku z imitacji marmuru. Przeprosiła Japonkę, która wstała, by ją przepuścić, i wślizgnęła się na siedzenie przy oknie. Choć zrobiła to najdyskretniej jak umiała, i tak nie uniknęła szacujących spojrzeń pozostałej dwójki pasażerów: kobiety w średnim wieku stukającej w klawisze laptopa oraz młodego człowieka zajętego lekturą książki. Wkrótce oboje wrócili do swoich zajęć, a Japonka podjęła przerwana rozmowę z koleżankami siedzącymi po drugiej stronie przejścia, wobec czego Molly mogła się pogрузić w rozmyślaniach.

*Robyn Sisman*

Do Londynu przyjedzie Alicia, to już coś. Oczyma wyobraźni widziała, jak razem wędrują po barach i klubach, przeżywają wspaniałe przygody, robią wszystko to, co Molly chciała robić, kiedy marzyła o przeprowadzce do Londynu, ale na co potem zabrakło jej śmiałości. Teraz będzie miała serdeczną koleżankę.

Oj! Zapomniała o Malcolmie. Pewnie z nim także będzie się niekiedy widywała, jeśli Alicii nie zmieni się dziwaczny gust. To może być trochę kłopotliwe, chociaż określenie „głupia sekretarka” już nie jąrzyło, ponieważ wiedziała, że nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Poza wszystkim innym, szykowała jej się nowa świetna praca. Molly wypła czekoladę do końca. Festiwal literacki! Pozna najpoczytniejszych autorów! Odruchowo zerknęła na mężczyznę siedzącego po przekątnej. Jakieś dwadzieścia pięć lat, rozczochrane ciemne włosy, smukły, ubrany w wyblakły niebieski t-shirt. I co on takiego czyta? Pewnie coś z serii SAS albo jakąś powieść o tym, jak z gruntu uczciwi i szlachetni ludzie padają ofiarą prostackiego otoczenia. Zsunęła się na siedzeniu prawie do pozycji leżącej i przekrzywiła głowę, by zobaczyć tytuł. No, no! „Wojna i pokój”! Nagle mężczyzna podniósł na Molly rozbawione spojrzenie szarych oczu. Odwróciła wzrok.

Zaraz, o czym to... Aha! O nowej pracy, w roli asystentki „starej przyjaciółki” (ho, ho!) Armanda. Wyobraziła sobie siebie, jak siedzi w jakimś luksusowym wiejskim pensjonacie, w towarzystwie Willa Selfa przy śniadaniu, czy też raczej: oleistej orgii, jakby to on ujął niewątpliwie. A zaraz potem na piętrze sprawdzi, czy Zadie Smith ma odpowiednio miękkie poduszki. Kusząca propozycja, taka praca, tylko czy ona, Molly Clearwater, da sobie radę? Co powiedzieć na spotkaniu, jak się zachować? Przydałaby się jakaś rada, pomoc...

Zaraz! Przecież może o nią poprosić ojca! Doskonały pomysł! Zapatrzyła się w swoje odbicie w szybie.

„Zapytam ojca”, powtórzyła w myślach. „Tata powiedział...” - smakowała całkiem nowe wyrażenie. Albo jeszcze lepiej: „Mój tatuś...”.

A co z mamą? Przeżyje wstrząs, kiedy się dowie o wielkim odkryciu córki. I dobrze jej tak! Tyle lat okrutnie ukrywała prawdę. Może by tak zadzwonić wieczorem do mieszkania Armanda i sprawdzić, czy mama tam jest? Fajnie byłoby wytrącić ją z równowagi, wrzucić bombę w zacisze tej paryskiej przygody. Fran poczułaby się winna. I znalazłaby się w niezbyt komfortowej sytuacji, wiedząc, że jej tajemnica wyszła na jaw. Skończyłyby się te bzdurne plany na temat podróży do Biarritz. Wskoczyłaby w najbliższy pociąg do domu.

„Nie oceniał matki zbyt surowo”. Tak powiedział ojciec.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie dziewczynę, którą opisał. Fran-kie - śliczna, beztroska dwudziestolatka, która zaszła w ciążę i rzuciła wszystko, by poświęcić się wychowaniu córeczki. Z pewnością nie było jej łatwo. I wybór wcale nie był oczywisty. Miała prawo popełniać błędy, ale skoro podjęła taką decyzję, z całkowitą konsekwencją podporządkowała jej całe życie. Molly zalała ciepłą tkliwość, a razem z nią pojawiła się jeszcze jedna, całkiem nowa refleksja. Obie tkwiły w pułapce wzajemnych relacji, łączących matkę i córkę. „Molly i mama”. Ale też „mama i Molly”. Nie tylko córka chciała uciec z tego układu. Matka także tęskniła za własnym życiem. Dlatego tak chętnie przyjęła propozycję Armanda. Molly miała moc wystarczającą, by ściągnąć Fran na utarty szlak, ale przecież lepiej byłoby zmienić wszystko, uwolnić je obie. Jeśli córka pozwoli matce odejść, zwróci jej wolność, uzna jej prawo do igraszek z przystojnym Francuzem i do innych szalonych wyczynów, na które Fran będzie miała ochotę, to da dowód dorosłości. Pokaże, iż sama już nie potrzebuje prowadzenia za rączkę. A poza tym, jeśli mamie zdarzało się rozstać z Molly, po powrocie zawsze przywoziła jej jakiś upominek. Ten z Francji powinien być wyjątkowy!

O, do licha! Jak mogła o tym zapomnieć?

Wyjęła z torby prezent od Fabrice'a. Był to długi wąski rulon owinięty plastikową torebką i zabezpieczony recepturkami. Ściągnęła gumki, folię, rozwinęła kartkę. Rysunek. Jej akt! Była nie tylko naga, ale... wręcz lubieżna! Piękna kobieta o tęsknym, omdlałym spojrzeniu... cudowna! Molly wpatrywała się w szkic z niekłamanym zachwytem. Czy to naprawdę ona? Ta seksowna istota z zaokrąglonym brzuchem i pełnymi piersiami, ułożona w swobodnej pozie, z rękami pod głową? Rysunek emanował erotyzmem, lecz na tym nie koniec. Fabrice uchwycił nieśmiałą prowokację w spojrzeniu i psotne ogniki w oczach. Podpisał i datował swoje dzieło. Ten zawodowy gest wywołał na ustach Molly uśmiech. Ale najbardziej poruszający był napis w górnym rogu. „*J?our Molly - la plus belle et la plus gentille de toutes les filles*”. Dla Molly, najpiękniejszej i najmilszej z dziewcząt. Westchnęła z głębi serca.

Młody mężczyzna z naprzeciwka podniósł na nią wzrok. Wyglądał na przyjaznego, jakby zainteresowanego, chyba nawet ją podziwiał... O kurczę! A może papier prześwitywał i rysunek było widać także z drugiej strony? Molly spiekła raka, zwinęła szkic, ściągnęła go recepturkami i schowała do torby. Serce miała przepełnione radością. Fabrice nie był ideałem, ale nie był też cynikiem. Dowód miała w za-



*Robyn Sisman*

sięgu ręki. Mało tego, podarował jej nowe spojrzenie na samą siebie. Nie pulchną, lecz godną pożądaną. Nie wstydliwą, lecz pewną siebie. Nie ukrytą pod kloszem i stłamszoną, a już na pewno nie świętoszko-watą moralizatorkę. Wzmocniona nową wiarą w siebie spojrzała na miłośnika Lwa Tołstoja. Uśmiechnął się w odpowiedzi. A może się z niej śmiał? Może miała rozmazany tusz do rzęs? Albo wąsy z czekolady? Przeprosiła Japonkę raz jeszcze, wysunęła się na korytarz i poszła do toalety sprawdzić, jak wygląda.

O rany.

Wyjęła kosmetyczkę.

Fabrice pewnie siedział w jakiejś gwarnej kawiarence, tuląc smukłą, doskonałą Francuzkę. I zaprzeczał wszelkim pogłoskom o tajemniczej *anglaise*\*, z którą widziano go podczas weekendu. *„flais ecoutes, Gabrielle...”\*\**.

Nie wiedziała, czy ma ochotę się śmiać, czy płakać. Fabrice rzeczywiście był fantastyczny - niewiarygodny, melodramatyczny i niedorzeczny - ale boski. Nigdy go nie zapomni.

Wyszczotkowała włosy, przywracając im blask, umalowała rzęsy, nałożyła na policzki odrobinę różu. Spojrzała na siebie w lustrze obiektywnym okiem. Koniec z przebierankami. Żadnych złotych spódnic, czarnych peruk ani czerwonych sukienek. Już wiedziała, kim jest. I będzie sobą.

Gdy otworzyła drzwi kabiny, megafony ożyły i bezosobowy głos oznajmił, że za chwilę pociąg wjedzie do tunelu. Spojrzała w okno, lecz zobaczyła tylko ciemność. Przez moment miała wrażenie niepowetowanej straty, wróciła fala wspomnień, doświadczenia i odkrycia z Paryża: piękno, radość, oczarowanie, wyzwolenie, podniecająca świadomość, że może wszystko. I nagle zrobiło jej się lekko na duszy, jakby znowu stała u Armanda na balkonie, na Ile St. Louis, gdy słońce lśniło na falach rzeki. Ależ z niej gapa! Przecież nikt jej nie odbierze tamtych wspomnień, wrażeń i przeżyć! Były ukryte głęboko w sercu. Paryż będzie miała zawsze przy sobie.

Pchnęła klamkę swojego przedziału i drzwi ustąpiły z cichym sykiem. Młody mężczyzna podniósł na nią wzrok i odłożył książkę. A Molly obrzuciła go jasnym spojrzeniem i wkroczyła w nową przyszłość.

\* **Angielce**

\* **Daj spokój, Gabrielle**